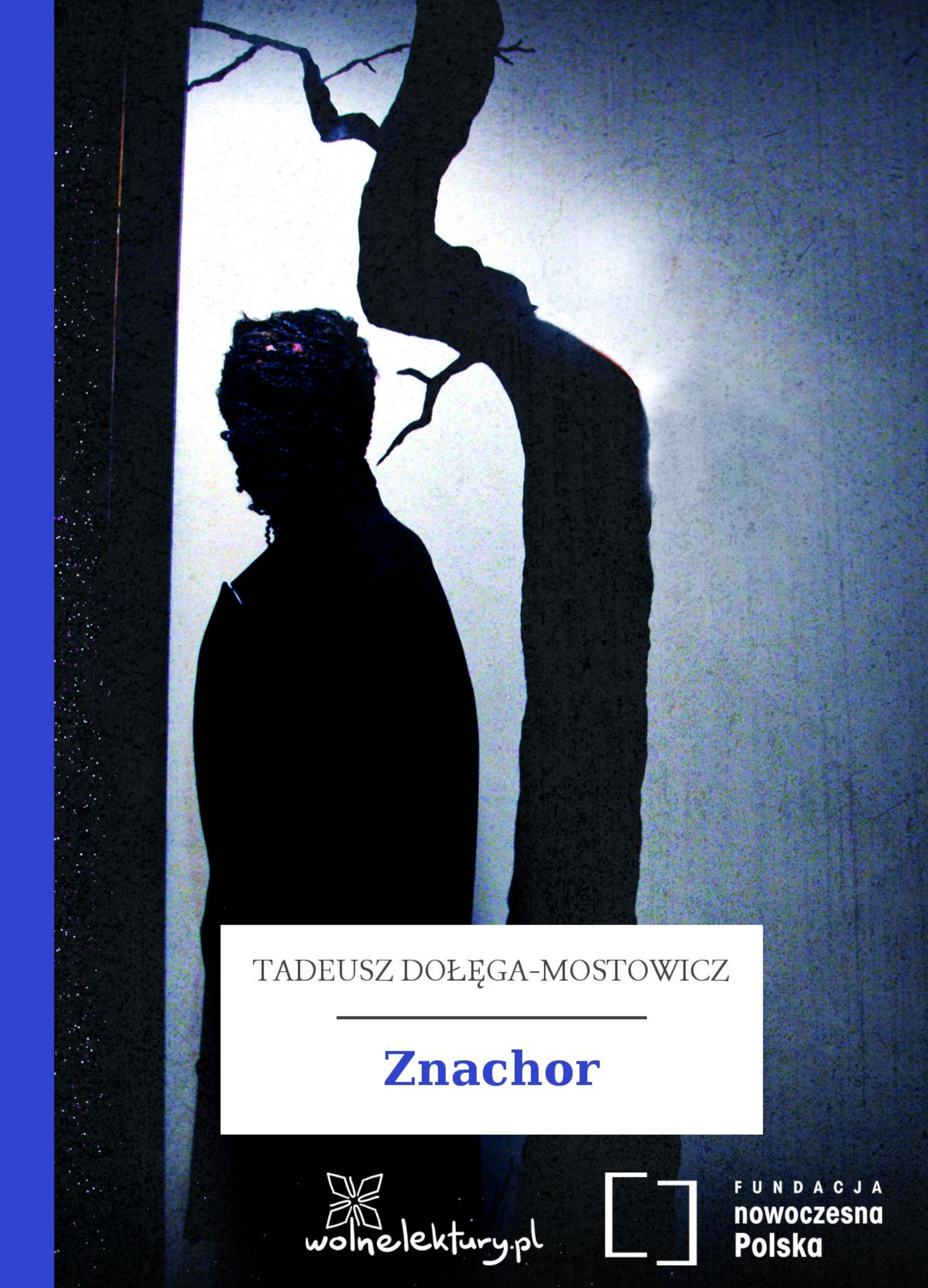


The background of the entire cover is a photograph showing the dark silhouettes of a person and a tree against a bright, glowing light source, possibly the sun or moon, creating a high-contrast, atmospheric effect.

TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

Znachor


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

Znachor

ROZDZIAŁ I

W sali operacyjnej panowała zupełna cisza. Z rzadka przerywał ją ostry, krótki brzęk metalowych narzędzi chirurgicznych na szklanej płycie. Powietrze nagrzane do trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza przenikał słodkawy zapach chloroformu i surowa woń krwi, które przenikając przez respiratory napełniały płuca nieznosną mieszaniną. Jedna z sanitariuszek zemdlała w kącie sali, lecz nikt z pozostałych nie mógł odejść od stołu operacyjnego, by ją ocucić. Nie mógł i nie chciał. Trzej asystujący lekarze nie spuszczaali czujnego wzroku z otwartej czerwonej jamy, nad którą poruszały się wolno i zdawało się niezgrabnie wielkie, grube ręce profesora Wilczura.

Każdy najmniejszy ruch tych rąk trzeba było zrozumieć natychmiast. Każde mruknięcie wydobywające się od czasu do czasu spod maski zawierało dyspozycję zrozumiałą dla asystentów i wykonywaną w mgnieniu oka. Szło przecie nie tylko o życie pacjenta, lecz i o coś znacznie ważniejszego, o udanie się tej szaleńczej, beznadziejnej operacji, która stać się mogła nowym wielkim triumfem chirurgii i przynieść jeszcze większą sławę nie tylko profesorowi, nie tylko jego lecznicy i uczniom, lecz całej nauce polskiej.

Profesor Wilczur operował wrzód na sercu. Trzymał je oto w lewej dłoni i rytmicznym ruchem palców masował nieustannie, gdyż wciąż słabło. Przez cienką gumową rękawiczkę czuł każde drgnięcie, każdy lekki bulgot, gdy zastawki odmawiały posłuszeństwa i drętwiejącymi palcami zmuszał je do pracy. Operacja trwała już czterdzieści sześć minut. Czuwający nad pulsem doktor Marczewski już po raz szósty zanurzał pod skórę pacjenta igłę szprycki z kamforą i atropiną.

Prawa ręka profesora Wilczura raz po raz połyskiwała krótkimi ruchami lancetów i łyżek. Na szczęście wrzód nie sięgał głęboko w mięsień sercowy i ukształtował się płytkim, prawidłowym stożkiem. Życie tego człowieka było do uratowania. Oby wytrzymał jeszcze osiem, dziewięć minut.

„A jednak nikt z nich nie odważył się!” — chępliwie pomyślał profesor. Tak, nikt, żaden chirurg ani w Londynie, ani w Paryżu, w Berlinie czy Wiedniu. Przywieźli go do Warszawy, wyrzekając się i sławy, i kolosalnego honorarium. A to honorarium to dobudowanie nowego pawilonu lecznicy i coś ważniejszego, bo podróż Beaty z małą na Wyspy Kanaryjskie. Na całą zimę. Ciężko będzie bez nich, ale zrobi to im doskonale. Nerwy Beaty w ostatnich czasach...

Sinaworóżowawa poduszka płuca wzdęła się spazmatycznym oddechem i skurczyła się nagle. Raz, drugi, trzeci. Kawałek żywego mięsa w lewej dłoni profesora zadygotał. Z małej ranki na fioletową błonę spłynęło kilka kropli krwi. W oczach wszystkich obecnych zamigotało przerażenie. Rozległ się cichy syk tlenu, a igła rekordu wniknęła znowu pod skórę chorego. Grube palce profesora ścisnęły się i otwierały rytmicznie.

Jeszcze kilka sekund i ranka była oczyszczona. Cieniutka nić chirurgiczna miała teraz dokonać dzieła. Jeden, drugi, trzeci szew. To było wprost nie do uwierzenia, że te ogromne ręce zdolne są do takiej precyzji. Ostrożnie złożył serce i przez chwilę wpatrywał się w nie uważnie. Pęczytało i wiotczało nierównym tempem, ale niebezpieczeństwo już minęło. Wyprostował się i dał znak. Z płacht sterylizowanych płócien doktor Skórzeń wydobyl wypilowaną część klatki piersiowej. Jeszcze kilka niezbędnych zabiegów i profesor odetchnął. Reszta należała już do asystentów. Mógł im w zupełności zaufać. Wydał kilka dyspozycji i przeszedł do ubieralni.

Z rozkoszą odetchnął tu normalnym powietrzem, zdjął respirator, rękawiczki, fartuch i kitel zabryzganę krwią i przeciągnął się. Zegar wskazywał drugą trzydzieści pięć. Znowu spóźnił się na obiad. I to w taki dzień. Beata wprawdzie wie, jak ważną ma dziś operację, ale niewątpliwie spóźnienie w takim dniu sprawi jej dużą przykrość. Umyślnie wychodząc z rana z domu niczym po sobie nie dał poznać, że pamięta tę datę: ósma rocznica ich ślubu. Ale Beata wiedziała, że zapomnieć nie mógł. Co roku tego dnia otrzymywała jakiś piękny prezent, co roku piękniejszy i co roku droższy, w miarę jak rosła jego sława i jego majątek. I teraz już na pewno w gabinecie na parterze jest nowy. Kuśnierz musiał już rano przysłać...

Profesor śpieszył się i przebrał szybko. Musiał jednak zajrzeć jeszcze do dwóch chorych na drugim piętrze i do pacjenta operowanego przed chwilą. Czuwający przy nim doktor Skórzeń zaraportował krótko:

— Temperatura trzydzieści pięć i dziewięć, ciśnienie sto czternaście, puls bardzo słaby z lekką arytmia sześćdziesiąt do sześćdziesiąt sześć.

— Dzięki Bogu — profesor uśmiechnął się doń.

Młody lekarz obrzucił wzrokiem pełnym uwielbienia ogromną, niedźwiedziową postać szefa. Był jego słuchaczem na Uniwersytecie. Pomagał mu w przygotowaniu materiałów do jego dzieł naukowych, póki jeszcze profesor pracował naukowo, odkąd zaś otworzył własną lecznicę, doktor Skórzeń znalazł tu dobrą pensję i duże pole pracy. Może żałował w duchu, że szef wyrzekł się tak nagle ambicji uczonego, że ograniczył się do belferki uniwersyteckiej i do robienia pieniędzy, ale nie mógł go z tej racji mniej cenić. Wiedział przecież, jak i wszyscy w Warszawie, że profesor nie robił tego dla siebie, że pracował niczym niewolnik, że nigdy nie zawahał się wziąć na siebie odpowiedzialności, a często dokazywał takich cudów jak dziś.

— Pan jest geniuszem, profesorze — powiedział z przekonaniem.

Profesor Wilczur zaśmiał się swoim niskim, dobrodusznym śmiechem, który takim spokojem i ufnością napelniał jego pacjentów.

— Bez przesady, kolego, bez przesady! I wy do tego dojdziecie. Ale przyznam, że jestem kontent. W razie czego każcie dzwonić do mnie. Chociaż sądzę, że obejdzie się bez tego. I wołałbym, bo mam dziś... święto domowe. Już tam pewno dzwonili, że obiad się przysmali...

I profesor nie mylił się. W jego gabinecie już kilka razy odzywał się telefon.

— Proszę zawiadomić pana profesora — mówił lokaj — by jak najprędzej wracał do domu.

— Pan profesor jest na sali operacyjnej — za każdym razem z jednakową flegmą odpowiadała sekretarka, panna Janowiczówna.

— Cóż to tak szturmują, u licha?! — odezwał się wchodząc naczelny lekarz, doktor Dobraniecki.

Panna Janowiczówna przekreśliła walek w maszynie i wydając gotowy list, powiedziała:

— Dziś rocznica ślubu profesorostwa. Zapomniał pan? Ma pan przecież zaproszenie na bal.

— Ach, prawda. Spodziewam się niezłej zabawy... Jak zawsze u nich będzie wyśmienita orkiestra, luksusowa kolacja i najlepsze towarzystwo.

— Zapomniał pan, o dziwo, o pięknych kobietach — zauważyła ironicznie.

— Nie zapomniałem. Skoro pani tam będzie... — odciął się.

Na chude policzki sekretarki wystąpił rumieniec.

— Niedowcipne — wzruszyła ramionami. — Choćbym była najpiękniejsza, nie liczyłabym na pańską uwagę.

Panna Janowiczówna nie lubiła Dobranieckiego. Podobał się jej jako mężczyzna, bo istotnie był bardzo przystojny z tym orlim nosem i wysokim, dumnym czołem, wiedziała, że jest świetnym chirurgiem, bo sam profesor powierzał mu najtrudniejsze operacje i przeforsował go na stanowisko docenta, uważała go jednak za zimnego karierowicza, polującego na bogate małżeństwo, a poza tym nie wierzyła w jego wdzięczność dla profesora, któremu przecież wszystko zawdzięczał.

Dobraniecki był dość subtelny, by wyczuć tę niechęć. Ponieważ jednak miał zwyczaj nie narażać sobie nikogo, kto mógłby mu w czymkolwiek zaszkodzić, odezwał się pojednawczo, wskazując na stojące przy biurku pudło:

— Sprawiała pani sobie już nowe futro? Widzę pudło od Porajskiego.

— Nie stać mnie w ogóle na Porajskiego, a zwłaszcza na takie futro.

— Aż „takie”?

— Niech pan zajrzy. Czarne sobole.

— Fiu, fiu. Dobrze się powodzi pani Beacie.

Pokiwał głową i dodał:

— Przynajmniej materialnie.

— Co pan przez to rozumie?

— Nic.

— Wstydziliby się pan — wybuchła. — Takiego męża i tak kochającego mogłaby pozazdrościć jej każda kobieta.

— Zapewne.

Panna Janowiczówna przeszyła go gniewnym wzrokiem.

— Ma wszystko, o czym kobieta może marzyć! Ma młodość, urodę, cudną córeczkę, sławnego i powszechnie uwielbianego męża, który pracuje dniami, nocami, by zapewnić jej wygodę, zbytki, znaczenie w świecie. I upewniam pana, doktorze, że ona to umie docenić!

— I ja nie wątpię — skinął lekko głową — tylko wiem, że kobiety najwyżej cenią...

Nie dokończył, gdyż do gabinetu wpadł doktor Bang i zawołał:

— Zdumiewające! Udało się! Będzie żył!

Z entuzjazmem zaczął opowiadać przebieg operacji, przy której asystował.

— Jeden tylko nasz profesor mógł się porwać na to!... Pokazał, co umie — zawołała panna Janowiczówna.

— No, nie przesadzajmy — odezwał się doktor Dobraniecki. — Moi pacjenci nie zawsze są lordami i milionerami, może nie zawsze mają sześćdziesiątkę, ale historia zna cały szereg pomyślnych operacji serca. Nawet historia naszej medycyny. Warszawski chirurg doktor Krajewski taką właśnie operacją zdobył światowy rozgłos. A było to trzydzieści lat temu!

W gabinecie zebrało się jeszcze kilka osób z personelu lecznicy i gdy po chwili zjawili się profesor, zasypano go gratulacjami.

Słuchał ich z uśmiechem zadowolenia na swojej czerwonej, wielkiej twarzy, lecz wciąż rzucał okiem na zegarek. Minęło jednak dobrych dwadzieścia minut, zanim znalazł się na dole w swojej dużej, czarnej limuzynie.

— Do domu — rzucił szoferowi i rozsiadł się wygodnie.

Znużenie mijało szybko. Był zdrow i silny, a chociaż dzięki swojej tuszy wyglądał nieco starzej, miał przecież tylko czterdzieści trzy lata, czuł się jeszcze młodszym. Czasami po prostu jak smarkacz. Przecie umiał z małą Mariolą koziołkować na dywanie lub bawić się w chowanego nie tylko dla jej przyjemności, ale i dla własnej.

Beata nie chciała tego zrozumieć i gdy przyglądała się mu w takich chwilach, miała w wyrazie oczu coś jakby zażenowanie i obawę.

— Rafale — mówiła — gdyby cię tak zobaczono!

— Może zaangażowano by mnie wówczas na freblankę¹ — odpowiadał ze śmiechem.

A w gruncie rzeczy robiło mu się w takich chwilach trochę przykro. Beata niewątpliwie była najlepszą żoną na świecie. Na pewno go kochała. Dlaczego jednak odnosiła się doń z tym niepotrzebnym szacunkiem, z jakąś jakby czcią? W jej dbałości i pieczołowitości było coś z liturgii. W pierwszych latach przypuszczał, że się go boi, i robił wszystko, by to usunąć. Opowiadał o sobie najkomiczniejsze rzeczy, zwierzał się jej ze swoich omyłek, niezaszczytnych przygód studenckich, starał się wyrugować z jej główki najmniejszą myśl o tym, że nie są zupełnie równi. Przeciwnie, na każdym kroku podkreślał, że żyje tylko dla niej, że pracuje tylko dla niej i że tylko przez nią jest szczęśliwy. Zresztą była to szczerza prawda.

¹freblanka — przedszkolanka.

Kochał Beatę do szaleństwa i wiedział, że ona odplaca mu równą miłością, chociaż cichą i mniej impulsywną. Zawsze była taka pastelowa i delikatna jak kwiat. Zawsze miała dlań uśmiech i dobre słowa. I myślałby, że nie potrafi być inna, gdyby nie to, że widział ją nieraz rozbawioną, wybuchającą raz po raz głośnym śmiechem, żartobliwą i zalotną, ilekroć otaczało ją towarzystwo młodzieży i ilekroć nie wiedziała, że on na nią patrzy. Na głowie stawał, by przekonać ją, że jest bardziej od innych, od najmłodszych, gotów do takiej bez troskiej zabawy — na próżno. Wreszcie z biegiem czasu pogodził się z tym, wyperswadował sobie pretensje do dalszego spotęgowania i tak olbrzymiego swego szczęścia.

I tak przyszła ósma rocznica ich ślubu, ósma rocznica wspólnego życia niezakłóconego ani razu najmniejszą sprzeczką, najdrobniejszym sporem czy bodaj cieniem nieufności, za to ileż razy rozświetlonego tysiącem chwil i godzin radości, pieszczot, zwierzeń...

Zwierzeń... Właściwie tylko on się jej zwierzał ze swych uczuć, myśli, planów. Beata nie umiała tego lub też jej życie wewnętrzne było zanadto jednolite, zanadto proste... Może zanadto — Wilczur skarcił siebie za to określenie — zanadto ubogie. Uważał, że uwłaszcza to Beacie, że ją skrzywdził, tak o niej myśląc. Jeżeli jednak było tak naprawdę, tym większa tkliwość napęniała jego serce.

— Ogłuszam ją — mówił do siebie — oszołamiam sobą. Jest taka inteligentna i tak subtelna. Stąd drażliwość i obawa, by nie okazać mi, że jej sprawy są drobne, codzienne, pospolite.

Doszedłszy do takiego wniosku starał się wynagrodzić jej tę krzywdzącą dysproporcję. Wnikał z największą uwagą i z przejęciem w szczególności domowe, interesował się jej strojami, perfumami, podchwytywał każde słówko projektów towarzyskich czy dotyczących pokoju dzieciennego i rozważał je z takim zajęciem, jakby chodziło o kwestie naprawdę ważne.

Bo i były dlań ważne, ważniejsze ponad wszystko, skoro wierzył, że szczęście należy pielęgnować z największą troskliwością, skoro rozumiał, że te nieliczne, wyrwane z pracy godziny, które może Beacie poświęcić, musi napędzić jak najintensywniejszą treścią, jak największym ciepłem...

Auto stanęło przed piękną, białą willą, niewątpliwie najładniejszą w całej Alei Bzów, a jedną z najelegantszych w Warszawie.

Profesor Wilczur wyskoczył, nie czekając, aż szofer otworzy drzwiczki, wziął z jego rąk pudło z futrem, szybko przebiegł chodnik i dróżkę, własnym kluczem otworzył drzwi i zamknął je jak najciszej za sobą. Chciał Beacie zrobić niespodziankę, którą ułożył sobie jeszcze przed godziną, gdy pochylony nad otwartą klatką piersiową operowanego obserwował powikłany spłot aort i wen².

W hallu jednak zastał Bronisława i starą gospozię Michałową. Widocznie Beata nie była w dobrym humorze z powodu jego spóźnienia, gdyż mieli miny przeciągnięte i widocznie nań czekali. Profesorowi psuło to plany i ruchem ręki kazał się im wynosić.

Pomimo to Bronisław odezwał się:

— Panie profesorze...

— Ćśśś!... — przerwał mu Wilczur i marszcząc brwi dodał szeptem — weź palto!

Służący chciał znowu coś powiedzieć, lecz tylko poruszył ustami i pomógł profesorowi rozebrać się.

Wilczur prędko otworzył pudło, wyjął zeń piękne palto z czarnego, lśniącego futra o długim, jedwabnym włosie, narzucił je sobie na ramiona, na głowę włożył zawadiacko kołpaczek z dwoma filuternie zwisającymi ogonkami, na rękę wsunął mufkę i z rozradowanym uśmiechem przejrzał się w lustrze: wyglądał arcykomicznie.

Rzucił okiem na służbę, by sprawdzić wrażenie, lecz we wzroku gosposi i lokaja było tylko zgorzelenie.

„Głuptasy” — pomyślał.

— Panie profesorze... — zaczął znowu Bronisław, a Michałowa zadreptała na miejscu.

— Milczeć, do licha — szepnął i wymijając ich, otworzył drzwi do salonu.

Spodziewał się zastać Beatę z małą albo w różowym pokoju, albo w buduarze.

²wena — tu: żyła.

Przeszedł sypialnię, buduar, dziecinny. Nie było ich. Zawrócił i zajął do gabinetu. I tu było pusto. W jadalni, na ukwieconym stole, połyskującym złoceniami porcelany i kryształami, były dwa nakrycia. Mariola z miss Tholereed jadały razem wcześniej. W otwartych drzwiach do kredensu stała pokojówka. Miała twarz zapłakaną i zapuchniętą oczy.

— Gdzie jest pani? — zapytał zaniepokojony.

Dziewczyna w odpowiedzi wybuchła łkaniem.

— Co to jest? Co się stało?! — zawołał, już nie hamując głosu. Przeczucie jakiegoś nieszczęścia chwyciło go za gardło.

Gospodyni i Bronisław wsunęli się cicho do jadalni i w milczeniu stali pod ścianą. Powiódł po nich przerażonym spojrzeniem i krzyknął rozpaczliwie:

— Gdzie jest pani?!

Nagle wzrok jego zatrzymał się na stole. Przy jego nakryciu oparty o wysmukły kryształowy kieliszek stał list. Bładoniebieska koperta z wysrebrzonymi brzeżkami.

Serce skurczyło się mu gwałtownie, w głowie zawirowało. Jeszcze nie rozumiał, jeszcze nic nie wiedział. Wyciągnął rękę i wziął list, który wydał mu się sztywny i martwy. Przez chwilę trzymał go w palcach. Na kopercie adresowanej do niego poznał charakter pisma Beaty. Duże, kanciaste litery.

Otworzył i zaczął czytać:

„Drogi Rafale! Nie wiem, czy zdołasz wybaczyć mi kiedykolwiek to, że odchodzę...”

Wyrazy zaczęły drgać i wirować przed oczami. W płucach zabrakło powietrza, na czole wystąpiły krople potu.

— Gdzie ona jest — krzyknął zdławionym głosem — gdzie ona jest?!

I potoczył wzrokiem dokoła.

— Pani odjechała z panienką — wybąkała cicho gosposia.

— Kłamiesz! — ryknął Wilczur. — To nieprawda!

— Sam sprowadziłem taksówkę — przyświadczył rzetelnym tonem Bronisław, a po pauzie dodał — i walizki znośłem. Dwie walizki...

Profesor, zataczając się, wyszedł do sąsiedniego gabinetu, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie. Próbował czytać dalej list, lecz minęło sporo czasu, zanim potrafił zmusić się do zrozumienia treści.

„Nie wiem, czy zdołasz wybaczyć mi kiedykolwiek to, że odchodzę. Postępuję podle, wypłacając Ci się tą krzywdą za Twoją wielką dobroć, której nigdy nie zapomnę. Ale dłużej zostać nie mogłam. Przysięgam Ci, że miałam tylko jedno inne wyjście: śmierć. Jestem jednak tylko słabą i biedną kobietą. Nie umiałam zdobyć się na heroizm. Od wielu miesięcy walczyłam z tą myślą. Może nigdy nie będę szczęśliwa, może nigdy nie zaznam spokoju. Ale nie miałam prawa odbierać siebie naszej Marioli i — jemu.

Piszę chaotycznie, lecz trudno mi zebrać myśli. Dziś rocznica naszego ślubu. Wiem, żeś przygotował, drogi Rafale, jakiś podarek dla mnie. Byłoby to nieuczciwe, gdybym przyjęła go od Ciebie teraz, gdy już nieodwołalnie postanowiłam odejść.

Pokochałam, Rafale. I ta miłość silniejsza jest ode mnie. Silniejsza od wszystkich uczuć, jakie żywię i zawsze żywiłam dla Ciebie, od bezgranicznej wdzięczności do najgłębszego szacunku i podziwu, od szczerzej życzliwości do przywiązania. Niestety, nie kochałam Cię nigdy, lecz dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, gdy na swojej drodze spotkałam Janka.

Odjeżdżam daleko i miej nade mną miłosierdzie: nie szukaj mnie! Błagam, ulituj się nade mną! Wiem, że jesteś wielkoduszny i nadludzko dobry. Nie proszę Cię, Rafale, o przebaczenie. Nie zasłużyłam na nie i zdaję sobie sprawę z tego, że masz prawo nienawidzić i pogardzać.

Nigdy nie byłam godna Ciebie. Nigdy nie sięgałam do Twego poziomu. Sam o tym wiesz aż nadto dobrze i jedynie Twojej dobroci przypisuję to, żeś zawsze starał się nie okazać mi tego, co jednak było ponad wszelką miarę dla mnie poniżające i dręczące. Otoczyłeś mnie zbytkiem i ludźmi swego świata. Zasypywałeś mnie cennymi prezenta-

mi. Ale ja widocznie nie byłam stworzona do takiego życia. Męczył mnie i wielki świat, i bogactwo, i Twoja sława i — moja nicość przy tobie.

Teraz świadomie idę w nowe życie, gdzie może czeka mnie ostateczna bieda, a w każdym razie ciężka walka o każdy kawałek chleba. Ale walkę tę toczyć będę obok i razem z człowiekiem, którego bezbrzeżnie kocham. Jeżeli swoim czynem nie zabijam szlachetności Twego serca, jeżeli potrafisz, zaklinam Cię, zapomnij o mnie. Na pewno wkrótce odzyskasz spokój, jesteś przecie taki mądry, na pewno spotkasz inną, stokroć lepszą ode mnie. Życzę Ci z całej duszy szczęścia, które i ja w pełni odzyskam, gdy dowiem się, że Tobie dobrze.

Zabieram Mariolę, bo bez niej nie potrafiłabym przeżyć jednej godziny. Sam to wiesz najlepiej. Nie myśl, że chcę ograbić Cię z tego największego skarbu, który jest naszą wspólną własnością. Po kilku latach, gdy już oboje spokojnie będziemy mogli spojrzeć w przeszłość, odezwę się do Ciebie.

Żegnaj, Rafale. Nie posądzaj mnie o lekkomyślność i nie ludź się, że cokolwiek może wpłynąć na zmianę mojego postępowania. Nie odstąpię od niego, gdyż wołałabym raczej śmierć. Nie umiałam Cię okłamywać i wiedz, że byłam Ci wierna do końca. Żegnaj, miej litość i nie staraj się mnie odnaleźć.

Beata

Ps. Pieniądze i całą biżuterię zostawiam w kasie. Klucz od kasy włożyłam do skrytki w Twoim biurku. Zabieram z sobą tylko rzeczy Marioli”.

Profesor Wilczur opuścił rękę z listem i przetarł oczy: w lustrze naprzeciw zobaczył swoje odbicie w dziwacznym stroju. Zrzucił z siebie to wszystko i zaczął czytać list od nowa.

Cios spadł nań tak nieoczekiwanie, że wciąż wydawał mu się czymś nierealnym, jakąż dopiero groźbą czy ostrzeżeniem.

Czytał:

... niestety, nie kochałam Cię nigdy...

A dalej:

... męczył mnie i wielki świat, i bogactwo, i Twoja sława...

— Jakże to tak? — jęknął. — Dlaczego?... Dlaczego?...

Na próżno usiłował zrozumieć wszystko. W jego świadomości było to: odeszła, porzuciła go, zabrała dziecko, kocha innego. Żaden z motywów nie docierał do jego mózgu. Widział tylko nagi fakt, dziki, nieprawdopodobny, groteskowy.

Na dworze zaczynał się wczesny, jesienny zmierzch. Zbliżył się do okna i czytał list Beaty, już nie wiedział sam po raz który.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i Wilczur drgnął. Przez jedno мгновение ogarnęła go nieprzytomna nadzieja.

„To ona! Wróciła!...”

Lecz już w następnej chwili pojął, że to niepodobieństwo.

— Proszę — odezwał się ochrypłym głosem.

Do pokoju wszedł Zygmunt Wilczur, jego daleki krewny, prezes sądu apelacyjnego. Utrzymywali dość serdeczne stosunki i bywali u siebie dość często. Zjawienie się Zygmunta w tej chwili nie mogło być przypadkowe i profesor od razu domyślił się, że musiała go zawiadomić telefonicznie Michałowa.

— Jak się miewasz, Rafale? — odezwał się Zygmunt tonem energicznym i przyjacielskim.

— Jak się masz — profesor wyciągnął doń rękę.

— Cóż tak siedzisz po ciemku? Pozwolisz? — i nie czekając na odpowiedź, przekreślił kontakt. — Zimno tu, pieszka jesień. Co widzę! Drzewo na kominku! Nie ma to jak kominek. Niechże ten Bronisław zapali...

Uchylił drzwi i zawołał:

— Bronisławie! Proszę tu zapalić w kominku.

Służący wchodząc zerknął z ukosa na swego pana, podniósł z podłogi porzucone futro, rozniecił ogień i wyszedł. Ogień szybko objął suche drwa. Profesor stał nieruchomo przy oknie.

— Chodźże, siadziemy tu, pogawędzimy — Zygmunt pociągnął go na fotel przed kominkiem. — No, tak. Ciepło to cudowna rzecz. Ty jako młody nie umiesz jeszcze tego ocenić. Ale na moje stare gnaty... Cóż to, nie w lecznicy? Próżnujesz dziś?

— Tak... Złożyło się tak.

— A właśnie telefonowałem — nadrabiał prezes swadą — telefonowałem do lecznicy. Chciałem wpaść, by zasięgnąć twojej rady. Zaczyna mi dokuczać lewa noga. Obawiam się, że to ischias...

Profesor słuchał w milczeniu, lecz tylko pojedyncze słowa trafiały do jego świadomości. Jednakże równy i pogodny głos Zygmunta sprawił to, że myśli się zaczynały skupiać, łączyć, wiązać w jakiś niemal już realny obraz rzeczywistości. Drgnął, gdy kuzyn zmienił ton i zapytał:

— A gdzież Beata?

Twarz profesora ściągnęła się i odpowiedział z wysiłkiem:

— Wyjechała... Tak... Wyjechała... Wyjechała... za granicę.

— Dzisiaj?

— Dzisiaj.

— To dość, zdaje się, niespodziewany projekt? — od niechcienia zauważył Zygmunt.

— Tak... tak. Wysłałem ją... Rozumiesz... były pewne sprawy i w związku z tym...

Mówił z taką trudnością, a cierpienie tak wyraźnie rysowało się na jego twarzy, że Zygmunt pośpiesznie potwierdził najcieplejszym tonem, na jaki umiał się zdobyć:

— Rozumiem. Naturalnie. Tylko widzisz, na dzisiaj rozesłaliście zaproszenia na wieczór. Należałoby zatelefonować do wszystkich i odwołać... Czy pozwolisz, że się tym zajmę?...

— Proszę...

— No, to doskonale. Sądzę, że Michałowa ma listę zaproszonych. Wezmę to od niej. A ty zrobiłbyś najlepiej, gdybyś położył się spać. Co?... Nie będę ci zawracał dłużej głowy. No, do widzenia...

Wyciągnął rękę, lecz profesor nie zauważył tego. Zygmunt poklepał go po ramieniu, zatrzymał się jeszcze przy drzwiach na chwilę i wyszedł.

Wilczur ocknął się, gdy trzasnęła klamka. Zauważył, że ściska w dłoni list Beaty. Zgniótł go w małą kulkę i rzucił w ogień. Płomień od razu otoczył ją, zabłysła czerwonym pękiem i spopielała. Już dawno i śladu po niej nie zostało, już dawno drwa w kominku zmieniły się w kupkę czerwonych węgli, gdy przetaił oczy i wstał. Powolnym ruchem odsunął fotel, obejrzał się.

— Nie mogę, nie mogę tu wytrzymać — szepnął bezgłośnie i wybiegł do przedpokoju.

Bronisław zerwał się z krzesła.

— Pan profesor wychodzi?... Jesionkę czy cieplejsze palto?

— Wszystko jedno.

— Tylko pięć stopni na dworze. Lepiej, sądzą, cieplejsze — zdecydował służący i podał palto.

— Rękawiczki! — zawołał, wybiegając za profesorem na ganek, lecz Wilczur musiał nie dosłyszeć. Już był na ulicy.

Koniec października w tym roku był chłodny i dżdżysty. Gałęzie drzew obdzierał silny północny wiatr z resztek przedwcześnie żółkłych liści. Na chodnikach chlupotała woda. Nieliczni przechodnie szli z nastawionymi kołnierzami pochylając głowy, by osłonić twarz przed drobnymi, ostrymi kroplami deszczu lub oburącz trzymali parasole, którymi targali raz po raz gwałtowne porywy wiatru. Spod kół z rzadka przejeżdżających samochodów tryskały mętne bryzgi wody, dorożkarskie konie człapały leniwie, a podniesione budy oczekiwały deszczem, mdło połyskując w świetle żółtych latarni.

Doktor Rafał Wilczur machinalnie zapiął palto i siedł przed siebie.

„Jak mogła tak postąpić! Jak mogła!” — powtarzał w myśli pytanie. Czyż nie zdawała sobie sprawy z tego, że odbiera mu wszystko, że pozbawia go racji i celu istnienia? I dlaczego?... Dlatego, że spotkała jakiegoś człowieka... Gdyby go chociaż znał, gdyby miał pewność, że on ją potrafi ocenić, że jej nie skrzywdzi, że da jej to szczęście. Napisała tylko jego imię: Janek.

Wilczur zaczął w pamięci liczyć bliższych i dalszych znajomych. Żaden z nich. Może to jakiś nędznik, oszust, obieżyświat, który ją porzucił przy pierwszej sposobności. Jakiego zawodowego uwodziciela, który Beatę otumanił, okłamał, znęcił fałszywymi wyznaniem i przysięgami. Liczył zapewne na pieniądze. Co się stanie, gdy przekona się, że Beata nawet swojej biżuterii nie zabrała?... To na pewno wyrafinowany łotr. Tak, trzeba go ścigać, trzeba póki czas zapobiec łajdactwu. Trzeba zażądać od władz, od policji, by ich szukano. Rozesłać listy gończe, detektywów...

Pod wpływem tej myśli zatrzymał się i rozejrzał. Był w śródmieściu. Przypomniał sobie, że gdzieś w pobliżu, na drugiej czy na trzeciej przecznicy kiedyś, przejeżdżając, widział szyld komisariatu policji.

Ruszył w tamtym kierunku, lecz już po kilkunastu krokach zawrócił.

— I cóż z tego, że ją odnajdę? Nigdy nie zgodzi się wrócić do mnie.

Napisała wyraźnie, że nie kocha, że dręczyła ją jego rzekoma wyższość, jego bogactwo, jego sława... a na pewno i jego miłość. Była o tyle delikatna, że tego nie powiedziała wyraźnie... Jakimże prawem on ma ją osądzić, zdecydować o jej losie? A jeżeli ona woli nawet poniewierkę przy tamtym?... Jakichże argumentów można użyć, chcąc przekonać kobietę, by wróciła do niekochanego, do... nienawidzonego męża?... Zresztą czy nie zbyt pośpiesznie doszedł do przekonania, że tamten człowiek jest wyrzutkiem społeczeństwa i chciwym łotrem?... Beata nigdy nie lubiła mężczyzn tego rodzaju, pociągali ją zawsze idealisci, marzyciele... Nawet Marioli czytywała godzinami liryczne wiersze, których to siedmioletnie dziecko nie mogło zrozumieć. Czytała dla siebie.

Człowiek, za którym poszła, musi być młodym, niepraktycznym biedakiem. W jaki sposób, kiedy go poznała?... Czemu nigdy słowem nie wspomniała o nim?... I nagle uciekła, postąpiła z całą bezwzględnością, z całym okrucieństwem. Porzuciła człowieka, który dla niej wszystko... jak pies, jak niewolnik... — I za co? Za co?!...

Czy zgrzeszył cokolwiek przeciw niej, przeciw swojej miłości?... Nigdy! Nawet myślą! W ogóle była pierwszą kobietą, którą pokochał. Było to niespełna dziesięć lat temu. Jakże dobrze pamiętał wszystko. Poznał ją przypadkowo. I błogosławił ten przypadek jeszcze do dzisiejszego dnia, błogosławił rano i wieczór, o każdej godzinie, gdy patrzył na nią i gdy cieszył się myślą, że będzie na nią patrzył. Wtedy był jeszcze docentem i miał właśnie ćwiczenia w prosektorium, gdy na ulicy wóz ciężarowy przejechał jej dziadka. Udzielił pierwszej pomocy. Powikłane złamanie obu nóg. Staruszek zaklinał go, by zawiadomił w najbardziej ostrożny sposób jego żonę, chorą na serce, i wnuczkę. Drzwi małego mieszkanka na Starym Mieście otworzyła mu Beata.

A w kilka miesięcy później byli już zaręczeni. Miała zaledwie siedemnaście lat. Była szczupła i blada, nosiła tanie pocerowane sukienki. W domu panowała bieda. Rodzice Beaty stracili podczas wojny cały swój majątek. Dziadek aż do dnia owego śmiertelnego wypadku utrzymywał żonę-staruszkę i wnuczkę z lekcji obcych języków udzielanych po domach. Babka, póki nie przeniosła się w ślad za mężem do rodzinnego grobu na Powązkach, do jedynej wspaniałej posiadłości, jaka im po dawnym bogactwie została, godzinami opowiadała wnuczce i jej narzeczonemu o minionej świetności rodu Gontyńskich, o pałacach, polowaniach, balach, o tabunach koni i o klejnotach, o strojach sprowadzanych z Paryża... Beata siedziała zasluchana, a w jej rozmarzonych oczach, zdawało się, migotał żal za tą utraconą przeszłością, za tą bajką, która już nie wróci.

I w takich chwilach on ścisnął jej chudą rączkę i mówił:

— Wszystko to ci dam. Zobaczysz, Beato! I klejnoty, i stroje z Paryża, i bale, i służbę! Wszystko ci dam!

A sam wówczas nie miał nic oprócz paru walizek w kawalerskim pokoju, szafy fachowych książek i skromnego uposażenia docenta.

Ale miał też wolę ze stali i wiarę potężną, i pragnienie palące jak ogień, by przyrzeczenia Beacie dotrzymać. Zaczął walkę. O stanowiska, o praktykę, o bogatych pacjentów. Duża wiedza, wrodzony talent, niezłomny charakter i praca, zawzięta, wściekła praca zrobiły swoje. A przy tym i szczęście sprzyjało. Rosła sława, rosły dochody. W trzydziestym siódmym roku życia otrzymał katedrę, a w kilka tygodni później jeszcze większe szczęście go spotkało: Beata urodziła córeczkę.

Właśnie na cześć owej świetnej prababki Gontyńskiej dano jej imiona: Maria Jolanta i tak samo w zdrobnieniu nazywano ją Mariolą.

Wspomnienie córki nowym bólem ścisnęło serce profesora Wilczura. Nieraz zastanawiał się nad tym, którą z nich bardziej kocha... Gdy zaczęła mówić, jednym z pierwszych słów było:

— Tapusiu...

Tak już i zostało. Zawsze nazywała go tapusiem. Gdy w drugim roku zapadła na ciężką szkarlatynę, a w końcu wyzdrowiała, ślubował sobie, że odtąd wszystkie biedne dzieci będzie leczył darmo. W jego drogiej lecznicy, gdzie zawsze miejsc brakło, kilka pokoi zajmowały dzieci, bezpłatni pacjenci. Wszystko to przecież było dla niej, na intencję jej zdrowia.

A teraz mu ją odebrano.

To już było nieludzkie, to już przekraczało wszelką miarę egoizmu.

— Musisz mi ją oddać. Musisz! — mówił głośno, zaciskając pięści.

Przechodnie oglądali się za nim, lecz nie spostrzegali tego.

— Za mną jest prawo! Porzuciłaś mnie, ale zmuszę cię, byś mi Mariolę zwróciła. Prawo jest za mną. I moralne prawo też. Sama to musisz przyznać, ty, podła, podła, podła... Nikczemna, czyż nie rozumiesz, że popełniłaś zbrodnię! Jakaż może być cięższa zbrodnia?... Jaka, powiedz sama!... Mierzyły cię pieniądze i wszystko. Dobrze, ale czego ci brakowało? Nie miłości przecie, bo nikt cię tak kochać nie potrafi jak ja! Nikt! Na całym świecie!

Potknął się i omal nie upadł. Szedł niezabrukowaną ulicą, grzęznąc w błocie po kostki. Tu i ówdzie rozrzucone były duże kamienie, po których mieszkańcy małych domków tej dzielnicy usiłowali dostać się do siebie suchą nogą. Okna były już ciemne. Rzadkie latarnie gazowe rozsiewały mdle niebieskawe światło. W prawo szła większa, gęściej zabudowana ulica. Wilczur zawrócił w nią i włożył się coraz wolniej.

Nie odczuwał zmęczenia, lecz nogi stały się ciężkie, niecznośnie ciężkie. Musiał być przemoczony aż do koszuły, gdyż każdy podmuch wiatru czuł jak na gołej skórze.

Nagle ktoś mu zastąpił drogę.

— Panie ozdobny — odezwał się ochrypły głos — pożycz pan bez gwarancji bankowej pięć „zet” na hipotekę Polskiego Monopolu Spirytusowego. Pewność i zaufanie.

— Co? — profesor nie zrozumiał.

— Nie cokaj, bo obcokany będziesz, powiada Pismo Święte: jakim cokiem cokasz bliźniego twego, takim i ciebie obcokają, obywatelu stolicy trzydziestomilionowego państwa z dostępem do morza.

— Czego pan sobie życzy?

— Zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności. A nadto winszuję sobie napelnić mój pusty żołądeczek czterdziestopięcioprocentowym rozczynek alkoholu, przy łaskawym współudziale pewnej dozy wieprzowej padliny, zwanej kielbasą.

Obdartus chwał się lekko na nogach, a z jego twarzy porośniętej niegoloną od wielu dni szczecina żalatywał odór wódki.

Profesor sięgnął do kieszeni i podał mu kilka monet.

— Proszę.

— *Bis dat, qui cito dat*³ — sentencjonalnie orzekł pijak. — *Thank you, my darling*⁴. Pozwól jednak, hojny ofiarodawco, że w zamian i ja ofiaruję ci coś cennego. Myślę o swoim towarzystwie. Tak! Słuch cię nie myli, dobry człowieku. Możesz dostąpić tego zaszczytu. *Noblesse oblige*⁵! Ja stawiam! Zmokłeś, *sir*, i przemarzłeś na zimnie, pójdź do mej chatki i rozgrzej się przy mnie. Wprawdzie nie mam chatki, ale za to posiadam wiedzę. Cóż znaczy jakikolwiek budynek w porównaniu z wiedzą?... A ja się nią chętnie z panem, *mon prince*⁶, podzielę. Wiedza moja jest rozległa. Na razie mówię tylko o jej części topograficznej. Wiem mianowicie, gdzie się mieści jedyna knajpa, do której o tej porze człowiek dostać się może bez wyłamywania zamków i krat. Jedno słowo: Drożdzyk. Tu na rogu Połanieckiej i Witebskiej.

Wilczur pomyślał, że istotnie alkohol dobrze mu robi. Rzeczywiście był zziębnięty. A poza tym monotonna gadatliwość spotkanego pijaka działała ogłuszająco. Mimo

³*bis dat, qui cito dat* (łac.) — dwa razy daje, kto szybko daje.

⁴*thank you, my darling* (ang.) — dziękuję, kochanie.

⁵*noblesse oblige* (fr.) — szlachectwo zobowiązuje.

⁶*mon prince* (fr.) — mój książę.

woli starał się z jego paplaniny coś zrozumieć, a to już tłumilo tę jaskrawą świadomość doznanego nieszczęścia, która rozpełtała pod czaszką całe wiry najboleśniejszych myśli.

Zaczynało już szarzyć na wschodzie, gdy po długim stukaniu w zamknięte okiennice dostali się wreszcie do małego sklepiku przesiąkniętego wyziewami beczek od śledzi, odorem piwa i nafty. W izbie za sklepikiem, większej, lecz jeszcze bardziej cuchnącej, pełnej dymu z taniego, kwaśnego tytoniu, siedziało w kącie kilku mężczyzn doszczętnie pijanych. Gospodarz, kwadratowy drab o twarzy zaspanego buldoga, w brudnej koszuli i w rozpiętej kamizelce, nie pytając o nic postawił na wolnym stoliku butelkę wódki i wyszczerbiony talerz z obrzynkami jakichś wędlin.

Ale było tu ciepło. Rozkosznie ciepło i zgrabiałe ręce zdawały się rozkosznie, aż boleśnie tając. Pierwsza szklaneczka wódki rozgrzała od razu gardło i żołądek. Przygodny towarzysz nie przestawał mówić. Pijacy z kąta nie zwracali na przybyłych najmniejszej uwagi. Jeden chrapał głośno, trzej pozostali wybuchali od czasu do czasu bełkotem niezrozumiałych słów. Zdawali się o coś spierać.

Druga szklanka wódki przyniosła Wilczurowi pewną ulgę.

„Jak to dobrze — pomyślał — że nikt tu na mnie nie patrzy, że nikt nic nie...”

— ...bo, uważasz, hrabio — ciągnął swój monolog szczeciniasty towarzysz — Napoleona diabli wzięli, Olesia Macedońskiego ditto. A dlaczego, pytasz gromkim głosem? Oto dlatego, że nie sztuka być kimś. Sztuka być niczym. Niczym, drobnym insektem za kołnierzem Opatrzności — *disce puer*⁷! Ja ci to mówię, ja, Samuel Obiedziński, który nigdy z koturnów nie zleci na zbity pysk, bo nigdy na nic nie wejdzie. Cokół jest podkładką dla durniów, przyjacielu. A wiara to balon, z którego wcześniej czy później gaz wyleci. Szansa?... Jest, owszem: że prędzej sam zdechniesz. Strzeżcie się balonów, obywatele!

Podniósł w górę pustą butelkę i zawołał:

— Panie Drożdżyk, jeszcze jedną! Szafarzu wszelkich radości, opiekunie zbłąkanych, dawco świadomości i zapomnienia.

Ponury szynkarz bez pośpiechu przyniósł wódkę, szeroką dłonią trzasnął w dno i postawił odkorkowaną przed nimi.

Profesor Wilczur w milczeniu wypił i wzdrygnął się. Nigdy nie pił i wstrętny smak ordynarnej gorzałki wywoływał w nim obrzydzenie. Ale czuł już lekki szum w głowie i chciał oszołomić się zupełnie.

— Cały sens posiadania szarej masy mózgowej — mówił człowiek, który nazwał siebie Samuelem Obiedzińskim — polega na żonglowaniu między świadomością a mrokiem. Bo czymże pokryć dramat intelektu, który dochodzi do absurdałnego stwierdzenia, że jest wybrykiem natury, zbędnym balastem, pęcherzem przyczepionym do ogona naszej zwierzęcej eksceleńcy? Co wiesz o świecie, o rzeczach, o celu istnienia? Tak, pytam cię, istota obarczona dwoma kilogramami substancji mózgowej, co wiesz o celu?... Czyż nie paradoks? Nie potrafisz poruszać ręką, nie potrafisz zrobić kroku bez jasnego i zrozumiałego celu. Prawda?... A tymczasem rodzisz się i w ciągu kilkudziesięciu lat wykonujesz miliony, miliardy różnych czynności, borykasz się, pracujesz, uczysz się, walczysz, padasz, wstajesz, cieszysz się, rozpaczasz, myślisz, zużywasz tyle energii co elektrownia warszawska i po jaką to wszystko cholere? Tak, przyjacielu, nie wiesz i wiedzieć nie możesz, w jakim celu to robisz. Jedyną instancją, do której możesz zwrócić się o udzielenie miarodajnych informacji w tym względzie, jest twój umysł, a ten, że tak powiem, rozkłada beznadziejnie ręce. Więc gdzież sens, gdzież logika?

Zaśmiał się głośno i duszkiem wychylił szklanekę.

— Więc po cóż istnieje umysł, skoro nie umie spełnić swego jedyne, właściwie jedyne zadania?... Wiem, co mi odpowie, ale to też bzdura. Powie, że jego zakres działania obejmuje tylko funkcje życia. Przyczyny i cele życia nie należą do jego departamentu. Zgoda. Ale zobaczysz, jak on sobie daje radę z życiem. Co nam tu może wyjaśnić? I okazuje się, że nic. Nic poza najelementarniejszymi funkcjami zwierzęcymi. Więc po co wyrósł nam pod czaszką ten nowotwór? Po kiego, zapytuję cię, czcigodny prezesie, licha? Bo cóż on wie? Czy wie, co to jest myśl?! Czy dał człowiekowi możliwość bodaj poznania samego siebie? Poznania chociażby o tyle, by móc o sobie z całą pewnością powiedzieć: jestem łotrem, albo też: jestem uczciwy. Jestem idealistą, lub: jestem materialistą. Nie,

⁷*disce puer* (łac.) — ucz się, chłopcze.

po stokroć nie! Powie tylko, czy wolę cielęcinę, czy wieprzowinę. Ale na to wystarczy mózg zwykłego Azorka. A jeżeli chodzi o ludzi, o bliźnich? Nauczy nas czego?... Nie! Gwarantuję całym swoim majątkiem, że pod pańskim wysokim czołem nie zrodził się ani jeden pewnik co do mojej interesującej osoby. Chociaż obcujemy z sobą już od... od dwu butelek. Zresztą powiedzmy, czy ma pan jakiś pewnik nie o mnie, lecz o tych, których zna pan od lat?... Czy ja wiem, o braciach, o ojcu, o żonie, o przyjacielu?... Nie! Ludzie chodzą w impregnowanych skafandrach. I nie ma sposobu przeniknięcia do ich treści. Nasze kawalerskie! Pij pan!

Stuknął w szklankę Wilczura i wypił swoją.

— Jeżeli zechcesz, maestro, dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda sztywna dama, możesz ją podpatrzeć w łazience przez dziurkę od klucza. Sprawdzisz, powiedzmy, że ma zdezelowany biust i cienkie uda. Dowiesz się o niej czegoś nowego. Ale o jej istocie nie będziesz w dalszym ciągu nic wiedział. Bo nawet gdy jest sama i zdejmuje skafander, w który się zawsze ubierała dla ciebie, ma pod spodem drugi, którego nie zdejmuje nigdy i który dla niej samej jest czymś nieprzeniknionym. Prawda? Oczywiście, są chwile, kiedy można komuś zajrzeć przez rękaw czy za kołnierz. Są to chwile katastrofy. Skafander się rozdziera, pęka, zjawiają się szczeliny i szparki. Ot... ot na przykład w takiej sytuacji, w jakiej ty jesteś teraz, wodzu! Przetoczyło się po tobie coś ciężkiego.

Pochylił się nad stolikiem i wlepił w Wilczura swoje niebieskie, przekrwione gałki oczne.

— Prawda? — zapytał z naciskiem.

— Tak. — profesor skinął głową.

— Oczywiście! — gniewnie krzyknął Obiedziński. — Oczywiście! Człowiek tak pragnący spokoju jak ja nie może kroku zrobić, by nie otrzeć się o głupotę ludzką! Bo dno każdej tragedii to głupota!... Więc co? Balon czy koturny?... Zbankrutowałeś, wylali cię z jakiegoś ministerialnego stolca czy rozczarowanie? Co?... Kobieta?... Zdradziła cię?...

Wilczur opuścił głowę i odpowiedział głucho:

— Porzuciła...

Oczy Obiedzińskiego błysnęły wściekłością.

— No więc i co! — wrzasnął. — Więc cóż to jest?!

— Co to jest? — Wilczur chwycił go za rękę. — Co to jest?... To jest wszystko. Wszystko!

W jego głosie musiało być coś, co starczyło za najmocniejszy argument, gdyż Obiedziński uspokoił się od razu, skulił się i zamilkł. Dopiero po kilku minutach zaczął mówić cicho jakimś narzekającym tonem:

— Podłe jest życie, a ja mam pecha. Brzydzą się wszelkimi sentymentami, to właśnie los musi wiecznie rozrzucać na mojej drodze różne ofiary sentymentów. Diabli nadali... Nie ulega wątpliwości, że to rzecz względna. Jednego maczuga z nóg nie zwali, drugi pośliznie się na pestce od wiśni i łeb sobie roztrzaska. Nie ma żadnej miary, żadnego kryterium. Pij, bracie. Wódka to dobra rzecz. *Sapristi*!

Nalał szklanki.

— Pij — powtórzył, wciskając szklankę w palce Wilczura. — Hej, Drożdzyk, daj następna!

Gospodarz zwał się ze swego legowiska w alkowie i przyniósł butelkę, po czym zgasił światło. Nie było już potrzebne. Przez okno z brudnego podwórza zaglądał pochmurny i dżdżysty, ale już zupełny dzień. Towarzystwo z kąta, porzuciwszy chrapiącego kompana, wysypało się na ulicę.

Obiedziński oparł się na łokciach i w pijackim zamyśleniu mówił:

— Tak to jest z kobietami... Jedna przyssie się do ciebie i wszystkie soki wyciągnie, inna obedrze cię z tego, co masz, trzecia oszuka na każdym kroku, albo i taka będzie, co cię wciągnie w szarżynę, w powszednie błoto... Pranie, sprzątanie, pieluchy i takie rzeczy. Ot i życie... Ale to nieprawda, to wszystko od mężczyzny zależy. Jaki jest! Po jednym spłynie gładko, drugi jak postrzelony kot zakręci się, zapiszczy i zdycha, a taki jak ty, *amigo*?... Twardy musisz być. Jak wielkie drzewo. Gdyby cię z kory obłuskano, porósłbyś nową,

⁸*sapristi* — fr. przekleństwo; etymologicznie od łac.: *Sacrum Corpus Christi*.

gdyby ci gałęzie obcięto, wyrosłyby nowe... Ale ot, wyrwało cię z korzeniami z gruntu... Rzuciło cię na pustynię...

Wilczur pochylił się ku niemu i wybełkotał:

— Z korzeniami... to prawda...

— A widzisz. I siła nie pomoże, gdy oparcia nie ma. Grunt rozmiękł, rozpląnął się, przestał istnieć. Już Archimedes powiedział... Co to on powiedział... Zresztą pies z nim tańczył... Aha!... O czym mówiłem? Że korzenie! Najsilniejsze korzenie nic nie pomogą, jeżeli nie mają czego trzymać się. O!... Pieskie niebieskie... takie życie...

Język mu się plątał coraz bardziej. Wreszcie kiwnął się, wsparł się o ścianę i zasnął.

Wilczur resztkami przytomności powtarzał w myśli:

„Jak drzewo wyrwane z korzeniami... Jak drzewo wyrwane z korzeniami...”

Nie spał zapewne długo, gdyż obudzony bezceremonialnymi szturchańcami, z trudnością otworzył oczy i zatoczył się. Alkohol nie zdążył wyparować. Na stole znowu stała wódka, a prócz nocnego towarzysza było jeszcze trzech nieznajomych. Profesor Wilczur z trudem uświadomił sobie, gdzie się znajduje, i nagłym ostrym bólem odezwało się w nim wspomnienie Beaty. Zerwał się i przewracając po drodze krzesła, skierował się do drzwi.

— Hej, panie szanowny! — krzyknął za nim gospodarz.

— Co?

— A płacić to nie łaska?... Rachunek czterdzieści sześć złotych.

Wilczur machinalnie wydobyl z kieszeni portfel i podał mu banknot.

— Ale forsy! Fiu, fiu — zagwizdał cicho jeden z kompanów.

— Stul mordę — warknął drugi.

— Drożdzyk! — zawołał trzeci. — Co strugasza frajera! Oddaj gościowi resztę! Widzisz go!

Gospodarz spojrzał nań nienawistnie, odliczył pieniądze i podał Wilczurowi.

— A ty, łobuzie — mruknął — pilnuj swego.

Wilczur nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i wyszedł na ulicę. Padał gęsty, mokry śnieg, lecz jezdnia i chodniki pozostały czarne, gdyż natychmiast tajał. Środkiem jezdni ciągnęły wozy naładowane węglem.

— Porzuciła mnie... porzuciła... — powtarzał Wilczur. Szedł przed siebie, zataczając się. — Jak drzewo wyrwane z korzeniami...

— Szanowny pan na Grochów? — usłyszał obok siebie czyjś głos. — To może lepiej obejść Rawską. Błoto mniejsze.

Poznał jednego z kompanów.

— Wszystko mi jedno. — machnął ręką.

— To i dobrze. Po drodze mi. Pójdziem razem. Zawsze weselej. A pana podobnież zmartwienie spotkało?

Wilczur nie odpowiedział.

— Wiadomo, rzecz ludzka. A ja panu powiem, że na zmartwienie to jeden jest tylko sposób: zalać cholerę na glanc. Wiadomo, nie w takiej norze jak u tego Drożdzyka, którego kanciarz jest i wędlinę ze strychninami gościom daje. Ale tu niedaleko na Rawskiej ulicy jest porządna knajpa jak się patrzy. I zabawić się można, kielnerki gościom obsługują. A cena ta sama.

Szli znowu w milczeniu. Towarzysz, znacznie niższy i szczuplejszy od Wilczura, wziął go pod rękę i raz po raz zadzierał głowę, by spojrzeć nań spod daszka swojej cyklistówki. Minęli kilka przecznic, gdy pociągnął go w bok.

— No, to wstąpiem, czy jak?... Najlepiej zalać. To już tutaj. Na jednego.

— Dobrze — zgodził się Wilczur i weszli do knajpki.

Pierwszy łyk wódki nie przyniósł ulgi. Przeciwnie, jakby otrzeźwił zamglony umysł, następne jednak kolejki zrobiły swoje.

W sąsiedniej izbie chrapliwie grał orkiestron. Zapalono światła. Po jakimś czasie przyłączyli się do nich jeszcze dwaj mężczyźni, z wyglądu robotnicy. Tłusta, mocno wymalowana kelnerka przysiadła się również. Pili już trzecią butelkę, gdy nagle z bocznego pokoiku rozległ się głośny śmiech kobiecy.

Profesor Wilczur zerwał się na równe nogi. Krew uderzyła mu do głowy, przez sekundę stał nieruchomy. Byłby przysiągł, że poznał głos Beaty. Gwałtownym ruchem odepchnął zagradzającego mu drogę kompana i jednym skokiem znalazł się we drzwiach.

Dwie gazowe lampy jasno oświetlały nieduży pokój. Przy stoliku siedział brzuchaty, krępy człowiek i jakaś piegowata dziewczyna w zielonym kapeluszu.

Z wolna zawrócił, ciężko opadł na krzesło i wybuchnął łkaniem.

— Nalej mu jeszcze — mruknął człowiek w cyklistówce — ma łeb do wody.

Potrząsnął Wilczura za ramię.

— Pij, bracie! Co tam!

Gdy o jedenastej knajpę zamykano, towarzysze musieli podtrzymać Wilczura, gdyż nie mógł już iść o własnych siłach. I tak, zataczając się swoim wielkim ciałem, chwiał nimi na wszystkie strony. Sapali z wysiłku. Na szczęście nie mieli dalekiej drogi. Za rogiem, w ciemnej pustej uliczce czekała dorożka z nastawioną budą. Bez słowa wladowali Wilczura do środka i wcisnęli się z nim. Dorożkarz zaciął konia.

Po kilkunastu minutach domy przerzedziły się. Po obu stronach tu i ówdzie między parkanami błyskało światelko naftowej lampy. Wreszcie i te znikły. Natomiast w nozdrza uderzył cuchnący odór wielkich zwalisk śmieci. Dorożka skręciła w bok, ustało od razu klaskanie kopyt końskich. Na miękkiej, gruntowej drodze nie było ich słychać. Dojechali do pierwszej glinianki.

— Stój, najlepiej tu — odezwał się cichy głos.

Nasłuchiwali przez chwilę. Z daleka jednostajnym głosem huczało miasto. Tu dokoła panowała zupełna cisza.

— Wylewaj go — rozległa się krótka komenda.

Trzy pary rąk wczepiły się w bezwładne ciało. Po chwili zawartość kieszeni została wyjęta. Bez trudu zdjęli też palto, marynarkę i kamizelkę. Nagle, widocznie pod wpływem zimna, Wilczur oprzytomniał i zawołał:

— Co to, co robicie?...

Jednocześnie usiłował poderwać się z ziemi. W chwili jednak, gdy już stał na nogach, otrzymał straszny cios w tył głowy. Bez jęku zwałił się niczym kłoda. Ponieważ zaś padając zatoczył się aż na brzeg wielkiego dołu, do którego zsypywano śmieci, ciało po pochyłości zsunęło się na dno.

— Cholera! — zaklął jeden — nie mogłeś przytrzymać?

— A po co?

— Durny szczeniak! Po co? Złaz teraz do glinianki po buty i portki.

— Sam złaz, kiedyś taki chytry.

— Co ty powiesz?! — pierwszy zbliżył się doń groźnie.

Zanosilo się na rozprawę, gdy ozwał się flegmatyczny głos dorożkarza, który dotychczas w milczeniu palił papierosa.

— A ja mówię: jadziem. Chcecie, żeby nas tu nakryli?...

Mężczyźni opamiętali się i wskoczyli do dorożki. Koń ruszył z miejsca. Przed wjazdem na główną szosę zatrzymali się, dorożkarz wyciągnął spod kozła stary worek i dokładnie obtarł wszystkie koła ze śmieci, które się do nich poprzyklepiały, po czym wskoczył, cmoknął na szkapę i wkrótce na polach zapanowała dawna cisza.

W ciągu dnia nikt tu nie zaglądał, a nocą tym bardziej. Nad ranem tylko zaczynał się przy gliniankach ruch. To chłopci z wiosek, położonych w promieniu kilkunastu kilometrów od stolicy, trudniący się wywożeniem śmieci z miasta, przyjeżdżali ze swoim cuchnącym ładunkiem. Przyjeżdżali, wysypywali z fur śmieci i z paruzłotowym zarobkiem wracali do domu. Sumienniejsi zwalali nieczystości wprost do glinianek, tak jak było przykazane, inni, korzystając z braku kontroli, wysypywali je wprost na pole.

Stary Paweł Bańkowski, gospodarz z Brzozowej Wólki, lubił jednak uczciwą robotę. Dlatego właśnie podjechał nad gliniankę i systematycznie wypróżniał swoją furę. Nie śpieszył, bo i kobyle trzeba było dać wypocząć przed drogą, a i sam cierpiał już na zadyszkę, co w jego wieku było rzeczą zrozumiałą.

Właśnie skończył i mościł sobie na pokrywie worek z resztkami siana, gdy z dołu posłyszał wyraźne stękanie. Przeżegnał się na wszelki wypadek i nastawił uszu. Stękanie odezwało się głośniejsze.

— Ej tam! — zawołał. — Co za lichy?

— Wody — zajęczał słaby głos.

Głos ten wydał się Pawłowi Bańkowskiemu znajomy. Właśnie wieczorem jechał do miasta i widział Mateusza Piotrowskiego z Byczyńca, który tak samo jechał i też na zwózkę śmieci. Coś tknęło Bańkowskiego, że to właśnie Piotrowski. I głos ten sam, i zawsze do tej glinianki zsypywał. A i wypić lubił. Po pijanemu wpadł do dołu, może sobie co przetrzącił i leży.

Rozejrzał się. Ciemno jeszcze było, na wschodzie ledwie szarzało. Jeżeli Piotrowski swoją furmankę tu zostawił, koń na pewno sam powłókł się do Byczyńca.

— A to wy, panie Piotrowski? — zapytał. — Wpadliście czy jak?...

Jedyną odpowiedzią był cichy jęk.

„A może go te miejskie urządziły?” — zastanowił się gospodarz. Po ludziach z miasta wszystkich najgorszych rzeczy zawsze się spodziewał.

Pomacał nogą pochyłość, po namyśle wrócił do konia, odwiązał postronki zastępujące lejce, szepił je, mocnym supłem przywiązał do osi i trzymając się sznura zszedł na dół.

— Panie Mateuszu, a odezwiście się, bo ciemno — zawołał. — Gdzie wy?

— Wody!... — posłyszał głos tuż przy sobie.

Pochylił się i namacał ramię.

— Nie mam wody, skąd woda? Musicie wyleźć na wierzch. A gdzie wasz koń?... Pewnikiem sam do domu poszedł?... No, nie dźwignę was, spróbujcie wstać.

Ubił nogami śmiecie, zaparł się i szarpnął bezwładnym ciężarem.

— Ruszcie się. Dalej go! Sam nie dam rady.

— Nie mogę.

— Ooo! Nie mogę! Natężcie się. Dycie nie będziecie tu zdychać.

Ręce Bańkowskiego natrafiły na gęstą ciecz oblepiającą włosy. Powąchał swoje palce i zapytał:

— Zabili was, co?

— Nie wiem...

Chłop zastanowił się.

— Tak czy siak, nie będziecie tu zdychać. Tfu!... Uważacie, mam postronek, żebyście jeno wstali, to jakoś się podciągniecie.

Leżącemu widocznie wracały siły, gdyż poruszył się raz, drugi, lecz znowu opadł, choć Bańkowski podtrzymywał go jak mógł.

— Nie ma co — orzekł — trzeba iść po pomoc. Pewno już ludzie nadjechali.

Wygramolił się i po kilku minutach wrócił z dwoma innymi, tłumacząc im, że jakieś warszawskie łobuzy zabiły tu Piotrowskiego z Byczyńca. Chłopi bez gadania zabrali się do roboty i wkrótce wyciągnęli rannego i ułożyli go na wozie starego. Zresztą uratowany poczuł się lepiej, bo usiadł sam i zaczął skarżyć się na zimno.

— Ledwo go w portkach zostawili psiekrwie — zaklął jeden z gospodarzy.

— Trza by do komisariatu — zauważył drugi.

Bańkowski wzruszył ramionami.

— Nie moja sprawa. Podwiozę go do Byczyńca, i tak po drodze, a tam niech jego synowie robią, co chcą. Czy na posterunek, czy jak.

— Ano — przytaknęli — pewno. Ich rzecz.

Stary podsunął leżącemu worek z sianem pod głowę, sam usiadł na gołych deskach i targnął lejcami. Gdy wjechali na szosę, usadowił się wygodniej zdrzemnął się. Kobyła sama dobrze знаła drogę.

Obudził się, gdy już jasno było na niebie. Obejrzał się i przetarł oczy. Za nim na wozie przykryty derką leżał jakiś nieznajomy człowiek. Duża, obrzękła twarz, czarne włosy zlepione na ciemieniu zakrzepłą krwią. Bańkowski przysiągłby, że nigdy w życiu go nie widział. A już do Piotrowskiego z Byczyńca wcale nie był podobny. Wzrostem chyba i tuszą, bo też był kawał chłopca. Spod krótkiej, dziurawej derki wyzierała cienka, podarta koszula, umazane w błocie spodnie i miejskie trzewiki.

— Ki diabeł! — zaklął i zamyślił się, co tu z tym zdarzeniem zrobić.

Kalkulował, kalkulował, a wreszcie przechylił się w tył i potrząsnął pasażera za ramię.

— Hej, panie, obudź się! Licho nadało! Obudź się! Człowiek sam na siebie przez niego biedy napyta... Obudź się!

Pasażer z wolna otworzył oczy i podniósł się na łokciu.

— Coś pan za jeden?... — gniewnie zapytał chłop.
 — Gdzie jestem, co to? — odpowiedział pytaniem pasażer.
 — A dyć na moim wozie. To nie widzisz?
 — Widzę — mruknął człowiek i z trudem usiadł, podciągając nogi.
 — No?
 — A skąd ja się tu wziąłem?
 Bańkowski odwrócił się i splunął przed siebie. Należało się namyślić.
 — A ja wiem? — wzruszył wreszcie ramionami. — Ja spałem, a ty pewno na wóz wlałeś. Z Warszawy, co?
 — Co takiego?
 — To i pytam, pan warszawiak?... Bo jeżeli tak, to nie masz czego ze mną jechać do Wólki ani do Byczyńca. Ja do domu jadę. A pan przecież nie do Wólki. O, już mnie za tamtym wiatrakiem skręcać trzeba... Wsiadźcie czy jak?... I tak do rogatki będzie stąd z dziesięć kilometrów...
 — Dokąd? — zapytał człowiek, a w jego oczach było zdumienie.
 — Dyć mówię, do warszawskiej rogatki. Wy z Warszawy?
 Człowiek wytrzeszczył oczy, przetarł czoło i powiedział:
 — Nie wiem.
 Bańkowskiego aż poderwało. Teraz już poznał, że ma do czynienia z łobuzem. Poma-
 cał się ostrożnie po piersiach, gdzie miał ukryty woreczek z pieniędzmi, i rozejrzał się. W odległości może pół kilometra ciągnęły się furmanki.
 — Cóż to udajesz głupiego — warknął — nie wiesz, skąd jesteś?
 — Nie wiem — powtórzył człowiek.
 — To ci się chyba rozum pomieszał. A tego, kto ci łeb rozbił, pewno też nie wiesz?
 Tamten obmacał sobie, głowę i mruknął:
 — Nie wiem.
 — No to złaż z wozu! — krzyknął zirytowany do ostateczności chłop. — Dalej go!
 Złaż!
 Ściągnął lejce i kobyła stanęła. Nieznajomy posłusznie zgramolił się na szosę. Złaż i stał rozglądając się, jakby nieprzytomny, na wszystkie strony. Bańkowski widząc, że obcy nie ma widocznie żadnych złych zamiarów, postanowił mu jednak przemówić do sumienia.
 — To ja z tobą po ludzku, po chrześcijańsku, a ty jak do psa. Tfu, miejskie ścierwo! Pytam, czy z Warszawy, to nawet powiada, że nie wie. To może też nie wiesz, że cię matka urodziła?... Może nie wiesz, coś za jeden i jak się nazywasz?..
 Nieznajomy patrzył nań szeroko otwartymi oczami.
 — Jak?... nazywam się?... Jak?... Nnnie... nie wiem...
 I w jego twarzy skurczyły się mięśnie jakby ze strachu.
 — Tfu! — splunął Bańkowski i nagle zdecydowany świsnął batem po grzbiecie konia. Wóz potoczył się naprzód.
 Odjechawszy ze dwa stajania gospodarz obejrzał się: nieznajomy siedł brzegiem szosy za nim.
 — Tfu! — powtórzył i podciął szkapę, aż przeszła w kłusa.

ROZDZIAŁ II

Zniknięcie profesora Rafała Wilczura poruszyło całe miasto. Przede wszystkim w całej sprawie wyczuwało się jakąś tajemnicę. Ci wszyscy, którzy od lat stykali się z profesorem i znali go dobrze, zapewniali, że wszelkie przypuszczenia na temat samobójstwa byłyby absurdem. Wilczur odznaczał się przecie wręcz żywiołową witalnością, kochał swoją pracę, kochał rodzinę, kochał życie. Jego stan majątkowy był wyborczy. Jego sława wciąż rosła. W świecie lekarskim był uważany za znakomitość.

Zabójstwo zdawało się być również wykluczone z tego prostego powodu, że profesor nie miał wrogów. Jedynym dopuszczalnym motywem zbrodni mogłaby być chęć rabunku. Ale i tu nasuwały się istotne wątpliwości. Łatwo stwierdzono, że krytycznego dnia profesor miał przy sobie niewiele ponad tysiąc złotych, ogólnie zaś wiadano, że używał zwykłego czarnego zegarka i nawet obrączki nie nosił. Zatem uplanowany napad

rabunkowy i morderstwo jako wynik takiego napadu nie wyglądały prawdopodobnie. W wypadku katastrofy czy przypadkowego zabójstwa szybko odnaleziono by zwłoki.

Pozostawała jeszcze jedna ewentualność: utrata pamięci. Ponieważ w ubiegłym roku udało się policji odnaleźć pięć osób zaginionych wskutek nagłej utraty pamięci, w większości dzienników w licznych notatkach wysuwano takie właśnie przypuszczenia.

Jeżeli jednak w tych wzmiankach półgębkiem, a w prywatnych rozmowach jawnie mówiono o tajemniczych okolicznościach zaginięcia profesora Wilczura, to z całkiem innych powodów.

Oto do willi profesora przy Alei Bzów na próżno szturmowali reporterzy. Bez trudu wprowadzić zdolali dowiedzieć się, że żona profesora wraz z siedmioletnią córeczką nie jest obecna w Warszawie, służba jednak nabrała wody do ust i odmawiała wszelkich dalszych informacji. Bardziej natarczywych dziennikarzy odsyłała do kuzyna zaginionego, do prezesa sądu apelacyjnego, Zygmunta Wilczura. Ten zaś z niezmaconym spokojem powtarzał:

— Pożycie mego kuzyna z żoną było zawsze nader szczęśliwe. W oczach licznych przyjaciół nieodmiennie uchodzili za wzorowe małżeństwo. Wiązanie zatem zaginięcia profesora, czym jestem głęboko wstrząśnięty, z jego sprawami rodzinnymi jest i pozostanie — mówił z naciskiem — niedorzecznością.

— A czy pan prezes może nam powiedzieć, gdzie obecnie znajduje się pani Beata Wilczurowa? — pytali dziennikarze.

— Owszem. Gotów jestem powtórzyć panom to, co słyszałem z ust mego kuzyna, właśnie w dniu, kiedy po raz ostatni wyszedł z domu. Oświadczył mi, że wysłał żonę z dzieckiem za granicę.

— A cel jej wyjazdu?

Prezes z uśmiechem zrobił ręką nieokreślony gest.

— Przyznam się panom, że nie spytałem o to. Prawdopodobnie chodziło o wyjazd kuracyjny. O ile sobie przypominam, żona kuzyna nie najlepiej znosiła nasze słoty jesienne. Zresztą dość często bawiła za granicą.

— Jednakże taki nagły wyjazd w dniu czy też na kilka dni przed balem, na który były już rozesłane zaproszenia...

— Moi panowie. Różnie się ludziom układają sprawy. Poza tym nie byliśmy z sobą aż w tak bliskich stosunkach, bym mógł wiedzieć o wszystkich ich poruszeniach. Jeżeli jednak wolno mi panów o to prosić, byłbym ze względów rodzinnych bardzo obowiązany za nierozdymanie sprawy do rozmiarów niezdrowej sensacji. A zwłaszcza spodziewam się, że nie znajdę w prasie żadnych aluzji dotyczących rodzinnego pożycia mego kuzyna. Bardzo na to liczę. W zamian podzielę się z panami moim osobistym poglądem na cały wypadek. Nie jest wykluczone, że profesor miał zamiar wyjechać z żoną. Zatrzymała go w Warszawie nader ważna operacja, o której tyle wszystkie dzienniki pisały. Z chwilą gdy operacja się udała, mój kuzyn mógł wyjechać za żoną.

— Minęło już tyle dni — zauważył jeden z reporterów — niepodobna, by do profesora nie dotarł alarm całej prasy. Dałby o sobie znać.

— Zapewne. O ile alarm doń dotarł. Jest jednak wiele takich zakątków za granicą, cichych pensjonatów w górach, ustronnych miejsc wypoczynkowych, dokąd pisma warszawskie nie docierają.

— Depesze o zaginięciu profesora podawała cała prasa zagraniczna — upierał się dziennikarz — no, i radio.

— Radia można nie słuchać. Ja sam na przykład nie znoszę radia. A ileż to osób podczas wypoczynku do rąk nie bierze dzienników. Nie każdy ma na nie ochotę w jakimś Tyrolu czy Dalmacji.

— Tak, panie prezesie. Ale jest jeszcze jedna okoliczność. Oto profesora nie ma ani w Tyrolu, ani w Dalmacji, ani w ogóle za granicą.

— I w jaki sposób zdołał pan to stwierdzić? — z uśmiechem zapytał prezes.

— To nie było trudne. Po prostu stwierdziłem w starostwie, że paszport zagraniczny profesora Wilczura był wystawiony z rocznym terminem ważności. A termin ten upłynął dokładnie przed dwoma miesiącami i nie był prolongowany.

Zapanowało milczenie. Wreszcie prezes rozłożył ręce.

— Ha. Niewątpliwie sprawa nie jest jasna. Proszę mi jednak wierzyć, że dołożę wszelkich starań, by ją wyświecić. Pracuje nad tym i policja. W każdym razie przypominam panom jeszcze raz swoją prośbę.

Zawdzięczając właśnie tej prośbie, wyrażonej przez człowieka zajmującego ogólnie szanowane stanowisko w życiu publicznym, jak też i z racji powszechnej sympatii, jaką cieszył się zaginiony profesor, prasa wyrzekła się ponętnej okazji do wentylowania spraw z jego życia osobistego. Nie przeszkodziło to oczywiście powodzi plotek kursujących wśród znajomych i nieznajomych, te jednak, niepodsypane świeżymi wiadomościami, stopniowo zaczęły przycichać.

Natomiast policja nie zaniechała sprawy. Komisarz Górny, któremu ją powierzono, w ciągu kilku dni zdołał ustalić szereg szczegółów. Zbadanie personelu lecznicy wyjaśniło, że w krytycznym dniu profesor Wilczur jadąc do domu był w znakomitym humorze i że wioził sobolowe futro, które właśnie nabył, a które miało być prezentem dla żony z okazji ósmej rocznicy ślubu. Nic nie wskazywało na to, by spodziewał się nagłego wyjazdu małżonki. Z zeznań służby wynikało, że dowiedział się o nim dopiero z listu pozostawionego przez nią. List ten wywarł na nim piorunujące wrażenie. Robił wrażenie nieprzytomnego, nic nie jadł. Siedział w ciemnym gabinecie. Listu wprawdzie nie znaleziono. Nietrudno jednak było domyślić się, że zawierał decyzję zerwania. Takie przypuszczenie wyraził również i prezes Wilczur, który nie skąpił śledztwu najdrobniejszych szczegółów i podał wyczerpującą relację ze swej wizyty u kuzyna.

Z dalszych zeznań służby nie wynikało nic pewnego. Pani Beata codziennie w rannych godzinach udawała się samochodem na dłuższy spacer do Parku Łazienkowskiego. Szofer zostawał z wozem przed bramą i nigdy nie widział nikogo, kto by pani towarzyszył. Za to stróż w parku w okazanej fotografii poznali od razu panią, która codziennie spotykała się tu z młodym, szczupłym blondynkiem w dość zniszczonym ubraniu. Rysopis owego blondyna nie odznaczał się wszakże żadnym szczegółem charakterystycznym.

Badanie przeprowadzone w listach i papierach profesorowej nie dało również żadnego śladu. Stwierdzono, że zostawiła większą kwotę pieniędzy i biżuterię. Nie zabrała również futer ani żadnych cennych, a dających się łatwo spieniężyć rzeczy.

W biurku profesora znalazł komisarz Górny nabity rewolwer.

— To mi pozwala wnioskować — mówił prezesowi Wilczurowi — że profesor stanowczo nie miał zamiarów samobójczych. W przeciwnym razie zabrałby broń. Zabrałby ją również w wypadku, gdyby zamierzał rozprawić się z uwodzicielem żony.

— Czy pan komisarz sądzi, że mógł wiedzieć, gdzie go należy szukać?

— Nie. Przypuszczam, że nawet nie domyślał się jego istnienia. Młodzieńca o takim wyglądzie nie widział nikt ze służby w Alei Bzów. Jednak jestem przekonany, że odnalezienie tej pary da nam odpowiedź na pytanie, co się stało z profesorem.

Zgodnie z tą koncepcją komisarz skierował śledztwo ku odszukaniu pani Beaty. Po długich zabiegach sprowadzono doń szofera taksówki, którą krytycznego dnia odjechała z domu profesora. I ten jednak niewiele miał do opowiedzenia. Pamiętał, że odwiózł z Alei Bzów na Dworzec Główny młodą, przystojną panią z kilkuletnią dziewczynką. Zapłaciła, sama wzięła walizki i znikła w tłumie. Badanie kolejowego rozkładu jazdy też nie na wiele się zdało. Między dwunastą a pierwszą w południe z Dworca Głównego odchodziło kilkanaście pociągów w najrozmaitszych kierunkach.

Komisarz Górny zastanawiał się już nad rozesłaniem listów gończych za Beatą Wilczurową, gdy nagle nowe odkrycie pchnęło śledztwo na inne tory.

Mianowicie podczas okresowej rewizji dokonanej u jednego z paserów na ulicy Karmelickiej, wśród wielu rzeczy pochodzących z kradzieży czy rabunku znaleziono czarne palto, marynarkę i kamizelkę wyjątkowo dużych rozmiarów. Chociaż etykiety krawca były odprute, z łatwością dało się odszukać zakład krawiecki, gdzie zostały uszyte, i tą drogą stwierdzono, że należały do zaginionego profesora. Przyciśnięty do muru paser zeznał, iż nabył to od niejakiego Feliksa Żubrowskiego.

Żubrowski, wbrew przypuszczeniom komisarza, nie był nigdy notowany za jakiegokolwiek przestępstwa. Mieszkał na Przywiślniej z żoną i czworgiem dzieci, z zawodu był piaskarzem i zeznał, iż krytycznego dnia ubranie znalazł na brzegu, gdy z rana wracał z libacji. Kilku świadków, może niezbyt godnych zaufania, ustaliło jego alibi. W każdym razie niczego mu nie było można udowodnić i Żubrowskiego po trzech dniach wypusz-

czono z aresztu. Za jego niewinnością przemawiało to, że Wisła w tym miejscu była głęboka, a samobójstwo profesora Wilczura nader prawdopodobne.

W następnych dniach przeszukano koryto rzeki na przestrzeni kilku kilometrów — bez skutku. Do prosektorium sześć razy sprowadzano służbę z Alei Bzów i prezesa Wilczura, by rozpoznali niezidentyfikowane zwłoki, lecz właściwie było to zbędne: zaginiony profesor miał rzucający się w oczy wzrost około metra dziewięćdziesięciu centymetrów i ważył prawie sto kilogramów.

— Jeszcze nie znaleźliśmy trupa — zrezygnowanym głosem mówił komisarz Górny — może wypłynie na wiośnię. Wisła ma wiele dołów i nieraz zdarza się, że dopiero po kilku miesiącach wyrzuca zwłoki.

— Więc pan potwierdza moje obawy? — pytał prezes.

— Bardzo wiele okoliczności przemawia za samobójstwem. Na wszelki wypadek zesłałem odbitki fotografii profesora do wszystkich posterunków policyjnych.

— Więc jednak dopuszcza pan ewentualność utraty pamięci?

— Jeżeli mam być szczerzy, nie wierzę w to. Póki jednak zwłoki nie wypłyną, nie wolno mi zaniedbać i tej możliwości. Z tej samej racji nie zaniechałem też hipotezy o morderstwie. Chociaż mam niemal pewność, że może być mowa tylko o samobójstwie. To pewne. Wyszedł z domu oszołomiony nieszczęściem i dlatego nie powziął jeszcze żadnej decyzji. Chodził zapewne długo po mieście, może pił dla załania robaka...

— Nigdy nie pił — przerwał prezes.

— Tak czy owak, postanowił z sobą skończyć. Bo któż miałby go zabić?... Bandyci?... Musiałoby być co najmniej trzech albo czterech, by po cichu dać mu radę. To przecież był człowiek wyjątkowej siły fizycznej. A strzały?... No, niewykluczone, ale strzelanina zawsze kogoś zwabi i z uprzątnięciem trupa trzeba bardzo się pośpieszyć. Na palcie zaś i na marynarce nie ma najmniejszego śladu krwi. Pozostaje jeszcze wciągnięcie w pułapkę i zabójstwo w zamkniętym lokalu. Zabójstwo zatem z premedytacją. Otóż komu mogło na tym zależeć, kto na tym zyskiwał?... Nikt. Profesor nie zostawił testamentu. Z samego prawa wszystko, co miał, przechodziłoby na córkę i żonę. Pan prezes jednak zapewnia, że wdowa jest najbardziej bezinteresowną kobietą na świecie. Pozostaje jeszcze jej amant, któremu, sądząc z jego powierzchowności, nie musiało powodzić się najlepiej. Ale i to jest więcej niż wątpliwe. Gdyby chciał zdobyć pieniądze, potrafiłby namówić profesorową do zabrania gotówki, futer i biżuterii. Stanowiło to przecie kwotę nie do pogardzenia, jakieś, pobieżnie licząc, siedemdziesiąt tysięcy. A kochającą kobietę spryciarz do wszystkiego zdoła namówić.

— Wątpię. Beata miała zasady...

— Panie prezesie, jako doświadczony sędzia wie pan lepiej ode mnie, że gdzie u kobiety zaczyna się miłość, tam kończą się wszystkie zasady. Ale za niewinnością tej pary przemawiają i inne rzeczy. Więc *primo*: nie uciekliby, bo to tylko przeciw nim musiałoby zwrócić podejrzenie. *Secundo*: zgłosiliby się po zaginięciu profesora. Cała prasa przecież trąbiła. A chyba byliby ostatecznie głupi sądząc, że policji wcześniej czy później nie udałoby się odnaleźć, gdyby uważała ich za sprawców zbrodni. Grając na tak wielką stawkę jak spadek po profesorze, zjawiliby się w kilka dni, a tu już drugi miesiąc mija. Muszą mieć czyste sumienie.

— I ja tak sądzę.

— A jeszcze i to! Z doświadczenia wiem, że zbrodniarz nie umie prawie nigdy zdobyć się na cierpliwość. Każdemu z nich pilno osiągnąć to, co pobudziło go do przestępstwa. I zawsze wybiera taktykę kręcenia się pod nosem policji. Pewniejszy się czuje, gdy świeci obecnością, niż kiedy chowa się w cień, co może nań ściągnąć podejrzenia.

— To prawda.

— Niewątpliwa. Rozpatrywałem jeszcze jedno rozwiązanie. Zabójstwo przypadkowe. Powiedzmy, że profesor odnalazł ich i podczas scysji został zabity. W takim wypadku znowuż musimy wziąć pod uwagę, że profesor był siłaczem i że na jego ubraniu nie było ani krwi, ani śladów wywabiania ewentualnych plam krwawych. Niepodobna zaś przypuścić, by ów szczupły i dość cherlawy młodzieniec zdołał zabić takiego olbrzymia bez użycia broni. Dlatego właśnie nie stoję na głowie, by ich odszukać.

Prezes przytaknął.

— Może i lepiej byłoby, gdybyśmy ich nie znaleźli... Przynajmniej do czasu, aż sprawa ostatecznie się wyjaśni.

— Może i lepiej — przyznał komisarz.

Zresztą nic innego nie mógł powiedzieć, bo dotychczas policja nie mogła wpaść na najmniejszy ślad po Beacie Wilczurowej, jej córce i po owym nieznanym człowieku.

Mijały miesiące, a w ustawicznej karuzeli, jaką jest życie każdego wielkiego miasta, stopniowo zapomniano o profesorze Rafale Wilczurze i o jego tajemniczym zniknięciu. Foliały akt śledztwa z wolna pokrywał w szafach urzędowych kurz. Potem spiętrzyły się na nich stopy spraw następnych. Aż po roku zapakowano je w skrzynię i przewieziono do archiwum.

Zgodnie z prawem, do zarządzania majątkiem nieobecnego sąd wyznaczył kuratora, a mecenas Szrenk, któremu tę funkcję powierzono, nie miał powodu do narzekania na nią. Pensja płynęła stale, pracy zaś było niewiele. Willę w Alei Bzów wydzierżawił, kapitały umieścił w papierach pupilarnych, kierownictwo lecznicy powierzył nader uzdolnionemu i budzącemu pełne zaufanie doktorowi Dobranieckiemu, najbliższemu współpracownikowi zaginionego.

W lecznicy zresztą wszystko szło dawnym, jeszcze przez profesora Wilczura ustalonym trybem. W ciągu paru miesięcy wykończono nowy pawilon, a napływ pacjentów, który dość poważnie się początkowo zmniejszył, wrócił do swojej normy. Zmiany wprowadzone przez doktora Dobranieckiego były niewielkie. Tyle tylko, że skasowano owe bezpłatne miejsca dla niezamożnych dzieci i że kilka osób z personelu ustąpiło, bez szkody zresztą dla instytucji. Pierwszy z racji owych dzieci po dość nieprzyjemnej sprzeczce z szefem zgłosił dymisję asystent doktor Skórzeń, po nim zwolniono buchaltera Michałaka i sekretarkę, pannę Janowiczównę, która rządziła się jak szara gęś i pozwalała sobie wtrącać się w zarządzenia doktora Dobranieckiego, a przy tym drażniła go sposobem bycia pozbawionym dostatecznej dozy szacunku.

Jej zachowanie się raziło tym bardziej, że nowy zwierzchnik w ogóle nieco zaostrzył dyscyplinę w lecznicy, gdzie dotychczas panował nastrój zbyt patriarchalny. Jednocześnie jego osobista pozycja, nie tylko w zarządzanej instytucji, podniosła się poważnie. Nowe wybory w Kole Chirurgów przyniosły mu tytuł prezesa, a w rok później otrzymał katedrę po zaginionym, z tytułem profesorskim, będąc zaś wysoce uzdolnionym lekarzem i dzielnym człowiekiem, stopniowo, lecz stale dochodził do majątku i sławy.

Z biegiem lat nazwa „Lecznicy Prof. dra Wilczura” stawała się coraz bardziej nieuzasadnionym anachronizmem. Toteż nikogo nie zdziwiło, gdy w końcu za zgodą kuratora nazwę tę zmieniono na „Lecznicę im. Prof. dra Wilczura”. W związku z tym wyszła z druku dość obszerna biografia pióra prof. dra K. Dobranieckiego pt. *Prof. Rafał Wilczur — genialny chirurg*.

Praca ta kończyła się słowami:

„Składając hołd nieodżałowanej pamięci najlepszego Człowieka, mądrego Nauczyciela i wielkiego Uczonego, polski świat lekarski pozostaje okryty żałobą po jego tragicznym zniknięciu, które niestety już zapewne na zawsze pozostanie okryte mrokiem bolesnej tajemnicy”.

ROZDZIAŁ III

Przodownik policji w Chotymowie, Wiktor Kania, siedział beczynnie przy stole kancelaryjnym, pokrytym czystą zieloną bibułą i ziewał od czasu do czasu, patrząc przez okno. Posterunek mieścił się w ostatnim domku na skraju miasteczka i z okien roztaczał się rozległy widok na pola pokryte już gęstą zielenią, na brzeg jeziora, gdzie właśnie rozwieszano sieci, na czarną smugę lasu, spod której dymił komin tartaku Hasfelda, i na drogę do tego tartaku, którą szedł właśnie zastępca Kani, posterunkowy Sobczak, z jakimś wysokim, chudym brodaczem.

Sobczak stawiał szeroko nogi, chwiały się przy każdym kroku niby kaczka na obie strony i niósł pod pachą wielki arkusz dykty do tego swego laubzegowania. Brodacz musiał być robotnikiem z tartaku, i to od niedawna. Przodownik Kania widział go po raz pierwszy, a przecież znał wszystkich w Chotymowie i naokoło w promieniu dziesięciu kilometrów. Poza tym to, że Sobczak sam niósł dyktę, dawało do myślenia. Widocznie

nie uważał za wskazane skorzystać z usług towarzysza, a zatem z owym towarzyszem nie wszystko było w porządku: towarzyszył Sobczakowi nie z dobrej woli.

Na posterunek w Chotymowie przyprowadzało się różnych ludzi. Za bójki po wsiach, za drobne kradzieże w lesie i w polu, za kłusownictwo. Czasem udawało się przyłapać jakąś grubszą rybę, bandytę lub defraudanta unikającego wielkich szlaków i usiłującego bocznymi drogami dostać się do granicy niemieckiej.

Prowadzony jednak przez Sobczaka brodacze pomimo ogromnego wzrostu nie budził widocznie obaw posterunkowego i pewno chodziło o jakiś drobiazg.

Po chwili drzwi otworzyły się i obaj weszli. Brodacze zdjął czapkę i stanął przy drzwiach. Sobczak zasalutował i złożył meldunek:

— Ten oto człowiek zgłosił się do tartaku Hasfelda o pracę. Zatrudniono go, ale okazało się, że żadnych dokumentów nie posiada i że nie wie, jak się nazywa ani skąd pochodzi.

— Zaraz zobaczymy — mruknął przodownik Kania i skinął ręką na brodacza. — Macie jakie dokumenty?

— Nie mam.

— Sobczak, obszukaj go.

Posterunkowy rozpiął grubą, zniszczoną kurtkę, przeszukał kieszenie, położył przed przodownikiem na stole wszystko, co znalazł: nieduży, tani szczyr, kilkadziesiąt groszy, kawałek sznurka, dwa guziki i blaszaną łyżkę. Obmacał mu cholewy, ale i tam nic nie było.

— Skąd żeście się tu wzięli? Co? — zapytał przodownik.

— Przyszedłem z Czumki w surskim powiecie.

— Z Czumki?... A po cóście przyszli?

— Za pracę. W Czumce robiłem w tartaku. Tartak zamknęli. Ludzie mówili, że tu, w Chotymowie, dostanę zajęcie i zarobek.

— A jak nazywał się właściciel tartaku w Czumce?

— Fibich.

— Długoście tam robili?

— Pół roku.

— A urodziliście się też w surskim powiecie?

Brodacz wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Nie pamiętam.

Przodownik spojrzał nań groźnie.

— No, no! Tylko nie mnie będziecie zawracać głowę! Piśmienny?

— Tak.

— Więc gdzie byliście w szkole?

— Nie wiem.

— Wasze imię i nazwisko? — krzyknął zniecierpliwiony Kania.

Brodacz milczał.

— Głusi jesteście?

— Nie, panie przewodniku, i niech pan nie gniewa się na mnie. Ja przecież niczego nie zrobiłem.

— No, to mówcie prawdę!

— Prawdę mówię. Nie wiem, jak się nazywam. Może wcale się nie nazywam. Wszyscy mnie o to pytają, a ja nie wiem.

— Więc co! Nigdy nie mieliście dokumentów?

— Nigdy.

— To jak was do pracy przyjmowali? Bez papierów?

— Po miastach to wszędzie papierów żądali i nie chcieli tak przyjąć. A po wsiach to nie każdy na to zważa. Ot, nazwę jakkolwiek, jak komu wygodnie, i już. Tu, w tutejszym tartaku też podałem nazwisko, jakim mnie w Czumce przezwali: Józef Broda. Ale panu posterunkowemu sam powiedziałem, że to przezwisko. Ja nic złego nie zrobiłem i sumienie mam czyste.

— To się okaże.

— Pan przodownik może napisać do tych, gdzie pracowałem. Nikomu nic nie ukradłem.

Przodownik zamyślił się. Już nieraz w swojej praktyce miał do czynienia z różnymi osobnikami, ukrywającymi swoje nazwisko, a jednak zawsze podawali jakiekolwiek zmyślane. Ten zaś uporczywie twierdził, że nie ma nazwiska.

— A gdzie wasza rodzina?

— Nie wiem. Nie mam żadnej rodziny — z rezygnacją odpowiedział brodac.

— A byliście sądownie karani?

— Tak jest.

Przodownik szeroko otworzył oczy.

— Gdzie?

— W zeszłym roku w Radomiu, a trzy lata temu w Bydgoszczy. Raz na miesiąc, a raz na dwa tygodnie.

— Za co?

— Za włóczęgostwo. Ale niesprawiedliwie. Czy jak kto pracy szuka, to włóczęga?... Po prawdzie, to za to, że dokumentów nie miałem. I prosiłem i w sądzie, i na policji, i w więzieniu, żeby mi wystawili jakiś dokument. Ale nie chcieli. Mówili, że takiego prawa nie ma. To co mam robić?

Chrząknął i rozłożył ręce.

— Niech mnie pan puści, panie przodowniku. Ja nic złego nikomu nie zrobię.

— Puścić?... Przepisy na to nie pozwalają. Odeślę was do starostwa, a tam niech robią, co im się podoba. Możecie usiąść i nie przeszkadzajcie. Muszę sporządzić protokół.

Wyciągnął z szuflady arkusz papieru i zaczął pisać. Długo się namyślał, bo brak nazwiska i miejsca urodzenia zatrzymanego osobnika psuł mu cały schemat protokołu. Wreszcie skończył i spojrzał na brodac. Szpakowaty zarost i włosy wskazywały, że musi mieć coś koło pięćdziesiątki. Siedział bez ruchu, wpatrzony w ścianę, a jego przeraźliwa chudość i zapadnięte policzki sprawiały wrażenie szkieletu. Tylko ogromne, spracowane ręce poruszały się jakimś dziwnym, nerwowym ruchem.

— Przenocujecie tu — powiedział Kania — a jutro odeślę was do powiatu.

Wstał i dodał:

— Nic wam tam nie robią. Najwyżej odsiedzicie za włóczęgostwo i puszcza.

— Jak inaczej nie można, to nie ma rady — ponuro mruknął brodac.

— A teraz chodźcie tu.

Otworzył drzwi do małej komory z zakratowanym okienkiem. Na podłodze leżał siennik, grubo nabity słomą. Drzwi były z tęgich desek.

Gdy zamknęły się, brodac położył się na sienniku. I zaczął rozmyślać. Zarówno ten przodownik, jak i drugi policjant nie byli złymi ludźmi, a jednak widocznie prawo nakazywało im być złymi. Za cóż znowu pozbawiono go wolności, za co wciąż patrzą na niego jak na przestępcę?... Czy to taka naprawdę konieczna rzecz mieć dokumenty i jakoś się nazywać?... Czy od tego człowiek stanie się inny?...

Tłumaczyli mu tyle razy, że to niemożliwe, by wcale się nie nazywał. I on w końcu musiał im przyznać słuszność. Ale bał się o tym myśleć. Gdy tylko zaczął, ogarniało go dziwne uczucie: jakby zapomniał coś, coś niezmiernie ważnego. I nagle myśli opływające gorączkowym niepokojem rozbiegały się we wszystkie strony, zbijały się w jakieś pogmatwane kłębowiska, szarpały się rozpaczliwie jak zwierzęta ogarnięte dziką paniką; wirowały coraz szybciej, bez sensu, bez celu, potem rwały się w strzępy, w jakieś dziwaczne kłaczki, niby bezkształtne, beztreściowe żyjące potworki, zrastały się w wielki motek waty wypełniający całą czaszkę.

W takich chwilach doznawał najokropniejszego strachu. Zdawało mu się, że oszaleje, że dostaje obłądu i że jest wobec zbliżającej się katastrofy bezradny, bezsilny i zgubiony. Bo przecie w tym piekielnym chaosie ani na moment nie tracił świadomości. Gdzieś wewnątrz mózgu jakiś precyzyjny aparat notował z całym spokojem każdy objaw, każdą fazę. I w tym była największa męka.

Na próżno całym wysiłkiem woli usiłował wyrwać się z chłującego bagna. Przestać myśleć, skupić uwagę na jakimś przedmiocie, ratować się. Jedynie fizyczny ból przynosił lekką ulgę. Wpijał zęby do krwi w ciało, gryzł ręce i tłukł głową o ścianę aż do utraty sił, do omdlenia.

Wtedy leżał bezwładny i do ostateczności wyczerpany, niemal martwy.

Toteż bał się, bał się obrzydliwym, zwierzęcym lękiem swojej pamięci. Bał się wszystkiego, co go mogło pobudzić do niebacznego zajrzenia w mgłę przeszłości, w ten koszmarny mrok, którego nie podobna przeniknąć, a który przyciąga jak otwarta przepaść.

Dlatego takie przesłuchanie na posterunku było dlań ciężką torturą i gdy znalazł się sam, a stwierdził, że groza ataku minęła, niemal cieszył się z tego zamknięcia.

Jednakże ponowne zatrzymanie przez policję, męczarnia badania i groźba ataku kazały mu zastanowić się nad koniecznością uchronienia się przed tym wszystkim na przyszłość. Na to zaś był jeden tylko sposób: mieć dokumenty. A ponieważ legalną drogą niepodobna było ich sobie wyrobić, należało je ukraść, zabrać komuś.

Nie wiedział jeszcze, jak to zrobić, ale postanowienie zapadło.

Nazajutrz wczesnym rankiem odstawiono go do starostwa w oddalonym o kilkanaście kilometrów większym miasteczku. Starostwo mieściło się w dużym, murowanym budynku. Posterunkowy zostawił brodacza na parterze pod dozorem policjanta pilnującego jeszcze kilku aresztowanych. Po długim oczekiwaniu zaczęto ich po jednym wywoływać na pierwsze piętro, gdzie była sala sądu starościńskiego.

Tłuściutki, młody urzędnik siedział za stołem przykrytym zielonym suknem i zawalonym papierami. Sądził szybko. Gdy przyszła jednak kolej na brodacza, nabral widocznie jakichś wątpliwości czy podejrzeń, gdyż kazał mu czekać. Policjant wyprowadził go tedy do sąsiedniego pokoju. Tu przy stole siedział jakiś staruszek i pisał zawzięcie. Pokoik był mały. Gdy brodacza usiadł na ławce pod oknem, z nudów zaczął przyglądać się pracy staruszka. Na biurku tym leżały stosy papierów. Były tam podania oblepione markami stemplowymi, kolorowe awizacje i — brodacza drgnął: niemal najbliżej od niego leżała paczka papierów złączona spinaczem, a na samym wierzchu leżał dokument. Była to metryka. Przysunął się bliżej i przeczytał. Wystawiona była na nazwisko Antoniego Kosiby, urodzonego w Kaliszu. Obliczył lata: 52. Pod spodem były pieczęcie...

Brodacz obejrzał się na policjanta: stał odwrócony plecami i czytał jakieś ogłoszenia naklejone na drzwiach. Teraz trzeba było tylko położyć czapkę na biurku, tak by przykryć nią papiery.

— Proszę zabrać tę czapkę — oburzył się staruszek. — Też znalazł sobie miejsce.

— Przepraszam — bąknął brodacza i zsunął ją wraz z paczką papierów, po czym zwinął je w rulon i ukrył w kieszeni.

Oczywiście tym razem nie mógł się posłużyć tak zdobytymi dokumentami i został skazany na trzy tygodnie aresztu za nałogowe uprawnianie włóczki.

Po trzech tygodniach wyszedł jednak z więzienia powiatowego i ruszył w świat już jako Antoni Kosiba.

ROZDZIAŁ IV

W samych Odrynach, w majątku, nie było nic godnego widzenia. Wielki pałac spalony podczas wojny, obrosły pokrzywami, łopianem i końskim szczawiem, z roku na rok pokrywał się mchem i pleśnią i rozsypywał się w gruzy. Właścicielka, księżna Dubancewa, wdowa po dygnitarzu petersburskiego dworu, mieszkała stale we Francji i nie przyjeżdżała nigdy. Rządca, stary dziwak, pan Poleszkiewicz, zajmował dwa pokoiki w drewnianej oficynie na folwarku, gdzie też nie brakło śladów zapuszczenia i zaniedbań.

Ale wokół roztaczała się rozległa i przepiękna Puszcza Odryniecka, tysiące hektarów porosłych gęsto sosnami i jodłami, dębami i brzoźami, podszyta leszczyną i jałowcem, poprzerzynana krętymi, wąskimi drózkami, na których częściej spotykało się ślady dzika czy rogacza niż konia lub człowieka. Z lotu ptaka cała ta ogromna przestrzeń wyglądała jak mieniący się zielony aksamit, w który powszywano gęsto błyszczące tafelki dżetów. Bo i wód tu nie brakowało. Małe i większe jeziora, połączone ukrytymi w łożach i olchach strumykami, sprawiały, że łatwiej było puszcze objechać łódką niż obejść piechotą. Łódkami też najczęściej posługiwali się nieliczni gajowi.

Tylko do dworku w środku puszczy musieli iść piechotą. Dworek stał na wzgórzu, na niewielkiej polanie, ze wszystkich stron otoczonej wysokim murem starego lasu. W dworku mieszkał leśniczy, pan Jan Oksza, syn starego Filipa Okszy, który przez lat

z górą czterdzieści Puszcza Odyniecką zarządzał, a po śmierci synowi i posadę, i wszystko, co miał, zostawił. Młody od dzieciństwa do szkół do Wilna, a później do dalekiej Warszawy wysłany, wrócił po latach z dyplomem leśnika w kieszeni, z żoną i córeczką, w dworku zamieszkał i już piąty rok nieograniczoną władzę w puszczy sprawował. Nieograniczoną, gdyż jego zwierzchnik, pan Poleszkiewicz, we wszystkim mu ufał, do niczego się nie wtrącał i do leśniczówki, jeżeli zaglądał, to nie po to, by książki sprawdzać, lecz by z panią Beatą Okszyną pogadać, z panem Janem partyjkę szachów zagrać lub małą Marysię na siodle przed sobą usadowić i „powozić” na polance. Był to zresztą niemal jedyny gość, który do leśniczówki zaglądał.

Pan Oksza widać po ojcu odziedziczył usposobienie odludka, do sąsiadów, których zresztą daleko przyszloby szukać, nie lgnął, a i oni go nie nachodzili. Domator też był pomimo młodego wieku wielki, czemu nie dziwiono się również, gdyż żonę miał piękną i — jak mówił gajowy Barczuk — „bardzo przychylną”, córeczkę jak aniołka i szczęście w domu.

Toteż i wyjeżdżał nader niechętnie. Ilekroć zmuszony był wybrać się do powiatowego Brasławia albo, Boże nie daj, do samego Wilna, wyjazd z dnia na dzień odkładał, może i z tego powodu, że trochę „słabował” na zdrowiu, a podróż męczyła go bardzo. Bywało, jak się trochę zaziębił, to krwią pluł i w łóżku musiał leżeć. A że dobry był człowiek, ludzki i sprawiedliwy, wszyscy podwładni żalowali go bardzo patrząc, jak w oczach niknie. Dwa razy to nawet doktora doń trzeba było przywozić, co niełatwo i drogo, bo osiem mil to nie fraszka. Mówili ludzie, że młody leśniczy już z tego nie wyjdzie, i na to rzeczywiście wyglądało.

Lato w puszczy jest piękne. Mocno pachnie żywica, powietrze ciepłe jak w piecu, rozmaitych muszek tyle, że aż w uszach brzęczy. Chwieją się wierzchołki smukłych sosen, wiatr szumi w koronach starych dębów, mchy jak dywan puszyste, jagód i grzybów co niemiara i żyć tu, i nie umierać. A gdy jesień przyjdzie, cisza w borze zalega taka jak w kościele podczas podniesienia. Stoją drzewa zamyślane i nawet nie czują, jak z nich liście złocistymi i czerwonymi płatkami spadają i spadają. A w zimie śnieg wszystko pokrywa, wysoko, głęboko, grubymi poduszkami na gałęziach narasta, a gdy człowiek odetchnie, gdy mroźne zdrowe powietrze do piersi wciągnie, to aż radość ogarnia.

Ale po zimie wiosna przychodzi. Z odtającej ziemi leśnej, z jezior i bagien opary wilgotne wstają, i wtedy to najgorzej tym, co ich suchoty męczą. Tak było i z panem leśniczym Okszą. Zimę dobrze przetrzymał, ale gdy w marcu śnieg topnieć zaczął, na zdrowiu zapadł. A jak zapadł, to już czwarty tydzień w łóżku leżał i w sypialni raporty od gajowych odbierał. Schudł tak, że i trudno go było poznać, a czasem jak porwał go kaszel, jak zaczął nim trząść, to i mowę na kwadrans czy dłużej tracił. Tylko pot mu wielkimi kroplami występował na czoło i dyszał z trudem.

W sobotę to było, gdy już pani gajowych całkiem nie wpuściła. Wyszła do nich do kuchni, sama biała i mizerna, i powiedziała cicho:

— Mąż tak źle się czuje, że... że nie można go męczyć.

I rozplakała się.

— A żeby tak doktora przywieźć, paniczka — odezwał się jeden. — Zawsze lżej mu umierać będzie.

— Pan nie chce doktora — potrząsnęła głową. — Sama błagam go o to, nie chce zgodzić się.

— Ja by pojechał po doktora — ofiarował się inny. — A panu leśniczemu można powiedzieć, że doktor sam przejazdem, znaczy się po drodze zajechał.

Na tym stanęło i pani Okszyzna otarła łzy i wróciła do sypialni. Po wielu nieprzespanych nocach sama ledwie powłóczyła nogami. Gdy jednak zbliżyła się do łóżka chorego, usiłowała uśmiechnąć się i udawać dobre myśli. Bała się, by wzrok Janka nie wyczytał prawdziwych, tych strasznych i bolesnych myśli, które zadreślały jej biedną duszę. Gdy on zapadał w sen, wówczas klękała i modliła się żarliwie.

— Boże, przebac mi, nie karz mnie, nie mścij się nade mną! Nie zabieraj mi go. Zgrzeszyłam, zrobiłam wiele zła, ale wybacz! Wybacz! Nie mogłam inaczej!

I łzy jej ciekły po przezroczystej twarzy, a usta drżały w szepcie niezrozumiałych słów.

Lecz Janek budził się prędko. Przychodził nowy atak kaszlu i na ręczniku zjawiała się nowa krwawa plama. Trzeba było podawać lód i lekarstwa.

Niespodziewanie wieczorem nastąpiła poprawa. Gorączka spadła. Kazał podnieść się wyżej i usiadł. Bez protestu wypił szklankę śmietanki i powiedział:

— Zdaje mi się, że będę żył!

— Na pewno, na pewno, Janku! Kryzys minął, to oczywiste. Czujesz się silniejszy. Zobaczysz, za miesiąc wrócisz zupełnie do zdrowia.

— Tak myślę. Czy Mariola jeszcze nie śpi?

Nigdy nie nazywał jej tym imieniem. Nie lubił go i od początku nazywał ją po prostu Marysią, do czego z czasem przyzwyczaiła się i Beata.

— Nie, jeszcze nie śpi. Odrabia lekcje.

— Więc jeszcze masz czas na lekcje z nią?...

Umilkł, a po chwili powiedział:

— Boże, ile ja tobie i jej wyrządziłem krzywdy.

— Janku! Jak możesz mówić takie okropne rzeczy! — przeraziła się.

— To prawda.

— Sam w to nie wierzysz. Dałeś nam tyle szczęścia, tyle najpiękniejszego szczęścia!...

Przymknął oczy i szepnął:

— Kocham cię, Beato, z każdym dniem bardziej. I to ta moja miłość nie pozwoli mi umrzeć.

— Nie umrzesz, nie możesz umrzeć. Bez ciebie życie dla mnie byłoby gorsze od śmierci. Ale nie mówmy o tym. To już minęło, dzięki Bogu. Wiesz co? Zawołam Marysię. Już tak dawno ciebie nie widziała. Pozwól!

— Nie powinienem. Tu powietrze pełne zarazków. Już i to mnie przejmuje obawą, że ty wciąż nim oddychasz. Dla jej młodziutkich płuc to trucizna.

— Niech więc stanie na progu. Zamień z nią chociaż kilka słów. Ty nawet nie wiesz, jak się ona o to dopomina.

— Dobrze — zgodził się.

Beata uchyliła drzwi i zawołała:

— Marysiu! Tatusz pozwala ci przyjść.

— Tatusiu! — rozległ się z głębi domu radosny pisk, a później tupot prędkich kroków.

Dziewczynka wbiegła i stanęła nieruchomo. Już od dwóch tygodni nie widziała choro-
rego i zmiana, jaka w nim zaszła, widocznie ją przeraziła.

— Tatusz ma się dziś lepiej — prędko mówiła Beata — ale pozwala ci tylko stać przy drzwiach. Wkrótce już wstanie i będziecie znowu razem chodzić do lasu.

— Jakże tam ci idzie, drogie dziecko? — zapytał Oksza.

— Dziękuję, tatusiu. A wie tatusz, że podmyło tę krzywą brzozę przy Siwym Ruczaju?

— Podmyło?

— Tak. Mikoła powiada, że się jak nic przewróci. I mówił jeszcze, że jego syn, Gryszka, widział wczoraj cztery łosie przy brodzie humińskim. Szły jeden za drugim.

— To pewno te z Czerwonego Lasu.

— Aha, Mikoła też tak myśli.

— A nie zapomniałaś już botaniki i fizyki z kretelem? — zapytał z uśmiechem.

— Wcale nie, tatusiu! — zapewniła i na potwierdzenie tego zaczęła wyliczać, czego nauczyła się sama. Po krótkiej rozmowie Oksza pożegnał dziewczynkę, posyłając jej ręką całusa.

Ręka była wychudła i nienaturalnie biała.

Gdy Marysia wyszła, powiedział:

— Jak ta dziewczyna rośnie. Ma dopiero dwanaście lat, a już jest prawie taka jak ty. W przyszłym roku będziemy jednak musieli oddać ją do szkoły. Mam nadzieję, że wreszcie księżna dostanie pozwolenie wyrębu i my wówczas staniemy na nogi.

— Bóg da. Byłeś tylko ty prędej wyzdrowiał.

— Tak, tak — przyznał z energią — muszę wyzdrowieć i zakrzętnąć się koło interesów. Jeżeli wyrębu nie będzie, zdecydowałem się szukać innej posady. Ciężko rozstać się z Odryniecką Puszcza, ale Marysia dorasta. To ważniejsze.

Zamyślił się i po chwili zapytał:

— Dużo znów wydałaś na lekarstwa?

— Nie troszcz się o to.

— Wiesz, zastanawiałem się, że gdybym teraz umarł, niewiele zostałoby ci po zapłaceniu kosztów pogrzebu. To mnie dręczyło najbardziej... Ze sprzedanych mebli starczyłoby ci na jakiś rok. Zwłaszcza te stare makatki. Są podobno cenne.

— Janku! O czym ty mówisz! — zawołała z wyrzutem.

— Nic, powtarzam, co sobie myślałem. Myślałem też, że w razie czego masz prawo upomnieć się o jakąś rentę dla Marysi. Nie sądzę, by Wilczur się odnalazł. Byłoby o tym w gazetach. Musi tam jednak ktoś zarządzać jego majątkiem, a Marysia ma do tego majątku prawo.

Na twarz Beaty wystąpiły rumieńce.

— I to ty mówisz, Janku?! — zawołała, nie ukrywając oburzenia.

Dotychczas w ciągu pięciu lat nie było między nimi ani najmniejszej wzmianki o profesorze. Od pięciu lat, odkąd kazał jej nawet bieliznę i ubranka Marioli odesłać do jakiegoś przytułku dla biednych dzieci.

Oksza spuścił oczy.

— Nie mam prawa skazywać jej na nędzę.

— A ja nie mam prawa wyciągać ręki po jego pieniądze. Sto razy, tysiąc razy wolałbym umrzeć. Nigdy, słyszysz, Janku, nigdy!

— Dobrze, nie mówmy już o tym. Ale widzisz, gdybym ja nie żył... Kiedy sądziłem, że umrę, ogarniał mnie strach na myśl, co się stanie z wami...

— Umieć szyć, umieć haftować, mogę dawać lekcje... Wszystko, byle nie tamto. Zastanów się, z jakim czołem mogłabym przyjść do jego spadkobierców z żadaniami, ja, którą oni... mają prawo uważać za winowajczynię jego śmierci. A zresztą, Janku, po co o tym w ogóle mówimy? Czujesz się zdrowy, dzięki Bogu, i wszystko pójdzie jak najlepiej.

— Na pewno, kochana, na pewno — przytulił twarz do jej ręki.

— No widzisz! — rozpromieniła się. — A teraz musisz postarać się zasnąć. Już późno.

— Dobrze. Czuję się trochę senny.

— Dobranoc jedyny, dobranoc. Sen jeszcze ci sił doda.

— Dobranoc, moje szczęście.

Osloniła lampę, owinęła się pledem i ułożyła się na sofie. Po kwadransie jednak przypomniała sobie, że musi mu jeszcze przed nocą dać krople.

Podniosła się, odliczyła dwadzieścia kropel lekarstwa pachnącego kreozotem, dołąła wody i pochyliła się nad chorym.

— Janku — odezwała się półgłosem — trzeba wypić lekarstwo.

Nie obudził się. Delikatnie dotknęła jego ramienia i pochyliła się nad nim.

Wtedy zobaczyła, że ma otwarte oczy.

Już nie żył.

ROZDZIAŁ V

Akurat na połowie drogi między Radoliszkami a Nieskupą stał od niepamiętnych czasów młyn wodny, niegdyś własność ojców bazylianów z klasztoru w Wickunach, przez nich założony za czasów króla Batorego, obecnie należący do Prokopa Szapiela, zwanego powszechnie z białoruska Prokopem Mielnikiem.

Ziemia w okolicy nie była ani zbyt bogata, ani zbyt żyzna, ot, żytnio-kartoflana i przeważnie należąca do drobniejszej szlachty i chłopów, ale żyta do przemiału Prokopowi nie brakowało, bo konkurencji żadnej w pobliżu nie miał, nie licząc wiatraka w odległej o pięć kilometrów litewskiej wiosce Bierwintach. A ten na osiemdziesiąt chat nastarczyć nie mógł, bo Litwini odznaczali się wyjątkową gospodarnością i niejedną z pięciu dziesięcin więcej zebrać umiał niż białoruski gospodarz z siedmiu albo i ośmiu.

Tak samo było i w Nieskupej. W Nieskupej siedzieli Moskale, staroobrzędowcy, co tu z Rosji kiedyś przyszli. Chłopy wszystko wielkie, zdrowe, robotne, co im nie sztuka była od wschodu do zachodu za pługiem chodzić, a orać tak głęboko, że i w Bierwintach tak nie orali.

W Radoliszkach zaś, jak to w miasteczku, były Żydki, co na mniejszą skalę zajmowali się skupem zboża po dalszych wsiach, zarówno na potrzeby miasteczkowych, jak i na wywóz z Wilna. Od nich Prokop Mielnik też robotę miał. Toteż nie narzekał i byle posucha

nie przyszła, byle wody w stawach nie zabrakło, to i nie miał przyczyny. A posucha zdarzała się rzadko w tych stronach i musiała być już nie wiadomo jak długotrwała, by wody na koło nie starczyło. Bo stawy, chociaż paręset lat temu kopane, solidne były, głębokie, no i co dziesięć lat szlamowane, by nie zarosły.

Stawów było trzy. Dwa górne i jeden dolny. Wszystkie gęsto wierzbami obrośnięte. Do dolnego spadek był duży, ze dwa sążnie, a oprócz koryta, co na koło szło, były jeszcze dwa wielkie spusty na wypadek powodzi. W stawach ryb było sporo: płotki, miętusy, okonie, ale najwięcej kielbi. I raków nie brakowało. W głębokich jamach pod korzeniami, które woda wypłukała, gnieździły się setkami. Obadwaj⁹ parobcy Prokopa, a już zwłaszcza młodszy Kaziuk, strasznie naumieli się je łapać. W wodzie po kolana stoi, a co nachyli się i rękę po łokieć albo i głębiej w norę wsadzi, to już raka wyciąga.

W samym młynie wprawdzie nikt by ich nie jadł, uważając za robactwo, ale w miasteczku, w Radoliszkach, zawsze można było je sprzedać: i ksiądz katolicki, i pop prawosławny, i doktor, a zwłaszcza ten był na nie amatorem. Wołał za poradę pół kopy raków wziąć niż dwa dziesiątki jaj albo i trzy złote.

Za miasteczkiem, wiorst jeszcze ze dwanaście, w fabryce też amatorów było немало, ale tu trzeba było natrafić na okazję. Pieszko za daleko, a stary Prokop konia na takie rzeczy nie dawał, choć ten już całkiem był zastały, a spasiony jak świnia. Obroku mu, wiadomo, nie brakowało. Stał tylko, z nogi na nogę przestępował i paraskał, aż po całym chlewie się rozleżało. Chlew był duży, mocny, z grubych okraglaków budowany. Oprócz konia stały tam dwie krowy i w przegrodzie świniaki. Pod daszkiem było miejsce na wóz i sanie.

Dom dobudowany był do młyna. Miał trzy izby, w których Prokop z rodziną i z parobkami mieszkał, i przybudówkę, nową całkiem, którą dla najstarszego syna, Albina, jeszcze postawił, gdy Albin miał się żenić. Od śmierci Albina przybudówka pusta stała, bo i drugiego syna, gdy do niej się sprowadził, zaraz nazajutrz nieszczęście spotkało. Mówili ludzie, że ktoś musiał na nią urok rzucić czy złym okiem na podmurówkę spojrzeć. A czy prawda to była, czy nieprawda, dość, że nikt tam zamieszkać nie chciał, choć byli i tacy, co po cichu zapewniali, że nie przybudówka uroczona, ale Bóg Prokopa Mielnika na potomstwie pokarał za to, że swego brata wyprocesował i z torbami puścił.

Strasznie takie gadanie gniewało Prokopa. Ścierpieć tego nie mógł i niejeden już za swoje podejrzenia dobrze od niego oberwał.

A jednak w tym czy owym musiało coś być. Miał przecież stary Mielnik trzech synów. Średni na wojnie zginął, najstarszy przed samym ożenkiem po pijanemu na lód wszedł, ten złamał się, i utonął. A najmłodszy, wbijając klin w sworzeń na samej górze, zwałił się i omal życia nie postradał, a i tak obie nogi połamał. Na próżno sprowadzali doktora, na próżno doktor w deszczulki mu nogi układał. Na całe życie kaleką już musiał zostać, chodzić nie mógł. Piąty miesiąc to siedział, to leżał, do nijakiej roboty się nie nadawał i tak przy osiemnastu latach ciężarem ojcu był.

I z córką nie powiodło się Mielnikowi. Wyszła za mąż za majstra w cegielni, ale majster przy pożarze zginął, a ona, że to w ciąży była akurat, widać z tego urodziła dziecko chore, na padaczkę cierpiące.

Oto dlaczego stary Prokop chodził ponury jak noc i wilkiem patrzył, chociaż mu ludzie bogactwa zazdrościli, choć młyn nie próżnował i choć sam na zdrowie narzekać nie mógł.

— Tego roku na jesieni jeszcze jeden kłopot przybył: młodszego parobka, Kaziuka, brali do wojska. Na jego miejsce byle kogo Prokop przyjąć nie chciał. We młynie praca jest odpowiedzialna, wymaga roztropności i siły. Byle pastuch do tego się nie nadawał. Długo zastanawiał się stary, aż wybór jego padł na Nikitkę Romaniuka z Poberezia. Ojciec Nikitki miał i tak dwóch żonatych synów, a najmłodszy nawet do miast chodził za pracą. Chłopak zdrowy, do rzeczy i nawet szkołę ukończył.

Powziąwszy raz postanowienie, we czwartek, jako w dzień targowy w Radoliszkach, Prokop wybrał się w drogę. Blisko było z młyna do tartaku, niecała wiorsta. A traktem właśnie ciągnęli chłopci na targ. Jedna za drugą przejeżdżały bryczki i wozy. Każdy Mielnikowi kłaniał się, bo znali go wszyscy. Ten i ów, nie zatrzymując szkapy, zagadał, patrząc ciekawie, jak stary przyjął dopust boży, który pokręcił mu ostatniego syna, Wa-

⁹obadwaj — dziś: obydwaj.

silka. Ale po twarzy Prokopa nic nie było można poznać. Jak zawsze miał zmarszczone brwi i poruszał swoją łopaciastą, siwą brodą.

Nadjechał wreszcie i Romaniuk. Musiał po zakupy jechać, bo wóz był pusty, tylko z tyłu jego baba siedziała.

Prokop kiwnął mu ręką i zaczął iść obok wozu. Uścisnęli sobie dłonie.

— No, co tam? — zapytał Romaniuk. — Tuczysz się, bracie?

— Żyję z bożą pomocą. Ale zmartwienie mam.

— Słyszałem.

— Nie to. Tylko Kaziuka do wojska biorą.

— Biorą?

— A biorą.

— Tak to?...

— Aha. A wiesz, że zarobek u mnie dobry. Parobek głodu nie zazna i jeszcze odłoży.

— Wiadomo — przyznał Romaniuk.

— Tak ja sobie pomyślałem, że twój, niby Nikita, podchodziłby do takiego zajęcia.

— Czemu nie.

— Nu, to jak?

— Co jak?

— Nu, z Nikitą?

— Ano, żeby u ciebie, do pracy?

— Aha.

Romaniuk podrapał się po głowie, w jego małych, siwych oczkach błysnęła radość. Powiedział jednak obojętnym tonem:

— Chłopak zdrowy...

— To i chwała Bogu — śpiesznie mruknął Prokop w obawie, by Romaniukowi nie przyszło do głowy zapytanie o zdrowie Wasila. — Tylko żeby na przyszły piątek przyszedł, bo w piątek Kaziuka biorą.

— To dobrze, bracie, że mówisz. Bo jego w domu nie ma. On teraz aż do Oszmiany pojechał.

— Roboty szukać?

— A pewno.

— Ale wróci?

— Co nie ma wrócić? Zaraz z Radoliszek pocztową karteczkę do niego wyślę.

— No, to i dobrze. Żeby na piątek...

— Toż rozumiem.

— Pracy teraz wiele. Nie zdołam bez dwóch parobków — dodał Prokop.

— Przyjedzie na czas.

— To z Bogiem!

— Z Bogiem.

Romaniuk potrząsnął lejcami, na co zresztą mały, brzuchaty siwek nawet nie zwrócił uwagi, i pogрузił się w myślach pełen zadowolenia. Wielkie to jednak było wyróżnienie, że Mielnik spośród tylu wybrał jego syna.

Odwrócił się i spojrzał na żonę. Z grubych chustek, które szczerlnie opatulały jej głowę, widać było tylko nos i oczy.

— Naszego Nikitę Mielnik bierze — powiedział.

Baba westchnęła:

— Boże, mój Boże!...

I nie wiadomo było, czy cieszy się, czy się martwi. Zresztą Romaniuk nigdy się nad tym nie zastanawiał. Głos już miała taki jękliwy.

Cieszył się i Prokop. Strasznie nie lubił zmian i niepokojów. Teraz sprawa była załatwiona. Tak mu się przynajmniej zdawało, a zdawało się aż do piątkowego wieczoru.

Dnia tego później niż zazwyczaj zabrał się do zamykania młyna. Wciąż czekał. Domowi nawet nie domyślali się, dlaczego jest taki zły, gdyż nikomu nie powiedział. Ale za to w sobie pienieł się znowu. Przecie wyraźnie kazał mu przyjść w piątek! Kaziuka już nie było. Od jutra roboty nawali, a tu choć głowę w ścianę bij.

— Czekaj ty, szczenię zatracone — warczał cicho, kręcąc brodę.

I przysięgał sobie, że nie weźmie go, choćby z samego rana przyszedł. Sobota to nie piątek. Lepiej pierwszego lepszego, z gościńca, nawet złodzieja, byle nie Nikitę.

Ale i nazajutrz Nikitka się nie zjawił. Trzeba było wziąć do pomocy jednego z chłopów, który żyto do młyna przywiózł.

Następnego dnia, jako w niedzielę, młyn był nieczynny, Prokop, pomodliwszy się, choć mu gniew w pacierzach przeszkadzał, wyszedł przed dom i usiadł na ławeczce. Długo żył, ale nie zdarzyło mu się jeszcze, by ktoś zrobił mu taki zawód. Chciał chłopcu łaskę wyświadczyć, a ten nie zjawił się. Oczywiście, musiał w Oszmianie pracę znaleźć i dlatego nie przyjechał, ale i to go nie usprawiedliwiało.

— Pożaluj tego te Romaniuki — mruczał, pociągając dym z fajki.

Słońce świeciło jasno. Dzień był ciepły i cichy. Nad stawami zganiało się ptactwo w pogoni za owadami. Nagle na gościńcu rozległ się warkot. Stary przysłonił oczy ręką. Gościńcem pędził motocykl.

— W dzień święty takie rzeczy — splunął. — Boga się nie boją.

Wiedział, o kim mówi. Cała okolica już od wiosny wiedziała, że to z Ludwikowa, z fabryki, syn właściciela, młody pan Czyński. Za inżyniera za granicami się uczył, a teraz na odpoczynek do rodziców przyjechał. Gadali, że po ojcu miał zarząd fabryki objąć, ale jemu w głowie był tylko ten motocykl, diabelska maszyna, żeby ludziom po nocach spać nie dawać i konie na drogach straszyć.

Toteż z niechęcią spoglądał stary za tumanem kurzu znikającym na gościńcu. A patrząc w tamtą stronę zobaczył człowieka idącego drogą do młyna. Człowiek szedł wolno, równym krokiem, na plecach niósł węzelek na kiju. Najpierw zdawało się Prokopowi, że to Nikitka, i krew mu napłynęła do twarzy, ale gdy idący zbliżył się, okazało się, że jest już niemłody, z czarną, siwiejącą brodą.

Przyszedł, uklonił się, po bożemu pozdrowił i zapytał:

— Czy pozwolisz przysiąść i o wodę poprosić? Dzień gorący i pić się chce.

Młynarz obrzucił go uważnym spojrzeniem, odsunął się, robiąc obok siebie miejsce na ławce i skinął głową.

— Przysiąść każdemu wolno. A wody u nas, dzięki Bogu, nie brakuje. Ot tam, w sionce, ceber stoi — wskazał za siebie.

Przybysz wydał mu się sympatyczny. Smutną miał twarz, ale Prokop sam zbyt wiele zmartwień przeżył, by lubił twarze wesołe. A temu przy tym i z oczu dobrze patrzyło. Od każdego zaś podróżnego człowiek może czegoś ciekawego dowiedzieć się. Ten zaś widać z dalekich stron pochodził, bo jego mowa inna była.

— A skądże to Bóg prowadzi? — zapytał Prokop, gdy nieznajomy wrócił i usiadł, ocierając wierzchem dłoni krople wody, osiadłe na brodzie i na wąsach.

— Z daleka. A teraz spod Grodna idę. Za pracę.

— I od Grodna toś pracy nie znalazł?

— Owszem, robiłem przez miesiąc u kowala w Mickunach. A robota skończyła się, to i poszedłem dalej.

— W Mickunach?

Tak.

— Znam tamtego kowala. Czy to nie Wołowik?

— Wołowik, Józef. Z jednym okiem.

— To prawda. Iskra mu wypaliła. A znaczy się ty sam też kowal.

Przybysz uśmiechnął się:

— I kował, i nie kował. Każdą robotę znam...

— Jakże to tak?

— Ano już lat ze dwadzieścia¹⁰ po świecie chodzę, to i nauczyłem się wielu rzeczy.

Stary zerknął spod krzaczastych brwi.

— A po młynarskiej części też pracowałeś?

— Nie, nie zdarzyło się. Ale ja także, panie Mielnik, prawdę powiem. Nocowałem ja w Pobereziu u niejakich Romaniuków. Dobrzy ludzie. I tam słyszałem, że ich syn do pracy u ciebie zgadzony. Ale on w Oszmianie robotę dostał w kooperatywie i wracać nie chce.

¹⁰lat ze dwadzieścia — dalej w tekście inaczej: dwanaście.

Prokop nachmurzył się.

— To ciebie Romaniuki przysłali?

— Gdzież tam. Ale posłyszałem, to, myślę, skorzystam. Zajść i zapytać nie grzech. Chcesz, to weźmiesz mnie, nie chcesz, nie weźmiesz.

Prokop wzruszył ramionami.

— Jakże ja mogę ciebie wziąć, do domu obcego człowieka puścić?

— Ja i nie napraszam się.

— To i mądrze robisz. Nie znam ciebie ani nikt ciebie tu nie zna. Sam rozumiesz. Może ty i dobry człowiek, bez żadnych złych zamiarów, ale może i zły. Nawet twego nazwiska nie wiem, ani skąd ty rodem.

— Nazwisko moje Antoni Kosiba, a rodem ja z Kalisza.

— Kto by go wiedział, gdzie ten sam Kalisz.

— Pewno, że daleko.

— Świat jest wielki — westchnął Prokop — a ludzie na nim rozmaici. Zapanowało milczenie, lecz młynarz po chwili zapytał:

— A cóż ty chodzisz, że miejsca nigdzie nie zagrzejesz? To domu nie masz?

— Nie mam.

— I baby swojej nie masz?

— Nie.

— A dlaczego?

— Nie wiem... Od baby nic dobrego na świecie.

— Co prawda, to prawda — przyznał Prokop — przez nie tylko zgorzzenie i kłopoty. Ale zawsze należy się ożenić. Takie prawo boskie.

I pomyślał stary Prokop, że to prawo dla niego okazało się okrutne. Urodziła mu wprawdzie żona trzech synów i córkę, ale nie na pociechę, tylko na nieszczęście.

Rozmyślenia jego przerwał przybysz:

— Pewno, że mnie nie znasz. Ale przecie u ludzi pracowałem, świadectwa mam. Możesz je przeczytać.

— I czytać nie będę. Z czytanego i z pisanego nie ma nic dobrego.

— Dokumenty też w porządku. Żebym złodziej był, nie pracy bym szukał, tylko co ukraść. Jakbym był złodziejem, to już dawno zamknęliby mnie w więzieniu. A ja już dwanaście lat chodzę. I nawet nie miałbym ukryć się u kogo, bo nikogo bliskiego nie mam.

— A dlaczegoż nie masz?

— A ty masz? — zapytał przybyły.

Młynarza to zastanowiło.

— Jakże? Mam rodzinę.

— Ale jakby, nie daj Boże, wymarła, to znalazłbyś bliskich?... Znalazłbyś życzliwych, serdecznych, co pomogliby ci w biedzie?...

Nieznajomy mówił jakby z goryczą i patrzył w oczy Prokopowi.

— Nikt nie ma bliskich — zakończył, a Mielnik nic na to nie odpowiedział.

Pierwszy raz w życiu podsunięto mu taką myśl i wydała mu się prawdziwą. Toteż przyjaźniej spojrzął na przybysza.

— Co tam ludzie o mnie mówią czy myślą — powiedział — niewiele mnie to obchodzi. Pewno i tobie bajek naopowiadali. Ale ja sam wiem, jak należy się żyć. Krzywdy ani biedy niczyjej nie chcę. Przyjdzie kto do mnie, to głodny nie odejdzie. Bogiem się świadczę! Tak i tobie powiem: mnie chleba nie brakuje i ty się najesz. Pewne i to, że nie pozwolę ci w rowie przenocować. Kąt się znajdzie. Ale roboty dla ciebie nie mam. Tak ci powiem: wydajesz się i niegłupi człowiek, i może uczciwy. Ale mnie potrzebny robotnik zdrowy, silny, młody. A ty już swój wiek masz.

Na to przybysz wstał bez słowa. O kilka kroków od domu leżał w trawie kamień młyński, pęknięty przez pól. Pochylił się nad nim, podłożył dłonie pod jego połówkę, rozstawił nogi, zaparł się i podniósł. Trzymał go tak chwilę, w milczeniu patrząc na Mielnika, po czym rzucił, aż ziemia zadudniła.

Prokop powoli nabijał swoją fajkę. Przybysz usiadł obok, wyciągnął z kieszeni papieroś. Zapalił i młynarz powiedział:

— Już południe dochodzi.

— A dochodzi — potwierdził przybysz, zerknąwszy na słońce.
— Pora na obiad. Cóż te baby porządku przy dniu świętym nie pilnują.
Baby jednak pilnowały, bo właśnie rozległ się z sieni piskliwy głos dziewczynki:
— Dziadzia! Obiad!
— Chodź, zjesz z nami, co Bóg dał — mruknął Prokop, wstając.
— Bóg zapłać — odpowiedział przybysz i poszedł za nim.

Z sieni, gdzie nie było podłogi, wchodziło się na prawo przez wysoki próg do pokoiów, a na lewo przez jeszcze wyższy do izby, czyli do obszernej kuchni, która była również jadalnią i w której żyło się przez cały dzień. Niemal ćwierć izby zajmował olbrzymi piec wapnem bielony. Z wielkiego otworu buchał żar. Na jego czerwonym tle czerniały pękate sagany, sycząc, bulgocząc i napęniając powietrze zapachem smacznej stawy. Na piecu i na dobudowanych leżakach, gdzie zimą sypiali starsi i dzieci, znajdowały się teraz tylko jakieś rupiecie przykryte pasiastym kilimem.

Nieotynkowane, ale oszalowane ściany pokryte były setkami barwnych ilustracji. W rogu wisiał złocisty ikonostas ubrany różnokolorowymi papierkami, a przed nim zawieszona na mosiężnych łańcuszkach paliła się mała lampka oliwna.

W tymże rogu stał wielki stół, przy niedzieli nakryty obrusem z grubego, czystego płótna. Na obrusie leżał potężny, płaski bochen chleba, leżały łyżki drewniane i aluminiowe, widelce, noże i sól w zielonej maselnicy, której przykrywką wyobrażała owcę z jagniętami. Pod ścianami biegła szeroka ława, a nad nią półki przykryte gazetami powycinanymi w ząbki. Na półkach stały misy, dzbany, kubki, talerze, garnki emaliowane i sagany, a na honorowym miejscu sześć rondli miedzianych, błyszczących ostrą, metalową czerwienią.

W izbie było sześć osób. Jedna stara, zgarbiona baba, dwie dość młode jeszcze kobiety i błąda dziewczynka o pięknych, czarnych oczach, wyglądająca na lat trzynaście. I dwaj mężczyźni: tęgą, rudy chłop o szerokich barach, siedzący skromnie przy drzwiach i młody, wysmukły brunet, w którym przybyły od razu domyślił się syna gospodarza, Wasila — Wasil siedział na ławie za stołem, podparty na łokciu, i patrzył w okno. Wejście ojca i nieznajomego nie przerwało mu smutnych rozmyślań.

Natomiast baby zakotłowały się i zakrzętały do podawania. Po chwili już dymiły na stole dwie misy: jedna z tłustym barszczem, tęgo zabielanym, druga z gotowanymi kartoflami.

Dla Prokopa i dla Wasila postawiono głębokie fajansowe talerze. Reszta miała jeść ze wspólnych mis. Stary usiadł na honorowym miejscu pod obrazami, szeroko przeżegnał się, inni poszli jego śladem i po chwili w izbie rozległo się smakowite siorbanie. Obecność nieznanego gościa nikogo tu nie zdziwiła. Nieraz się zdarzali. Nikt też nań nie zwrócił szczególnej uwagi. Między sobą z rzadka przerzucali się urywanymi zdaniem, raz polskimi, raz białoruskimi, jak wszyscy w tych stronach. Wkrótce misy opróżniły się i stara gospodyni, nazywana „matką Agatą”, zwróciła się do jednej z kobiet:

— Nuże, Zonia! Co, zaczadziałaś? Ruszże się!

Zonia, wysoka, szerokobiodra baba poderwała się, chwyciła puste misy i pobiegła do pieca. Wzięła stojący w kącie uchwyty na długim kiju, szybko wsunęła go do rozpalonej czeluści i wydobyła z niej sagan. Jej zdrowe, puculowate policzki zaczerwieniły się od ognia, a gdy wracała z pełną misą, musiała ją trzymać w wyciągniętych rękach: miała wyjątkowo duże i pełne piersi.

Po barszczu przyszła kolej na mięso, gotowaną wieprzowinę, pokrajaną w kawałki wielkości pięści, tłustą i przerastałą.

— Olga! — zaskrzeczała niecierpliwie matka Agata, zwracając się do drugiej kobiety.
— Odkrójże bratu chleba! Nie widzisz!

Olga, szczupła i zwinna, sięgnęła po bochenek, uniosła go lekko, oparła o siebie i odcięła długą, cienką i równą kromkę.

— I mnie chleba, mam — upominała się dziewczynka nazywana Natalką.

— I człowiekowi nie zapomnij — burknął Prokop.

Olga zerknęła na gościa i położyła przed nim takąż zgrabną kromkę.

— Dziękuję — powiedział, a ona zaśmiała się i kiwnęła głową.

— Nie ma za co.

— Z daleka jesteś?

— Z daleka, z Kalisza.
 — To i w Wilnie byłeś?
 — A byłem!...
 — I Ostrą Bramę widziałeś?...
 — Widziałem. Tam obraz Matki Boskiej, cudowny obraz.
 Prokop spojrział na syna spode łba i znowu spuścił oczy.
 — Każdy wie, że tak jest — mruknął.
 — A ty cudy sam widziałeś? — zagadnął Wasil.
 — Widzieć nie widziałem, ale ludzie opowiadali. O różnych cudach.
 — A na przykład, zrób łaskę, opowiedz.
 — Ja tam takich rzeczy nie umiem — zastanowił się gość — ale co słyszałem, jak potrafię, powtórzę.
 — Powtórz, powtórz — mała Natalka przysunęła się doń.
 Zaczął niechętnie mówić o matce, której bliźnięta urodziły się martwe, o kupcu, któremu towar złodzieje ukradli, o bluźniercy, któremu język usechł, żołnierzu, któremu na wojnie obie ręce urwało, a wszystkim Ostrobramska pomogła.
 Skończyli właśnie jeść i kobiety zabierały się do sprzątania, ale stanęły nieruchomo, zasluchane w słowa opowiadającego. On zaś z natury widać milczek, mówił cicho i krótko.
 — Dużo i innych cudów nasłuchałem się. Wszystkiego nie spamiętam — zakończył.
 — Ale to przecie katolicki obraz? — zapytała Zonia.
 — Katolicki.
 — Interesuje mnie — odezwał się znów Wasil — czy Ona i ludziom innej wiary pomaga, na ten przykład prawosławnym?
 — Tego nie wiem — gość wzruszył ramionami — ale tak myślę, że byle tylko był dobry człowiek, to każdemu pomoże.
 — Byle, wiadomo, chrześcijanin — gniewnie poprawiła go matka Agata. — Nie powiesz przecie, że pomogłaby Żydu!
 — Żydu? — odezwał się basem milczący dotychczas rudy parobek. — Na Żyda Ona jeszcze by cholerę zesłała. I taki skutek.
 Zaśmiał się głośno i klepnął się po kolanach.
 Stary Prokop wstał i przeżegnał się. Było to sygnałem dla pozostałych. Kobiety wzięły się do mycia naczyń. Mężczyźni wyszli przed dom oprócz Wasila, który został przy stole. Mielnik wypalił fajeczkę, po czym przyniósł sobie kozuch, rozesłał go pod klonem na trawie i położył się, by zażyć drzemki po sytnym obiedzie.
 — Ja tu za robotnika służę — zagał rozmowę rudy chłop, zwracając się do siedzącego obok przybysza. — Już szósty rok służę. Dobry młyn. A ty z fachu kim będziesz?
 — Ja bez fachu. Różne roboty znam...
 — Jakbyś tu na noc został, a raniem miał ochotę, to jeżeli na ślusarskiej robocie rozumiesz się, poprawisz mi rewolwer. Zaciął się i kurek nie podnosi. Diabeł w niego jakiś wstąpił.
 — O nocleg prosiłem; pozwolili, to i przenocuję. A raniem chętnie zobaczę. Trochę umiem ślusarki.
 — To i podziękuję tobie.
 — A nie trzeba. I tak za gościnność chciałbym się wypłacić. Dobrzy to ludzie.
 Parobek potwierdził. Ludzie szczerzy, nic im zarzucić nie można. Stary wymagający i surowy, ale sprawiedliwy. Ostatniego grosza z człowieka nie wyciągnie i ostatniego potu nie wycisnie. Chociaż opowiadali o nim, że rodzonego brata z torbami puścił i że ten dzieci mu przeklął. Ale nie wiadomo, jak tam było, bo było dawno. Więcej jak czterdzieści lat temu. A co do przekleństwa, to może i było, bo w dzieciach Prokopowi nie powiodło się. Najstarszy syn utonął, średni na wojnie zginął. Została po nim tylko wdowa, też właśnie Zonia, że z biednych była, to już u świekrów po śmierci męża została. Zdrowa baba i młoda jeszcze. Niejedną dziewczuchę zakasuje. Stara Agata jej nie lubi. Przyczepia się. Były różne powody, ale teraz... Nawet z Olgą-majstrową, córką Prokopa, pogodziły się. Tylko stara bardziej zawzięta. A Olga też dobra baba. Zła nikomu nie życzy...
 — Wczoraj niosę siano do chlewu, a ona krowę doi. I powiada: Słuchaj, Witalis, tobie już dawno pora żenić się. A mnie śmiech. Gdzie mnie żenić się. To i mówię: Chyba z tobą, Olga. A ona, wiem, do tego nauczyciela w Biernatach upodobanie ma. To wyszczerzyła

zęby i mówi: Tobie, mówi, Witalis, nie ja, mówi, w głowie. Tobie by Zonia, mówi, wdowa lepsza ode mnie.

Parobek zaśmiał się, splunął i dodał:

— Takie to u niej żarty. Ot, babskie sprawy.

Tymczasem i baby wyszły na powietrze. Olga z Zonią postrojone. Okazało się, że do Biernat idą na wieczorynkę. Mała Natalka pokręciła się i stanęła przy gościu.

— A ty naszego Wańkę widziałeś?

— Nie, a który to Wańka?

— To koń. On tłusty jak świnia. A jak ty nazywasz się?

— Antoni.

— A ja Natalka, a po nazwisku Szumińska. Mój ojciec majstrem w fabryce w Ludwikowie był. Ty znasz fabrykę w Ludwikowie?

— Nie, nie znam.

— Bardzo tam pięknie. Pałac ogromny. A panicz na motocyklu jeździ. I piece wielkie w hali, jeden przy drugim. Bo w nich cegła wypala się. A inne są do fajansu i do porcelany. Bardzo ciekawe. A nasze stawy widziałeś?

— Nie, nie widziałem.

— No, to chodź, pokażę tobie, gdzie można kąpać się. To tam, koło lasu. Bo tu, w dolnym, niebezpiecznie. Wielkie jamy są i wiry. Dziadzio Prokop nikomu nie pozwala od czasu, jak mój wujek Albin tu załamał się na lodzie i utonął. Chodź, pójdziemy.

— Dobrze, pójdziemy — zgodził się.

Natalka cienkim głosikiem zasypywała go opowiadaniem. Szli brzegiem po wąskiej, twardo wydeptanej ścieżce. Tak obeszlili stawy i dotarli do lasu.

Uwagę dziewczynki zwróciły grzyby.

— Boże mój — wołała — ile tu rydźwów. Od piątku narosło, bo w piątek z ciotką Zonią wybierałyśmy wszystkie. Chcesz, zbierzemy!... Prawda, że dziś niedziela, ale jak dla zabawy coś robić to nie grzech. Sama babcia mówiła...

Na zbieraniu rydźwów między wrzosami gęsto porastającymi zagajnik zeszło im całe popołudnie. Odpoczywali trochę, a później o zmroku wrócili do domu. W samą porę, bo już wołali ich do wieczery. Matki i ciotki nie było jeszcze z tańców i Natalka musiała pomagać babce Agacie. Przynieśli cały fartuch rydźwów. Żeby nie popsuley się, należało je przebrać i zalać wodą.

Po wieczery i uprzątnięciu wszystkiego Prokop, a po nim i stara, poszli spać do pokojów na drugą stronę sieni. Parobek Witalis wziął na ręce ich syna, kalekiego Wasila, i też go zaniósł do pokojów. Sam wrócił, zza pieca wyciągnął dwa sienniki, ułożył je na ławkach pod ścianami i powiedział:

— Kładź się. Przenocujesz jako tako. Much już dzięki Bogu niewiele.

Pozamykał drzwi, zgasił lampkę i położył się. Gość zrobił to samo. Wielką izbę zaległa cisza. Z początku rozlegało się jeszcze brzmienie much, nim nie usadowiły się do snu, a potem to już tylko zza ściany dolatywał spokojny, jednostajny szum wody we młynie. Cicho tu było, ciepło i dobrze. I zasypało się lekko.

Ciemno jeszcze było, gdy obudziło ich skrzypienie kół, tupot kopyt końskich i pokrzykiwanie: ludzie przywieźli żyto do młyna. W sieni rozległo się chrząkanie starego Prokopa. Witalis zerwał się, gość również. Wsunęli sienniki za piec.

Prokop Mielnik wszedł i mruknął:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki... — odpowiedzieli.

— Co stoicie? Ruszaj się, ty diable — zwrócił się do Witalisa. — Zaporkę odstawić!

Spojrzał ponuro na gościa i dodał:

— A ty co? Bierz się do roboty! Nie słyszysz? Ludzie ziarno przywieźli!...

— To znaczy, że weźmiesz mnie do pracy? — zapytał uradowany.

— Niech tam już. Wezmę.

ROZDZIAŁ VI

Od tego dnia zadowolił się Antoni Kosiba w młynie Prokopa Mielnika. A chociaż nie śmiał się nigdy, a uśmiechał bardzo rzadko, było mu tu dobrze jak nigdzie dotychczas.

Roboty się nie bał, rąk ani pleców nie żałował, w gadanie nie lubił się wdawać, toteż stary Prokop nic mu nie miał do zarzucenia. Owszem, nawet zadowolony był z nowego parobka. Jeżeli zaś niczym tego nie objawiał, to tylko dlatego, że nie leżało to w jego zwyczajach.

Antoni Kosiba spełniał wszystkie prace, jakie na niego przypadły. Czy przy stawidłach, czy przy zsypanie, czy przy wadze, czy żarnach. Gdy co psuło się, zabierał się do naprawy, a że bystry był widać z natury, miało się w nim wygodną wyrękę. Nieraz kłamra pękła albo i trybowe koło na osi obsunęło się, a on już wiedział, co trzeba zrobić, umiał zrobić i obywało się bez kowala i bez stelmacha.

— Zdolny ty jesteś, Antoni — mawiał Witalis. — Znać, że po świecie bywały.

A znowu innym razem:

— Nie taki ty jeszcze stary. Będziesz mądrze Prokopowi służyć, a to patrz, jeszcze i żonę sobie wysłużysz, Olgę-wdowę poślubisz...

— Gadasz, sam nie wiesz co — Antoni Kosiba wzruszył ramionami — ani im to w głowie, ani tym bardziej mnie. Po licha mi to?

Dudniło koło młyńskie, szumiał obfity strumień wody, warczały żarna. Białe pył mączny unosił się w powietrzu, napęniając je chlebnym smakiem. Od świtu do nocy nie brakło zajęcia. Owszem, raczej czasu nie stawało. Za to w niedzielę można było odechnąć i kości rozprostować. Ale i wtedy Antoni nie starał się zbliżyć ani do wesołej Zoni, ani do Natalczynej matki, Olgi, chociaż obie go lubiły i odnosiły się doń życzliwie. Najwięcej w czasie odpoczynku przebywał z Natalką.

Dzień był do dnia podobny i jemu samemu zdawało się, że już tak zawsze będzie, gdy zaszedł wypadek, który nie tylko wszystko zmienił, lecz i dla rodziny Prokopa Mielnika miał być wielkim zdarzeniem.

Stało się to tak: w sobotę, tuż przed zatrzymaniem koła, pękła dębowa piasta. Co żywo należało ją zmocować obręczą żelazną. Prokop przyniósł niemal biegiem narzędzia i Antoni ze trzy godziny pocił się, zanim reperacji dokonał. Ponieważ zaś narzędzia stary ponad wszystko cenił i trzymał je zawsze przy swoim łóżku, kazał skrzynkę tam odnieść. Antoni wziął ją na ramię i poszedł. Dotychczas nigdy do pokojów nie zaglądał, bo ciekawy nie był, a i nie miał po co.

Czysto tu było nadzwyczajnie. Białe, nakrochmalone firanki w oknach i doniczki z pelargonią. Na wysokich łóżkach piętrzyły się aż po sufit piramidy pulchnych poduszek, podłoga była czerwono malowana.

Antoni cofnął się, by staranniej wytrzeć nogi, i wszedł. W drugim pokoju zobaczył Wasilkę. Wasilka leżał w łóżku i płakał. Gdy zobaczył Antoniego, zaczął uspokajać się, ale nagle zawołał:

— Słuchaj, Antoni, ja już dłużej nie wytrzymam. Lepsza śmierć jak takie życie. Ja ze sobą skończę. Tak mnie już pisano.

— Nie mów byle czego — spokojnie odpowiedział Antoni. — Różne nieszczęścia ludzi spotykają, a przecież żyją...

— Żyją? To po co?... Cóż ja, jak ta kłoda mam gnić?

— Po cóż gnić...

— A co ze mnie? Ani komu, ani sobie. Tak i będzie. Leżę tu i wciąż myślę. I domyśliłem się: nie ma innej rady.

— Zostaw głupstwa — mruknął Antoni, ukrywając wzruszenie. — Młody jesteś.

— I cóż że młody! Jakaż moja młodość, kiedy nogami o własnych siłach stąpać nie mogę. Żeby stary być, to niech... A to kara boska za grzech ojca! A ja mam za to cierpieć? Za co ja?... Ja stryjowi odebrałem jego część?... Nie ja! Nie ja! Tylko ojciec. Za cóż na mnie to kalectwo?...

Antoni spuścił oczy. Wprost nie mógł patrzeć na tego ślicznego chłopca, dzieciucha prawie, rozpaczającego nad sobą.

— Ty myślisz o czym innym — bąknął bez przekonania.

— O czymże ja mogę myśleć, o czym? Kiedy co spojrzę na te swe nogi, to wołałbym się nie urodzić! O, zobacz!

Szarpnął koldrę i odkrył się.

Wychudzone nogi, nienaturalnie cienkie, pokryte były na goleniach różowymi pręgami blizn, które jeszcze nie zdążyły zbieleć, i zgrubieniami.

Wasil coś mówił, lecz Antoni Kosiba nie słyszał tego, nie rozróżniał słów. Patrzył jak urzeczony. Czuł, że coś dziwnego z nim się dzieje. Patrzył tak, jakby już kiedyś taki widok miał przed oczami, jakby tak być powinno. Nieprzeparta siła kazała mu pochylić się nad leżącym. Wyciągnął ręce i zaczął obmacywać kolana i golenie. Jego grube palce pokryte stwardniałą skórą z nieomylną sprawnością wyszukiwały naciskami na zwiotczone mięśnie kaleki krzywyżny źle zrosniętych kości.

Dyszał ciężko, jakby przy wielkim wysiłku. Walczył z myślami. Ależ tak, tak: z nadzwyczajną jasnością to rozumiał. Kości przecie źle zrosły się. To nie powinno być tak. I tu też. Jakże!

Wyprostował się i otarł rękawem pot z czoła. Jego oczy świeciły się, a zbłądł tak, że Wasilko zapytał:

— Co tobie?

— Czekaj, Wasil — odezwał się Antoni ochrypłym nagle głosem — ty jak dawno spadłeś i połamałeś nogi?

— Piąty miesiąc... Ale...

— Piąty? Ale tobie zestawili?

— Zestawili. Doktor z miasteczka, z Radoliszek.

— I co?

— I mówił, że będę zdrow. W deseczki mi nogi zabandażował. Dwa miesiące leżałem, a jak zdjął...

— To co?

— To powiedział, że już nic nie pomoże. Takie połamanie, że żadnej rady nie ma.

— Że nie ma?

— Aha! Ojciec chciał mnie do samego Wilna wieźć do szpitala. Ale doktor powiedział, że nie ma po co, bo i sam Pan Bóg tu nie pomoże.

Antoni zaśmiał się.

— Nieprawda.

— Jak to nieprawda? — drżącym głosem zapytał Wasil.

— A tak, że nieprawda. Ot! Poruszaj palcami!.. A widzisz... Nieprawda! Jakbyś nie mógł poruszyć, to koniec. A stopami?

— Nie mogę — skrzywił się Wasil — boli.

— Boli?... To i powinno boleć. Znaczy, dobrze jest.

Zmarszczył brwi i zdawał się namyślać. Wreszcie powiedział z przekonaniem:

— Trzeba tobie nogi znowu połamać i prawidłowo kości złożyć. Jak muszą być. I wyzdrowiejesz. Żebyś palcami nie mógł ruszać, to przepadło, a tak można.

Wasil wpatrywał się weń zdumiony.

— A ty, Antoni, skąd wiesz?

— Skąd?... — Antoni zawahał się. — Nie wiem skąd. Ale to nic trudnego. O, zobacz. Tu tobie zrosło się krzywo i tu, a na tej nodze jeszcze gorzej. Tu pęknięcie aż do kolana pewno jest.

Nacisnął i zapytał:

— Boli?

— Bardzo boli.

— A widzisz. I tu musi być tak samo!...

Kaleka syknął pod dotknięciem palca.

Antoni uśmiechnął się.

— Widzisz!... Tu trzeba przekroić skórę i mięśnie. A potem młoteczkiem... albo piłką. Zestawić w porządku.

Zwykle spokojny i raczej flegmatyczny Antoni był teraz zmieniony nie do poznania. Zżywieniem tłumaczył Wasilowi, że nie wolno tracić czasu i trzeba to prędko zrobić.

— Doktor Pawlicki nie zgodzi się — Wasil potrząsnął głową. — On jak raz co powie, to później i słuchać nie chce. Chyba żeby do Wilna jechać?

Drżał cały pod wpływem tej nadziei, jaką w nim obudził Antoni, i wpatrywał się weń z niepokojem.

— Nie trzeba do Wilna! — gniewnie odpowiedział Antoni. — Nie trzeba nikogo. Ja sam! Ja sam to zrobię!...

— Ty? — już z zupełną niewiarą zawołał Wasil.

— A tak, ja. I zobaczysz, będziesz chodził po dawnemu.

— A skądże ty to możesz umieć? Toż operacja. Trzeba nauki kończyć, żeby takie rzeczy. Robił ty to kiedy?

Antoni spochmurniał. Nie mógł przewyciężyć tego dziwnego pragnienia, wprost coś go zmuszało do upierania się przy swoim zamiarze. Jednocześnie jednak zrozumiał, że mu nie dadzą, nie pozwolą, że nie będą wierzyć. Oczywiście nigdy nie zajmował się leczeniem ani tym bardziej zestawianiem złamanych nóg. Wśród wielu zawodów, do których się zaprawił w ciągu swojej wieloletniej wędrówki, wiedział to z zupełną pewnością, nigdy nikogo nie leczył. Sam teraz dziwił się sobie, skąd z taką pewnością, z takim przekonaniem mógł twierdzić, że kalectwo Wasila było do usunięcia. Dziwił się, lecz to w najmniejszym stopniu nie zmieniało jego przeświadczenia ani nie osłabiało postanowienia.

Antoni Kosiba nie lubił kłamstwa. Jednak tym razem nie chciał się go wyrzec, skoro mogło doprowadzić do celu.

— Czy robiłem to? — wzruszył ramionami. — Wiele razy robiłem. I tobie zrobię i wyzdrowiejesz! Jesteś niegłupi i zgodzisz się.

Drzwi uchyliły się i mała Natalka zawołała:

— Antoni, chodź wieczerać! A tobie jak, Wasilka, do łóżka przynieść?

— Nie będę jeść — niecierpliwie odburknął Wasil, zły, że mu przerywają tak ważną rozmowę. — Wynos się, Natalka!

Zaczął ponownie wypytывать Antoniego i puścił go dopiero wtedy, gdy w sieni za-skrzecztał przynaglający głos matki.

W dwa dni potem stary Prokop zawołał do siebie przed młyn Antoniego. Siedział i pykał dymem ze swojej fajki.

— Coś ty nagadał, Antoni, mojemu Wasilce? — odezwał się z namysłem. — Niby względem tego leczenia.

— Prawdę powiedziałem.

— Co za prawdę?

— A że ja go mogę z tego kalectwa wyprowadzić.

— Jakże ty możesz?

— Trzeba rozciąć, kości na nowo rozłamać i z powrotem złożyć. One są źle złożone.

Stary splunął, pogłaskał swoją siwą brodę i machnął ręką.

— Przestań. Sam doktor powiedział, że tu nic nie pomoże, a ty, głupi, nieuczony, chcesz?... Prawda, że w różnych majsterskich rzeczach rozumiesz się. Nie przeczę. Bo i grzech byłby... ale z ciałem ludzkim to ono nie takie proste. Trzeba wiedzieć, gdzie jaka kosteczka, gdzie jaka żyłeczka, która do której pasuje, która jakie ma znaczenie. Toż sam nieraz prosiaka albo cielaka na ten przykład rozbierałem. Ile tam różnych takich, co i nie połapiesz się. A w gruncie rzeczy co?... Bydlę. A u człowieka przecie wszystko delikatne. Znać się na tym trzeba. To tobie nie sieczkarnia, co ją rozśrubujesz, wszystkie śrubki i tam inne takie na ziemi rozłożysz, a później nazad poskładasz, posmarujesz i lepiej rżnie jak przedtem. Umiejętność trzeba mieć, te to szkoły, te to nauki.

— Jak chcesz — Antoni poruszył ramieniem. — Czy ja napieram się, czy co? Mówię, że potrafię, bo już nieraz ludzi z takiej biedy wyciągnąłem, to i potrafię. Czy zdarzyło się tobie ze mną, żebym co na wiatr gadał?

Stary milczał.

— Czy zdarzyło się, żebym mówił o jakiej robocie, że ją znam, a później żebym ją zepsuł?

Mielnik skinął głową.

— To prawda! Grzech byłoby przeczyć! Zdatny jesteś i nie szkoduję sobie. Ale tu chodzi o mojego syna. Rozumiesz przecie. O ostatniego, jaki mi został.

— To chcesz, żeby został na zawsze kaleką? Bo i to powiem tobie, że nie lepiej z nim będzie, a coraz gorzej. U niego kawałki kości zostały odbite. Sam je ręką namacasz. Mówisz, że nauka potrzebna. Miałeś naukę. Ten doktor z miasteczka przecie uczony. A co zrobił?

— Jak uczony nie poradził, nieuczonemu i brać się nie ma po co. Chyba — zawahał się — chyba do Wilna wieść, do bolnicy. Ale koszt ogromny i też nie wiadomo, czy co pomoże...

— I kosztów nie trzeba. Mnie grosza nie zapłacisz. Nie napieram się ja, Prokopie, powtarzam, że nie napieram się. Z dobrego serca, przez życzliwość dla was wszystkich chciałem. Jeżeli boisz się, że Wasila od tego może śmierć albo gorsza choroba spotkać, to uważaj na dwie rzeczy. Najpierw to twoje prawo będzie choćby mnie i zabić. Bronić się nie będę. A zechcesz, to do śmierci w służbie u ciebie za darmo zostanę. Cóż ja zrobię! Żał mi chłopaka, a wiem, że rady dam. Druga zaś rzecz, Prokopie, czy ty nie słyszałeś, jakie jemu myśli po głowie chodzą?

— Jakież to myśli?

— A takie, żeby sobie życie odebrać.

— Tfu, nie wymawiaj w złą godzinę — Mielnik drgnął.

— Ja nie wymawiam. Ale on, Wasilka, ciągiem nad tym rozmyśla. Mnie mówił i innym. Zapytaj Zoni albo i Agaty.

— W imię Ojca i Syna!...

— A ty, Prokop, Boga nie wzywaj — dodał gniewnie Antoni — bo wszyscy gadają, że twoje nieszczęście z dziećmi to przez karę bożą za krzywdę twego brata...

— Kto tak mówi?! — zawarczał stary.

— Kto?... Kto?... A wszyscy. Cała okolica. A jeżeliś jeszcze ciekaw, to i syn twój mówi to samo. Za co, powiada, ja mam cierpieć, wiecznym kaleką żyć za grzech ojca?...

Zapanowało milczenie. Prokop opuścił głowę i siedział jak skamieniały.

Jego długie, siwe włosy i broda poruszały się lekko od wiatru.

— Boże, zmiłuj się. Boże, zmiłuj się — szeptał cicho.

Antoniemu zrobiło się nagle bardzo nieswojo. Oto rzucił w twarz temu biednemu starcowi najboleśniejsze oskarżenie. Zapragnął złagodzić jakoś to, co powiedział, i odezwał się łagodnie:

— Co gadają, to oczywiście wymyśl... Wyroków boskich nikt znać nie może. A Wasil młody jeszcze i głupi. Ja tam w to nie wierzę.

Stary nie poruszył się.

— Ja nie wierzę — ciągnął Antoni. — A najlepszy dowód to w tym, że twojego syna można wyleczyć i że go wyleczę. Zastanów się, Prokop, bo tylko dobra tobie życzę, jak wiem, że i ty mi zła nie życzysz. Zastanów się, co to będzie, gdy na przekór wszelkim gadaniom Wasil wyzdrowieje, zacznie chodzić, jak wszyscy inni ludzie, weźmie się do pracy? Będziesz miał komu młyn zostawić i na niedołężne swoje lata oparcie i opiekę u rodzonego znajdziesz. Pomyśl, czy nie zamknie to plotkarzom gęby, kiedy zobaczą Wasila zdrowego?

Mielnik podniósł się z kloca ciężko i spojrzał na Antoniego. W oczach miał niespokojne iskry.

— Słuchaj, Antoni, a przysięgniesz mi, że chłopiec nie umrze?

— Przysięgnę — zabrzmiała poważna odpowiedź.

— To chodź.

Bez słowa poszedł naprzód. Zajrzał do pokojów. Nikogo tu nie było. W rogu przed ikoną chybotął się mały płomyczek lampki.

Prokop zdjął ikonę z gwoździa, uroczyście podniósł ją nad głowę i powiedział:

— Na świętą Przczystą...

— Na świętą Przczystą — powtórzył Antoni.

— Na Chrystusa Zbawiciela...

— Na Chrystusa Zbawiciela...

— Przysięgam.

— Przysięgam.

— Przysięgam — powtórzył Antoni i dla potwierdzenia przysięgi ucałował obraz, który mu przysunął Prokop.

Wszystko miało się odbyć w zupełnej tajemnicy. Prokop Mielnik nie chciał, by przez nadanie sprawie rozgłosu znowu ożyły w okolicy rozmowy o wypędzonym bracie i o karze boskiej, co miała za to spaść na jego potomstwo. Pomimo przysięgi Antoniego Kosiby,

pomimo wyjątkowego zaufania, jakie doń żywił, liczył się przecież z możliwością śmierci syna.

Dlatego też nawet swoim najbliższym nie udzielił dokładnych informacji. W ciągu następnego dnia zgodnie z planem Antoniego baby musiały uprzątnąć przybudówkę. Napalono tam w piecu, zaniesiono ceber z wodą, dwa największe rondle i pościel Wasila, a także Antoniego.

Babom i drugiemu parobkowi Prokop powiedział tylko to:

— Antoni zna sposób leczenia i będzie tam leczyć Wasilkę.

Tymczasem Antoni wybrał sobie z narzędzi młotek, małą piłkę, wyczyścił ją do białości roztartą cegłą i dorobił rączkę. Potem wyszukał dłutko i dwa noże. I to, i to ostrzył długo, ale że robił to w składziku, nikt go nie mógł podpatrzeć. Nie wiedział też nikt, jak wystrugał sobie wklęsłe deseczki.

Stary Prokop z samego rana poszedł do miasteczka i wróciwszy zaniósł Antoniemu do przybudówki jakieś paczki. Była to wata i jodyna. Bandaże sporządził Antoni sam z dwóch prześcieradeł.

Wieczorem przeniesiono Wasila i obaj spędzili już tę noc razem w przybudówce. W przybudówce była duża izba z trzema oknami i ciemna alkowa. Wasilowi postawiono łóżko w izbie. Alkowę zajął Antoni. Tak samo jak w izbie domowej pod ścianami były tu ławy, a w kącie duży stół.

Wasil nie mógł zasnąć. Wciąż wypytywał Antoniego o różne szczegóły.

— Spałbyś już — ofuknął go wreszcie Antoni. — Co, boisz się bólu jak baba?

— Ja nie boję się bólu. Gdzież tam. Sam zobaczysz. Ani jęknę. I o to tylko cię proszę, ty nie zważaj na ból. Ja przetrzymam. Było dobrze było.

— Będzie dobrze.

O świcie młyn ruszył normalnie. Z tą tylko różnicą, że obie młode kobiety musiały pójść do pomocy na miejsce Antoniego.

— Cóż to, Prokop — podżartowywali chłopci — ty babami młyn pędzisz?

Ale Prokop na żarty nie odpowiadał. Nie to mu było w głowie. Robił swoje, lecz wciąż modlił się w duchu.

Tymczasem słońce wydostało się już z mgieł wiszących nad horyzontem i zalało świat ciepłą jasnością. W przybudówce zrobiło się zupełnie widno.

Krzątający się już od dawna Antoni mruczał coś pod nosem. Wasil wodził za nim wzrokiem i nie odzywał się. Ten brodaty olbrzym wydawał mu się człowiekiem niesamowitym, tajemniczym i niebezpiecznym. W jego zachowaniu się, w pośpiechu i w nagłych, krótkich zamyśleniach, w półuśmieszach i w marszczeniu brwi było coś, co wywoływało zabobonny strach. Wasil wiedział, że nikt tu teraz nie przyjdzie i że zdany jest na jego łaskę. Wiedział też, że żadne prośby nie pomogą, że Antoni nie odstąpi za nic od planu. Byłby może krzyczał o ratunek, lecz i na to nie mógł się zdobyć. Patrzył jak urzeczony na niezrozumiałe czynności Antoniego, na to, jak ten powrzucał różne narzędzia do wrzącej wody, jak owinał się prześcieradłem, jak ustawił na taborecie zwitki bandażów... Jak wydobył skądś postronki...

Wasilko pomyślał, że tak musi wyglądać kat, szykujący się do zadawania tortur. Toteż ogarnęło go zdziwienie, gdy nagle usłyszał nad sobą ciepły i serdeczny głos, tak różny od zwykłego tonu Antoniego.

Antoni pochylił się nad nim i mówił pogodnie i życzliwie:

— No, przyjacielu, śmiało, po męsku! Trzeba trochę pocierpieć, jeżeli chcesz być znowu dzielny, dziarskim chłopcem. Wszystko pójdzie dobrze. No, oprzyj się na mnie.

Wziął go na ręce i ułożył na stole.

— Widzisz — mówił — ja wiem, żeś odważny, że zaciśniesz zęby i ani piśniesz. Ale możesz mimo woli drgnąć i dlatego muszę cię przywiązać. Bo takie drgnięcie popsułoby mi robotę. Dobrze?

— Wiąż — szepnął Wasil.

— I nie patrz tutaj. Spoglądaj sobie na pułap albo przez okno na chmurki na niebie.

Ten spokojny głos przynosił nerwom Wasila ukojenie. Czuł, jak mocno opasują go sznury, był teraz przytwierdzony do stołu tak, że ruszyć się nie mógł. Zezując w bok zauważył jeszcze, że Antoni zakasał wysoko rękawy i długo mył ręce w parującej wodzie.

Potem zabrzęczały narzędzia, jeszcze sekunda i na prawej nodze uczuł jakby dwa szybkie dotknięcia rozpalonego drutu. Jeszcze dwa!... Ból stawał się coraz dotkliwszy. Wasił zacisnął szczęki z całej siły, do oczu napłynęły łzy. Zdawało mu się, że mijają godziny, a ból wciąż wzrastał... Wreszcie przez zaciśnięte zęby wydobyło mu się przytłumione, długie wycie:

— Aaaaa....

Nagle na zboląłą nogę spadło silne uderzenie. Ból był tak potworny, że ogniem napętnił szpik w kościach i targnął mięśniami w śmiertelnym skurczu. W oczach zawirowały srebrzyste punkciki.

„Umieram” — pomyślał i opadł bezwładnie.

Gdy odzyskał przytomność, pierwszym jego wrażeniem był smak wódki w ustach. Czuł się bezgranicznie osłabiony. Nie mógł podnieść powiek, nie mógł zdać sobie sprawy, gdzie się znajduje i co się z nim stało. Potem poczuł zapach dymu tytoniowego, a następnie zaczął rozróżniać szept. Dwaj ludzie rozmawiali. Tak, poznał głos ojca i Antoniego.

Z trudem otworzył oczy. Po chwili oswoiły się ze światłem. Naprzeciw na ławce siedział, wpatrując się weń, ojciec. Obok stał Antoni.

— Oczy otworzył — powiedział ojciec. — Synoczku, Wasilku! Bóg ma nad nami grzesznymi miłosierdzie! Niech Jego imię będzie sławione na wieki wieków! Synoczku, żyjeszże ty? Żyjesz?...

— Co nie ma żyć — Antoni zbliżył się do łóżka. — Żyje i powinien wyzdrowieć.

— To ty mnie nogi zestawiał? — szeptem zapytał Wasil.

— A jakże. I wszystko dobrze udało się. Strasznie ty je miałeś połamane, a ten doktor to jeszcze tobie szkody narobił. Teraz musisz leżeć spokojnie. Powinno wszystko zrosnąć się.

— I będę... będę chodzić?...

— Będziesz.

— Jak wszyscy?

— Tak samo.

Powieki Wasila opadły znowu.

— Zasnął — objaśnił Antoni. — Niech śpi. Sen siłę daje.

ROZDZIAŁ VII

Już tydzień później Wasilowi minęła gorączka i odzyskał apetyt. Wraz z nadzieją wrócił mu też humor. Podczas opatrunków krzywił się z bólu, ale żartował. Doglądał go Antoni sam, a gdy we młynie więcej było roboty, nad chorym czuwały kobiety.

Nie sposób było przed nimi tajemnicy dotrzymać i pewno dlatego wiadomość o operacji rozeszła się po okolicy. Ten i ów przyjaciel czy koleżka Wasila zajął po drodze, by zamienić z nim kilka słów. I baby ciekawskie przyłaziły na przeszpiegi, ot, żeby mieć o czym plotkować. Tylko Antoniego unikali i gdy kto zobaczył, że on jest w izbie, wycofywali się od razu. Tak minął październik, listopad, grudzień. W Wigilię Bożego Narodzenia Wasil zaczął prosić Antoniego, by mu pozwolił sił spróbować. Antoni jednak tylko warknął groźnie.

— Leż i ani się waż łubki ruszać! Sam powiem kiedy!

Dopiero pod koniec stycznia orzekł, iż czas opatrunków zdjąć. Cała rodzina chciała być przy tym, lecz nikogo nie wpuścił. Sam był bardzo przejęty i drżały mu ręce, gdy odwijał bandaż.

Nogi Wasila jeszcze bardziej schudły, mięśnie w nich jeszcze bardziej zwiotczały. Ale blizny zgoiły się dobrze, a co ważniejsze, znikły guzy i wykrzywienia.

Antoni ostrożnie, cał za calem, obmacywał przez cienką skórę kości. Zamknął przy tym oczy, jakby mu wzrok przeszkadzał. W końcu odetchnął i mruknął:

— Porusz palcami... A teraz ostrożnie stopami... Boli?...

— Nie, nie boli — zdyszany ze wzruszenia głosem odpowiedział Wasil.

— A teraz spróbuj zgąć kolana...

— Boję się.

— Śmiało, no!

Wasil spełnił rozkaz i ze łzami w oczach spojrzał na Antoniego.

— Mogę zgiąć! Mogę!
— Czekaj, nie za dużo. Podnieś teraz tę nogę lekko... o tak, a teraz tę...
Z wysiłkiem i drżąc na całym ciele z wrażenia Wasił wykonywał nakazane ruchy.
— A teraz nakryj się i leż. Tydzień poleżysz. Później zaczniesz wstawać.
— Antoni!
— Co?
— To znaczy... to znaczy, że... będę mógł chodzić?..
— Tak samo jak i ja. Nie od razu. Przyuczyć się musisz. Z początku jak małe dziecko na nogach nie ustoisz.

I była to prawda. Dopiero w dwa tygodnie po zdjęciu opatrunku Wasił zdołał bez pomocy laski obejść izbę dookoła. Wtedy to Antoni zwołał do przybudówki całą rodzinę. Przyszedł Prokop i Agata, i obie młode kobiety, i mała Natalka.

Wasił siedział na łóżku kompletnie ubrany i czekał. Gdy zebrali się wszyscy, wstał i obszedł izbę wolnym i słabym, ale równym krokiem. Stał w środku i zaśmiał się.

Wówczas baby wybuchły takim płaczem i takim zawoźdzeniem, jakby największe nieszczęście się stało. Matka Agata chwyciła syna w objęcia, trzęsąc się od szlochu. Tylko stary Prokop stał nieruchomy, ale i jemu po wąsach i po brodzie spływały łzy.

Gdy baby nie ustawały w wybuchach śmiechu i płaczu, Prokop skinął na Antoniego.

— Chodź ze mną.

Wyszli z przybudówki, obeszl dom i weszli do sieni.

— Dawaj swoją czapkę — rozkazał Prokop. Wziął ją i zniknął za drzwiami pokojów. Nie było go z dziesięć minut. Nagle drzwi otworzyły się. W obu rękach stary niósł czapkę. Wyciągnął ją do Antoniego.

— Masz, bierz! Same uczciwe carskie imperiały. Na resztę życia tobie starczy. Tęgo dobra, coś ty mi wyrządził, pieniędzmi nie zapłacisz, ale co mogę, to daję. Bierz!

Antoni spojrział na niego, później na czapkę: była prawie pełna małych, złotych monet.

— Co ty, Prokop?! — Antoni odstąpił o krok. — Co ty? Chyba rozum straciłeś.

— Bierz — powtórzył Mielnik.

— A po cóż mnie to?! Ja nie potrzebuję. Dajże spokój, Prokop. Czy ja dla pieniędzy?... Przez serdeczność, za twoją życzliwość! I chłopaka żal mi było.

— Weź.

— Nie wezmę — stanowczo odpowiedział Antoni.

— Dlaczego?...

— Nie zda mi się to bogactwo na nic. Nie wezmę!

— Z serca daję, Bóg widzi, że z serca. I nie żałuję.

— A ja z serca dziękuję. Dziękuję, Prokop, za twoją dobrą wolę, ale nie trzeba mi pieniędzy. Chleb mam, na tytoń i odzież zarobię, po co mi?!

Mielnik namyślał się przez chwilę.

— Daję — powiedział wreszcie — ty nie bierzesz. Twoja rzecz. Wiadomo, siłą ci nie wepchnę. Ale i tobie tak nie wolno! Cóż ty, Antoni, chcesz mnie odmówić wdzięczności? Cóż ty chcesz, żeby mi ludzie oczy wykluwali, że ja tobie za taką sprawę niczym nie odpłacił?... Nie wolno tobie tak nie po chrześcijańsku, tak nie po ludzku postąpić. Nie bierzesz złota, to przyjm co innego. Bądź gościem u mnie. Żyj z nami jak rodzony. Chcesz czasem co pomóc we młynie albo w gospodarstwie, pomagaj, nie zechcesz, nie pomagaj. Tak żyj jak u własnego ojca.

Antoni kiwnął głową.

— Dobrze mi u ciebie, Prokop, i zostanę. A darmo chleba jeść nie będę. Póki zdrowia i sił starczy, roboty nie wyrzeknę się, bo i co by bez roboty było za życie? A tobie za serce dziękuję.

Więcej też mowy między nimi o tych sprawach nie było. I wszystko zostało po staremu. Tylko przy stole matka Agata dawała teraz zawsze osobny talerz Antoniemu i najtłustsze kaski dla niego sama wybierała.

W najbliższy piątek, kiedy to zjazd we młynie był największy, Wasił wyszedł na podwórze w krótkim, nowym kożusku, w karakułowej, wysokiej czapie i w długich butach z lakierowanymi cholewami. Chodził tak jak gdyby nigdy nic na oczach wszystkich. Chłopi gębo szeroko otwierali i jeden drugiego łokciem w bok trącał, bo nikt uwierzyć

nie mógł, że to prawda, co baby opowiadały, że robotnik Prokopa Mielnika, jakiś przybysz z daleka, Antoni Kosiba, cudem z kalectwa Wasila wyleczył.

Jak głośnie przedtem było nieszczęście Wasila, tak głośnie teraz mówiono o jego wyzdrowieniu. Mówiono w Biernatach i w Radoliszkach, w Wickunach i w Nieskupej, w Pobereziu i w Gumniskach. A stamtąd wieści szły dalej, aż po zaścianki Romejków i Kuncewiczów, po wielkie wioski nad Ruczejnicą i jeszcze dalej. Tam mniej ludzie się tym zajmowali, ze względu na odległość, ale tu, pod bokiem, o nadzwyczajnym wyzdrowieniu we młynie wszyscy pamiętali.

Toteż gdy pod koniec lutego, na wyrębie w Czumskim lesie, padająca brzoza przygniotła gospodarza z Nieskupej, Fiodorczyka, sąsiedzi uradzili wieść go do młyna, do Antoniego Kosiby. Przywieźli go prawie bez duszy. Krew mu się gardłem rzucała i nawet jęczeć już przestał.

Gdy rozwalenki ciągnięte przez małego, pękatego konika stanęły przed młynem, Antoni akurat worek z otrębami niósł do świrna.

— Ratuj, bracie — odezwał się doń jeden ze starowierców. — Sąsiada nam drzewo przygniotło. Czworo dzieci małych sierotami okrągłymi zostanie, bo matkę w zeszłym roku pochowałim.

Wyszedł i Prokop, a ci do niego, by wstawił się za nimi.

— Twego syna wyleczył, niechże i Fiodorczyka ratuje.

— Nie moja sprawa, dobrzy ludzie — odpowiedział Prokop poważnie — ani mu zabronić nie mogę, ani kazać. To jego rzecz.

Tymczasem Antoni otrząpiał ręce z mąki i przyklęknął na śniegu przy saniach.

— Weźcie go ostrożnie — powiedział po chwili — i nieście za mną.

Po wyzdrowieniu Wasila Antoni już na stałe pozostał w przybudówce. Tam było mu wygodniej, a i tak pusta stała. Tam też zaniesiono Fiodorczyka.

Do wieczora Antoni zajmował się nim, a wieczorem poszedł do izby, gdzie czekali chłopci nieskupscy.

— Dzięki Bogu — powiedział — wasz sąsiad mocny mężczyzna i grzbiet został cały. Tylko sześć żeber mu złamało i obojczyk. Zawieźcie go do domu i niech leży, póki krwią płuć nie przestanie. Jak tylko mu na kaszel się zbierze, niech lód łyka. Gorącego mu nic nie dawajcie. Tak samo ręką lewą niech nie rusza. Zgoi się. Za dni dziesięć niech po mnie kto przyjedzie, to sam zobaczę.

— A nie umrze?

— Ja nie prorok — Antoni wzruszył ramionami — ale myślę, że jeżeli zrobicie wszystko, jak mówię, to wyżyje.

Zabrali Fiodorczyka i odjechali. Nie minęło jednak dni dziesięć, a z tejże Nieskupej przywieźli nowego pacjenta. Parobek jednego z gospodarzy przy rąbaniu lodu na rzece pośliznął się przy zamachu i rozwalil sobie siekierą stopę niemal do kostki. Czy siekiera była zardzewiała, czy z łapcia jakieś paskudztwo do rany weszło, dość iż noga w oczach czerniała. Sam ranny zdawał sobie sprawę z tego, że to gangrena.

Antoni tylko pokręcił głową i mruknął:

— Ja tu już nie pomogę. Noga przepadła.

— Ratuj choć życie! — błagał biedak.

— Trzeba nogę obciąć tu, w tym miejscu — Antoni wskazał nad kolanem. — Kaleką na całe życie zostaniesz i jeszcze mnie będziesz przeklinać. Jeszcze powiesz, że był sposób.

— Przysięgam, bracie, ratuj życie. Toż sam widzę czarne plamy. Gangrena.

— Jak chcesz — zgodził się po namyśle Antoni.

Operacja była nader bolesna i osłabiła chorego tak, że przez kilka dni nie było mowy o zabraniu go do domu. Jednak życiu jego już nic nie groziło.

Po tych wypadkach sława Antoniego Kosiby wzrosła jeszcze bardziej. Zaczęli niemal codziennie zjawiać się chorzy z różnymi dolegliwościami. Temu oczy zaropiały, że światła bożego nie widział, drugiego w kościach łamało, trzeci narzekał na kolki, inny dusił się kaszlem. Bywali i tacy, którzy sami nie wiedzieli, co im jest, słabowali i tyle.

Antoni nie wszystkim pomagał. Niektórych od razu odsyłał, mówiąc, że na ich chorobę nie ma lekarstwa. Innym kazał rozmaicie: a to worek z gorącym piaskiem do brzucha przykładać, a to soli nie sypać do jadła i mięsa nie jeść, a to wywary z różnych ziół pić.

I tak jakoś się składało, że kto od niego z poradą wyszedł, zawsze do zdrowia wracał, a jeśli i nie całkiem, to chociaż ulgę w cierpieniu miał.

Było w okolicy kilku znachorów. W Pieczkach u hrabiego Zantofta stary owczarz umiał różę zamawiać i ból zębów tak samo, a i w innych chorobach rozumiał się też. Jedna baba, Bielakowa z kolonii Nowe Osiedle, знаła sposób na liszaje i na szczęśliwy poród; zakrystian w Radoliskach robaki wypędzał i na krwotoki pomagał. Ale wszyscy oni kazali mówić jakieś modlitwy albo tajemnicze zaklęcia, wykonywali nad chorym jakieś znaki lub dawali im amulety.

Natomiast ten nowy znachor, Antoni z młyna, nic takiego nie robił. Popytał, popatrzył, pomacał, później jak błędny chodził po izbie, czoło gwałtownie pocierał, oczami przewracał i potem od razu mówił, jak cierpienie leczyć.

W okolicy dużo spierano się w sprawie, który znachor ma lepszy sposób leczenia. Pod jednym wszakże względem Antoni Kosiba przewyższał wszystkich: nie brał pieniędzy. Gdy chorzy przynosili oselkę masła, kuraka, torbę bobu, zwitkę domowego płótna lub wańtuszek wełny, przyjmował to, dziękując krótkim mruknięciem, gdy nie przynosili nic, leczył ich tak samo. Czasami biedniejszym rozdawał to i owo, a reszta i tak szła do spiżarni Mielnikowej. Sam Antoni niewiele potrzebował dla siebie: ot, aby starczyło na palenie, na parę juchtowych butów i na jaki taki przyodziewek. Na to wystarczał zaś jego zarobek we młynie, bo pracy bynajmniej nie porzucił, chociaż Prokop tak z wdzięczności za syna, jak i przez wzgląd na to, co Antoni im oddawał, sam go do tego namawiał.

A tymczasem napływ pacjentów rósł. Zdarzały się już nawet takie dni, gdy Antoni nie mógł urwać ani godziny na robotę. Pod jego drzwiami stało po dziesięć i więcej furmanek z obłożnie chorymi. Tacy, co się czuli jeszcze na siłach, przychodzili piechotą, chyba że przybywali z daleka, bo i takich zdarzało się sporo.

W alkierzu, w sionce i w samej izbie, po kątach, wyrastały istne stosy podarków, bo matka Agata godziła się brać jeno to, co do pożywienia, natomiast płótno, wełnę, len, skóry baranie i cielęce, pierze, a przede wszystkim zioła, na które to jedynie łapczywy był Antoni, leżały na kupie.

— Śmieci tu u ciebie jak w kotuchu — mówiła szerokobiodra Zonia, podpierając się pod boki — a wszelkiego dobra jak u Żyda za piecem. Powiedziałbyś, to ci uprzątnęłabym... Podłogę też wyszorować trzeba...

— Niech tam — machnął ręką. — Mnie i tak dobrze.

— Okna umyć też warto — dodawała.

— Obejdzie się.

— Mężczyzna bez opieki jak ogród bez płotu.

Antoni milczał w nadziei, że gdy nic nie odpowie, Zonia jak zwykle postoi, postoi, a potem zabierze się i pójdzie. Lubił ją nawet, cenił jej życzliwość, ale wolał być sam.

Zonia jednak tym razem nie ustępowała.

— Chłop z ciebie, Antoni, zaradny. Tylko swojej korzyści nie umiesz patrzeć. Ho, ho, jakie bogactwa mógłbyś zebrać, żebyś zechciał. Tyle narodu przychodzi do ciebie. Pomagać chorym to, owszem, chrześcijańska rzecz, jak biednemu to i za darmo, ale aż wewnętrznosci we mnie przewracały się, żeś od takiego na przykład bogacza jak Dulejko z Bierwiatów tylko półkożuszek wziął. On by ci krowę dał, jakbyś zażądał. Pieniądze wielkie mógłbyś zebrać.

— Niepotrzebne mi pieniądze — wzruszył ramionami. — Ja i tak głodu nie cierpię, a nie mam dla kogo zbierać.

— A to twoja wina.

— Niby co?

— Że nie masz dla kogo. Powinieneś mieć swoją babę. I dzieci.

— Stary już jestem — mruknął wymijająco.

Zonia wyszczerzyła zęby.

— Taki ty i stary. Niejedna poszłaby za ciebie.

— Obejdzie się.

— Ja sama poszłabym. Prawdę mówię. Poszłabym.

Antoni prędko odwrócił się od niej i mruknął:

— Zostaw te głupstwa.

— A dlaczego głupstwa?... Nie bój się. Miesiąc nie minie, żeby kto do mnie nie swatał się. Już taka ostatnia nie jestem, choć wdowa. W zeszłą niedzielę sam widziałeś, przyjechali z Wickunów stary Baran i sadownik Siwek. Chcieli mnie dla młodego Miszczonka. A ja nic, choć on i młodszy ode mnie i całą włókę po ojcu dostanie. A ja nic. Nie takiego ja chcę męża. A za ciebie pójdę i tylko słowo powiedz. I żebyś wiedział, że sam Prokop rad by...

— Nie mnie żenić się, Zoniu...

— Nie podobam się tobie?

— Co tam podobanie. Żadna mi się nie podoba, bo ja nie do żeniaczki.

— Niby dlaczego?

— A ot, tak.

— Baba ci potrzebna. Może nie?

— A nie.

— No, to niech cię cholera weźmie! — wybuchła niespodziewanie Zonia. — Żebyś na górze stał i słońca nie baczył! Żeby cię trasca mordowała! Żebyś w wodzie siedział i pić chciał! Widzisz go! Takiś nieużyty?... Takiś zawzięty?... Dobrze, dobrze! Popamiętam to sobie! Tfu!

I wylatywała czerwona z gniewu, trzaskając drzwiami. Ale nazajutrz nic w niej gniewu nie zostawało. Znowu pieczółowicie dolewała mu zupy, herbatę nalewała mocniejszą niż innym i szczyrzyła równe, białe zęby.

Poza Zonią nikt z rodziny młynarza do Antoniowej przybudówki nie zaglądał, wyłazczywszy oczywiście małą Natalkę. Natalka dzień i noc siedziała tu, gdyby tylko mogła. Przywiązała się bardzo do Antoniego.

Któregoś dnia powiedziała mu:

— Ciotka Zonia coraz więcej się stroi. Wczoraj na jarmarku czerwoną bluzkę kupiła. I mydło pachnące kupiła. I trzewiki na takich wysokich obcasach...

— To i dobrze.

— Ale ja wiem, dlaczego ona się stroi.

— Bo baba, a baby lubią stroić się.

— Nie — Natalka potrząsnęła głową. — Ona dlatego, że chce z tobą żenić się.

— Nie gadaj byle czego — ofuknął ją.

— To nie ja, ale Witalis mówił. I babcia też.

— Głupstwa mówili.

Dziewczynka klasnęła w ręce.

— Prawda?... Prawda?...

— No pewno, że głupstwa, a ty czego się cieszysz?

— Bo ja wiem, dlaczego ty nie chcesz ciotki Zoni. Ty ożenisz się ze mną, jak dorosnę.

— Na pewno, na pewno — pogładził ją po włosach i uśmiechnął się.

— Ożenisz się?

— Tylko dorośnij.

Z nią jedną lubił rozmawiać i tylko do niej uśmiechał się czasami. Polubił Natalkę serdecznie. Toteż ilekroć zdarzały się jej ataki padaczki, martwił się bardzo i obiecywał sobie zaraz na wiosnę wybrać się do lasu na poszukiwanie tych ziół, które mogły ją wyleczyć. W całej okolicy, gdzie na sprzedaż albo na własny użytek ludzie zbierali rumianek, walerianę, miętę, kwiat lipowy, wrotycz, bielinę, sporysz, liście brzoźowe, główki maku samosiejki, dzięgiel, piołun, babkę, wilcze jagody, cząbry, czarną różę i rozmaite inne zioła, o to jedno nie mógł się dopytać. Nazwy jego ani rusz przypomnieć sobie nie mógł, a chociaż opisywał, jak to ziele o małych, ostrych listeczkach wygląda, nikt go objaśnić ani o nazwie, ani o tym, czy w tutejszych lasach się znajdzie, nie umiał.

Pewnego razu wybrał się nawet do apteki w Radoliszkach w nadziei, że tam dostanie. Aptekarz jednak, zniecierpliwiony długimi objaśnieniami i tym, że sam takiego ziele nie zna, wyprosił Antoniego za drzwi. Wypraszał zaś tym chętniej, że im więcej w pobliżu miasteczka gnieździło się znachorów, tym mniejszy był obrót w aptecce. Powodzenie, jakim cieszył się znachor w pobliskim młynie, zarówno miejscowemu lekarzowi, doktorowi Pawlickiemu, jak i aptekarzowi było solą w oku. Powodzenie zaś miało już zbyt wielki rozgłos, by nie odbierało im pacjentów nawet z samego miasteczka.

Kiedy podczas marcowych roztopów ludzie więcej zaczęli chorować, a doktorowi Pawlickiemu nie przybywało pacjentów, po radzie z aptekarzem postanowił działać. Napisał obszerne doniesienie do starosty i do lekarza powiatowego, uskarżając się na wzmagającą się plagę znachorów, i prosił o urzędowe wdrożenie kroków celem itd. Urzędowanie jednak szło wolnym trybem i odpowiedź nie przychodziła. Tymczasem zaś zaszedł wypadek, który doprowadził doktora Pawlickiego do furii. Mianowicie któregoś dnia przysłano po niego konie z Kluczewa. Dziedzic Kluczewa, pan Kijakowicz, cierpiał na kamienie nerkowe i często wzywał lekarza. Bryczka z Kluczewa zjawiała się zwykle najwcześniejszym rankiem. Było to skutkiem ustalonych przyczyn. Pan Kijakowicz wieczorem miał sąsiadów na brydżu, nie umiał powstrzymać się od wypicia paru kieliszków, w nocy jak amen w pacierzu przychodził atak, o świcie zaś stangret Ignacy wyruszał parą najszybszych kasztanów po pana doktora.

Tym razem zjawił się dopiero po południu. Toteż doktor Pawlicki, usadowiwszy się już w bryczce, zaczął rozpytywać, co zaszło. Poczciwy Ignacy, nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, co mówi i do kogo, albo pragnąc umyślnie sprawić doktorowi zawsze zapominającemu o napiwkach przykreść — wszystko opowiedział szczerze. Okazało się, że wysłano go jak zwykle świtanie, ale nie po pana doktora, tylko po owego znachora, Antoniego Kosibę, co u Mielnika pod miasteczkiem mieszka.

— Jak to? — zachnął się doktor. — Wysłano was po znachora?

— Po znachora.

— Widać panu Kijakowiczowi pilno na tamten świat.

— Pilno to mu niepilno. Bo powiadają, że ten znachor, jak kogo leczy, to jakby ręką odjął.

Lekarz wybuchnął:

— Co za ciemnota! Co za ciemnota! Czyż nie rozumiecie, że zwykły dureń, który nie tylko o medycynie, lecz nawet o anatomii nie może mieć pojęcia, to niebezpieczeństwo dla ludzkiego życia?

— Ja tam rozumiem — bąknął stangret.

— Zaraz wam wytłumaczę. Przypuśćmy, że wam najlepszy koń zachoruje. To do kogo pójdziecie? Do weterynarza czy do pierwszego lepszego głupca, co nie odróżni, gdzie u konia ogon, a gdzie głowa?

Ignacy zaśmiał się.

— Kto by tam nie odróżnił... A po co ja mam przypuścić do tego, żeby mi koń zachorował?... Jeżeli człowiek o konia dba, a koń dobry, to po cóż mam przypuścić do choroby, na psa urok.

Doktor Pawlicki machnął ręką, po chwili jednak odezwał się znowu:

— A widzicie, samiście mieli dość rozsądku, żeście nie jeździli po tego znachora, tylko po mnie.

— A co miałem robić? Jakbym z pustą bryczką przyjechał, to pan dziedzic dałby mi po mordzie. Toteż biorę na rozsądek i myślę: tamten nie chce, to pojedę po pana doktora.

— Kto nie chce?

— A ten... znachor od Mielnika.

— Jak to nie chce?

— Bo on nie chciał. Ja, powiada, czasu nie mam po waszych dziedzicach jeździć, powiada. To nie widzisz, powiada, ile ludzi chorych czeka?... Tak mówi, a ja patrzę, rzeczywiście narodu kupa. Niczym na rynku w czwartek. To ja do niego, że dziedzic, mówię, zapłaci ci więcej, jak one wszystkie tu zebrane, tylko, wiadomo, żeby mu pomógł. To on powiada: Jak dziedzic jest chory, to niech przyjedzie jak inni. A pieniędzy nie potrzebuje... Co miałem robić?... Zawróciłem i koniec. Sam przecie wiem, że on pieniędzy nie bierze.

— Ale produkty bierze — zawołał Pawlicki.

— Nie, produktów też nie bierze! Ot, masło, jajka czy kielbasy. Nie jest chytry.

Lekarz zacisnął szczęki. Przybywszy do majątku, nie robił nawet wyrzutów panu Kijakowiczowi, ale w powrotnej drodze kazał Ignacemu zboczyć do młyna.

Przed młynem, a raczej na dziedzińcu, koło przybudówki stało kilkanaście furmanek. Wyprężone konie flegmatycznie skubały siano. Na wozach leżeli chorzy. Siedmiu czy ośmiu chłopów siedziało na belkach pod chlewem, paląc papierosy.

— Gdzie jest ten... znachor? — zawołał doktor Pawlicki.

Jeden z chłopów wstał i wskazał ręką drzwi.

— W izbie, panoczku!...

Lekarz wyskoczył z bryczki i pchnął drzwi. Już w sionce uderzył go przykry zapach juchtowej skóry, dziegiu i kiszzonej kapusty. W izbie zaduch był nie do zniesienia. Stosy rupieci i brud pokrywający podłogę, szyby w oknach i wszystkie sprzęty... Nie zawiodło to przewidywań lekarza. Pod ścianą siedziała baba z wyraźnymi objawami żółtaczki. Ogromny, barczysty brodac z siwiejącym uwłosieniem stał pochylony nad stołem i mieszał jakieś suszone zioła na brudnej chustce.

— To wy jesteście znachor? — ostrym tonem zapytał doktor Pawlicki.

— Ja jestem robotnik we młynie — odpowiedział krótko Antoni, rzuciwszy niechętnie spojrzenie na przybysza.

— Ale ośmielacie się leczyć! Trujecie ludzi! Czy wiecie, że za to jest kryminal?! —

— Czego pan chce i kto pan taki? — spokojnie zapytał znachor.

— Jestem lekarzem, doktorem medycyny. I nie wyobrażajcie sobie, że będę przez palce patrzeć na to, jak wy zatruwacie ludność.

Znachor skończył z ziołami, zawiązał je w chustce i podając tobolek kobiecie powiedział:

— Dwie szczypty na kwartę wody, tak jak mówiłem. I pić gorące. Na czczo połowę i wieczorem połowę. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— To i z Bogiem.

Babina podziękowała i stękając wyszła. Znachor usiadł na ławie i zwrócił się do lekarza:

— Kogóż to ja otrulem, panie?

— Wszystkich trujecie!

— Nieprawda, panie. Ani jeden nie umarł.

— Nie umarł? Ale umrze! Powoli zatruwacie ich organizmy. To jest zbrodnia! Rozumiecie? Zbrodnia! I ja do tego nie dopuszczę! Nie mam prawa tego tolerować. W takim brudzie, w takim smrodzie! Na samych waszych rękach jest więcej zarazków niż w szpitalu zakaźnym!

Obejrzał się ze wstrętem.

— Pamiętajcie, co wam zapowiadam: jeżeli nie zaprzestaniecie waszej zbrodniczej praktyki, wsadzą was do więzienia!

Znachor nieznacznie wzruszył ramionami.

— Cóż na to poradzę! Ja nic złego nie robię. A więzienie? Cóż, więzienie też jest dla ludzi, nie dla psów. Ale niech pan doktor na mnie się nie gniewa.

— Ja was tylko ostrzegam! I radzę zaprzestać. Radzę!

Pogroził mu palcem i wyszedł. Z rozkoszą odetchnął świeżym powietrzem. Ignacy z kozła rzucił w jego stronę ironiczne spojrzenie. Doktor Pawlicki już się usadowił na bryczce, gdy na progu młyna zobaczył Wasilą, swego dawnego pacjenta. Wasil musiał nań czekać, bo uklonił się i podszedł do bryczki.

— Dzień dobry panu doktorowi.

Szedł pewnym krokiem, a teraz stał prosto. Stał i patrzył wprost w oczy doktorowi.

— Widzi pan doktor, wyzdrowiałem — powiedział chępliwie. — Dzięki Bogu, wyzdrowiałem. Antoni wyleczył. A pan doktor mówił, że dla mnie nie ma nadziei. Na całe życie kaleką chciał mnie pan doktor zostawić.

— W jaki sposób was wyleczył? — z nieukrywanym gniewem zapytał lekarz.

— A bo on od razu poznał, że kości były źle zestawione. To połamał i na nowo zestawiał. Teraz i choćby tańczyć mogę.

— No... no, to winiszuję — mruknął doktor i zawołał do stangreta — Jazda!

Przez całą drogę gryzły go niedobre myśli. Gdy przyjechał do domu, było już po obiedzie. Rodzina jednak powróciła do stołu, by mu towarzyszyć przy jedzeniu. Szybko polykał wyschniętą pieczeń, starając się nie dać poznać po sobie, że mu nie smakuje. Stara Marcysia, która go przed trzydziestu laty uczyła chodzić, dreptała zaaferowana. Ojciec tęsknie spoglądał na gazetę, którą mu zaczęła czytać Kamila. Przed trzema tygodniami stłukł sobie okulary, a na nowe nie było. Kamilka miała na sobie zrudziałą suknię, w której wyglądała żałośnie i staro, matka usiłowała miłym uśmiechem pokryć wyraz cierpienia,

który przyłgął jej do twarzy. Miesiąc kąpeli borowinowych przywróciłby jej zdrowie na długi czas.

„Boże, Boże — myślał doktor Pawlicki, jedząc kompot z rozgotowanych jabłek. — Kocham ich przecie, na wszystko jestem dla nich gotów, ale patrzeć co dzień, co godzina na ich nędzę, to przechodzi moje siły”.

Zdawało mu się, że z każdego ich gestu, z każdego słowa, że z każdego kąta tego ubożego mieszkania padają pod jego adresem gorzkie wyrzuty. Ileż to nadziei wiązali oni z jego przyszłością, z praktyką, z dochodami. A oto siedzą już przecie rok w tej zapadłej dziurze i ledwie może zarobić na skromne utrzymanie. Gdyby mógł stąd wyrwać się! Nie bał się trudów. Pojechałby bodaj do Afryki czy do Grenlandii. Ale przecież oni wszyscy pomarliby tu z głodu. Czuł, wiedział, że na szerokim świecie czekało go powodzenie, kariera, pieniądze i wiedział równie dobrze, że nigdy nie zdobędzie się na krok stanowczy. Był niewolnikiem swoich uczuć, szczerych i głębokich. Te uczucia przykuły go do nich, do rodziców, do siostry, a nawet do starej Marcysi, przykuły niczym łańcuchy, przykuły do małego, drewnianego domku w małym, nędznym miasteczku... I im bardziej zapadał się w grzęzawisko tej beznadziejnej roślinności, tym tkliwiej, tym staranniej unikał zdradzenia się ze swoją rozpaczą przed bliskimi. Jakże wdzięczny był im za to, że oni również niczym nie okazywali doznanego zawodu. Bolały go jednak ich myśli, te myśli, które przecie na pewno musiały w nich żyć. One to w sposób tajemniczy przenikały wszystko w tym domu, napępniały powietrze beznadziejnym smutkiem, którego rozproszyć nie mógł najlepiej udawany śmiech, najgłośniejsze manifestowane zadowolenie.

— Byłem u tego znachora — zaczął Pawlicki. — Powiedziałem mu kilka słów prawdy i poradziłem, by w porę porzucił swoją praktykę.

— Czy to prawda — odezwała się Kamilka — że on ma tylu pacjentów?

— Tylu? — zaśmiał się. — Gdybym miał dziesiątą część tego, gdybym miał...

Nie dokończył i zagryzł wargi.

Matka zaczęła szybko, bardzo szybko mówić o kotce Basi, że gdzieś się zawieruszyła, o tym, że w środę są imieniny u Koźlickich, o krowie proboszcza, która daje wyjątkowo dużo mleka.

Lecz Pawlicki nie słyszał tego. Nurtowało w nim coraz bardziej, krew pulsowała w skroniach. Niespodziewanie odsunął od siebie z rozmachem niedopitą szklankę herbaty i zerwał się.

— A wiecie, dlaczego on ma więcej pacjentów? — zawołał. — Czy wiecie?...

Spotkał ich wystraszone spojrzenie, lecz nie mógł zapanować nad sobą.

— Bo on umie leczyć, a ja nie umiem!

— Jurku! — jęknęła matka.

— Tak! Tak! Nie umiem!

— Co ty wygadujesz!

— Pamiętacie tego młynarczyka, co miał połamane nogi? Pamiętacie?... Otóż ja mu je źle zestawilem. Tak, źle. Nie umiałem tego zrobić, a ten znachor zrobił to!

Ojciec położył mu rękę na ramieniu.

— Uspokój się, Jurku. Przecież to ci nie przynosi żadnej ujemy. Nie jesteś chirurgiem. A jako internista nie masz obowiązku znać się na... nieswojej specjalności.

Doktor Pawlicki zaśmiał się.

— Oczywiście! Oczywiście! Nie jestem chirurgiem. Ale ten znachor też, do diabła, nim nie jest. Jest zwykłym chłopem! Jest zwykłym parobkiem u młynarza!... Ale już mam tego dość! Wszystko mi jedno! Nie pozwolę się zgłodzić! Zobaczycie! Zobaczycie, że i ja potrafię walczyć!

Wyszedł, trzasnawszy drzwiami...

ROZDZIAŁ VIII

W miasteczku Radoliskach, tam gdzie zbiega się wąska uliczka, nosząca nazwę ulicy Napoleona, z Drugim Rynkiem, ochrzczonym imieniem placu Niepodległości, stoi jednopiętrowa kamieniczka z czerwonej cegły, a w niej na parterze mieszczą się cztery sklepiki.

Największy z nich i najokazalszy jest sklepik narożny, własność pani Michaliny Szkopkowej. W sklepiu są do nabycia materiały piśmienne, znaczki stemplowe i pocztowe, nici, wstążki, guziki, słowem norymberszczyzna oraz tytoń i papierosy.

Ilekc Antoni Kosiba przychodził do Radoliszek, właśnie w sklepiu pani Szkopkowej zaopatrywał się w tytoń, gilzy i zapalki a także kupował tu jedwabne nici..

Sama pani Szkopkowa rzadko siadywała w sklepie. Najczęściej w czwartki, jako w dni targowe. Zwyczajnie w domu miała zajęcia po uszy przy czworogu dzieciach i przy niezłym gospodarstwie. W sklepie wyręczała się młodą dziewczyną, sierotą, która za mieszkanie, wikt i za dziesięć złotych miesięcznie spełniała obowiązki sprzedawczyni uczciwie i sumiennie.

Pani Szkopkowa umiała ocenić i inne jej zalety, a przede wszystkim to, że Marysię lubili kupujący. Lubili, bo była dla każdego grzeczna, uśmiechnięta, życzliwa, a przy tym co się zowie ładna. Niejeden z porządniejszych klientów, co tu ukrywać, specjalnie po to wstępował do sklepu pani Szkopkowej, by pogawędzić z Marysią, pożartować i pomizdrzyć się do niej. Pan prowizor z apteki, sekretarz gminy, siostrzeniec księdza proboszcza, ziemianie z okolicy, inżynierowie z fabryki — żaden z nich nie pominął okazji, by wstąpić po paczkę papierosów czy po pocztówki.

— A ty, Maryńka, uważaj — mówiła pani Szkopkowa. — Na byle kogo albo na żonatych nie zwracaj uwagi, ale jak się trafi odpowiedzialny kawaler, co w tobie upodobanie znajdzie, ty z nim mądrze politykuj. Z takich rzeczy to i małżeństwo wyjść może.

Marysia śmiała się.

— Mam czas.

— Czasu nam, kobietom, w tych sprawach zawsze mało. A ty już musi być niedługo dwadzieścia lat skończysz. To i czas! Ja w twoim wieku już trzyletniego syna miałam. Tylko byle kim głowy sobie nie zawracaj i za wysoko nie sięgaj, bo sparzysz się. Ja ci mówię!... Na przykład z tym to paniczem na motocyklu! Jeździ to on, jeździ, ale ożenić się z tobą to ani mu w głowie. Znam ja takich! Znam! Oczy przewraca, za rączkę łapie, wzdycha, a potem... obraza boska! Nie napytaj sobie nieszczęścia.

— Ale co też pani mówi! — śmiała się Marysia. — Ani mi na myśl nie przyszło coś podobnego.

— No, no! Jego ojciec to wielki pan. Właściciel majątku i fabryki. Syna z jaką hrabianką ożeni. Zapamiętaj to sobie.

— Oczywiście. Ja też nic. Co pani sobie do niego upatrzyła? Już jeżeli do kogo z klientów — dodała żartem — robię oko, to do tego starego znachora z młyna.

Była to prawda. Marysia rzeczywiście lubiła Antoniego Kosibę. Była przede wszystkim zadowolona jego fachem. W miasteczku cuda o nim opowiadano. Mówili, że kogo ręką dotknie, choćby umierającego, uzdrawia, że diabłu duszę sprzedał, inni znowuż, że od Matki Boskiej Ostrobramskiej taką moc otrzymał; gadano, że darmo leczy, że nawet zna takie zioła, które dość wypić, by pokochać tego, kto je podał.

A poza tym był zawsze smutny, milczący i miał takie dobre oczy.

I zachowywał się inaczej niż inni prości ludzie. Nie pluł na podłogę, nie kłął, nie przebierał w towarzysz. Przychodził, zdejmował czapkę, mówił krótko, czego chce, płacił, bąknął:

— Dziękuję panience — i wychodził.

Tak było do pewnego marcowego dnia, kiedy to niespodziewanie lunął deszcz. Znachor właśnie był w sklepie, kiedy lunęło na dobre.

Spojrzał przez okno i zapytał:

— Chyba panienka pozwoli mi tu zostać, póki deszcz nie przejdzie...

— Ależ, proszę pana. Oczywiście. Niech pan usiądzie.

Wybiegła zza lady i podsunęła mu krzesło.

— Któż by na taki deszcz — dodała. — A panu to nawet daleko. Suche nitki na panu nie zostałyby, nim doszedłby pan do młyna.

Wówczas uśmiechnął się.

— To panienka wie, że ja z młyna?

— Wiem — kiwnęła głową. — Pan jest znachorem. Przecie tu wszyscy pana znają. Ale pan chyba nie z tych stron pochodzi, bo pan ma inny sposób mówienia, inny akcent.

— Jestem z daleka, z Królestwa.

— Moja mamusia też pochodziła z Królestwa.

— Pani Szkopkova?

— Nie, moja mamusia.

— To pani nie jest córką właścicielki sklepu?

— Nie. Pracuję tu.

— A mamusia gdzie?

— Umarła. Przed czterema laty... na gruźlicę.

W jej oczach zjawiły się łzy, a po chwili dodała:

— Gdyby pan wówczas był w naszej okolicy, może by pan ją wyleczył... Biedna mamusia. Nie takiego losu spodziewała się dla mnie. Ale niech pan nie myśli, że ja narzekam. O nie! Pani Szkopkova jest dla mnie bardzo dobra. I ostatecznie niczego mi nie brakuje... Chyba książek i... pianina.

— A ojciec panienki?

— Ojciec był leśniczym, w dobrach księżnej Dubancew. W Puszczy Odrynieckiej. Ach, jak tam było pięknie! Ojciec tam umarł. Byłam wtedy małą dziewczynką... Zostałyśmy z mamą same. Biedna mamusia musiała bardzo ciężko pracować. Zarabiała szcieniem, lekcjami muzyki. Najpierw mieszkaliśmy w Brasławiu, później w Święcianach, a pod koniec tutaj, w Radoliszkach. Tu mamusia umarła i ja zostałam samiotka jedna na świecie. Zaopiekował się mną poprzedni ksiądz proboszcz, a gdy wyjeżdżał na inną parafię, opiekę przekazał pani Szkopkovej. Nie brak dobrych ludzi na świecie. Ale zawsze ciężko jest nie mieć nikogo naprawdę bliskiego.

Znachor pokiwał głową.

— I ja to wiem.

— Pan też nie ma rodziny?

— Też.

— Nikogo?

— Nikogo.

— Ale pan przynajmniej ma to, że ludzie pana kochają, bo pan ich ratuje. To musi dawać dużą satysfakcję, pomaganie bliźnim, usuwanie ich cierpień. Człowiek wówczas czuje się naprawdę potrzebnym, pożytecznym. Niech się pan ze mnie nie śmieje, ale od dzieciństwa marzyłam, że kiedyś zostanę lekarką. Gdyby mamusia żyła... Byłam już przygotowana do egzaminu do szóstej klasy i miałam jechać do gimnazjum do Wilna.

Uśmiechnęła się smutno i machnęła ręką.

— Ach, co tam!

— To panienka jest wykształcona?...

— Chciałabym nią być. Ale teraz już za późno. Dziękuję Bogu i za to, że dał mi przynajmniej chleb.

Na ładzie była rozłożona jakaś kobieca robótka: serwetka w barwne kwiatki. Dziewczyna sięgnęła po nią i zaczęła haftować.

— A nawet na sukienki i na różne fatalaszki mogę zarobić. Widzi pan, haftuję. To dla pani Hermanowiczowej z Piasków.

— Ładnie pani haftuje.

— Mamusia mnie nauczyła.

Gawędzili sobie jeszcze z pół godziny. Gdy deszcz ustał, znachor pożegnał się i poszedł. Od tego dnia jednak coraz częściej chodził do sklepiu Szkopkovej i przesiadywał tam przy rozmowie dłużej. Pannę Marysię bardzo polubił. Samo patrzenie na nią, na jej żywą twarzyczkę, na jej delikatne ręce, na jasne, gładko zaczesane włosy, sprawiało mu wielką przyjemność. Głos miała jasny i dźwięczny, jej duże, niebieskie oczy patrzyły serdecznie, a przy tym odczuwał wyraźnie, że i ona go lubi.

Pracy w młynie, jak zwykle na przednówku, było mało. Zaczęły się wiosenne roboty w polu, ludzie na chorowanie i na leczenie się nie mieli czasu. Tedy i pacjenci nie najeżdżali już tak masowo. Toteż Antoni co drugi, co trzeci dzień chodził do miasteczka. Nie prosił już nikogo o załatwienie dlań zakupów, co oczywiście zwróciło uwagę rodziny Prokopa Mielnika.

— Coś ciebie ciągnie do Radoliszek — z przekąsem mówiła Zonia.

— Co ma ciągnąć — żartował Wasil. — On pewno tam do baby chodzi.

— Idźże ty, mądry — mruczał Antoni niechętnie.

Że jednak na wsi nic ukryć się nie zdoła, wkrótce tedy wszyscy wiedzieli, że Antoni wciąż przesiaduje w sklepie pani Szkopkowej.

— No, cóż — wzruszył ramionami Prokop, gdy mu Zonia to powiedziała — rzecz męska. Szkopkowa jest baba jak się patrzy. Nie stara jeszcze i pieniądze ma. I kupcowa. A ty co nos wsadzasz, gdzie ciebie nie posieli.

Pewnego dnia do młyna zajechał wędrowny handlarz. Rozpakował toboły, a cała rodzina zebrała się nad ich zawartością w podziw. Czego tam nie było! I płótna cieniutkie, fabryczne, i perkale, kolorowe, i torebki skórzane, miejskie, i bransoletki, i paciorki różne. Całe bogactwo.

Kobiety, piszcząc i dysząc z zachwyty, oglądały wszystko, przymierzały, macały. I targowały się zawzięcie, a targ był tym trudniejszy, że handlarz nie tylko pieniędzmi zapłatę brał, ale tak samo lnem, wełną, suszonymi grzybami czy miodem.

Antoni przyglądał się temu z daleka, gdy jednak baby uspokoiły się wreszcie, zajrzał i on do tobołów. Niedługo w nich się grzebał. Wybrał kupon surowego jedwabiu na sukienkę i srebrną, szeroką bransoletkę z powprawianymi zielonymi szkiełkami. Dużo motków lnu i tęgich wańtuch wełny musiał dać za to handlarzowi.

Zonia aż wypieków dostała, obserwując tę transakcję. Nie wątpiła, że to dla niej. Natomiast Olga przekonana była, że Antoni kupił to dla małej Natalki.

Myliły się jednak obie. Znachor nazajutrz koło południa wyruszył do miasteczka z zawiniątkiem pod pachą. Obie widziały go przez okno i Zonia, jako bardziej zapalczywa, zaczęła kłać:

— Dla tej starej ropuchy, dla tej krowy! A żeby on nogi połamał.

Tymczasem Antoni cały i zdrów dotarł do miasteczka. Ponieważ w sklepie, co stwierdził, zajrawszy przez okno, była jakaś pani, zaczekał, aż wyszła i dopiero wszedł. Panna Marysia powitała go jak zwykle serdecznie:

— Śliczna pogoda, stryjciu! Ciepło, jakby to już było lato.

Nazywała go stryjciem, nie wiadomo dlaczego. Tak jakoś jej to przyszło do głowy. Inne młode dziewczęta w okolicy bały się Antoniego, ona zaś nie odczuwała żadnego strachu. Przeciwnie, wierzyła w jego dobroć i z oburzeniem protestowała, ilekroć ktoś dawał do zrozumienia, że znachor z młyna ma na usługach diabła.

— Kto ze złym duchem ma do czynienia — mówiła — ten krzywdzi ludzi i żyje nieuczciwie. A o nim nikt nic niedobrego powiedzieć nie może.

Nie ma żadnych przyczyn, dla których jedna istota ludzka do drugiej odczuwa sympatię. Przychodzi to skądś, z powietrza czy z zewnątrz. I Marysia nie wiedziała, dlaczego polubiła znachora. Dość, że cieszyła się, ilekroć zajrzał do sklepu. Tego dnia zaś cieszyła się tym bardziej, że miała doń prośbę.

— Jak to dobrze, że stryjcio Antoni przyszedł — mówiła uśmiechnięta. — Chcę stryjcia naciągnąć...

— Jak to naciągnąć, panienko?

— A proszę mi obiecać, że stryjcio spełni, gdy o coś poproszę.

Pogładził brodę i spojrzał jej w oczy:

— Wszystko, co będę mógł.

— To bardzo dziękuję! Tu na Kościelnej mieszka pewna staruszka. Bardzo biedna. Otóż w ostatnich czasach nogi jej tak obrzękły, że wcale chodzić nie może. Błagała mnie, żeby stryjcia poprosić, by do niej wstąpił i rady udzielił.

— Niech tam — uśmiechnął się. — Pójdę do niej, choć ja po domach nie chodzę. Ale nie ma nic darmo.

— Ona jest bardzo uboga — zaczęła nieco zmieszana Marysia.

— Nie o nią mi chodzi — przerwał — ale w nagrodę panienka musi mi zrobić przyjemność i wziąć ten gościniec.

Mówiąc to, położył na ladzie paczkę.

— Co to jest? — zdziwiła się.

— Niech panienka zobaczy. Niewiele to, ale panience się przyda.

Rozwinęła paczkę i zaczerwieniła się.

— Materiał... I bransoletka...

— Proszę nosić, panienko, na zdrowie i na ozdobę.

Potrząsnęła głową.

— Ja tego przyjąć nie mogę. Nie, nie! Z jakiej racji?... Dlaczego pan mi takie prezenty robi?

— Odmówi panienka? — zapytał cicho.

— No, jakże ja mogę od pana!... I za co?

— Zrób łaskę, panienko. Weź. Tobie sukienka i te tam błyskotki przydadzą się, a dla mnie to wielka radość. Ot, jakbym ci kawałek serca dawał. Nie wolno odepchnąć. To z wdzięczności. Z wdzięczności za to, że odkąd tu do panienki przychodzę, lżej mi jakoś.

— Ale to musiało drogo kosztować!

— Co tam kosztowało — machnął ręką. — Panienka przecie wie, że ja dla siebie nic nie potrzebuję... to jest... tak dotychczas myślałem, że nic nie potrzebuję, a okazało się, że i ja mam swoje fanaberie, zachcianki... Ot, wymyśliłem sobie, że trzeba mieć kogoś na świecie, jakąś dobrą duszyczkę, o której jak się wspomni, to lżej człowiekowi żyć na świecie. Starzeję się już. A na starość przychodzi tęsknota do ciepła. Polubiłem szczerze panienkę. No, weź! Nieważny to gościniec, ale z serca. Weź! Samotna jesteś i ja samotny, a moja samotność gorsza, bom stary. Pozwolisz, panienko, choć tam od czasu do czasu okazać, że ci dobrze życzę.

Dziewczyna była wzruszona. Wyciągnęła doń ręce i ścisnęła mocno jego wielkie, sprawowane dłonie.

— Dziękuję, bardzo dziękuję, stryjciu Antoni. Nie zasłużyłam na to, ale dziękuję.

Wieczorem po powrocie do domu pokazała pani Szkopkowej otrzymane prezenty.

— Jaki on dobry, proszę pani — mówiła. — Cóż ja dla niego jestem, obca dziewczyna. Aż wstydziłam się przyjąć, ale wiedziałam, że zmartwiłabym go bardzo odmową.

— Popatrz, popatrz — pani Szkopkowa kręciła głową. — Uważaj, żeby z tego twoja przepowiednia nie sprawdziła się.

— Jaka przepowiednia?

— A że on się z tobą ożeni.

Marysia wybuchnęła śmiechem.

— Co pani mówi! Pani go widać nie zna! On jest stary i jemu takie rzeczy w ogóle do głowy nie przychodzą. A zresztą — dodała z przekorą — lepszy on pewno od niejednego młodego.

I była w tym powiedzeniu prawie zupełnie szczerą. Prawie zaś dlatego, że jednak знаła pewnego młodego chłopca, który się jej bardzo podobał. Znajomość zaczęła się tak samo w sklepiu, ale już dawno, bo przed dwoma laty. Był to młody pan Czyński, syn właściciela Ludwikowa. Przez cały rok nie było go w okolicy. Uczył się na inżyniera. Ale lato zawsze spędzał w Ludwikowie, skąd często do Radolisek wpadał. Czasami z rodzicami samochodem lub pięknym powozem i wówczas na chwilę tylko zabiegał do sklepu pani Szkopkowej, czasami sam konno lub na motocyklu. Wtedy przesiadywał w sklepie godzinami.

Chłopak był żywy, zapałny i taki ładny, jakiego drugiego w życiu Marysia nie widziała. Wysoki, smukły, czarny jak smoła, opalony na brąz. Tylko oczy miał takie niebieskie jak ona, a to wyglądałby na Cygana. Przy tym ruchliwy był, wesoły, hałaśliwy, gdy wpadał, zdawało się, że cały sklep jest od niego jednego pełen. Śmiał się, śpiewał nowe melodie (bardzo ładnie śpiewał!), pokazywał różne sztuki. Raz nawet równymi nogami na ladę wskoczył ku zgorszeniu szofera, który akurat musiał po niego przyjść.

Ale najlepiej lubiła, gdy opowiadał. Młody był jeszcze, zaledwie o siedem lat od niej starszy, lecz, Boże drogi, czego on nie widział, gdzie nie zdążył być! Zjeździł chyba całą Europę. Był w Ameryce i na różnych egzotycznych wyspach. I jak opowiadał! A miał co opowiadać, bo z tą bujną swoją naturą wciąż narażał się na rozmaite przygody. Wytrząsał je jedna po drugiej jak z rękawa.

Może nawet podejrzewałaby go o błąd, gdyby nie to, że o jego awanturach głośno było w całej okolicy, że wszyscy wiedzieli, ile kłopotów ma stary pan Czyński z synem. Razu pewnego w Radoliskach podczas jarmarku wjechał konno do szynku i tam pokłócił się z młodym Żarnowskim z Wieliskowa, o co później był pojedynek. Innym znowu razem zatrzymał pociąg w czystym polu, ułożywszy na torze wielkie ognisko. Dużo aneg-

dotek o nim kursowało w powiecie. Nie było jednak między nimi takich, które by ujmę lub wstyd przynosiły.

Chyba te o kobietach. Gadano, że żadnej nie przepuści, że z każdą, która się nawinie, flirtuje i że niejedna przez niego oczy wyplakała.

Marysia jednak nie wierzyła tym plotkom. A nie wierzyła z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chciała wierzyć, a po drugie, miała dowody. Pan Leszek na kobiety nie zwracał uwagi. Sama to zaobserwowała. Ilekcio dłużej zasiedziało się w sklepie, wszystkie miejscowe piękności przylatywały tu jedna za drugą. Gdy która pod sklepem zobaczyła jego konia albo motocykl, jak szalona pędziła do domu, sztafirowała się w najładniejszą sukienkę, podkreślała loczki, nakładała najlepszy kapelusz i przychodziła niby po pocztówki czy po papier listowy.

A Marysia tylko śmiała się z tego, bo młody Czyński ani na nie spojrzał.

— To pan ściąga mi kupujących, panie Leszku — mówiła doń, gdy znowu zostawali sami. — Pani Szkopkova powinna być panu wdzięczna.

— Jeżeli przyjdzie jeszcze jedna, pokażę jej język! — groził, udając irytację.

Trzeba trafiać, że w pięć minut później przyniosło panią aptekarzową. Wyfloczona była jak na bal, a wyperfumowana tak, że w sklepie trudno było oddychać. Czyński, długo nie myśląc, wprawdzie nie pokazał języka, ale zrobił coś jeszcze gorszego: zaczął udawać, że kicha. A jak zaczął, tak kichał raz po razie przez cały czas, póki uperfumowana dama nie wyleciała ze sklepu jak z procy, czerwona z gniewu i półprzytomna.

Od tego czasu znienawidziła Marysię i ile razy spotkała panią Szkopkową, zapewniała, że nie kupi niczego u niej za jeden złamany grosz, póki w sklepie będzie ta obrzydliwa dziewczyna.

Pani Szkopkova martwiła się utratą klientki, zburczała nawet Marysię, sama nie wiedząc za co, ot, na wszelki wypadek, ale jej nie wydalila.

Pani aptekarzowa była może już niemłoda, ale niezaprzeczenie ładna. I na młodsze jednak pan Leszek nie zwracał uwagi, nawet na takie, co ubierały się szykownie lub pochodziły z dobrych rodzin, jak siostrzenica proboszcza, jak córka inżyniera drogowego lub jak panna Pawlicka, siostra doktora. Oczywiście pochlebiali to Marysi. Pochlebiali zaś tym bardziej, że Leszek był okropnie zarozumiały, co uważała za jego wielką wadę. Podczas gdy z nią był prosty i wesoły, wobec innych ludzi zachowywał się sztywno i wyniosłe. Za pan brat rozmawiał tylko z bogatszymi ziemianami z okolicy, na resztę patrzył z góry. Często powtarzał, że jego matka jest z domu hrabianką, a ojciec pochodzi z magnackiej, senatorskiej rodziny i że w całym województwie, oprócz Radziwiłłów i Tyszkiewiczów, nikt nie ma prawa wyżej nosa zadzierać niż Czyńscy.

Kiedyś Marysia nie wytrzymała i powiedziała mu z ironicznym uśmiechem:

— Bardzo to zabawny widok, taki młody, wielki pan zadzierający nosa, by zaimponować biednej, sklepowej dziewczynie.

Zmieszał się wówczas i przysięgał, że wcale nie miał takiego zamiaru.

— Niech pani nie myśli, panno Marysiu, że jestem aż takim głupim snobem.

— Tego nie myślę — odpowiedziała chłodno. — Myślę natomiast, że bardzo taktownie podkreśla pan różnicę społeczną, jaka między panem i mną istnieje...

— Panno Marysiu!

— ...i tę łaskę, jaką mi pan wyświadcza, racząc tracić swój cenny czas na rozmowy z głupiotką i ubogą ekspedientką z małego miasteczka...

— Panno Marysiu! Bo doprowadzi mnie pani do szału!

— Nie mam tego zamiaru, proszę pana. Moim obowiązkiem jest być uprzejmą dla klientów. I dlatego chcę pana teraz przeprosić, bo muszę zamieść sklep, a kurz mógłby zaszkodzić pańskiemu cennemu zdrowiu, już nie mówiąc o londyńskim ubraniu.

— Tak pani mówi? — zerwał się błdy.

— Tak, proszę pana.

— Panno Marysiu!

— Czy pan jeszcze co każe zapakować? — pochyliła się z wymuszonym uśmiechem nad ladą.

Czyński trzasnął się z całej siły trzciną po cholewie.

— Sam siebie zapakuję, do ciężkiego diabła! Żegnam panią! Nieprędko mnie pani zobaczy!

— Szczęśliwej drogi...

— Psiakrew! — zaklął.

Wypadł ze sklepu, wskoczył na siodło i z miejsca poderwał konia do galopu. Widziała przez okno, jak niczym wariat przeleciał przez niezabrukowany plac Niepodległości, wznosząc kłęby kurzu.

Usiadła i zamyśliła się. Wiedziała, że postąpiła słusznie, że temu zarozumiałcowi należała się nauczka, a jednak żał jej było.

— Nieprędko go zobaczę... Pewno nigdy — westchnęła. — Ano trudno. Może to i lepiej.

Nazajutrz, gdy o ósmej przyszła otworzyć sklep, przed drzwiami czekał już gajowy z Ludwikowa. Przyniósł list. W liście Czyński pisał, że ma całe wakacje zatrute, i to przez nią, że nie spodziewał się tego po niej, że najopaczniej zrozumiała wszystkie jego intencje, że skrzywdziła go i obraziła, ponieważ jednak i on zachował się niegrzecznie, uważa za obowiązek dżentelmeński przeprosić ją.

„Dla zalania tych gorzkich wspomnień — pisał w zakończeniu — jadę do Wilna i będę tak pić, że pewno mnie lichy porwie, zgodnie z życzeniem Pani”.

— Czy będzie, panienko, odpowiedź? — zapytał gajowy.

Zastanowiła się. Nie, po co ma doń pisać? Po co to wszystko?

— Odpowiedzi nie będzie — powiedziała. — Proszę tylko paniczowi powiedzieć, że życzę mu jak najlepiej.

Minęły trzy tygodnie i Czyński się nie pokazał. Tęskniła za nim trochę, a nawet wróżyła, czy przyjdzie i czy wstąpi do sklepu. W trzecim tygodniu przyszła do niej depesza. Oczom swoim nie chciała wierzyć: była to pierwsza depesza, jaką otrzymała w życiu. Wyślana była z Krynicy, a brzmiała tak:

„Świat jest nudny stop, życie nic nie warto stop, czy aptekarzowa perfumuje się stop, pani jest najładniejszą dziewczyną w Europie środkowej stop, szkoda stop, Lech”.

W trzy dni później zaterkotał w Radoliskach motocykl, objawiając całemu miasteczku, że młody pan Czyński powrócił w rodzinne strony. Marysia ledwie zdążyła skoczyć do lusterka i poprawić włosy, a już był w sklepie. Była mu bardzo w gruncie rzeczy wdzięczna za ten przyjazd, lecz nie okazała tego po sobie. Bała się, by nie pomyślał, że zależy jej na jego towarzystwie. To znowuż rozgniewało go i zepsuło mu spodziewane miłe powitanie.

Po kilku zdawkowych zdaniach powiedział:

— Potępia pani mój snobizm, ale snoby mają jedną zaletę: umieją zdobyć się na uprzejmość nawet wtedy, gdy nie mają do tego ochoty.

Chciała zapewnić go, że w stosunku do niego nie potrzebuje aż zdobywać się na uprzejmość, że swoim powrotem i tym, że o niej pamiętał tam, w Krynicy, sprawił jej dużą radość... Lecz zamiast tego wycedziła:

— Wiem, że pańska uprzejmość jest właśnie tego rodzaju.

Przeszył ją nienawistnym spojrzeniem.

— O tak! Pani ma rację!...

— Nie wątpię.

— Tym lepiej.

— I tylko dziwię się, że się pan wysiła.

Zaśmiał się, jak mu się zdawało, szyderczo.

— O, wcale nie. To jest automatyczne. Widzi pani, już samo wychowanie wpoilo we mnie automatyzm przyzwoitych form obcowania z ludźmi...

Dziewczyna pochyliła głowę.

— Podziwiam to.

Gwałtownie odwrócił się od niej. Nie widziała jego twarzy, lecz była pewna, że ma zaciśnięte szczęki.

Jeszcze raz najgoręcej zapragnęła zgody. Rozumiała, że musi teraz powiedzieć coś po-jednawczego, że traktuje go niesprawiedliwie, że on teraz już nigdy nie wróci, jeżeli nie usłyszy od niej ani słowa życzliwości. Rozumiała to, a jednak nie umiała się zdobyć na kapitulację.

— Żegnam panią — powiedział i nie czekając na odpowiedź szybko wyszedł.

Nie rozpląkała się tylko dlatego, że właśnie weszła do sklepu jakaś klientka.

Było to wszystko w zeszłym roku. Do końca wakacji nie pokazywał się w Radolisz-
kach ani razu. Później przyszła zima, długa zima, a potem wiosna. O młodym Czyńskim
jak zawsze trochę plotkowano, o uszy Marysi obijały się od czasu do czasu różne wieści.
Podobno był na praktyce zagranicą. Podobno miał się żenić z jakąś baronówną z Poznań-
skiego, podobno rodzice baronówny przyjeżdżali nawet z wizytą do Ludwikowa.

Wszystko to Marysia przyjmowała dość obojętnie. Zdawała sobie zawsze sprawę z te-
go, że żadnych nadziei w stosunku do młodego Czyńskiego żywić nie może. Poza tym
miała doń jakiś nieuzasadniony żal.

Podczas zimy zjechało do Radoliszek kino. Zainstalowano je w szopie straży ognio-
wej, gdzie pomimo przejmującego zimna przez wszystkie trzy wieczory publiczności nie
zabrakło. Wyświetlano amerykańskie filmy, a pani Szkopkova, chociaż nieraz słyszała
kazania potępiające wielkoświatową rozpustę pokazywaną w kinach, zdecydowała się też
rozpustę wreszcie na własne oczy zobaczyć i ocenić stopień jej zgrozy. Ponieważ zaś oba-
wiała się, że wielu rzeczy nie zrozumie, zabrała ze sobą Marysię, zarówno przez wzgląd
na jej wykształcenie, jak i na to, że Marysia już dawniej kino widywała.

Marysia rzeczywiście bywała w kinie w tak dużych miasteczkach jak Brasław i Świe-
ciany, lecz wówczas była jeszcze dzieckiem. Teraz jednak zastanawiała się już nad treścią
filmów i zwłaszcza jeden podobał się jej bardzo. Była to historia młodej wiejskiej dziew-
czyny, na którą nikt w jej rodzinnych stronach nie zwracał uwagi. Uchodziła tam za
biedactwo zahukane. Gdy jednak dostała się do wielkiego miasta, do olbrzymiego skle-
pu, gdzie tysiące kupujących przewija się dziennie, poznał ją i pokochał pewien sławny
i bogaty malarz, który umiał dopatrzeć się w niej i urody, i wdzięku, i zalet charakteru.

„Tak — myślała z melancholią Marysia. — Może w wielkim mieście jest to możliwe,
ale gdyby została na wsi, smutny byłby jej los”.

A o sobie wiedziała, że nie wydestanie się stąd nigdy. Tutaj zaś... kto może być tym
mężczyzną, który zakocha się w niej i poślubi?... Miała dość zdrowego rozsądku, by nie
brać w rachubę ani przez moment syna właściciela Ludwikowa. Aniby jego rodzice nie
zgodzili się na to, ani jemu samemu nigdy to w głowie nie powstało, ani ona sama nie
pragnęłaby zostać żoną takiego pana. Jego krewnym i znajomym wynosiła ze sklepu paczki
do powozu, więc jakże później zgodziliby się traktować ją jako równą sobie.

Zupełnie inaczej przedstawiałaby sobie własną przyszłość, gdyby pan Leszek był zwy-
czajnym, niezamożnym urzędnikiem czy rzemieślnikiem, a bodaj nawet gospodarzem
wiejskim.

— O, wtedy byłoby zupełnie inaczej!

Uważała go za szczyt urody męskiej. Na żadnej fotografii filmowej, na żadnej pocztówce
w sklepie (a było ich tyle) nie widziała równie pociągającego chłopca. Podobał się
jej pod każdym względem. Bo nawet ta jego duma, ta zarożumiałość nie była aż taką
wadą, na którą w ostateczności nie można by zamknąć oczu. Zresztą gdyby był tylko
skromnym pracującym człowiekiem, na pewno nie miałby przewróconej głowy.

Nadeszła wiosna i Marysia, jeżeli pamiętała o młodym Czyńskim, to tylko jako o po-
staci z marzeń, nie zaś o przyszłym właścicielu Ludwikowa.

Postać ta jednak zajmowała w jej wyobraźni miejsce może niezbyt wielkie, lecz tym
niemniej stałe i niewzruszone. O tyle niewzruszone, że nie było tam wolnego terenu
dla innych. W okolicy nie brakło młodych ludzi, którzy na Marysię zwracali uwagę, nie
ukrywając przed nią swoich zachwytów. Wszystko to jednak nie robiło na niej większego
wrażenia.

Przyszła czerwiec, upalny, bujny czerwiec. Miasteczko, otoczone rozfalowanym, zie-
lonym morzem zbóż, samo przypominało bukiet potężnych wiechciów białodrzewia, lip
i brzoź, pod którymi tulili się niczym skromne kwiaty białe i czerwone domki, ledwie
widoczne, bo też gęsto obrosłe jaśminem, bzem i spireą. Gdy w dzień świąteczny wra-
cało się z długiego spaceru, zdawało się, że nie ma na świecie cichszego i piękniejszego
zakątka. Z daleka nie widać było wyboistych, niewybrukowanych ulic ani kup śmieci na
podwórkach czy wylegujących się w kałużach świń.

Słońce jarzyło się na czystym niebie, przez pola szedł pachnący, łagodny wiatr, a na
sercu było lekko i radośnie.

W powszednie dni dopiero po siódmej wychodziło się ze sklepu. A w sklepie był żar nieznosny. Niedawno zasadzone od strony placu młode drzewka mało albo i wcale nie dawały cienia, mur nagrzewał się tak, że wszystkie wyroby tytoniowe na dzień trzeba było znosić do piwniczki w obawie, by nie zeschły się na miał. Za to wieczorem Marysia czym prędzej zamykała sklep i zanim jeszcze wróciła do domu, biegła na Żwirówkę. Była to płytka rzeczulka, którą latem kura nie zamoczywszy pierza mogła przejść w bród, w dwóch jednak miejscach, przed szosą i za kościołem, rozszerzała się w dwa pękate i dostatecznie głębokie stawy. Przed szosą kąpali się mężczyźni, a za kościołem kobiety, przeważnie młode dziewczęta.

Po kąpeli było jeszcze dość czasu, by pomóc pani Szkopkowej przy gospodarstwie, a później zasiąść do książki. W bibliotece parafialnej Marysia wszystkie już dawno przeczytała, przeczytała też wszystkie z niewielkiej biblioteki miejscowej szkoły powszechnej. Zdarzało się jednak czasami pożyczać jakąś powieść czy tom wierszy od kogoś z nielicznej inteligencji. A książek wciąż była głodna. Wiele z nich umiała prawie na pamięć, nawet dwie francuskie i jedną niemiecką, które czytywała częściej, by nie wyjść z wprawy.

Francuska — był to stary i zniszczony tom wierszy Musseta, własność byłego proboszcza. Kiedyś w sklepiu miała właśnie je w rękę, gdy wstąpił stary i miły gość, znachor z młyna.

— A cóż to, panienczka, czytasz? — zapytał. Ot, tak sobie.

— To poezje, bardzo piękne poezje... Wiersze. Ale francuskie.

— Francuskie?...

— Tak, stryjciu. Napisał je Musset.

Znachor odwrócił książkę w swoją stronę, pochylił się nad nią i Marysi zdawało się, że stara się czytać. Wargi jego poruszały się nieznacznie, lecz po chwili wyprostował się.

Był błądy i oczy jego jakby zmętniały.

— Co ci jest, stryjciu Antoni? — zapytała zdziwiona i trochę przestraszona.

— Nie, nic... — potrząsnął głową i ścisnął się za skronie.

— Usiądź, stryjciu — wybiegła zza lady i przysunęła mu krzesło. — Upał dziś straszny, pewno ci zaszkodził.

— Nie, bądź spokojna, panienko. Już mi przeszło.

— To chwała Bogu. Przełękłam się... A co do tej książki to posłuchaj, proszę, jaki to piękny język. Myślę, że można go nie znać, a i tak odczuć jego piękno, zwłaszcza w wierszu.

Odwróciła kilka kartek i zaczęła czytać. Gdyby chociaż na chwilę oderwała oczy od książki, zobaczyłaby od razu, że coś niedobrego dzieje się z Antonim Kosibą. Lecz przecie czytała właśnie dla siebie. Rozkoszowała się płynnością i dźwięcznością strof, lekkością rymu i wzruszającą treścią uczuć poety płaczącego nad rozpaczą dwóch serc nieubłagane rozdzielonych przez ślepy kaprys losu i płonących coraz słabszym ognikiem tęsknoty, tęsknoty, która stała się ich jedyną racją i przyczyną istnienia.

Skończyła i podniosła głowę. Ujrzała wpatrzone w siebie nieprzytomne oczy znachora.

— Co panu jest? — zerwała się.

I wówczas usłyszała, jak powtórzył, najdokładniej powtórzył ostatnią strofkę. Nie mogła się mylić, chociaż mówił jakimś chrapliwym szeptem i bardzo cicho.

— Pan... pan... — zaczęła, lecz on, jakby usiłując coś sobie przypomnieć, powiedział:

— Tak... ślepy kaprys losu. Jak drzewo wyrwane z korzeniami... Co to jest... co to jest...

Wstał i zatoczył się.

— Boże drogi! Stryjciu Antoni! Stryjciu! — krzyknęła.

— Mroczy mi się w głowie — odezwał się, dysząc ciężko. — Mroczy się, jakbym miał oszaleć... Co to za konie tam jadą?... Po co ja przyszedłem... Po tytoń... Powiedz, panienko, coś... Mów coś do mnie...

Raczej intuicją wyczuła, niż zrozumiała, o co mu chodzi. Zaczęła szybko mówić, że to konie z Piasków, że pewno pani Hermanowiczowa przyjechała po zakupy albo dać na mszę za duszę męża, co miesiąc daje na mszę, że...

Trzepała wszystko, co jej na myśl przychodziło, i jednocześnie trzymała znachora za jego wielkie, grube ręce.

Pomału uspokajał się. Usiadł teraz i ciężko dyszał. Przyniosła mu szklankę wody, którą chciwie wypił, potem zbiegła do piwniczki po tytoń i zapakowała. Ponieważ zbliżała się siódma, postanowiła, że nie puści go samego.

— Niech stryjcio Antoni posiedzi jeszcze kwadransik, a później zamknę sklep i doprowadzę trochę stryjcia. Dobrze?

— Po co, panienczko, sam pójde.

— Ale kiedy ja chcę przejść się.

— Dobrze — zgodził się apatycznie.

— A może zapali stryjcio papierosa?... Ja zrobię.

— Zapalę — kiwnął głową.

Kiedy znaleźli się już na szosie, z wolna odzyskiwał równowagę.

— Miewam takie przypadłości — powiedział. — Pewno coś w mózgu. Dawno już, bardzo dawno tego nie miałem.

— Da Bóg, że więcej się nie powtórzą — uśmiechnęła się doń serdecznie. — To pewno od słońca.

Potrząsnął głową.

— Nie, droga panienczko! To nie od słońca.

— Więc od czego?

Milczał długo, wreszcie westchnął:

— Sam nie wiem.

A po chwili dodał:

— I nie pytaj mnie o to, bo jak zacznę o tym myśleć, jak zacznę pamięć natężyć, to może się znowu to złe we mnie rozpętać.

— Już dobrze, stryjcio Antoni. Będziemy mówili o czymś innym.

— Nie, nie trzeba, panienczko. Wracaj. Za wielki szmat drogi na twoje drobne nóżki.

— Eee tam, wcale niedrobne. Ale jeżeli stryjcio może woli zostać sam, to wróć.

Zatrzymał się, uśmiechnął, przygarnął ją lekko do siebie i ostrożnie pocałował w czoło.

— Niech ci Bóg odwdzięczy, panienko — powiedział cicho i poszedł.

Marysia zawróciła w stronę miasteczka. Niespodziewany gest i pocałunek tego człowieka nie tylko nie sprawił jej przykrości, lecz jakby ją uspokoił po niedawnym przeżyciu. Odczuła jeszcze dobitniej, że w tym starym znachorze znalazła istotę o złotym i bliskim sercu. Ach, była pewna tego, że nikt na świecie nie żywił dla niej serdeczniejszych i lepszych uczuć, że w razie jakiegokolwiek nieszczęścia on jeden nigdy nie odmówiłby jej pomocy.

Ale zrozumiała też i to, że ten dobry przyjaciel sam potrzebuje pomocy, że musiało nań spaść jakieś wielkie nieszczęście, że w jego duszy dzieje się coś nieprzeniknionego i tajemniczego.

Atak, którego świadkiem była w sklepie, nasuwał tysiące fantastycznych przypuszczeń. Na zdrowy rozsądek biorąc, każde z nich było nedorzeczne, lecz Marysia mając do wyboru pospolitość i nieprawdopodobieństwo, wybierała, wołała wybrać zawsze to drugie. Dlatego wydało się jej, że Antoni Kosiba, znachor z młyna, jest zagadkową postacią romantyczną, może jakimś ukrywającym się pod siermięgą księciem lub nieszczęśnikiem, który kiedyś popełnił zbrodnię — oczywiście mimo woli lub w chwili uniesienia — i skazał siebie na życie w prostocie i w poświęceniu dla dobra bliźnich.

Nie, nie myliła się, nie mogła się mylić, gdyż wyraźnie słyszała padające z jego ust słowa francuskiego wiersza. Prosty chłop nie mógłby ich tak powtórzyć. A zresztą zrozumiał treść wiersza!... W jakiż sposób można by to sobie wytłumaczyć?...

„Przypuśćmy — myślała — że w swoich wędrowkach doszedł kiedyś do Francji lub Belgii. To zupełnie możliwe. Dużo chłopów emigruje, a później wraca”.

Lecz takie postawienie sprawy i rozwiązanie tajemnicy było zbyt prozaiczne. Zresztą jeżeliby tak było, dlaczego doznał takiego wstrząsu?... Czyż nie kryje się za tym żadna tragedia?... Niewątpliwie wiersz musiał mu coś przypomnieć, obudzić w nim jakieś bolesne wspomnienia.

„To musi być człowiek niezwykły” — zapewniła siebie z przekonaniem.

A przekonanie to utwierdziło się w niej tym mocniej, im więcej przypominała sobie szczegółów potwierdzających jej doświadczenie. A więc sposób bycia tego człowieka, po-

zornie, ale tylko pozornie i zewnętrznie podobny do sposobu bycia innych ludzi prostych. Jego delikatność, bezinteresowność...

Była pewna, że trafiła na ślad wielkiej i przejmującej tajemnicy, i postanowiła sobie, że ją rozwikła. Jeszcze nie wiedziała, w jaki sposób to zrobić, lecz wiedziała, że nie zagna spokoju, nim do sedna zagadki nie dotrze.

Tymczasem jednak zaszły wypadki, które odwróciły jej myśli i zainteresowania w zupełnie innym kierunku.

ROZDZIAŁ IX

Mniej więcej w połowie czerwca wczesnym rankiem na rynku zatrzymał się wielki granatowy samochód. W Radoliszkach znał go każdy i wiedział, że należy do państwa z Ludwikowa. Samochód zatrzymał się przed kolonialnym sklepem Mordki Rabinowa. Z okien sklepiku pani Michaliny Szkopkowej widać było dokładnie, jak najpierw wysiadł stary pan Czyński, później pani Czyńska i wreszcie ich syn, pan Leszek.

Marysia szybko odskoczyła od okna. Zdążyła tylko zauważyć, że młody inżynier jeszcze bardziej zeszczupłał i że miał na sobie bardzo jasne, popielate ubranie, w którym wyglądał jeszcze zgrabniej niż zwykle. Była przekonana, że lada chwila drzwi otworzą się i wejdzie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że serce jej bije coraz prędeżej. Pomyślała, że musi mieć wypieki i że on gotów domyślić się, iż to z jego powodu.

Już nieraz układała sobie, jak go przyjmie. Teraz wszakże, gdy znajdował się w pobliżu, nie umiała sobie przypomnieć nic z tych projektów. Wiedziała jedno, że cieszy się, że bardzo głupio cieszy się z jego przyjazdu.

Usiadła za ladą i haftowała pilnie. Chciała, by tak właśnie ją zastał, gdy wejdzie.

„Najlepiej nic nie planować — zdecydowała — a zachować się stosownie do tego, jak on się zachowa. Może przecie wejść i tylko zażądać pudełka papierosów... Jak zwykły klient”.

Byłoby to brzydko z jego strony, na samą myśl o tym Marysię ogarniał smutek, tym bardziej że teraz mocniej niż kiedykolwiek była przeświadczona, że ubiegłej jesieni zachowała się wobec niego niegrzecznie i niesprawiedliwie.

„Choćby zażądał tylko papierosów — pomyślała — muszę mu okazać życzliwość. Byłoby prędeżej przyszedł”.

On jednak nie przyszedł w ogóle.

Po kwadransie wyczekiwania ostrożnie stanęła przy oknie po to tylko, by stwierdzić, że Czyńscy wsiadają do samochodu. Auto zawróciło i ruszyło w stronę Ludwikowa.

— Pojechał — powiedziała głośno i w pierwszej chwili zrobiło się jej niewymownie przykro.

Dopiero wieczorem, leżąc w łóżku, zaczęła rozważać wszystko i doszła do wniosku, że to jeszcze nic nie znaczy. Jeżeli nawet zamierzał wstąpić do niej, nie zrobił tego na pewno dlatego, że rodzice śpieszyli się, a nie chciał zwracać ich uwagi na znajomość z nią, na znajomość, która nie podobałaby się im z pewnością. Usnęła spokojnie.

Nazajutrz jednak koło południa zelektryzował ją znany warkot motoru. Słysząc go było z daleka. Wszakże ku zdziwieniu Marysi tempo warkotu nie zdawało się zmniejszać. Istotnie, motocykl z rykiem przeleciał przez plac, mignął w oknach i popędził dalej.

„Jeszcze może zawróci?” — łudziła się, wiedząc, że się łudzi.

Stało się zupełnie jasne, że zapomniał o niej, że nie ma najmniejszego zamiaru zobaczyć jej znowu.

„Więc to tak... — powiedziała sobie. — To i dobrze...”

Ale nie było dobrze. Haftować nie mogła. Ręce trzęsły się. Kilka razy boleśnie ukuła się w palec. O niczym innym myśleć nie potrafiła. Skoro pojechał traktem, było pewne, że do państwa Zenowiczów. Zenowiczowie to bardzo bogaci ludzie i mają dwie córki na wydaniu. Dawno już wiązano młodego Czyńskiego z jedną z nich. Ale w takim razie ile prawdy było w owej pogłosce o baronównie z Wielkopolski?...

„Zresztą — myślała z goryczą — mój Boże! Cóż to mnie obchodzi? Niech się żeni, z kim chce. Życzę mu, by znalazł najodpowiedniejszą i najładniejszą żonę. Ale to wstrętne z jego strony, że przynajmniej na kilka słówek tu nie wstąpi. Przecież go nie ugryzę. I niczego nie chcę od niego”.

Czyński wracał tuż przed siódmą. Drzwi sklepu (zupełnie przypadkowo) były otwarte i Marysia (również przypadkiem) stała na progu.

Przejechał obok. Nawet głowy nie odwrócił. Nawet nie spojrzał.

„Może to i lepiej — pocieszała się Marysia. — Pani Szkopkowa ma rację, że nie powinnam sobie zawracać nim głowy”.

Tęgoż wieczora kierownik miejscowej agencji pocztowej, pan Sobek, został mile zaskoczony. Spotkał pannę Marysię wracającą do domu i gdy zaproponował, by się z nim przespacerowała do Trzech Gruszek, zgodziła się bez namysłu. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby chodziło o którąkolwiek dziewczynę z Radoliszek. Sobek mógł śmiało zaliczyć się do mężczyzn cieszących się powodzeniem u płci pięknej. Był młody, przystojny, na rządowym stanowisku i z perspektywą kariery, bo ogólnie było wiadome, że jego wuj w okręgowej dyrekcji był ważną figurą. Poza tym mistrzowsko grał na mandolinie, na pięknej, inkrustowanej perłową masą mandolinie, z którą poza służbą nigdy zresztą się nie rozstawał.

Owa mandolina, jak też i inne wymienione już zalety pana Sobka działały pociągająco na młode panny. Na wszystkie, bodaj na wszystkie, z jednym, i to bardzo przykrym dla pana Sobka wyjątkiem. Marysia wprawdzie była dlań zawsze grzeczna, nigdy jednak nie okazywała ochoty do zacieśnienia znajomości, nieodmiennie wymawiała się od pójścia z nim na ślizgawkę, na spacer czy na wieczorek.

Gdyby pan Sobek należał do młodzieńców o drażliwej ambicji, od dawna zaprzestałby nagabywania Marysi. Był on jednak chłopcem pocziwym z kośćmi, humorów nie miewał, brakiem cierpliwości nie grzeszył, a że odznaczał się trwałością upodobań, tedy od czasu do czasu ponawiał swe propozycje.

I tego właśnie dnia przekonał się, że obrał taktykę rozsądną.

Szli obok siebie drogą znaną wszystkim młodym i starym mieszkańcom Radoliszek ku Trzem Gruszkom, drogą, którą starzy niegdyś, a młodzi teraz chodzili parami, zwaną złośliwie przez panią aptekarzową Promenadą Krów, bo i krowy tędy na pastwisko pędzono.

Z okien plebanii, skąd dbały o moralność swoich parafian proboszcz mógł widzieć tę drogę jak na dłoni, mógł również z niejaką ścisłością określić, ile w roku przyszłym udzieli ślubów. I komu. Wystarczyło stwierdzić, że ten czy inny młodzian „uczęszcza” na promenadę stale z jedną i tą samą panną. W języku potocznym oznaczało to, że „on z nią chodzi”, a to z kolei rozumiano powszechnie jako zapowiedź małżeństwa, w najgorszym zaś razie jako niezawodny objaw miłości. Dlaczego dopatrywano się go właśnie w chodzeniu, nie zaś w staniu, w siadywaniu ani w żadnej innej odmianie pozycji ludzkiego ciała — w Radoliszkach nikt się nad tym nie zastanawiał, a już z pewnością nie myślał o tym podczas swej pierwszej przechadzki do Trzech Gruszek z Marysią pan Sobek.

Myślał tylko i wyłącznie o pannie Marysi, o tym, że jest uboga, ale bardziej wykształcona i bardziej obyta od innych, że ładniejsza jest też na pewno i że takiej żony nie powstydziliby się urzędnik państwowy nawet zawrotnie wysokiej rangi. Myśli zaś swoje wyrażał cichusieńkim brząkaniem na instrumencie (lubił tak właśnie nazywać swoją mandolinę) melodii modnego tanga: „Czy pokochasz mnie kiedyś, Lolito, z wszystkich kobiet wybrana kobito”.

Niestety, panna Marysia, chociaż rozumiała subtelną aluzję tanga, chociaż domyślała się intencji wirtuoza, chociaż odczuwała pewną wdzięczność za to wyróżnienie, nie mogła podzielać nastroju partnera. Umyślnie poszła z panem Sobkiem na spacer, by się rozerwać, by przekonać samą siebie, że Sobek jest zacnym chłopakiem, że nie powinna stronić od niego, że byłby dla niej odpowiednim mężem. Nawet idealnym. Nie pił, nie robił awantur, nie rozbijał się na motocyklu, a grunt: odznaczał się wyjątkową stałością. Nie tak jak inni!... Cóż z tego, że nie jest zbyt inteligentny, że ma proste maniery. To jeszcze nie przynosi ujmy...

Na nic wszakże nie zdały się nieodparte argumenty, na nic najlepsza wola, na nic spacer, który zakończył się dopiero przy księżycu, na nic romantyczny nastrój, upiękaszony muzyką i rozmowy: Marysia powróciła do domu zniechęcona, smutna i zdecydowana już nigdy więcej ani z panem Sobkiem, ani z nikim innym do Trzech Gruszek nie chodzić.

W nocy śnił się jej straszny sen. Widziała siebie i młodego Czyńskiego. Jechali motocyklem z szaloną szybkością, uciekali przed pożarem, który wciąż ich dopędzał. Nagle

otworzyła się przed nimi przepaść, spadli na kamieniste dno... I było wiele krwi, a on powiedział:

— Przez ciebie umieram.

Ona odczuła, że też umiera, i zaczęła wołać ratunku.

Gdy otworzyła oczy i oprzytomniała ze snu, zobaczyła pochyloną nad sobą panią Szkopkową.

— Sen mara! Bóg wiara! — mówiła. — Co ci się śniło, żeś tak krzyczała?

W pierwszej chwili Marysia chciała opowiedzieć swój sen, lecz przypomniawszy sobie, że pani Szkopkowa umie sny tłumaczyć, wołała zamilczeć. Może sen oznaczał coś nieprzychylnego dla pana Czyńskiego, którego pani Szkopkowa i tak nie lubiła. Gotowa by przy okazji powiedzieć mu coś przykrego.

— Krzyczałam?... Sama nie wiem dlaczego — powiedziała Marysia. — Może i śniło mi się coś. Sny tak łatwo się zapomina.

Marysia jednak nie zapomniała. Nazajutrz, gdy ujrzała konie z Ludwikowa i pana Lecha na bryczce, aż wzdrygnęła się. Przekonana była, że tym razem wstąpi.

Myliła się i tym razem. Po papierosy przysłał stajennego! Stajennego!

Widocznie z uporem unikał widzenia się z nią. Dalszy bieg wypadków potwierdził to w zupełności. Nie było dnia, by nie przyjeżdżał do miasteczka lub przez miasteczko. Czasem bryczką, czasem konno, a najczęściej motocyklem. W zeszłym roku nigdy tak często nie był. Teraz widocznie robił to na złość Marysi lub z jakichś innych powodów, których nie umiała dociec.

Ilekoć był bez okularów motocyklowych, mogła zauważyć, że twarz mu zeszczupiała, zmizerniała i nabrała jakiegoś niemal ponurego, zaciętego wyrazu.

„Może spotkało go coś złego?” — zaniepokoiła się i zaraz skarciła siebie za ten niewczesny niepokój: jakim prawem i po co tym się przejmuję?!...

W końcu ogarnęła ją apatia. Nie zrywała się już na odgłos turkotu, tętentu czy warkotu motoru do okna, starała się w ogóle tego nie słyszeć.

I kiedy już resztę straciła nadziei — stało się.

Był to dzień dwudziestego czwartego czerwca. Od rana w sklepie był duży ruch, jak zawsze w dniu imienin księdza proboszcza: kupowano laurki. Dzieci szkolne, z ochronki, z przytułku, tercjarki i inni. Dopiero koło dziewiątej uspokoiło się i miała czas zejść do piwnicy po wyroby tytoniowe, by chociaż kilka paczek ułożyć na wystawie. Wzięła je do fartuszka i po stromej drabinie weszła na górę. Odwróciła się i krew uciekła jej do serca: o dwa kroki przed nią stał on.

Nie wiedziała, czy wydobył się z jej ust okrzyk, nie wiedziała, że z fartuszka posypały się na ziemię pudełka papierosów. Wiedziała tylko, że świat się kręci w szalonym, nieprzytomnym tempie i że upadłaby na pewno, gdyby nie to, że on trzyma ją mocno, przytuloną do siebie.

Ile razy później usiłowała chwila po chwili, mgnienie po mgnieniu odtworzyć w swojej pamięci to wielkie, to cudowne zdarzenie — nie umiała. Pamiętała tylko ostre, jakby gniewne spojrzenia jego czarnych oczu, a potem niemal bolesny uścisk i bezładne słowa, których wówczas nie rozumiała, lecz których treść zdawała się bezpośrednio wlewać do jej krwi.

A potem ktoś wszedł do sklepu i odskoczyli od siebie półprzytomni.

Klient posądził ją na pewno o zaccadzenie lub o utratę orientacji. Nie mogła pojąć, o co mu chodzi, nie umiała obliczyć należności. Gdy wreszcie wyszedł z pakunkiem, sama wybuchnęła śmiechem.

— Zupełnie zgłupiałam! Co ja mu dawałam zamiast papieru kancelaryjnego! Boże! Niech pan spojrzy!

Wskazywała na rozłożone na ladzie najrozmaitsze przedmioty i śmiała się, śmiała, nie mogąc powstrzymać tego radosnego śmiechu. Coś w niej drgało, coś trzepotało. Coś zrodziło się do życia, nowego, wspaniałego, jasnego, uskrzydłonego jak wielki biały ptak.

Czyński stał nieruchomo i wpatrywał się w nią z zachwytem. Napisał jej kiedyś w depeszy, że uważa ją za najpiękniejszą dziewczynę... Teraz jednak była tak piękna, jaką jej jeszcze nigdy nie widział.

— A to ładnie! Bardzo ładnie — mówiła. — Przyjeżdżać tyle razy i nie wstąpić do mnie! Myślałam, że się pan obraził.

— Czy obraziłem się? Ale pani żartuje! Ja nienawidziłem pani!

— Za co?

— Za to, że nie mogłem o pani zapomnieć, panno Marysiu. Za to, że ani bawić się, ani pracować nie mogłem.

— I dlatego pan, przejeżdżając koło sklepu, odwracał oczy w przeciwną stronę?

— Tak! Właśnie dlatego. Wiedziałem, że się pani nie podobam, że pani mnie lekceważy!... Żadna kobieta dotychczas nie lekceważyła mnie. Więc dałem sobie słowo honoru, że nie zobaczę pani już nigdy.

— Popelił pan tedy aż dwie brzydkie rzeczy: najpierw dając słowo, a później je łamiąc. Czyński potrząsnął głową.

— Panno Marysiu, nie potępiłaby mnie pani, gdyby pani wiedziała, co to jest tęsknota.

— Jak to! — oburzyła się. — Dlaczego to mam nie wiedzieć, co to jest tęsknota? Może lepiej od pana wiem.

— Nie! — machnął ręką. — To niemożliwe. Pani nie może mieć najmniejszego pojęcia o tęsknocie. Czy pani wie, że czasami sądziłem, że dostałem bzika?... Tak! Bzika!... Nie wierzy pani? To proszę spojrzeć.

Wydobył z kieszeni cienką, różową książeczkę.

— Wie pani, co to jest?

— Nie.

— To jest bilet okrętowy do Brazylii. Na kwadrans przed odpłynięciem okrętu musiałem zabrać z pokładu moje kufry i zamiast do Brazylii przyjechałem do Ludwikowa. Nie mogłem, wprost nie mogłem! A później była to największa męczarnia! Starłem się dotrzymać danego sobie słowa, ale nie mogłem wyrzec się przyjazdów do Radoliszek. Nie wolno mi było szukać spotkania z panią, lecz mogło się zdarzyć przypadkowo. Prawda?... Wówczas nie złamałbym słowa.

Marysia nagle spowaźniała.

— Zdaje się, że postąpił pan źle, nie dotrzymując danej sobie obietnicy.

— Dlaczego? — oburzył się.

— Bo... miał pan słuszość, nie chcąc więcej widzieć się ze mną.

— Byłem idiotą! — zawołał z przekonaniem.

— Nie, był pan rozsądny. Dla nas obojga... Przecież to nie ma żadnego sensu.

— Ach, tak?... Czy pani naprawdę nie znosi mnie do tego stopnia, że nawet widywać się ze mną nie chce?

Spojrziała mu prosto w oczy.

— Nie, proszę pana! Będę zupełnie szczerą. I ja tęskniłam za panem bardzo, bardzo...

— Marysienko! — wyciągnął do niej ręce.

Potrząsnęła głową.

— Zaraz, powiem wszystko. Niech pan zaczeka. Tęskniłam bardzo. Było mi źle... Tak źle. Nawet... płakałam...

— Moja ty jedyna! Mój cudzie!

— Ale — ciągnęła — doszłam do przekonania, że łatwiej zapomnę o panu, gdy nie będziemy się widywać. Jakiż cel może mieć nasza znajomość?... Pan jest przecie dość rozumny, by lepiej to widzieć ode mnie.

— Nie — przerwał — właśnie jestem dość rozumny, by widzieć, że pani nie ma racji, panno Marychno. Ja panią kocham. Pani oczywiście nie może pojąć, co to jest miłość. Ale lubi mnie pani. Byłoby szaleństwem dalsze skazywanie siebie na rozstanie. Pani mówi o celu! A czyż to nie piękny cel, czy nie dostatecznie usprawiedliwiony i ważki już samo widywanie się, same rozmowy, sama przyjaźń? Cóż pani szkodzi widywać się ze mną... Bo proszę posłuchać!...

Słuchała uważnie i nie mogła odmówić mu słuszości, nie mogła odmówić tym bardziej, iż chciała, by ją przekonał. A on umiał być przekonujący.

Zresztą nie mogła mu przecież zabronić bywania w sklepie, do którego miał wstęp każdy klient. Z klientami zaś należało rozmawiać grzecznie.

Toteż od tego dnia pan Lech Czyński przejeżdżał codziennie, a jego wierzcholec lub motocykl, stojąc przed sklepem pani Szkopkowej, wywoływał powszechną sensację w miasteczku, liczne komentarze i zazdrość, która naturalnym rzeczy porządkiem przerodziła się w to, co nazwano zgorszeniem publicznym.

Wprawdzie w ścisłym tego słowa znaczeniu o niczym gorszącym nikt nic nie wiedział. Przesiadanie młodego inżyniera w sklepie, do którego drzwi przecie zawsze i dla każdego były otwarte, nie mogło nikomu nasunąć podejrzeń kompromitujących pannę Marysię. Jednak zawiść ludzka nie liczy się nawet z oczywistością. Niemal każda dziewczyna w Radoliszkach mogła pochwalić się posiadaniem jakiegoś adoratora, żaden z nich jednak nie mógł równać się z młodym Czyńskim. Dlaczego zaś ten piękny brunet wybrał sobie właśnie taką przybłędę jak Marysia od Szkopkowej, trudno było się domyślić. Skoro już wśród panien miasteczkowych chciał szukać towarzystwa dla siebie, znalazłby i urodziwsze, i zamożne, i pod każdym względem godniejsze. Rodzice tych godniejszych, ma się rozumieć, podzielali oburzenie swoich córek, dzielali je również młodzi ludzie, którzy chodzili z nimi do Trzech Gruszek. A to była cała opinia Radoliszek.

Jeżeli Marysia pomimo wrodzonej wrażliwości nie od razu spostrzegła się w tej zmianie frontu opinii miasteczkowej, to tylko dlatego, że zbyt całkowicie pochłonięta była własnymi przeżyciami. A przeżycia te były tak nowe i tak upajające, iż cały świat zewnętrzny przy nich zdawał się rozpląwać w zamgleniu, zdawał się być czymś nierzeczywistym, przygodnym i nieważnym.

Marysia uświadamiała sobie, że kocha. Z każdym dniem świadomość ta była coraz wyrazistsza, coraz głębsza. Na próżno starała się z nią walczyć. A raczej nie na próżno, bo właśnie dzięki tej walce, dzięki konieczności ulegania przemocy uczucia osiągało się spotęgowanie tej dziwnej, przejmującej słodczy, tego rozkosznego oszołomienia, które ogarniało ją jak wichra, co hamuje oddech, ogłusza i otula ze wszystkich stron niewidzialnymi, przezroczystymi dotykami, obezwładnia, porywa, unosi...

„Kocham, kocham, kocham” — powtarzała sobie po tysiąc razy dziennie, a było w tym i zdziwienie, i radość, i lęk, i szczęście, i podziw dla wielkiego odkrycia we własnej duszy, która dotąd nie wiedziała, że tak bezcenny klejnot w sobie nosi.

Było to tym bardziej zdumiewające, że w gruncie rzeczy nie działo się nic nowego. Gdyby jacyś obcy świadkowie zechcieli i mogli podsłuchać rozmowy dwojga młodych w sklepie pani Szkopkowej, doznaliby rozczarowania. Czyński przyjeżdżał, całował Marysię w rękę, a później opowiadał jej o swoich podróżach i przygodach albo czytali sobie książki, które teraz stale przywoził. Były to przeważnie wiersze. Czasami i Marysia opowiadała o swoim dzieciństwie, o matce, o nieziszczonych, niestety, jej planach. Zmieniło się może tylko to, że ona nazywała go panem Leszkiem, a on ją po prostu Marysią. Oczywiście gdy ich nikt nie słyszał.

Zmieniłoby się może więcej, gdyby Marysia chciała się na to zgodzić. Pan Leszek nieraz próbował ją pocałować, ona wszakże zawsze protestowała z taką stanowczością i z taką obawą, że nie pozostawało mu nic innego jak cierpliwość. Potem on odjeżdżał, a ona przez resztę dnia myślała tylko o minionych godzinach i o tych, które przyjdą jutro.

Wracając po zamknięciu sklepu do domu, pełna skupienia i radosnej kontemplacji swego szczęścia, pełna życzliwości dla tych małych domków, dla zielonych drzew, dla błękitnego nieba, dla całego świata, dla wszystkich ludzi, których witała szczerym uśmiechem.

Dlatego właśnie nie dostrzegała ich niechętnych spojrzeń, ich pogardliwych min, ich wrogości i sztycherstwa. Nie wszyscy jednak ograniczali się do niemego demonstrowania nieprzyjaźni i potępienia. I oto pewnego dnia zdarzył się taki wypadek, który miał za sobą pociągnąć bardzo przykre następstwa.

W Radoliszkach od lat mieszkała słynna na cały powiat rodzina rymarzy Wojdyłłów. Wojdyłłowie wywodzili się z zaściankowej wprawdzie, lecz dobrej szlachty i to był ich pierwszy tytuł do szacunku i poważania w miasteczku, drugim zaś było to, że z dziada pradziada słynęli jako najlepsi rymarze. Siodło, trzęzła czy uprzęż od Wojdyłły z Radoliszek cieszyły się ogromnym popytem, chociaż kosztowały nieraz drożej od wileńskich. Głową tej zamożnej i cenionej rodziny w owych czasach był Pankracy Wojdyłło, zwany powszechnie od swego ulubionego przymówiska Mosterdziejem, jego następcami w warsztacie mieli być synowie Józef i Kalikst, trzeci zaś syn Mosterdzieja, Zenon, uważany był zarówno przez rodzinę, jak i przez całe miasteczko za latorośl chybioną.

Ojciec kształcił go na księdza. Z trudem przepchnął leniwego w naukach chłopca przez sześć klas gimnazjum i umieścił w seminarium duchownym. Wszystkie zmartwienia i wydatki nie zdały się jednak na nic. Na próżno radowało się serce starego Moster-

dzieja, gdy syn ku podziwowi miasteczka przyjechał w sutannie jako kleryk. Nie upłynął rok, a Zenona z seminarium wyrzucili. Sam Zenon opowiadał wprawdzie, że wystąpił dobrowolnie, nie mając powołania, lecz ludzie opowiadali, że ponoć ujawnione przezeń zamiłowania do wódki i kobiet były przyczyną wyrzucenia go z grona przyszłych pasterzy duchownych. Za słuszością tych plotek zdawało się przemawiać późniejsze postępowanie eks-kleryka. Częściej przesiadywał w szynku niż w kościele, a u jakich kobiet bywał na Kramnej ulicy częstym gościem, lepiej i nie wspominać.

Jako znający łacinę, nadawał się jeszcze do pracy w aptece. Tak przynajmniej myślał ojciec. I na tym się jednak zawiódł. Zenon w bardzo prędkim czasie pracę w aptece porzucił. Różne i o tym kursowały gawędy, których wszakże nie dało się sprawdzić, bo aptekarz radoliski, pan Niemira, do gadatliwych nie należał, a ze starym Mosterdziejem był w przyjaźni.

Otóż ten to Zenon Wojdyłło któregoś dnia przechodząc koło sklepu pani Szkopkowej w towarzystwie kilku młodzieńców właśnie w chwili, gdy Marysia sklep zamykała, zatrzymał się i pozornie najprzyjaźniejszym tonem ją zagadnął:

— Dobry wieczór, panno Marysiu, co dobrego słychać?

— Dobry wieczór — odpowiedziała z uśmiechem. — Dziękuję.

— Ale zawsze ma panna Marysia niewygodę.

— Jaką niewygodę? — zdziwiła się.

— No przecie! Pani Szkopkowa niby dobra kobieta, a o takiej rzeczy nie pomyśli — mówił współczująco.

— O jakiej rzeczy?

— A o kanapie.

— O kanapie? — szeroko otworzyła oczy.

— Pewno, że o kanapie. Toż w sklepie lada wąska, no i twarda. We dwójkę, zwłaszcza z panem Czyńskim, trudno się na niej wygodnie ułożyć.

Młodzi ludzie wybuchnęli głośnym śmiechem.

Marysia jeszcze nie zrozumiała, lecz przeczuwając jakąś podłość, wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, o czym pan mówi...

— O czym mówię, to nie wie, cnotliwa Zuzanna — zwrócił się Zenon do towarzyszy. — Ale wie, jak się to robi.

Nowy wybuch śmiechu był na to odpowiedzią.

Marysia, drżąc cała, wyciągnęła klucz z zamka, zbiegła ze schodków i niemal biegnąc, skierowała się do domu. Kolana ugięły się pod nią, w głowie huczało, serce tłukło się w piersi.

Jeszcze nikt nigdy nie skrzywdził jej tak brutalnie i tak plugawie. Nikomu nie wyrażała najmniejszego zła, nikomu złego słowa nie powiedziała. O nikim źle nawet nie pomyślała. I nagle...

Czuła się tak, jakby chluśnięto na nią kubłem brudnych pomyj. Biegła, a do jej uszu dolatywały jeszcze wykrzykniki, śmiechy i gwizdania.

— Boże, Boże... — szeptała rozdygotanymi wargami. — Jakież to straszne, jakie to ohydne...

Starła się oprzytomnić i zapanować nad łkaniem, które zrywało się jej w płucach, lecz nie zdołała. Dopadła do płotu przy ogrodzie plebanii, oparła się o deski i wybuchnęła szlochem.

Uliczka na tyłach ogrodów należała do najmniej uczęszczanych. Trzeba było jednak trafu, że o tej właśnie porze kierownik agencji pocztowej w Radoliskach, pan Sobek, wybrał się do księzego sadownika po truskawki. Zobaczywszy płaczącą pannę Marysię, najpierw zdziwił się, później wzruszył, a później postanowił ją pocieszyć.

Domyślał się, co może być przyczyną łez. Wiedział przecie, że młody Czyński codziennie przesiaduje w sklepie.

„Zawracał dziewczynie w głowie, rozkochał ją, a teraz rzucił” — przemknęło panu Sobkowi przez głowę.

Dotknął łokcia Marysi i zaczął mówić:

— Nie warto płakać, panno Marysiu. Z serca to mówię, z rozumu. Nie warto. Czas przejdzie, boleść zagoi się. Szkoda oczków na płkanie. Pani tysiąc razy więcej warta od niego. To on niech martwi się. Skrzywdził panią, Bóg go za to gorzej ukarze. Na świecie

nic nie ginie. Takie już prawo jest. Nic nie ginie. To jak z grabiami. Nadepniesz je na zęby. Zdaje ci się grabiom szkodę robisz, a tymczasem ani opatrzysz się, jak te grabie podnoszą się i kijem trach w łeb... Takie prawo. No, nie płakać, panno Marysiu...

Rozczulił się jej łkaniem i bezradnością swojej pociechy. Sam był bliski łez. Leciutko pogłaskał ją po łopatkach, wstrząsanych szlochem.

— Cicho, panno Marysiu, cicho — mówił. — Nie trzeba, nie warto. Skrzywdził panią... skrzywdził. Zły człowiek. Bez sumienia.

— Ale za co, za co!... — płakała Marysia. — Nie lubiłam go wprowadzić... nigdy... Ale nic złego mu nie zrobiłam.

Sobek zastanowił się.

— O kim pani mówi?

— O nim, o Wojdyle...

— O starym? — zdumiał się.

— Nie, o tym... eks-kleryku.

— Zenon?... A cóż ten chuligan pani zrobił?

— Obrzucił mnie wstrętnymi obelgami... Przy ludziach! Taki wstyd!... Taki wstyd!... Jak ja teraz oczy światu pokażę!

Załamala ręce.

Sobek poczuł, że krew nabiega mu do twarzy. Póki myślał, że to pan Czyński skrzywdził Marysię, mimo woli przyjmował to z rezygnacją jako działanie sił wyższych, przeciw którym niepodobna było nic zdziałać. Gdy jednak dowiedział się, że chodzi o młodego Mosterdzieja, opanował go nagły gniew.

— Cóż on pani takiego powiedział? — zapytał, siłąc się na spokój.

Marysia, gdyby nie była tak rozżalona i tak podniecona, zapewne nie zdobyłaby się na zwierzenia. Gdyby miała czas do namysłu, spostrzegłaby się, że nie ma sensu mówić o tym panu Sobkowi, człowiekowi obcemu. Zbyt silnie jednak pragnęła w tej chwili współczucia. Opowiedziała tedy urywanym głosem, jak umiała, przebieg tego okropnego zajścia.

Słuchając, Sobek uspokoił się i nawet zaśmiał.

— Że też pani na takiego durnia zwraca uwagę — powiedział. — On mówi czy pies szczeka to jedno. Nie ma czym przejmować się.

— Łatwo panu tak mówić...

— Łatwo, niełatwo to inna sprawa, a Zenon to się nawet nie liczy. Co dla pani Zenon?... Napłuć i tyle...

— Choćby nawet — obtarła łzy. — Przecie ludzie słyszeli, rozejdzie się po miasteczku. Gdzie ja oczy podzieję.

— Oj, panno Marysiu, a po cóż pani ma oczy chować? Pani sumienie czyste, to grunt.

— Nie każdy uwierzy, że czyste.

— Kto sam uczciwy, ten uwierzy, zły i w kościele brudu się dopatrzy. Ale na złych nie ma co zważać. Ot, było, minęło, przeszło. Widzi pani — pokazał koszyk — do sadownika idę po truskawki. Nie pójdzie pani ze mną? Dobre truskawki, takie wielkie. A słodkie.

Uśmiechnęła się.

— Dziękuję, muszę śpieszyć do domu... Do widzenia.

— Do widzenia, panno Marysiu. A przejmować się nie ma czym.

Zatrzymała się i powiedziała:

— Pan jest taki dobry dla mnie... Nigdy tego nie zapomnę.

Sobek skrzywił się i machnął ręką.

— Jaka tam i dobroć. Nie ma o czym gadać. Do widzenia.

Nucąc pod nosem jakieś tango, poszedł do ogrodu. Wybrał truskawki, potargował się, zapłacił, wrócił do domu. Przepadał za truskawkami. Wysypał je na dwa głębokie talerze, utłukł w moździerzu cukier, przyprószył gęsto pudrem jagody, by przeszły cukrem. Lubił wszystko robić systematycznie.

Tymczasem zagotował wody na herbatę, wyjął z szafki chleb, masło. To była jego kolacja, dziś, z racji soboty, zakończona taką wspaniałą leguminą jak talerz soczystych, pachnących truskawek. Drugi zostawił na jutrzejszy obiad.

Potem zmył naczynia, wytarł, ustawił, wziął ze ściany swoją piękną mandolinę i wyszedł.

Latem w sobotnie wieczory cała młodzież była na ulicach, a głównie na Krowiej Promenadzie. Pan Sobek wciąż spotykał znajomych. Z niektórymi przystawał, pogawędził, poartował, innym tylko uklonił się z daleka. Przeszedł Wileńską, ulicą Napoleona, potem poszedł do Trzech Gruszek i zawrócił. Dziewczeta usiłowały ściągnąć go, każda do swego towarzystwa. Zawsze przyjemnie jest posłuchać muzyki. On jednak wymawiał się i spacerował sam, brzdąkając od czasu do czasu kosteczką po strunach.

Gdy przechodził ulicą Oszmiańską, zobaczył na ganku u Lejzora kilku młodych ludzi. Siedzieli i palili papierosy.

— Ej — zawołał jeden — panie Sobek. Chodź pan, zagraj co.

— Jakoś ochoty nie mam — Sobek przystanął.

— Co tam ochota — odezwał się drugi głos. — Siadaj pan z nami, to i ochota przyjdzie.

— A z wami ja nie usiądę — odpowiedział Sobek.

— Czemuż to?

— Bo między wami jest żulik, a ja z żulikami zadawać się nie będę.

Zapanowała chwila milczenia i trzeci głos zapytał:

— Kogoż to masz pan na myśli, jeśli łaska?

— Na myśli ja jego nie mam — spokojnie wycedził Sobek. — Ja jego mam w pogardzie. A jeśli pan ciekaw, o kim mówię, panie Wojdyłło, to właśnie akurat o panu.

— O mnie?

— Tak, o panu, panie eks-kleryk! Pan jesteś dla mnie żulik i z panem towarzystwa mieć nie chcę.

— Za cóż pan człowieka obrażasz, panie Sobek? — pojednawczo odezwał się inny głos.

— Nie człowieka, tylko bydlę. Gorzej bydlęciami, bo chuliganami.

— Pijany czy co?!... — zawołał Zenon.

— Czy pijany?... Nie, panie Wojdyłło, ja nie trunkowy. Trzeźwy ja zupełnie. Nie tak jak pan, co po rynsztokach nocujesz. Co nieprzyzwoite napaści na młode panienki robisz. Tylko pijana świnią, za przeproszeniem, może niewinną i bezbronną dziewczynę na publicznej ulicy parszywymi słowami obrzucać. Ot, co.

I brząknął kilka taktów walca z „Manewrów jesiennych”.

— Jemu o tę Maryskę od Szkopkowej chodzi — zauważył ktoś.

— Pewnie że o nią — potwierdził Sobek. — O nią, na którą taki żulik, jak szanowny pan Wojdyłło...

— Zamilcz pan! — krzyknął Wojdyłło. — Dość mi tego!

— Panu dość, a mnie mało!...

— Patrz pan swego nosa!

— I pan mógłby popatrzeć swojego. Tylko ciemno. Z daleka nie widać. Ale do mnie tu pan nie zejdziesz, bo się boisz.

Zenon zaśmiał się.

— Czego, czego, ty durniu, mam się bać?

— A taki się boisz, żeby nie dostać po mordzie!...

— Zostawcie, nie warto — łagodnie poradził ktoś z ganku.

— Pewno, że nie warto rąk paskudzić — tymże tonem przyznał Sobek.

— Sam dostaniesz po mordzie! — wrzasnął Zenon.

I zanim obecni zdążyli go przytrzymać, skoczył z ganku. Zakotłowało się w ciemności. Rozległo się kilka głuchych uderzeń, a potem silny trzask. To piękna mandolina pana Sobka rozleciała się w drzazgi w zetknięciu z głową eks-kleryka. Przeciwnicy zwarli się i zwalili na ziemię. Potoczyli się pod płot.

— Puść — odezwał się zduszony głos Zenona.

— A ot, tobie, chuliganie, ot tobie, ot, ot, żebyś pamiętał!

Głosowi Sobka towarzyszyły odgłosy uderzeń.

— Na mnie się narwałeś!... A ot, tobie! A ot! A ot! Będziesz panny zaczepiać?! A?

— Nie będę!

— To masz, żebyś pamiętał!

— Nie będę, przysięgam!

— To masz jeszcze, żebyś przysięgę pamiętał też! I jeszcze! I jeszcze!

— Bracia, ratujcie! — zaskowytał Zenon.

Dookoła zebrali się kilkanaście osób zwabionych bójką. Nikt jednak nie ruszył się na pomoc. Sobek cieszył się powszechnym szacunkiem i nawet ci, którzy nie wiedzieli, o co tu poszło, woleli przypuszczać, że słuszność jest po jego stronie, tym bardziej że przeciwnikiem jego był ogólnie nie lubiany awanturnik. Kompani Zenona również nie poczuli się do obowiązku solidarności. W głębi duszy od początku byli po stronie Sobka. Zresztą bójkę zaczął Zenon.

— Panowie — odezwał się jeden z tłumu. — Dosyć, dosyć!

— Przestańcie! — dodał drugi.

Sobek podniósł się z ziemi. Z domu wybiegł Lejzor z naftową lampą w ręku. W jej świetle stało się widoczne całe spustoszenie dokonane w zewnętrznej powłoce Zenona. Wstał w ubraniu podartym, oczy miał podbite, nos rozkrwawiony. Obracał przez chwilę językiem w ustach i wypłul kilka zębów.

Sebek otrzepnął¹¹ ubranie, podniósł z ziemi trzonek mandoliny, przy którym na strunach żałośnie podrygiwały szczątki pudła, chrząknął i nic nie powiedziawszy, odszedł.

Inni też zaczęli się rozchodzić, nic nie mówiąc i o nic nie pytając. Nazajutrz jednak w całych Radoliskach wrzało jak w ulu. Po sumie przed kościołem nie było innych tematów rozmowy. Wszyscy znali już dokładnie przyczyny i przebieg zajścia. Ogólnie przyznawano rację Sobkowi i cieszą się z poskromienia Zenona. Z drugiej jednak strony potępienie skierowało się ku Marysi. Raz, że to przez nią, a dwa, że przesadywanie młodego Czyńskiego w sklepie bądź co bądź niedobrze świadczy o moralności młodej panienki.

Poza tym wprost nie uchodziło, by o jakąś tam przybłądę, o dziewczynę sklepową bili się publicznie ludzie z miasteczkowego towarzystwa, urzędnik i syn bogatej, szanowanej rodziny.

Powszechnie interesowano się, jak zareaguje właśnie rodzina Wojdyłów. Nagabywano, i to nawet od niechcenia braci Zenona, lecz ci wzruszali tylko ramionami.

— Nie nasza sprawa. Ojciec wróci, sam będzie wiedział.

Starego Mosterdzieja istotnie nie było w Radoliskach. Wyjechał po zakupy do wileńskich garbarzy.

Marysia o pobiciu Zenona dowiedziała się wczesnym rankiem. Przybiegły dwie sąsiadki i opowiedziały wszystko z detalami. O ile pani Szkopkowa przyjęła wiadomość z zadowoleniem, jako boską karę na Zenona za porzucenie świętego stanu kapłańskiego, o tyle Marysia wręcz przeraziła się. Robiła sobie gorzkie wyrzuty za niepotrzebną gadatliwość. Po co skarżyła się temu zacnemu panu Sobkowi! Naraziła go na takie przykrości. Bóg wie, co za następstwa pociągnie to za sobą. Stary Wojdyło nie daruje pobicia syna. Pewno podadzą sprawę do sądu, pewno złożą skargę w dyrekcji poczt. Za swoją szlachetność może pan Sobek zapłacić utratą posady...

Niewątpliwie czuła doń wdzięczność, ale i żal czuła do niego. Poświęcił się dla niej, narażał się, dobrowolnie wmieszał siebie w to obrzydliwe plotkarstwo, które będzie teraz długo jego nazwiskiem gęby sobie wycierać. I dzięki temu wszystkiemu stał się jej, Marysi, wierzycielem. Choćby i słowa o tym nie bąknął, każde jego spojrzenie będzie jej mówić:

„Stałem w obronie twego honoru, twojej czci i dobrej sławy, czyż nie należy mi się za to zapłata?”

I jeszcze jedno. Z przyczyny całej awantury, Marysia dokładnie zdawała sobie sprawę, wezmą ją na języki i zatrują jej życie.

Nie kłamała też, że głowa ją boli, gdy wymawiała się od pójścia na sumę. Rzeczywiście czuła się chora, nieszczęśliwa, roztrzęsiona. Przez całą niedzielę nie wyszła z domu, popłakując i rozmyślając nad tym, co teraz będzie. Gdyby mogła uciec stąd, wyjechać najdalej. Bodaj do Wilna. Wzięłaby każdą robotę, zostałaby służącą... Na podróż jednak nie miała pieniędzy, a nie lękała się, by pani Szkopkowa zechciała jej pożyczyć. Ani pani Szkopkowa, ani nikt w miasteczku. Chyba... chyba...

I tu przyszedł jej na myśl znachor z młyń. Strycio Antoni na pewno nie odmówiłby jej niczego. Oto jeden człowiek, jedyny człowiek, jaki jej na świecie pozostał.

¹¹otrzepnął — dziś: strzepnął a. otrzepał.

Zaczęła gorączkowo obmyślać plan działania. Wieczorem, gdy się zrobi ciemno, przejdzie tyłami ogrodów do tartaku... A stamtąd do młyna. Gdzieś po drodze wynajmie furmankę i na rano będzie już na stacji. Stamtąd napisze list do pani Szkopkowej... I do niego, do pana Leszka.

Serce Marysi ścisnęło się. A co będzie, jeśli on nie zechce przyjechać do Wilna?...

I od razu wszystkie projekty upadły.

Nie, stokroć wołała narażać się tu codziennie na obmowę, na szyderstwa, na plotki, nawet na wstyd niż wyrzec się możliwości widywania jego oczu i ust, i włosów, słuchania jego niskiego, drogiego głosu, dotyku jego mocnych, pięknych rąk.

„Niech się dzieje, co chce” — zdecydowała się.

Było jeszcze jedno wyjście: zwierzyć się mu ze wszystkiego. Jest przecie od niej znacznie mądrzejszy i na pewno znajdzie najlepszy sposób.

Na to jednak nie zdobyłaby się nigdy. Wiedziała, że nikt w miasteczku nie ośmieli się mu opowiedzieć o przyczynie zajścia między panem Sobkiem i synem Wojdyłły. Zresztą pan Leszek z nikim tu nie wdawał się w rozmowy. Gdyby jednak dowiedział się o awanturze, gotów by nabrać podejrzeń, że pan Sobek miał jakieś prawo do występowania w obronie Marysi, a wówczas...

„Nie, nic mu nie powiem, nic! — postanowiła. — Tak będzie najrozsądniej”.

Z rana szła z domu do sklepu z głową opuszczoną i tak prędko, jakby ją goniono. Odetchnęła dopiero wówczas, gdy znalazła się w środku. Przejrzała się w lusterku i ze zmartwieniem stwierdziła, że dwie nieprzespane noce i ostatnie przeżycia zostawiły ślady. Błada była, a oczy miała podkrążone. To ją do reszty wytrąciło z równowagi.

„Gdy zobaczy, jak zbrzydłam — myślała — zniechęci się do mnie. Byłoby już lepiej, żeby nie przyjechał”.

Mijała godzina za godziną i Marysia niepokoiła się coraz bardziej.

„W złą chwilę pomyślałam, żeby nie przyjechał!” — robiła sobie wyrzuty. W kościele dzwonili już na południe, gdy ujrzała konie z Ludwikowa. Pana Leszka jednak w bryczce nie było. Stangret, ziewając, siedział na koźle. Gruba pani Michalewska, gospodyni z Ludwikowa, wysiadła i poszła załatwić sprawunki. Marysia miała wielką ochotę pobiec do bryczki i zapytać o pana Leszka, zdołała się jednak pohamować i postąpiła rozsądnie, gdyż nie minęła godzina, a rozległ się na ulicy warkot motocykla.

Omali nie rozpląkała się ze szczęścia. Pan Leszek jednak nie spostrzegł ani jej bladoci, ani łez w oczach. Wpadł jak huragan, w mazurowym tempie, wybił kilka hołubców i zawołał:

— Wiwat genialny mechanik! Niech żyje! Złóż mi gratulacje, Marysieńko! Myślałem już, że mię diabli na tym upale wezmą, ale zawzięłem się!

Zaczął opowiadać, jak mu się motocykl w drodze zepsuł i z jakim trudem sam naprawił uszkodzenie, chociaż mógł zabrać się bryczką z panią Michalewską.

Był tak z siebie kontent, że aż promieniał.

— Nie ma zły drogi do swej niebogi! — wykrzykiwał.

— Ale się pan wysmarował, panie Leszku! Zaraz dam panu wody.

Nalewała ją właśnie do miednicy, gdy weszła pani Szkopkowa z obiadem. Obrzuciła ich karcącym spojrzeniem, nic wszakże nie powiedziała.

— Pan Czyński musiał naprawiać swoją maszynę — objaśniła Marysia. — I chciał się umyć, bo zawałał się smarami.

— Nie nachlapię tu pani zanadto — dodał Czyński.

— Nie szkodzi — sucho odpowiedziała pani Szkopkowa i wyszła.

Inżynier nie przejął się bynajmniej oschłością właścicielki sklepu. Z humorem tłumaczył Marysi, na czym polegał defekt motoru i jak sobie dowcipnie poradził z reperacją. Stopniowo i dziewczyna odzyskała swobodę.

— Jak ty ślicznie się śmiejesz! — powtarzał Czyński.

— Zwyczajnie.

— Właśnie że niezwyczajnie! Przysięgam ci, Marysieńko, że jesteś pod każdym, absolutnie pod każdym względem nadzwyczajna. A jeżeli chodzi o śmiech... każdy śmieje się inaczej.

Tu zaczął dawać próbki śmiechu różnych osób. Robił to tak komicznie, takie miny przy tym wyprawiał, że umarłego by rozruszał. Najlepiej i najdłużej naśladował grubą gospozię, panią Michalewską.

Nie wiedział, że w tej właśnie chwili pani Michalewska bliższa była płaczu niż śmiechu, i to z jego powodu.

Już gdy windowała się do bryczki, stangret zauważył, że gospodyni dostała purpurowych wypieków, tak jakby przed chwilą odeszła od smażenia konfitur. Przez całą drogę słyszał, jak mamrotała mu coś za plecami, wzdychała i pojękiwała.

„Coś musiało się stać” — miarkował.

Jakoż i stało się. W miasteczku pani Michalewska dowiedziała się tak strasznych rzeczy, że wprost nie chciała im wierzyć i nie uwierzyłaby, gdyby nie świadectwo kilku osób i gdyby nie to, że na własne oczy zobaczyła, gdzie pan Leszek postawił motocykl i gdzie siedział już bite dwie godziny.

Para małych, lecz dobrze wypasionych kasztanów szła dziarskim klusem, lecz pani Michalewskiej zdawało się, że bryczka ledwie się porusza. Wciąż wyglądała przed siebie, obliczając, ile to kilometrów zostało do Ludwikowa.

Wreszcie za lasem otworzył się szeroki widok. Pola łagodną pochyłością zniżały się do widocznej na horyzoncie niebieskiej smugi jeziora. Nad jeziorem ustawione w symetryczne rzędy małe kubiki budynków z czerwonej cegły i kominy. Na wzgórzu w pękach zieleni bielił się wysoki, smukły pałac, uchodzący w całym powiecie za ósmy cud, jeżeli nie świata, to przynajmniej kresów północno-wschodnich. Jedna jedyna pani Michalewska nie podzielała tych zachwyty. Wolała dawny, drewniany, lecz większy i przytulniejszy od nowego dwór, w którym się urodziła, wychowała i pracowała od dziecka.

Nie umiała też przebaczyć swemu chlebodawcy i rówieśnikowi, staremu panu Czyńskiemu, że zamiast odbudować dokładnie spalony podczas inwazji dom, kazał wznieść nowoczesny i do tego dwupiętrowy pałac, jakby zależało mu na tym, by stare nogi gospodyni miały jak najwięcej schodów do włożenia i złożenia.

I teraz, chociaż pochłonięta innymi myślami, pani Michalewska poświęciła jedno stęknienie tej niedorzecznej innowacji, do której pomimo upływu kilkunastu lat nie umiała się przyzwyczaić.

Minąwszy wjazdową bramę, bryczka skręciła w boczną aleję parku i zatrzymała się przed służbowym wejściem. Pani Michalewska zbyt była podniecona, by osobiście zająć się wyladowaniem i umieszczeniem w spiżarni przywiezionych zapasów. Niczym lokomotywa pośpiesznego pociągu przevaliła przez kuchnię, kredensowy i jadalnię, sapiąc może nawet bardziej, niż wymagało tego zmęczenie i rozwijana szybkość.

Wiedziała, gdzie o tej porze znajdzie państwa Czyńskich i nie omyliła się. Byli na północnym tarasie. Pani Eleonora, sztywna i wyprostowana w swoim gorsecie, siedziała na twardym, niewyścielanym krześle (innych nie uznawała) i zagłębiona była w wielkich księgach fabrycznych. Za nią stał buchalter, pan Słupek, z miną nieszczęśnika, którego za chwilę wezmą na tortury. Jego łysa głowa, podobna do wielkiej, różowej purchawki, pokryta była gęstymi kropelkami potu. W drugim końcu tarasu, w wielkim, trzcinowym fotelu siedział pan Stanisław Czyński obłożony nieprawdopodobnymi stosami gazet. Pani Michalewska stanęła na środku bez słowa, jak posąg grozy.

Pan Czyński opuścił niżej okulary i zapytał:

— O co chodzi, Michalesiu?

— Nieszczęście! — jęknęła.

— Cytryn nie ma?

— Ach, co tam cytryny!... Kom-pro-mi-ta-cja!

— Co się stało? — spokojnie, lecz już z większym zainteresowaniem zapytał pan Czyński, odkładając gazetę.

— Co się stało?... Skandal!... Myślałam, że spalę się ze wstydu. Całe miasteczko o niczym innym nie mówi! Tylko o nim!

— O kim?

— No, o naszym kochanym Leszku.

— O Leszku?

Pani Czyńska podniosła głowę i powiedziała:

— Niech pan zapamięta, panie Słupek. Przerywamy na tej pozycji, 1482 złote i 24 grosze.

— Tak jest, proszę pani — buchalter odetchnął. — Dwadzieścia cztery grosze. Czy mam odejść?

— Nie, niech pan zostanie. Więc co Michalesia mówi?

— O panu Leszku! Wstyd całej rodzinie! Dowiedziałam się takich rzeczy, że no!

— Więc proszę powtórzyć. Pewno jakieś plotki — z kamiennym spokojem rzekła pani Czyńska.

— W Radoliszkach biją się, mordują się przez naszego pana Leszka. Kierownik agencji pocztowej gitarę na nim połamał i turlali się po całym rynku. Nos mu rozbił! Zęby wybił...

— Komu? — zerwał się pan Czyński. — Leszkowi?

— Nie, temu synowi Mosterdzieja, rymarza.

— Więc cóż to nas obchodzi?

— A bo to przez tę dziewczynę, z którą pan Leszek romans uprawia.

Pani Czyńska zmarszczyła brwi.

— Nic nie rozumiem. Proszę Michalesię, by opowiedziała wszystko po porządku.

— Toż mówię! Przez dziewczynę. Przez tę Marysię od Szkopkowej. Ja od dawna wiedziałam, że tu musi być sprawa nieczysta. Stare oczy, ale dobrze patrzą. Czy nie mówiłam jeszcze w zeszłym tygodniu: no, no, coś mi za bardzo pan Leszek do tych Radoliszek jeździ!... Może nie mówiłam?... No, niech państwo powiedzą, że nie mówiłam...

— Mniejsza o to. I cóż ta dziewczyna?

— Dziewczyna jak dziewczyna. Ładna, bo ładna, ale ja tam w niej nic specjalnego nie widzę. Żeby aż bić się o taką?... Ale to swoją drogą, a swoją drogą pan Leszek. Co dzień gania do miasteczka. Myślę sobie: co go tam ciągnie, aż teraz okazuje się! Dopiero teraz.

— I cóż się okazuje?

— Że do niej, do tej Marysi. Motocyklistą całymi dniami gdzie stoi?... A pod sklepem pani Szkopkowej. Wszyscy widzą i głowami kręcą. A pan Leszek gdzie przebywa?... Ano w sklepie. Sam na sam! Tak! Sam na sam z nią, bo Szkopkowa w sklepie nie siedzi. Pani aptekarzowa powiada, że to dziw, powiada, że dotychczas ksiądz proboszcz z ambony, powiada, takiego zgorszenia nie potępił. I jeżeli, powiada, tego nie zrobił, to chyba przez wzgląd na szacunek i poważanie dla rodziców tego, powiada, przedsiębiorczego kawalera.

Pan Czyński skrzywił się niemiłosiernie.

— Cóż dalej?

— Ano, to ten właśnie syn rymarza, eks-kleryk, w sobotę... Nie, nie, w piątek... Nie, dobrze mówię, w sobotę, publicznie ową Marysię zapytuje, dlaczego to do sklepu kanapę wstawiła... To owa Marysia na to nic. To on zaczął takimi słowami z naszego pana Leszka i z niej podrwiwać, że wszyscy za brzuchy się trzymali ze śmiechu.

— Jacy wszyscy? — spokojnie zapytała pani Eleonora.

— No, naród. Na ulicy przecie było i każdy słyszał. To dziewczynę wstyd widocznie zdjął, bo ani pary nie puściła i w nogi. Ale musiała się poskarżyć temu, co pocztę załatwia, Sobkowi. A może on i tak od kogoś się dowiedział. Dość, że jak tylko eks-kleryk spotkał, rzucił się na niego i tak wykotłował, że tamten ledwie z życiem wyszedł. A dziś to na własne oczy widziałam motocyklistę pana Leszka znowu pod tym sklepikiem. Jeszcze nieszczęście napęta na siebie. Ten Sobek gotów mu jaką krzywdę zrobić, bo to...

— No, dobrze — przerwała pani Czyńska. — Dziękujemy Michalesi za informacje. Zajmę się tą sprawą.

Mówiła zupełnie obojętnie, lecz gospodyni dobrze wiedziała, czym to pachnie. Przyszło jej teraz do głowy, że postąpiła zbyt pośpiesznie i nierozważnie. Wprawdzie była oburzona niemoralnymi wizytami Leszka, lecz kochała go bardziej od rodzonych dzieci i teraz żałowała swego postępków.

— Bo ja, proszę państwa — zaczęła — nic na naszego pana Leszka nie mówię, bo ma się rozumieć...

Ale państwo Czyńscy rozmawiali już po francusku, co oznaczało, że Michalesia powinna wynieść się. Zrobiła to, ociągając się, i zastanowiła się nad tym, czyby nie wybiec zawczasu na drogę i nie uprzedzić Leszka o piwie, którego nawarzyła. Po zastanowieniu

się doszła jednak do przekonania, że młodemu porządna bura, na którą zasłużył, wyjdzie tylko na korzyść, i zaniechała zamiaru.

Na potępienie zasługiwał w każdym razie. Jeżeli uwodził przyzwoitą dziewczynę, to postępował brzydko. Jeżeli owa Marysia nie należała do przyzwoitych, kompromitował siebie i rodzinę.

Tak rozumowała Michalesia, takiego również zdania byli państwo Czyńscy.

Toteż gdy Leszek przyjechał, ku swemu zdziwieniu i zaniepokojeniu zauważył zimne spojrzenia, jakimi go przyjęto. Początkowo był przerażony domysłem: ten łajdak Bauer, dyrektor hotelu z Wilna, musiał przysłać rachunek.

„A to świństwo — myślał, jedząc kolację w milczeniu — nie mógł paru tygodni poczekać”. Rachunek — o ile pamięć Leszka nie zawodziła — zawierał pozycje, których za żadną cenę nie chciałby zademonstrować rodzicom. Zwłaszcza owe rozbite lustra i zbyt wiele, naprawdę zbyt wiele butelek szampana...

— Czy mógłbyś teraz poświęcić nam pół godziny czasu? — odezwała się, wstając od stołu, pani Czyńska. — Chcielibyśmy z tobą pomówić.

— Aż pół godziny? — podejrzliwie zapytał Leszek.

— Czy uważasz, że to dla rodziców zbyt dużo?

— Ależ nie, mamu. Jestem do waszej dyspozycji.

— Przejdziemy do gabinetu.

— Oho! — mruknął do siebie Leszek. — Rzecz musi być poważna.

W gabinecie z reguły odbywały się najmniej przyjemne i najbardziej oficjalne konferencje z rodzicami.

Pan Czyński zasiadł na prezydyalnym miejscu przy biurku i, chrząknąwszy dwukrotnie, zaczął:

— Mój Leszku! Doszło do naszej wiadomości, że lekkomyślność swoją posuwasz do granic, które przekraczają nie tylko dobre obyczaje, ale i pojęcie o godności osobistej, jakie staraliśmy się oboje z matką w ciebie wpoić.

— Nie wiem, ojcze, o co chodzi — przybierając ton chłodny i obronny, odpowiedział Leszek.

— Chodzi o obrzydliwe burdy wśród miasteczkowych... kawalerów... o burdy wywołane przez ciebie.

Leszek pomyślał z ulgą:

„Więc nie rachunek! Dzięki Bogu!” — i już z całą swobodą uśmiechnął się.

— Moi kochani rodzice! Widzę, że wprowadzono was w błąd, mówiąc po prostu, zbijano jakimiś niedorzecznymi bajkami. O żadnych burdach nic nie wiem. A tym bardziej nie mogłem ich wywołać.

— A czy nie wiesz też nic o niejakiej Marysi — powoli zapytała matka — o ekspedientce ze sklepiu Szkopkowej?

Leszek zaczerwienił się lekko.

— Cóż to ma do rzeczy?

— Bardzo wiele, mój drogi.

— Owszem. Znam tę Marysię. Miła dziewczyna.

Chrząknął i dodał:

— Wstępuję do tego sklepu dość często po papierosy.

— Codziennie — podkreśliła matka.

— Być może — zmarszczył brwi. — I cóż z tego?

— Bywasz tam codziennie i przesiadujesz godzinami.

— Jeżeli nawet... Czy nie sądzisz, mamu, że wyrosłem już z tych lat, kiedy podlegałem kontroli?...

— Zapewne. Jeżeli chodzi o naszą kontrolę. Ale najbardziej dojrzały i najzupełniej samodzielny człowiek podlega zawsze jeszcze innej i to znacznie mniej wyrozumiałej kontroli. Myślę o kontroli opinii publicznej..

Leszek zachnął się.

— Daruj, mamu, ale nie popełniłem żadnej zbrodni!

— Nikt ci zbrodni nie zarzuca.

— Więc o co chodzi?

— O takt i godność — dobitnie odpowiedziała pani Czyńska.

— Nie uważam, bym uchybił jednemu lub drugiemu.
Pan Czyński niecierpliwie poruszył się w fotelu.
— Mój Leszku — zaczął. — Musisz to sam rozumieć, że twoje stałe przebywanie, demonstracyjne przebywanie w sklepiku nie mogło nie wywołać komentarzy...
— Nikomu nic do tego. Sklep... sklep jest miejscem publicznym. Każdy ma prawo wejść do sklepu.
— Daruj — przerwała matka — ale podobne wykręty stoją poniżej twego poziomu. Przede wszystkim przesiadujesz tam całymi dniami, co zwraca wszystkich uwagę i wywołuje komentarze. Nie posądzisz chyba nikogo o taką naiwność, by przypuszczał, że spędzasz ten czas na studiach metod handlu sklepikarskiego. Przesiadujesz tam dla owej ekspedientki.
— Możliwe. Więc coś z tego?
— Z tego wynikałoby, że uważasz jej towarzystwo za nader interesujące.
— Istotnie, mamo.
— I za odpowiednie dla ciebie?... Czy tak?... Odpowiednie dla pana Czyńskiego pod względem towarzyskim, intelektualnym, socjalnym?
Leszek wzruszył ramionami.
— To kwestia poglądu, zapatrywań...
— Otóż pozwól sobie powiedzieć, że naszym zdaniem nie ma tu żadnej kwestii. A najlepszy dowód w tym, że twoje wizyty stały się tematem plotek w miasteczku.
— Kpię sobie z plotek! — zawołał porywczo.
— I nie tylko plotek. Owa dziewczyna została publicznie zelżona przez jednego z mniej szczęśliwych... twoich współzawodników, w następstwie czego inny... adorator tej... popularnej panienki w ulicznej bijatyce uważał za stosowne stanąć w obronie jej czci. Dzięki temu twoje... zaloty i twoja osoba nabrały w okolicy rozgłosu.
Leszek szeroko otworzył oczy.
— Ależ ja o niczym nie wiem! To w ogóle jest niemożliwe!
Zerwał się wzburzony i zawołał:
— To są ohydne plotki, w których nie ma ani jednego słowa prawdy!
— Niestety, synu — odezwał się pan Czyński — mamy zupełnie pewne wiadomości.
— Nie wierzę! — wybuchnął. — Powiedziałyby mi o tym! A mama nie powinna, mówiąc o dziewczynie, której nie zna, o najprzyzwoitszej dziewczynie, posługiwać się takimi... takimi... dwuznacznymi aluzjami! To... to jest wstrętne!
Państwo Czyńscy zamienili szybkie spojrzenie. Byli zaskoczeni wybuchem syna, który dotychczas sam zbyt lekko wyrażał się o kobietach.
— Widzę, że owa panienka bardzo cię obchodzi.
— Naturalnie, że obchodzi, jeżeli z mojej przyczyny ma być narażona na podobne... podobne...
Przygryzł wargi i nie dokończył.
Pani Czyńska spokojnie opowiedziała wszystko to, czego dowiedziała się od gospodyni. Leszek zdołał opanować się o tyle, że nie przerwał jej ani razu. Gdy skończyła, odezwał się sucho:
— I jakież konsekwencje zamierzacie z tego wyciągnąć?
— Jak to konsekwencje? — zdziwił się pan Czyński. — Właśnie jedyną konsekwencją jest to, że chcieliśmy cię prosić, byś zastanowił się nad swoim postępowaniem. To wszystko.
Leszek potrząsnął głową.
— To nie wszystko. Możecie to uznać lub nie, lecz ja w swoim postępowaniu nie widzę nic, co by wam, mnie czy komukolwiek przynosiło ujmę. Nie mam sobie nic do zarzucenia. Absolutnie nic! Natomiast ani ja, ani chyba moi rodzice nie mogą puścić płazem jakiemuś chamowi, że plugawi opinię biednej wprawdzie, ale godnej szacunku dziewczyny, posługując się moim nazwiskiem.
Pani Eleonora zmierzyła syna ironicznym spojrzeniem.
— Zbyt pewien, mój drogi, jesteś owego szacunku, na który zasługuje rzekomo ta panienczka. Nie posądzam cię o naiwność! Ale jakże myślisz zareagować?... Jestem bardzo ciekawa. Czy idąc wzorem owego urzędnika pocztowego zamierzasz wdać się z synem rymarza w bijatykę?

— Nie, ale skieruję sprawę do sądu!
— Nie będzie to świadczyło o twoim rozsądku. Sprawa sądowa z pewnością nie poprawi reputacji tej panienki.

— Więc każę stangretowi oćwiczyć go batem! — krzyknął zniecierpliwiony. — A w każdym razie... Od dzisiejszego dnia nie będziemy ani do fabryki, ani do folwarku brać wyrobów jego ojca!

— Ojciec tu nic niewinien — zauważył pan Czyński.

— Oczywiście — dodała pani Eleonora. — A poza tym pozwól, że wyrażę zdziwienie z powodu twego tonu, tonu tak apodyktycznego, jakby fabryka i folwark stanowiły twoją własność i sprawa zamówień zależała wyłącznie od ciebie.

Leszek miał już jednak zbyt roztrzęsione nerwy. Odstąpił krok wstecz i zapytał:

— Więc to tak?... Więc mama zamierza nadal zaopatrywać się u tego rymarza?

— Nie widzę powodu do zmiany.

— Ale ja widzę! — krzyknął.

— To jeszcze nas na szczęście nie obowiązuje.

— Tak? Zatem słuchajcie! Żądam tego stanowczo. Macie wybór. Albo zastosujecie się do mego żądania, albo nie zobaczycie mnie nigdy więcej!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu. Był wzbudzony do ostatecznych granic, wzbudzony do tego stopnia, że rzeczywiście nie zawahałby się wykonać groźby i wyjechać chociażby natychmiast.

Nie chciał i nie mógł zastanowić się teraz nad tym, czy postępuje słusznie. Sama myśl, że jakiś miasteczkowy chłystek ośmielił się publicznie stroić zeń żarty, doprowadzała go do furii, zaciemniała trzeźwy sąd i domagała się bezzwłocznej reakcji. I to w tej chwili było najważniejsze: ukarać, zemścić się. Bodaj rodzice stanęli na przeszkodzie! Bodaj! Niemal pragnął tego. Pokazałby im, że potrafi nie cofnąć się przed niczym. Ukarze ich również.

Wybiegł do parku i laską ojca, którą zabrał z przedpokoju, z wściekłością objął liście z gałęzi kasztanów.

Oczywiście zerwanie z domem równałoby się nędzy. Otrzymał wprawdzie fachowe wykształcenie jako ceramik, mógłby dostać w Ćmielowie czy w jakiejś innej fabryce posadkę. Zamknęłoby to jednak jego budżet w kwocie nędznych paruset złotych miesięcznie.

— To trudno — przekonał siebie. — Przetrwam.

I nagle zjawilo się pytanie:

— Co właściwie było przyczyną konfliktu, konfliktu, który miałby zaważyć na całym moim życiu?

Odpowiedź przyszła łatwo:

— Marysia...

Tak, w gruncie rzeczy chodziło tu o Marysię, o tę śliczną dziewczynę, dla której gotów był na wszystko. A jeżeli, przypuścimy, nie na wszystko, to na bardzo wiele...

— Na bardzo wiele — upewnił siebie.

Lecz natychmiast wyrosły wątpliwości. Czy zerwanie z rodzicami, czy wyrzeczenie się pozycji i dobrobytu, czy to wszystko nie byłoby ceną zbyt wysoką?...

Z oburzeniem odrzucił tę myśl. Sprawa przedstawiała się jasno: ktoś ośmielił się obrazić Marysię i jego, musi więc ponieść karę. Jeżeli zaś rodzice odmawiają jednemu synowi tak drobnej satysfakcji, tym samym dają dowód, że nie zasługują na żadne względy. Niech cierpią.

A Marysia?... Z Marysią to całkiem inna kwestia. Tu nie powinno wchodzić w grę pytanie, czy ona zasługuje na to. Bo trzeźwo rzecz biorąc, Marysia nie jest w porządku. Stanowczo nie jest. Ten syn rymarza poczuwał się widocznie do jakiejś poufałości w stosunku do niej albo powodowała nim zazdrość. A ten pocztowiec, jakiś Sobek?... Dlaczego stanął w obronie Marysi?... Całkiem bez powodów?...

Tak myśleć byłoby dowodem najgłupszej naiwności. Oczywiście dziewczynę musi coś z nim łączyć.

Ogarnęło go krańcowe rozdrażnienie. Sam domysł podsunięty przez matkę, że owi ludzie są jego... rywalami, wydawał się obrazą, najcięższą obrazą.

„Oto są skutki — myślał z gorczyzą — zbliżania się do osób z takiego środowiska”.

Matka niewątpliwie jest kobietą doświadczoną. I umie rozsądnie patrzeć na życie. Jeżeli jej podejrzenia bodaj w części są słuszne...

— To ładnie wyglądam! Ośmieszyłem się jak smarkacz! Ta dziewczyna przy mnie udaje lilię polną, a kto wie, na co sobie pozwala z takim, powiedzmy, Sobkiem...

Posądzenie wprawdzie było wstrętne, ale któż może zaręczyć, że życie, że prawda nie jest równie wstrętne?

I Leszkiem owładnęło zupełne zniechęcenie. Usiadł na ławce kamiennej, mokrej od rosy, a świat wydał mu się czymś obrzydliwym, nudnym, niegodnym żadnych wysiłków, żadnych walk, żadnych poświęceń...

...Bo gdyby Marysia była uczciwą, szczerą dziewczyną, nie ukrywałaby tej awantury przed nim. Przeciwnie. Wyznałaby wszystko, prosiłaby o obronę jego, nie zaś jakiegoś Sobka...

Zza drzew wyłonił się okrągły księżyc. Leszek w ogóle nie lubił księżycy. Tym jednak razem dostrzegł w jego nieprzyjemnej fizjonomii wyraźnie ironiczny uśmiech.

„Jestem jeszcze straszliwie głupi — pomyślał — straszliwie głupi”.

I zastanowił się nad tym, co też o całej historii i o jego zachowaniu się powiedzą sobie rodzice.

Gdyby mógł słyszeć ich rozmowę, przekonałby się, że nie różni się od nich w ocenie swojej mądrości.

Po jego wyjściu państwo Czyńscy milczeli dość długo, wreszcie pani Eleonora westchnęła:

— Martwi mnie bardzo głupota Leszka.

— I ja się nie cieszę — dodał pan Stanisław, wstając. — Późno już. Czas spać.

Codziennym zwyczajem pocałował żonę w rękę i w czoło i poszedł do siebie. Po kwadransie był już w łóżku i właśnie zabierał się do czytania *Potopu*, który przed snem stanowił dlań najniezawodniejszy środek na uspokojenie nerwów, oderwanie myśli od spraw dziennych i błogo kołysał wyobraźnię, gdy zapukano do drzwi.

— To ty? — zdziwił się na widok żony. Już od wielu lat odzwyczaił się od jej odwiedzin w szlafroku i o tej porze.

— Tak, Stasiu. Chciałam zasięgnąć twojej opinii. Sama nie wiem, jak należy postąpić. Czy sądzisz, że pogroźkę Leszka należy brać serio?

— To jest chłopak nie zrównoważony — oględnie zauważył pan Czyński.

— Bo widzisz... Byłoby wysoce niepedagogicznie ustąpić pod presją groźby. Z drugiej jednak strony musimy wziąć pod uwagę jego wiek. Jeżeli dotychczas nie zdołaliśmy go wychować, to i dalsza pedagogika nie pomoże nic.

Pan Stanisław zerknął tęsknie na rozłożony na kółdrze gruby tom. Zagłoba właśnie objął regimentarstwo i przystępował do aprowidowania obozu. Ustęp szczególnie pogodny i tu nagle znowu sprawa Leszka.

— Sądzę, Elu, że odmówiliśmy mu zbyt stanowczo.

— Ale sprawiedliwie.

— Zapewne. Z drugiej wszakże strony ambicja chłopaka została podrażniona. Jestem zdania, że ostatecznie...

Myśl o dalszym ciągu, o sprowadzeniu broni i amunicji z Białegostoku, o przybyciu księcia Sapięhy („Jakaś głowa kiepska, musi być z Witebska!”), wszystko to nastrajało pana Czyńskiego pokojowo i pojednawczo.

— ...ostatecznie ten rymarz powinien swego synalka nauczyć moresu. Niepodobna odmówić Leszkowi pewnej dozy słuszności.

— Więc upierasz się — podchwyciła pani Eleonora — przy tym, by przyjąć warunek Leszka?

— Ja upieram się? — zdziwił się szczerze pan Stanisław.

— No, przecież nie ja — niecierpliwie wzruszyła ramionami. — Zawsze byłam zdania, że jesteś dla niego zbyt miękki i zbyt pobłażliwy. Obyśmy nie odpokutowali kiedyś ciężko za tę twoją słabość.

— Przepraszam cię, Elu... — zaczął pan Czyński, lecz małżonka przerwała mu:

— Proszę cię, zastosuję się do twojej woli. Chociaż jeszcze raz podkreślam, że robię to wbrew memu przekonaniu.

— Ależ... — próbował oponować pan Stanisław — ależ ja...

— Ty? Ty, mój drogi, źle go wychowałeś! Dobranoc!

I pani Eleonora wyszła. Wyszła z poczuciem wstydu przed samą sobą. Sumienie nie dało się oszukać pozornym zwaleniem odpowiedzialności za ustępstwo na barki męża. Jej despotyczna natura buntowała się przeciw ultimatum syna i gdyby pan Stanisław bodaj jednym słowem zachęcił ją do oporu, do stanowczości — nie zmieniłaby swego postanowienia. Inna rzecz, że szła do sypialni męża zupełnie pewna, że od niego takiej zachęty nie usłyszy.

Nie znałby jednak pani Eleonory Czyńskiej ten, kto by przypuszczał, że potrafiłaby pogodzić się zupełnie z klęską. Drżała wprawdzie na myśl, że syn pogroźkę wykona i że wyjedzie na koniec świata, nie mogła jednak uznać własnej kapitulacji za wyrzeczenie się wszystkich korzyści.

Toteż nazajutrz wezwała syna i oświadczyła mu krótko, że bynajmniej nie pod jego presją, lecz na skutek perswazji ojca postanowiła zrezygnować z zamówień u rymarza Wojdyłły, pod jednym wszakże warunkiem. Mianowicie Leszek jeszcze dzisiaj wyjedzie pod Warszawę do wuja Eustachego na dłuższy czas.

Umyślnie nie określiła terminu w obawie, że zbyt długi zostałby przez Leszka odrzucony. Obawy jej jednak były zbyt czyste. Po źle przespanej nocy, po wielu seriach sceptycznych i nawet cynicznych myśli, Leszek był zupełnie zrezygnowany. Sam zastanawiał się nad tym, czy nie byłoby najlepiej wyjechać, i projekt matki przyjął bez najmniejszego sprzeciwu.

Wyjazd automatycznie odsunął pokusy wycieczek do miasteczka; w gwarnym, wesołym domu wuja Eustachego, gdzie zawsze pełno było panien i młodych mężatek, na pewno przyjemniej spędzi czas niż w tej obrzydliwej okolicy, w tym niewyszlamowanym stawie, wśród drobnych, brudnych i przyziemnych spraw.

Tak myślał aż do chwili, gdy przed oknami wagonu zaczęły się przesuwać uciekające budynki stacyjne. Gdy jednak koła pociągu wpadły w monotony, rytmiczny stukot, myśli zmaciły się, zawirowały i nagle pobiegły w innym, w zupełnie przeciwnym kierunku.

Ale to już jest dalsza historia.

ROZDZIAŁ X

Spokojnie płynęło życie w młynie starego Prokopa Szapiela, zwanego Prokopem Mielnikiem. Pogodne, błękitne niebo odbijało się w gładkiej powierzchni cichych stawów, miodnym zapachem pachniały lipy, dobra woda żywiciela lśniąca wstęgą spływała na wielkie koło młyńskie niby niekończąca się wstęga lustrzana, roztrzaskując się na skrzydełkach w zielonawe, przezroczyste kawałki, coraz drobniejsze, coraz bielsze, aż wytłaczające się dołem skłębioną pianą w bryzgach i bulgocie.

Na dole był bulgot, na górze mruczały jednostajnie zadowolone i syte przeżuwane chlebem żarna, a korytami sypała się pulchna, drogocenna mąka. Tylko worki podstawiać pod ten chlebny strumień.

Jako na późnym przednówku, młyn niewiele już miał roboty. Około trzeciej po południu parobek Witalis przestawiał zapórkę i koło uwolnione spod ciężaru wody z rozpędu obróciło się jeszcze raz i drugi, zaskrzypiały dębinowe osie, zgrzytnęło w żelaznych trybach, warknęły żarna i zaległa cisza. Tylko pył mączny bezgłośnie opadał od dachu i półstryszka na ziemię, na rozstawione worki, na wagi, osiadał warstwą, która od rana na pół palca nieraz grubości wyrastała.

Inni, niesumienni młynarze i tę mąkę sprzedawali ludziom, stary Prokop jednak kazał ją zamiatać na zaprawę dla bydła i innej żywności, toteż jego krowy, koń, a tak samo świnię, kaczki, gęsi i kury matki Agaty — chodziły spalone, jakby na pańskim hodowane.

Od trzeciej we młynie nie było już nic do roboty i o tej to godzinie znachor Antoni Kosiba zwykle wybierał się do miasteczka. Otrzeptywał się z mąki, naciągał czystą koszulę, ręce i twarz oplukiwał przy karczku nad stawem, gdzie był najwygodniejszy przystęp do wody, i szedł do Radoliszek.

Chorych latem było niewiele, a i to głównie wieczorem, po zachodzie słońca, kiedy to, jak wiadomo, ludzie są wolniejsi.

W ostatnich czasach wszyscy domownicy, a już szczególnie kobiety zauważyły w zachowaniu się znachora duże zmiany. Zaczął o siebie jakby więcej dbać, buty czyścił szu-

waksem do glansu, kupił dwie kolorowe bluzy, przystrzygał brodę i włosy, które dawniej leżały mu aż na ramionach, upodabniając go do popa.

Zonia co do przyczyn tego elegantowania się nie miała żadnych złudzeń. Niezawodny w takich sprawach instynkt kobiecy podpowiedział jej dawno, że obojętny dotychczas na niewieście wdzięki Antoni Kosiba wypatrzeć sobie musiał w miasteczku jakąś babę. Początkowe spojrzenia skierowane na osobę Szkopkowej, właścicielki sklepu, po krótkim wywiadzie okazały się nietrafne. Antoni odwiedzał wprawdzie jej sklep, ale widywał tam tylko młodziutką panienkę, która u Szkopkowej była w zajęciu.

Widywała ją Zonia nieraz i aż śmiech ją brał i gniew, gdy myślała o tych zalotach.

— Ech, ty stary — mówiła przyglądając się koszerującemu się znachorowi. — Czego się tobie zachciało? Gdzie ona dla ciebie?... Ty się w głowę stuknij! Ot, co! Do jakiej roboty ona tobie się nada? Chodzisz do niej i chodzisz, a co wychodzisz? Tobie baba zdrowa potrzebna, robotna, nie taka białorączka.

— Akurat taka jak ty — podśmiewała się Olga.

— A choćby! A choćby! — Zonia brała się pod boki wojowniczo. — Chytryć nie będę. Czym ja gorsza od tamtej?... Że nie taka młoda?... To i co? Zastanów się sam, Antoni, po co ci taka młoda?... A to jeszcze miasteczkowa! Z fanaberiami. Kapeluszowa. Grzech na duszę weźmiesz!

— Zamilknij, ty głupia! — odezwał się wreszcie znecierpliwiony znachor.

I odchodził mrucząc:

— Co takiej durnej po głowie może chodzić!...

W samej rzeczy gadaninę Zoni uważał za przelewanie z pustego w próżne. Ani mu śniło się brać żonę. Do kobiet czuł niechęć, nad której źródłem nie zastanawiał się, bał się ich i trochę nimi gardził. Jeżeli zaś chodziło o Marysię z Radoliszek, to była całkiem inna sprawa. Marysia była inna od wszystkich. Do tego stopnia inna, że wydawało mu się niedorzecznością porównanie jej z kobietami w ogóle. Sam pomysł Zoni o jego małżeństwie z Marysią był tak durny, że i myśleć o nim nie warto było. Jeżeli zaś myślał, to tylko dlatego, żeby dojść, skąd w jej ciasnej głowie coś podobnego zjawić się mogło.

Że bywał w sklepie?... Ano bywał, i cóż z tego? Że czasem jakiś gościniec Marysi zaniósł?... A cóż to, czy mu nie wolno?... Że lubił z nią gawędzić?... Ano pewnie, że wołał z nią, jak z kim innym, ale nie żeby zaraz pleść głupstwa... Biedactwo, dziewczyna, dziecko prawie, i samotna, sierota. Czyż jest coś złego serce takiej okazać?... Tym bardziej że serce szczere, bez żadnego interesu, bez rachunku. Zresztą czuł, że i ona przywiązała się do niego, że też go polubiła serdecznie. Gdyby inaczej było, nie witałaby go zawsze z taką radością, nie zatrzymywałaby go w sklepie jak najdłużej, nie zwierzałyby się ze swoich smutków i zmartwień.

A w ostatnich dniach nie brakowało ich Marysi. Już od poniedziałku była jakby przegaszona, gdy zaś przyszedł we czwartek, od razu zauważył, że płakała.

— Cóż, moja panienczko — zapytał — znowu źli ludzie żyć nie dają?

Potrząsnęła głową.

— Nie, stryjcju Antoni! Nie to! Tylko przez tę całą awanturę nieszczęście się stało.

— Komu? — zaniepokoił się.

— A Wojdyłło, rymarzowi.

— Jakież to nieszczęście?

— Widocznie młody pan Czyński dowiedział się od kogoś, że ten eks-kleryk mnie obraził i o tej bójce. Dość, że jak wczoraj rymarz posłał furmankę do Ludwikowa z gotową robotą, to nowej już mu nie dali. Starego Mosterdzieja nie było przedtem w miasteczku. Do Wilna jeździł i ledwie wczoraj wrócił. To kiedy furmanka próżna przyjechała, pyta się:

— A gdzie robota?

A furman mu odpowiada:

— Ludwikowska pani kazała powtórzyć, że już roboty dla nas nie będzie.

— Dlaczego nie będzie? Fabrykę zamykają?

— Fabryki nie zamykają — powiada furman. — Ale że to pański syn ich panicza obraził, to nie chcą panu roboty dawać.

Znachor chrząknął.

— To niesprawiedliwe. Jakże ojciec za syna może odpowiadać? Syn łobuz, ale ojciec porządny człowiek i nic nie zawinił.

— No pewno — przyznała Marysia. — Ja mu to samo powiedziałam.
— Niby komu?
— Mosterdziejowi. On dopiero, gdy takie rzeczy usłyszał od rymarza, zaczął dowiadywać się i dowiedział się, co było. To najpierw poszedł do pana Sobka, podał mu rękę i powinszował, że on z jego synem słusznie postąpił, a potem przyszedł do mnie.

— I czego chciał?
— Najpierw to surowo na mnie patrzył i mówił: „Przyszedłem przeprosić za zachowanie się mego Zenona. To głupi i zły chłopiec. Należała się mu kara, wałkonowi, a co od pana Sobka dostał, to jeszcze mało. Rozumiem, powiada, że nie miał prawa pani, to znaczy mnie, obrazić. Nie jego interes, co pani robi. Pani Szkopkowa opiekuje się panią, jej prawo, a nie tego darmozjada. I gdyby pani przyszła poskarżyć się mnie, to dostałby za swoje. Ale, powiada, pani poskarżyła się młodemu dziedzicowi z Ludwikowa i teraz mnie, starego, nieszczęście całkiem niewinnie spotkało, bo mi zamówienia cofnęły, a to więcej jak połowa mojego zarobku”.

Znachor zdziwił się:

— Przecie panienska nie skarżyła się młodemu dziedzicowi?!
— Właśnie. To też powiedziałam to panu Wojdyłło, ale on, zdaje się, nie uwierzył.
— No, to jeszcze nie widzę tu nieszczęścia.
— Nieszczęście jest w czym innym. Stary Wojdyłło dziś rano wypędził syna z domu!
— Wypędził?... Jak to wypędził? — zdziwił się znachor.
— On taki surowy jest. Całe miasteczko mówi tylko o tym wypadku. I wszyscy twierdzą, że to przeze mnie... A cóż ja zawiniłam?... Co ja złego zrobiłam?...

Głos Marysi zadrżał, a w oczach pokazały się łzy.

— Sama chciałam biec do pana Wojdyłły błagać, by darował Zenonowi, ale się bałam... Zresztą on nie zwróciłby na moje prośby żadnej uwagi. Proboszcz wstawiał się za Zenonem, mówił, że chłopiec jest zepsuty, ale wyrzucony z domu zejdzie na jeszcze gorszą drogę... Nic nie pomogło. Stary odpowiedział, że niech nawet w więzieniu zgnije, nic go to nie wzruszy, bo to, powiada, nie tylko leń, wałkoń i obibruk, ale jeszcze ojcu i braciom chleb odbiera.

Znachor pokiwał głową.

— Przykra sprawa, ale twojej winy tu nie ma, panienczko.
— Cóż z tego, że nie ma! — załamała ręce. — Kiedy wszyscy wytykają mnie palcami jak jakąś zbrodniarkę... wilkiem na mnie patrzą... I nawet panią Szkopkową przeciw mnie buntują. Sama słyszałam, jak jeden tu, stolarz, mówił do pani Szkopkowej: „Na biedę ludziom i na obrazę boską trzymaj pani u siebie tę przybłądę”.

Marysia zakryła twarz rękoma i zapłakała.

— Wiem, wiem — szlochała — czym się to skończy... Wygryzą mnie... pozbawią pracy... A przecież chciałabym, chciałam jak najlepiej... Gdyby pan Leszek przyjechał, na kolanach wyprosiłabym u niego darowanie winy Zenonowi... Ale on... on nie przyjeżdża... Znaku życia nie daje. Tego mi jeszcze nieszczęsnej brakowało... tego... O, Boże, dobry Boże!...

Antoni Kosiba siedział, bezwładnie opuściwszy swoje wielkie ręce. Twarz mu przybladła ze wzruszenia. Duszę oddałby za to, by tę kochaną dziewczynę uwolnić od cierpień i zmartwień. Na przemian ogarniał go gniew, chęć natychmiastowego działania i poczucie własnej bezsilności.

Nie było nawet słów, którymi zdołałby ją pocieszać. Wstał tedy, objął ją i głaskał po włosach swoją surową, spracowaną dłoń, powtarzając:

— Cicho, gołąbko, cicho, gołąbko!...

Przytuliła się doń i cała dygotała w łkaniu. I tak wielka ogarnęła go żalność nad nią i nad sobą, nad samotnością obojga i bezradnością, że i jemu łzy zaczęły spływać po twarzy, po siwiejącej brodzie, po palcach przesuwających się najserdeczniejszą pociechą po jasnej główce dziewczyny.

— Cicho, gołąbko moja, cicho, cicho... — mówił ledwie dosłyszalnie.

— Tylko ciebie jedynego, stryjcium Antoni... ciebie jedynego mam na świecie... przybłąda...

— Obojeśmy wśród ludzi obcy, oboje przybłądy, gołąbko! I nie martw się, oczu nie wypląkuj. Nie dam ja tobie krzywdy zrobić. Stary jestem, ale sił mi starczy... Póki ja

głodu ani biedy nie zaznam, póty i ty, gołąbko, wszystko będziesz miała. Cicho, cicho, panienczko ty moja, kochanie ty moje, cicho... Gdy ludzie ci dokuczą zanadto, przyjdiesz do mnie, do młyna. Nieładnie tam u mnie i niebogato, ale głodu ni zimna nie zaznasz, ani braku serca... Las tam wielki, łąki szerokie, będziemy zioła zbierali, będziesz mi, gołąbko, pomagała ludzi leczyć... Zły język cię nie tknie, złe słowo nie obrazi... Dobrze nam będzie razem, przybędom... Cicho, gołąbko, cicho...

— Jakiś ty dobry, stryjcio Antoni, jaki dobry — Marysia z wolna uspokajała się. — Chyba i ojciec rodzony nie może być lepszy... Czym ja sobie na to zasłużyłam?...

— Czym? — Znachor zamyślił się. — A któż to może wiedzieć? A czym ja zasłużyłem, że ot tak tulisz się do mnie, gołąbko moja, że moje stare serce, co już tylko z nawyku, nie z potrzeby biło, rozgrzałaś niczym słońce... Bóg jeden wie, a ja choć nie wiem, dziękuję Mu za to i dziękować nie przestanę do śmierci...

Przed sklepem zatrzymała się bryczka i po chwili wszedł jakiś pan. Kupował papier kolorowy na lampiony, pewno na zbliżające się dożynki. Wybierał długo, targował się i narzekał na wysokie ceny.

Gdy wreszcie wyszedł z paczkami, znachor powiedział:

— A czy pozwolisz, gołąbeczko, że szczerze powiem, co myślę?

— Proszę o to — uśmiechnęła się nie bez obawy, że po takim wstępie nie usłyszy rzeczy przyjemnych.

I nie myliła się: znachor zaczął mówić o panu Leszku.

— Przez niego te wszystkie kłopoty i zmartwienia. Co tobie po nim, gołąbeczko?... Nie mówię, żeby był niedobry czy szkodliwy, z oczu mu nawet niegorzej patrzy, ale to młodzik jeszcze, nie ma swego zastanowienia, pędziwiatr. Nieraz patrzyłem na niego, nie raz i nie dziesięć widziałem, jak tu zachodził i przesiadywał... A i ludzie opowiadali... A że to młody i lekki, to i nie dziw, że go i podejrzewają o niepiękne zamiary. Ja sam, Bóg mi świadkiem, nie wierzę! Głowę dałbym, że wszystko, co gadają, to psie szczekanie. Ale widzisz, gołąbeczko, po co mają gadać?... Języków nie zwiążesz, oczu ludziom nie zakryjesz. Patrzą i gadają. A tobie, panienczko, co z tych umizgów? Tylko niebezpieczeństwo. Młoda jesteś, niedoświadczona, łatwo uwierzysz w każde obietnice.

— On mi nigdy nic nie obiecuje — przerwała Marysia zaróżowiona i zdetonowana.

— Nie obiecuje?... Więc czego chce?... Pamiętaj, że on wielki pan, bogaty, światowy. Co ty dla niego?... Ot, zabawka. A serce przyzwyczai się. Ot i teraz: nie ma go — już ci ciężko.

— To z innego powodu...

— Może z innego, a może i z tego — łagodnie kiwnął głową. — Ożenić się z tobą przecie nie ożeni się. Więc po co?...

Marysia spuściła oczy.

— Ja o tym też wcale nie myślałam. Po prostu przyjemnie z nim się rozmawia. On dużo podróżował, dużo widział. Ładnie opowiada...

— To niech opowiada innym. Dlaczegoż cię sobie upatrzył?

— Bo... on mówi, że... mu się podobam.

— Jeszcze byś się nie podobala. Ślepy nie jest.

— Nie sądziłam, że i ty, stryjcio Antoni, będziesz dopatrywał się tu czegoś złego.

Znachor zasłonił się rękami.

— Uchowaj, Boże! Nie złe to, ale niepotrzebne. I tobie u ludzi szkodzi, i zamieszanie z tego wynika, a korzyści dla nikogo nie ma żadnej. Nie mówię ja na niego. Nie. Ale gdyby był całkiem porządny, nie narażałby cię, gołąbko, na obmowę, nie zawracałby ci główki, nie siedziałby tu kamieniem.

— Przecież... przecież nie mogę go wypraszać — próbowała bronić się Marysia.

— I nie trzeba. Chcesz dobrej rady posłuchać, szczerą radę, to posłuchasz i nie będziesz wdawać się z nim w gawędy. To i przestanie cię nachodzić. Nie zechcesz, to już na nic nie poradzę.

Marysia zamyśliła się głęboko. Doskonale rozumiała, że rada znachora jest i życzliwa, i jakże bardzo słuszną. Ostatecznie tak czy owak, wcześniej czy później jej znajomość z panem Leszkiem musiałaby się skończyć. Albo mu nowy kaprys przyjdzie, albo się ożeni. I koniec. Przeciąganie tego oczywiście do niczego nie doprowadzi. Im dłużej to

będzie trwało, tym ciężiej jej będzie rozstać się z nim, tym boleśnieszka będzie tęsknota. Oto zaledwie kilka dni go nie było, a już życie stało się męczarnią... Lecz z drugiej strony, czyż nie wolałaby całymi latami rozpacz zapłacić za parę miesięcy szczęścia widywania go, wpatrywania się w jego oczy, słuchania jego głosu?...

Wspomnienie o najkrótszym szczęściu zostanie w duszy na zawsze, do śmierci. Czyż wolno wyrzekać się tego skarbu? Czyż lepiej zeń zrezygnować ze strachu przed cierpieniem i żyć już tylko jałową, beztreściwą pustką?...

Znachor jest dobry i mądry, ale czy nie myli się w tym wypadku?

— Zastanowię się nad twoją radą, stryjcio Antoni — powiedziała wreszcie poważnym tonem. — Zastanowię się, choć może to i niepotrzebne, bo on pewno już nie przyjedzie tu więcej.

I rzeczywiście mijały dni, a młodego Czyńskiego nikt nie widział w miasteczku ani w okolicy.

Tymczasem aż wrzało tu od plotek. Surowy postępek starego Mosterdzieja potępiany był przez jednych, chwalony przez drugich. Wszystkie sądy zgadzały się jednak w dwóch punktach: pierwszym było przeświadczenie, że Zenon Wojdyłło źle skończy, drugim przekonanie, że winowajczynią jest Marysia.

Nawet ci, co dawniej serdecznie ją witali, starali się teraz przejść obok, udając, że jej nie widzą. Inni natomiast głośno i przy każdej nadarzającej się okazji wypowiadali swe sądy, nie żalując wyrazów dosadnych. Nie byli to nawet ludzie źli ani zgorzkniali. Po prostu w prostym życiu miasteczkowym przywykli do pewnych obyczajów i cokolwiek by norm tych obyczajów nie trzymało się, godne było w ich oczach napiętnowania. Biedna dziewczyna pracująca, zadająca się z bogatym paniczem nie mogła liczyć na małżeństwo, a zatem na co liczyła?...

Logika tego rozumowania szczególnie przemawiała do tych, którzy najzarliwiej pochwalali rymarza za wypędzenie synalka próżniaka i awanturnika z rodzicielskiego domu. Jeżeli do tych lat doszedł i człowiekiem się nie stał, to nic już mu nie pomoże. Nie słuchał ojca i matki, niech słucha teraz psiej skóry. Niech idzie w świat i wstydu porządnej rodzinie nie przynosi.

Zenon jednak widocznie nie zamierzał odchodzić. Pierwszego wprawdzie dnia zniknął gdzieś, nazajutrz jednak wrócił i zaraz swoim zachowaniem się potwierdził najgorsze domysły i przepowiednie. Upił się w karczmie u Judki do nieprzytomności, przepił wszystkie pieniądze, które mu ojciec dał na wyjazd, a potem do późnej nocy awanturował się po ulicy, krzycząc, że podpali ojcowski dom, że wystrzela wszystkich Czyńskich, że głowę rozwali tej lafiryndzie Marysi.

W rezultacie rzucił się na policjanta, obrywając mu kieszeń, a siłą doprowadzony na posterunek, powybił tam okna i połamiał meble. Nałożono mu kajdanki i przetrzymano całą dobę w areszcie, a potem spisano protokół, z którego miała być sprawa sądowa i oczywiście ze dwa miesiące kary.

Tymczasem wypuszczony na wolność Zenon znowu znikł z miasteczka, ale opowiadano, że kręci się w okolicy.

Wypadki te nie tylko miasteczkową wstrząsnęły opinią. Dowiedziano się o nich i w Ludwikowie. Pani Czyńska natychmiast posłała chłopca do rymarza i oznajmiła mu, że jakkolwiek uważa karę ojcowską, wymierzoną Zenonowi za słuszną, jednak pragnąc uratować go przed stoczeniem się w bagno, postanowiła przywrócić dawne zamówienia i ma nadzieję, że pan Wojdyłło synowi przebaczy.

Rymarz jednak twardym był człowiekiem. Za zamówienia podziękował, lecz oświadczył, że tego, co raz postanowił, już nie zmieni i że wyrodnego syna na oczy już widzieć nie chce. Przekonać się nie dał.

— Patrz — mówiła później pani Czyńska mężowi. — Patrz, jaki jest stosunek ojca do dzieci, jeżeli ojciec ma zasady i charakter.

Pan Stanisław udał, że tej aluzji nie rozumiał, i bąknął coś pod nosem zagłębiając się w lekturze. Natomiast pani Eleonora doszła do przekonania, że z całej tej sprawy można wyciągnąć korzyści pedagogiczne w stosunku do Leszka, i zabrała się do pisania obszernego listu do jedynaka z dokładną relacją tudzież z wieloma apostrofami dydaktycznymi.

List ten zapewne wpłynąłby umoralniająco na Leszka, gdyby go otrzymał. Niestety jednak, w tymże czasie gdy to arcydzieło matczynych uzdolnień wychowawczych znaj-

dowało się w wagonie pocztowym pociągu pędzącego w stronę Warszawy, adresat przewracał się z boku na bok w wagonie sypialnym pociągu dążącego do Ludwikowa.

Przewracał się i usnąć nie mógł dlatego, że wypełniony był wyrzutami sumienia, które nie dawało się oszukać żadnymi pretekstami ni wykrętami. Oczywiście u wujostwa nudził się jak mops w szufladzie, lecz nudził się nie z przyczyn obiektywnych. Towarzystwo było liczne, miłe i wesołe, rozrywki urozmaicone i nieustanne, kobiety ładne, kuchnia wyborna, pogoda świetna. Powód nudy tkwił w nim samym. Po prostu tęsknił.

Było to głupie i niepoważne, że on, dojrzały człowiek, rozporządzający zdrowym rozsądkiem, tęsknił niczym sztubak za pensjonarką, za tą blondyneczką z małego sklepiku w małym miasteczku, tęsknił mimo najskuteczniejszych autoperswazji, mimo nieodpartej argumentacji, mimo woli i postanowień. Wyjeżdżał przecie z niezłomną decyzją wypłatania się z niedorzecznych sentymentów i z gmatwaniny paskudnych, drobnych spraw, które z tych sentymentów wyrosły. Ledwie jednak podróż rozpoczął, opadły go inne myśli, osaczyły, otoczyły, nie dawały spokoju ni wytchnienia.

Zamiast zniechęcenia przychodziły nastroje żalosne, czułe, rzewne, wyobrażenia podsuwała fantastyczne sceny, w których widział zapłakaną Marysię w ramionach tego samozwańczego rycerza Sobka, to znów łoną i poniewieraną przez tłum prostaków albo też odjeżdżającą w niewiadomym kierunku... w wytartym paletku, w śmiesznym, prowincjonalnym kapelusiku, z ubożuchnym swoim dobytkiem w zniszczonej małej walizeczce.

Wizja była tak wyraźna, że aż się przeraził. Zerwał się z łóżka, ubrał się, zapakował rzeczy, kazał obudzić szofera i odwieźć się do Warszawy. Wujostwu zostawił list z wyjaśnieniem, że przypomniawszy sobie niezwykle ważną i terminową sprawę.

W Warszawie do pociągu miał jeszcze dwie godziny czasu. Włócząc się bez celu po Marszałkowskiej, zatrzymał się przed jubilerską wystawą. Mimo woli dostrzegł piękny platynowy pierścionek z markizą z białoniebieskich szafirów.

— To jest kolor jej oczu — stwierdził z rozczuleniem i nie zastanawiając się nad tym, co robi, wszedł do sklepu.

Pierścionek nie był zbyt drogi, jego zakup jednak pochłonął resztę gotówki, jaka pozostała w kieszeni Leszka po nabyciu biletu kolejowego.

Teraz, nie mogąc usnąć, wydobył z kieszeni płaszcza pudełko i przyglądał się pierścionkowi. Dotychczas nigdy nie zrobił Marysi najmniejszego prezentu. Nawet należało wątpić, czy ona przyjęłaby cokolwiek.

„Przyjęłaby — błysnęła mu w głowie myśl — gdyby to był pierścionek zaręczynowy”.

I nagle poczuł, że serce przyspieszyło swoje tętno.

Wyciągnął rękę z pierścionkiem i wpatrywał się w błyski kamieni.

— To jest mój pierścionek zaręczynowy — powiedział głośno.

Podniósł głowę i groźnie rozejrzał się po przedziale, jakby w oczekiwaniu czyjegoś sprzeciwu. Lecz przedział był pusty, ściany milczały, tylko firanki kołysały się lekko w takt pędu pociągu.

Ogarnął go od razu jakiś błogi, do snu podobny spokój. Teraz już wiedział, teraz już nie było żadnych wątpliwości. Tak, ożeni się z nią. Będzie ją miał dla siebie, przy sobie już na zawsze. Koniec tęsknot, koniec niepokojów, koniec rozterek i cierpień.

Niech nazwą to szaleństwem! Nazwą przecie ci, którzy nie wiedzą, jakim szaleństwem, jak beznadziejnym szaleństwem jest walka z miłością!

I zbrodnią! Bo czyż wolno człowiekowi wydierać sobie z piersi najlepsze, najsłabsze, najpiękniejsze uczucie? Kto wie, może jedyne uczucie, które usprawiedliwia istnienie, które jest kwitnieniem duszy?... Zadeptać, zniszczyć to, wyprzeć się tego?... I w imię jakich racji?... By zyskać uznanie ludzi?... Co za głupota! Dla innych wyrzekać się siebie, wyrzekać się własnej najistotniejszej treści, własnego pragnienia szczęścia!

O, doskonale zdawał sobie sprawę z tych trudności i przeszkód, które spiętrzą się na jego drodze. Nie lękał się ani przez chwilę, iż na małżeństwo uzyska zgodę rodziców. Nie wątpił, że zrobią wszystko, by mu uniemożliwić osiągnięcie celu. Opinia publiczna, wszyscy znajomi i krewni zmobilizują się przeciw Marysi. Musi być przygotowany na zawziętą walkę.

Lecz walki tej się nie bał. Przeciwnie. Podniecała go myśl, że stanie sam przeciw wszystkim w obronie swego szczęścia, swego i szczęścia Marysi, że przełamie przeszkodę, że wytrzyma ataki, że zwycięży, bo zwyciężyć musi.

W jego umyśle rysował się już plan kampanii. Widział już cały arsenał broni i podstępów, jakich użyją przeciw niemu. Będą to groźby zerwania stosunków, zapowiedź wydziedziczenia lub nawet rzeczywiste wydziedziczenie, złośliwe żarty i podłe oszczerstwa, sceny i awantury, spazmy i omdlenia, prośby i groźby. A zacznie się od zamknięcia kasy. Przy stosunkach rodziców nietrudno im będzie zapobiec znalezieniu przez syna jakiegokolwiek posady.

„To należy wziąć pod uwagę” — zastanawiał się.

Nic łatwiejszego, jak stanąć do walki z podniesioną przyłbicą i... przegrać. Lecz tu chodzi nie o samą walkę, chodzi o zwycięstwo. Chodzi o to, by zostać na placu. Wprawdzie mógłby po cichu spieniężyć swe osobiste rzeczy i uciec z Marysią gdzieś na koniec świata. Ona przyzwyczajona jest do biedy, on się przyzwyczai. Jest młody, gdzieś przecie pracę znajdzie. Ale taka ucieczka nie dałaby mu żadnej satysfakcji, umniejszałaby zdobyte szczęście. I dlatego należało ją z góry wykluczyć.

Miał dość zmysłu praktyczności, by donkiszoterię, która często go pociągała, umieć odsunąć na bok, gdy chodziło o rzeczy ważne. Dlatego i teraz postanowił działać ostrożnie, przezornie i w najgłębszej tajemnicy.

Na razie nie chciał zresztą zaprzatać myśli przyszłą strategią. Tak był upojony odkryciem swoich prawdziwych pragnień, tak uszczęśliwiony powzięciem decyzji, że wszystko inne musiało przy tym maleć, kurczyć się, tracić na znaczeniu.

Zjawienie się rozpromienionego i tryskającego humorem Leszka wywołało w Ludwiku sensację. Po pierwsze, nie spodziewano się go tu wcale, po drugie, zbyt widoczna nastąpiła w nim zmiana. Bez śladu znikło dawne rozdrażnienie, gwałtowność odruchów, obojętność dla spraw domowych i majątkowych, znudzenie.

— Co ci się stało, Leszku? — z uznaniem pytała pani Eleonora.

— Zmieniłem się, mam. Jestem wprost innym człowiekiem.

— Ciekawe, czy ta pomyślna faza długo potrwa.

— O, tak — uśmiechnął się tajemniczo. — Mam wrażenie, że to ostateczna faza mego rozwoju. Widzicie, dużo przemyślałem i doszedłem do przekonania, że już czas zabrać się do ustabilizowania się, do roboty, do uporządkowania sobie życia i tak dalej.

Pan Czyński aż podniósł oczy znad gazety.

— Czy to ma znaczyć, że wreszcie zamierzasz zająć się fabryką?

— Nie mylisz się, ojczu!

— Wobec tego muszę wysłać depezę dziękczynną do wuja. Czy w ich domu spotkałeś kogoś, kto cię tak odmienił? Było tam, zdaje się, dużo osób.

— O tak, bardzo dużo. Po prostu tłok — skinął głową i dodał po namyśle — I w tym tłoku spotkałem... siebie.

— Ach... I jakież odniosłeś wrażenie z tego spotkania?

— Początkowo dość przykre. Usłyszałem wiele krytycznych uwag, niepozbowionych słuszności. W końcu jednak przekonałem się, że mam do czynienia z człowiekiem, który wie, czego chce. Obaj byliśmy tym bardzo ucieszeni.

Pani Eleonora pochyliła się i pocałowała go w czoło.

— Gratulujemy wam obu, a przy sposobności i sobie.

— Dziękuję, mam. Na gratulacje zasłużyłem bardziej, niż przypuszczasz — odpowiedział poważnie.

Rozmowa ta odbyła się wieczorem po kolacji i napełniła państwa Czyńskich najroźnowszymi nadziejami. Jakież było ich zdziwienie, gdy nazajutrz rano służący zapytany, czy panicz jeszcze śpi, oświadczył:

— Panicz kazał podać motocykl i pojechał w stronę Radoliszek.

ROZDZIAŁ XI

Proboszcz, ksiądz Pełka, był już starszym mężczyzną. Sypiał mało i wcześniej się budził. Pewne zaś niedokładności w systemie trawiennym sprawiały, iż na czczo czuł się fatalnie. Dlatego też na mszę w dni powszednie dzwonił już przed siódmą, a o siódmej ksiądz Pełka wychodził do ołtarza.

Marysia, chcąc zdążyć na mszę, musiała wstawać o szóstej i trochę przez to nie dosypiała. Modlitwa jednak w kościele tyle dawała jej ukojenia, że od szeregu dni nie opuściła

ani jednej mszy. Klękała w kącie za amboną i modliła się żarliwie, prosząc Boga, by przebaczył jej grzechy, by zdjął z niej smutki i strapienia, których tyle zważyło się na nią, by zesłał jej pociechę i jeszcze, by dał szczęście człowiekowi, którego pokochała.

Na chórze organy grały te dziwne kościelne melodie, w których nie było ani smutku, ani wesela, tylko jakiś dziwny, wszechwładny spokój rzeczy wiecznych, taki spokój, jaki w gwiaździste noce zdaje się spływać z nieba.

Spokój ten nasycił całe wnętrze kościoła, zastygł w białych posągach apostołów i proroków, rozplątał się w zatartych konturach na szerniałych obrazach, dźwięczał w dola-
tujących od ołtarza marmurowych słowach łacińskiej modlitwy i napępiał znęka-
ne dusze pobożnych, które tu właśnie spokoju tego szukały.

Marysia wychodziła z kościoła jakby odurzona tą nieziemską pogodą, uciszona i pogodzona z losem. Nie śmiała przenikać myślą owych wielkich prawd, które objawiały się kiedyś świętym pańskim w godzinach kontemplacji i zatopienia się w Bogu. Nie potrafiłaby nawet. Jednak jakże wyraźnie odczuwała ten powiew wiekuistości, co ją, małą, biedną dziewczynę, przez wszystkich zapomnianą i nikomu niepotrzebną, napawał ufnością i przeświadczeniem, że gdzieś daleko, w niezmierzonych przestworzach ma wielkiego, wszechmocnego opiekuna i sprzymierzeńca, którego dobre oczy patrzą na nią niewidzialne, lecz wszystko widzące.

Wychodziła codziennie pod dziwnym wrażeniem, że oto stanie się coś niebawem, że wszystko się odmieni, że jakieś szczęście niespodziewanie spłynie na nią. A przeświadczenie to było tak silne, że owego ranka, gdy wracając z kościoła zobaczyła pana Leszka przed sklepem, nawet nie zdziwiła się. Tylko że nie umiała zapanować nad radością.

— Przyjechał pan — powtarzała drżącym głosem — przyjechał...

O ile zdolna była do zaobserwowania czegoś w tym stanie podniecenia, wydał się jej jakiś poważny i skupiony. Zawstydziła się, gdy przy witaniu się pocałował ją w rękę, na ulicy, na ludzkim widoku.

Ledwie znaleźli się wewnątrz, wziął ją za ręce i patrząc w oczy powiedział:

— Nigdy nikogo tak nie kochałem jak ciebie. Nie mogę bez ciebie żyć. Czy zgodzisz się zostać moją żoną?

Pod Marysią ugięły się kolana, a w głowie zawirowało.

— Co pan... co pan... mówi... — wyjąkała.

— Proszę cię, Marysiu, byś zechciała zostać moją żoną.

— Ależ... to niepodobieństwo! — prawie krzyknęła.

— Dlaczego niepodobieństwo?

— Niech się pan zastanowi! — wyrwała ręce z jego uścisku. — Przecie pan nie mówi tego poważnie!

Zmarszczył brwi.

— Czy mi nie wierzysz?

— Nie, nie! Wierzę, ale czy pan pomyślał... Boże! Co by to było! Pańscy rodzice... Ci tutaj, w miasteczku... Zatruliby panu życie, zakrakaliby... Znienawidziliby mnie...

Czyński skinął głową.

— Owszem. Przewidziałem to wszystko. Wiem, że czeka nas wiele, może bardzo wiele przykrości, szykan, afrontów. Ale mając do wyboru albo to, albo wyrzeczenie się ciebie, gotów jestem na wszystko. Z bardzo prostego powodu: kocham cię. A jeżeli ty tego nie rozumiesz, to widocznie łudziłem się co do twoich uczuć i ty mnie wcale nie kochasz.

Spojrzała nań z wyrzutem.

— Ja?... Ja pana nie kocham?...

— Maryśku!

Pochwycił ją w ramiona i obsypał pocałunkami. Jego porywczosć i siła, z jaką przyciskał ją do siebie, obezwładniły Marysię. Nie chciała się bronić i nie mogła. Była w tej chwili nieludsko szczęśliwa. Przysięgłaby, że od początku świata żadna dziewczyna takiego szczęścia nie zaznała.

Jeżeli kiedykolwiek w jej rozmyślaniach znalazły się jakieś najdrobniejsze zarzuty przeciw Leszkowi, teraz nie pozostało po nich śladu. Oczywiście nie wierzyła w to, że ich małżeństwo dojdzie do skutku. To było nieprawdopodobne. Ale już sam fakt jego decyzji, niewątpliwie szczerzej, sama jego dobra wola, samo to, że przełamał siebie i uczynił to

dla niej, świadczyło o jego szlachetności, o głębi uczuć, o wyjątkowości natury. Gdyby zapytano ją teraz, czy może istnieć człowiek bardziej wartościowy od niego, zaprzeczyłaby z czystym sumieniem.

Przełamał się, bo musiał się przełamać w swojej dumie, w przekonaniu, że najbogatsze i najpiękniejsze panny wdychają doń, że najlepsze domy pragną go mieć za zięcia, że mało jest równych mu pod względem urodzenia, majątku, wykształcenia. Tak lubił przecie od niechcenia popisywać się nazwiskami utytułowanych przyjaciół, z takim lekceważeniem, z taką pogardą mówił o ludziach z miasteczka.

I nagle chce wziąć ją za żonę. Ją, która nawet w tym wyśmiewanym miasteczku jest przybłędą, ubogą sierotą, bez rodziny, bez przyjaciół oprócz wiejskiego znachora, bez grosza przy duszy. Wprawdzie w porównaniu z innymi pannami radoliskimi jest bardziej wykształcona i może inaczej wychowana dzięki matce. Ale czyż jej wychowanie, wykształcenie i obycie nie raziłoby w jego środowisku?...

Jej ojciec, którego straciła, gdy miała lat kilka, był podobno lekarzem, jej ojczym, którego jak ojca kochała i nazywała ojcem, był tylko leśniczym, skromnym oficjalistą dworskim, a matka wprawdzie pochodziła ze znanej rodziny, lecz tu w okolicy sama znana była jako biedna nauczycielka muzyki i języków, a później już tylko jako szwaczka.

Czyż tacy ludzie jak państwo Czyńscy, ludzie z takiej sfery, gdzie większą zwraca się uwagę na pochodzenie i rodowody niż u prawdziwej arystokracji, czyż zdołaliby pogodzić się z tym, że ich syn takie zawiera małżeństwo?...

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, Marysia o tym właśnie zaczęła mówić Leszkowi. Słuchał jej uważnie, nie przerywał, a gdy skończyła, powiedział:

— I cóż z tego wszystkiego?... Czyż to w czymkolwiek zmienia fakt, że się kochamy?...

— Nie, tego nic zmienić nie może. Będę pana kochała zawsze, pana jedyne, aż do śmierci! — szepnęła cicho.

— Ale widocznie dla ciebie to nie jest takie ważne, by o to walczyć, by znieść różne przykrości i zmartwienia.

Potrząsnęła głową.

— O, nie! Nie o mnie mi chodzi! Ja byłabym gotowa na każde poświęcenie, na każde upokorzenie. Ale ty...

— Cóż ja? — zapytał niemal gniewnie.

— Ty... Unieszczęśliwi cię to, zniechęci, złamie...

Zerwał się i załamał rękę.

— Maryśka! Maryśka! Jak ci nie wstyd! Obrażasz mnie! Jak możesz tak nie wierzyć w moje siły?...

— To nie to — zaprzeczyła — wierzę w nie! Ale nie mam prawa narażać cię na to wszystko. Nie chcę stać ci się kulą u nogi. I tak już jestem bardzo, bardzo szczęśliwa...

— O, to bardzo ładnie. Jesteś już szczęśliwa. A o mnie mniejsza! Co?... Ja mogę nadal być nieszczęśliwy, bo tobie ubzdurzało się, że możesz stać się jakąś tam kulą u nogi! Wstydziałabyś się! Żeby taka inteligentna i taka rozsądna panna mówiła podobne nonsensy! I w ogóle kto cię upoważnił do decydowania o moim losie?... Ona nie ma prawa narażać mnie! Ale chyba ja mam prawo?... A ja chcę, ja muszę, i koniec! Czy sądzisz, że jestem takim niedołągą, że muszę już koniecznie być uzależniony od rodziców? Czy świat nie jest dość wielki, byśmy się mogli na nim pomieścić? Czy myślisz, że w razie wojny z domem, gdy nam już ta wojna obrzydnie, nie będziemy mogli wyjechać gdzie indziej?... Nie obawiaj się! Jeszcze mnie nie znasz dostatecznie. Nie należę do tych, którym można w kaszę dmuchać. Zobaczysz! A zresztą nie ma o czym mówić. Postanowienie zapadło i basta!

Uśmiechnął się i znowu przytulił ją do siebie.

— I przynajmniej ty jedna nie utrudniaj mi tej walki, walki o moje i twoje szczęście, o nasze szczęście... Bo doprowadzisz mnie do szaleństwa i palnę sobie w łeb!

— Leszku! Najdroższy mój, najukochańszy — kurczowo zaciskała ręce koło jego szyi.

— Zobaczysz, moja Marysieńko, że będziemy najszczęśliwszym małżeństwem na ziemi.

— Tak, tak — tuliła się doń. Nie była już zdolna do myślenia, do protestowania, do sprzeciwu. Wierzyła mu, pokonał jej wątpliwości swoim zapalem i wolą.

Leszek wyjął z kieszeni małe pudełeczko, a z niego wydobyl pierścionek z szafirami.

— Otóż mój znak ochronny — powiedział wesoło, wkładając pierścionek na jej palec.
— Byś pamiętała, żeś jest moją niepodzielną własnością.

— Jaki piękny!

— Te kamyki mają kolor twoich oczu, Marysieńko.

Długo przyglądała się pierścionkowi, wreszcie odezwała się ze zdziwieniem i nabożeństwem w głosie:

— To ja jestem... zaręczona?...

— Tak, kochanie, jesteś moją narzeczoną.

— Narzeczoną... — powtórzyła i ze smutkiem dodała — Ale ja jeszcze żadnego pierścionka dać nie mogę... Nie mam. Ostatni, mamusiny, został sprzedany na... koszty pogrzebu. Też był z szafirami i mama bardzo go kochała, chociaż był tani, o wiele skromniejszy od tego.

W jej oczach zakręciły się łzy.

— Nie myśl o rzeczach smutnych — powiedział. — A mnie i bez zaręczynowego pierścionka nie uda się zapomnieć, że jestem już niewolnikiem, najszcześniejszym niewolnikiem, który wcale nie pragnie wyzwolenia.

— Boże! Boże! — szepnęła. — W głowie mi się kręci. Wszystko przyszło tak nagle... Zaśmiał się.

— Oj, chyba nie nagle. Znamy się przecie od dwóch lat.

— Tak, ale czyż mogłam przypuszczać, że się to w taki sposób skończy!

— Kończy się w najlepszy sposób, jaki można wymyślić.

— Wprost nie mogę przekonać siebie, że to nie sen, że to rzeczywistość. I... doprawdy... boję się...

— Czego boisz się, Marysieńko?

— Że... czy ja wiem, że wszystko to rozwieje się, zniknie, że coś nas rozdzieli.

Wziął ją za rękę.

— Oczywiście, najdroższy mój skarbie, należy zachować maksimum ostrożności, należy uniemożliwić jakiegokolwiek intrygi i podobne rzeczy. Dlatego musimy zachować ścisłą tajemnicę. Nikt, ale to absolutnie nikt nie powinien dowiedzieć się o naszych zaręczynach. Ułożyłem już sobie pewien plan. Gdy doprowadzę do urzeczywistnienia tego planu, szast-prast, bierzemy ślub. Klamka zapadnie i chociażby na głowie stawali, już nic nie wskórają. Tylko pamiętaj: milczenie!

Marysia zaśmiała się.

— I tak nie powiedziałabym nikomu. Wyśmieliby, nikt by nie uwierzył. A zresztą czy pan sądzi, panie Leszku, że ja mam komu zwierzać się?... Może jednemu stryjciowi Antoniemu...

— Temu znachorowi z młyna?... Nie, jemu też nic nie mów. Dobrze?

— Obiecuję święcie.

I Marysia obietnicy dotrzymała. Dotrzymała, chociaż jeszcze tego samego dnia wyjawienie prawdy mogło uwolnić ją od wielu przykrości.

Przykrości te zaczęły się od przyjścia do sklepu pani Szkopkowej. Kobicina, z natury pocziwa, uległa widocznie nastrojowi, jaki opanował Radoliszki. Zastawszy w sklepie pana Leszka, demonstracyjnie usiadła za ladą dając do zrozumienia, że nie ruszy się stąd prędko. Gdy młody człowiek odjechał, zaczęła gniewnie:

— Upamiętania żadnego nie masz! Rozum się w tobie, dziewczyno, pomieszał! Takiej pociechy od ciebie się doczekałam za moją opiekę i za chleb!

— Boże drogi! — Marysia spojrzała na nią błagalnie. — A cóż ja pani złego zrobiłam?

— Co złego? — wybuchła pani Szkopkowa. — A to złego, że mnie całe miasteczko palcami zacnie wytykać, że pozwalam na takie rzeczy! Co złego?... A to, że w moim interesie takie sprawy się odbywają!...

— Ależ jakie sprawy?!

— Zgorszenie publiczne! Tak, zgorszenie! Hańba! Na to cię hodowałam? Na to o ciebie dbałam, żeby teraz przez ciebie na mnie psy wieszali?!... Czego ten paniczek, ten donżuan, ten fircyk tu chce?...

Marysia milczała. Pani Szkopkowa zrobiła pauzę i odpowiedziała na własne pytanie:

— Ja ci powiem, czego on chce! Ja ci powiem! Na twoją cnotę on czatuje! Ot, co! Swoją kurtyzanę chce z ciebie zrobić! A ty, głupia, jeszcze do niego oczy przewracasz

i podwabiasz tego ancymonka na własną zgubę, na własne pohańbienie! A wiesz, co cię czeka, jeżeli ulegniesz pokusie?... Nędzne życie i ciężka śmierć, a po śmierci wieczne potępienie!... Jak własnego rozumu jeszcze nie masz, to słuchaj mnie, starej! Co ty sobie myślisz, że ja ot tak sobie ozorem trzepię? Dla własnej przyjemności?... Niech psy taką przyjemność mają. Mnie serce się kraje, jakby kto nożem w nie dźgał. Przylatuje do mnie taka jędra Kropidłowska i już na mnie, że czy ja to oczu nie mam, czy ja nie widzę, że ten, jak go tam, motocykiel znowu pod sklepem stoi?... Że cóż to ja tak wydaję swoją wychowaną na rozpustę i obrazę boską?... To jej mówię: „Moja pani Kropidłowska kochana, nie pani, za przeproszeniem, zadajdany interes, co i jak! Ale jeżeli pani chcesz prawdę wiedzieć, to ciasto, widzisz pani, rośnie, przez makutę, przez wierzch się przewala, a ja mam do sklepu lecieć?...” To ona mi na to: „Patrzaj pani, pani Szkopkowa szanowna, żeby ci ciasto nie przerosło, bo może ci tymczasem wychowanica przerośnie w wiadomym miejscu!...” To jak to posłyszałam, myślałam, że krew mnie zaleje! Że to przez ciebie! Że za moją życzliwość, za moje serce tak mi się wypłacasz... Że byle łachudra mi w oczy tobą świeci... Na stare lata...

Pani Szkopkowa rozrzewniła się i zachlipała. Marysia wzięła jej rękę i chciała pocałować, lecz kobiecina, widać, była nie na żarty zła, bo wyrwała rękę i zawołała:

— Tu przeprosiny nic nie pomogą!

— Proszę pani, a za cóż ja mam przepraszać? — odważyła się Marysia.

— Za... za co? — panią Szkopkową aż zatkało.

— No, tak. Ludzie, czy i taka pani Kropidłowska, w każdej rzeczy dopatrują się czegoś złego. A tu złego nic nie ma. Pani bardzo niesprawiedliwie osądza pana Czyńskiego. On żadnych takich zamiarów nie żywi. To jest bardzo szlachetny i bardzo uczciwy człowiek.

— Z kieszeni nikomu nie wyciągnie — gniewnie przerwała pani Szkopkowa — ale jak o dziewczynę chodzi, to każdy mężczyzna jednaka świnia.

— Właśnie że wcale nie. Inni może. Nie wiem, ale on nie taki.

— Mleko masz jeszcze pod nosem, ot co! A ja ci mówię: Wypraszaś panicza za drzwi, jeżeli ci dobre imię miłe. Dobre imię i moja opieka — dodała z naciskiem.

— Jakże ja mam go wypraszać? Mam mu powiedzieć, że nie życzę sobie, by on do sklepu przychodził?

— To właśnie.

— On wówczas ma prawo odpowiedzieć mi, że to nie mój sklep, że do sklepu każdy ma wstęp.

— Wstęp, ale nie miejsce na pogawędkę.

— Chyba że mu powiem, że to pani sobie nie życzy.

— Możesz i tak mu powiedzieć.

— A co będzie, jeśli się obrazi? Jeśli państwo Czyńscy przestaną u nas kupować, tak jak przestali u Mosterdzieja?

Pani Szkopkowa zachmurzyła się. Tej okoliczności obawiała się sama i argument, chociaż niezbyt szczerzy, lecz w porę przez Marysię podsunęty, zrobił swoje.

— No — mruknęła. — Tak nie można. Ale co masz mi oczy mydlić. Już ty potrafisz pozbyć się go!

— Niech mnie pani nauczy jak — upierała się Marysia.

— Więc nauczę cię! — zamknęła dyskusję pani Szkopkowa, postanawiając w duchu udać się po radę do księdza proboszcza.

Tymczasem mijały dni, a nie minął żaden, by młody inżynier nie przyjechał bodaj na pół godzinki do Marysi. Jedno tylko, że siadywał w sklepie krócej niż dawniej, a krócej dlatego, iż mało teraz miał czasu. Ku zadowoleniu rodziców zabrał się do pracy w fabryce. Kolejno zapoznawał się z księgowością, z administracją, z produkcją, z wydobywaniem surowca i ze sprzedażą. Obliczał, robił notatki, od niechcenia w rozmowie z rodzicami rzucił kilka projektów reorganizacji, zupełnie trafnych i rozsądnych.

Ojciec chwalił go głośno, matka zaś milczała, co u niej było jeszcze wymowniejszą pochwałą. Pewnego popołudnia zapytała:

— Czy masz zamiar udzielić nam, Leszku, w prowadzeniu fabryki systematycznej i stałej pomocy?

— Tak, mam — skinął głową. — Ale pod pewnymi warunkami.

— Jakież to są warunki?

— Chcę, mam, ustabilizować się.
— Jak to rozumiesz?
— Zwyczajnie. Chcę mieć ramy swojej pracy, swoje kompetencje, słowem, swoje ściśle określone stanowisko.

Pani Eleonora spojrzała nań nie bez zdziwienia.

— Jesteś naszym synem.

— Czuję się szczęśliwy z tego powodu — uklonił się z uśmiechem — ale to nie precyzuje mego stanowiska. Widzi mama, lubię sytuacje wyraźne. Bardzo wyraźne. Pod względem prawnym również. Otóż dotychczas czerpałem z waszej kieszeni tyle, na ile na pewno nie zarobiłem. Obecnie chcę pracować i chcę mieć pensję. Stałą pensję. Nie proponuję wam, byście mi oddali całkowity zarząd. Ale powiedzmy, powierzycie mi kierownictwo produkcji.

— Przecież i obecnie nic ci nie stoi na przeszkodzie w...

— Owszem. Możecie mnie uważać za dziwaka, ale ja nie potrafię, nie chcę, no i... nie będę pracował inaczej. Wiem doskonale, co mi powiesz, mam. Powiesz, że jestem waszym spadkobiercą, że wszystko kiedyś będzie moją własnością i że byłoby śmieszne branie posady w przedsiębiorstwie własnych rodziców. Ale widzicie, do szczęścia, spokoju ducha i do zadowolenia z siebie potrzebna mi jest osobista niezależność. Muszę mieć pracę swoją, stanowisko swoje i pieniądze swoje. I to jest mój warunek.

Pan Czyński zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Warunek trochę dziwny, ale ostatecznie nie widzę powodu, by uznać go za nie-dorzeczność.

— Po co ci to? — krótko zapytała pani Eleonora, patrząc badawczo w oczy synowi.

— Czy nie wystarczy ci, mam, jeżeli powiem, że to pragnienie samodzielności?

— Samodzielność można bardzo źle zużytkować.

— Zapewne. Ale przecie możecie obwarować się zastrzeżeniami. Na przykład, jeżeli zostanie stwierdzone, że spełniam źle swoje obowiązki, że produkcja jakościowo lub ilościowo spada, że organizacja psuje się, że z mojej winy powstają straty, macie prawo mnie usunąć.

Pan Czyński zaśmiał się.

— Mówisz tak, jakbyśmy mieli zawierać formalną umowę.

— A dlaczegoż by nie? — Leszek udał zdziwienie. — Wyraźne sytuacje ułatwiają stosunki. Chcę być zwykłym pracownikiem, takim jak pan Gawlicki czy Słupek. Oni mają kontrakty. Mają w tych kontraktach zastrzeżone pobyty, mieszkanie i premie. Nie widzę racji, dla której mielibyście odmawiać mi takiegoż kontraktu.

Zapanowała cisza. Leszek czuł, że za chwilę z ust matki znowu padnie pytanie: „Po co ci to?...”. Chrząknął więc i dodał:

— Obowiązkowym i sumiennym pracownikiem potrafię być tylko w tym wypadku, gdy będę wiedział, że zobowiązałem się do tego umową. Inaczej łatwo mi będzie przypomnieć sobie, że jestem synem właścicieli i że ostatecznie moje zaniedbania czy próżniactwo łatwo mi oni wybaczą. Powinniście się cieszyć, że dobrowolnie chcę wziąć się w karby.

— Dobrze — odpowiedziała pani Eleonora w zamyśleniu. — Zastanowimy się nad tą sprawą.

— Dziękuję wam — Leszek wstał, pocałował matkę w rękę, ojca w czoło i wyszedł.

Nadrabiał swobodą i dobrą miną, lecz w duchu drżał na myśl, że matka przejrzy jego zamiary i że kategorycznie odmówi. Dlatego też, by odsunąć wszelkie podejrzenia, zaczął bywać w okolicznych dworach, odwiedzać nawet dalszych sąsiadów, a po powrocie opowiadać nowinki i ploteczki z szczególniejszym uwzględnieniem pochlebnych opisów wyglądu różnych panien. Na rodzicach miało to wywrzeć wrażenie, że stabilizacja, której dla siebie pragnął, łączyła się w jego planach z małżeństwem i że wizyty mają na celu wyszukanie kandydatki na żonę.

Do Radoliszek z Ludwikowa prowadził na zachód bity trakt. Nadłożywszy jednak około dziesięciu kilometrów, można było dostać się do miasteczka, jadąc na Bożyski i Wickuny. Otóż Leszek, posunąwszy przedsięwzięte ostrożności jak najdalej, odtąd tylko tej drogi używał. Wprost do Radoliszekjechał tylko wtedy, gdy swoją bytność w mia-

steczku mógł usprawiedliwić potrzebą zakupów. I wówczas pędził jak szalony, by urwać sobie dodatkowy kwadrans na dłuższą rozmowę z Marysią.

Za względu na swoje studia w fabryce częściej rozporządzał teraz czasem po południu. Toteż nieraz w sklepie spotykał znachora Kosibę z młyna. Trochę obawiał się tego poważnego brodacza o smutnych oczach i olbrzymich barach. Był pewien, że znachor patrzy nań nieżyczliwie czy nawet groźnie, chociaż Marysia zapewniała, że jest to najlepszy człowiek pod słońcem.

— Może jest odrobinę nieufny w stosunku do ciebie — mówiła. — Ale sam jesteś temu winien. Gdybyś mi pozwolił zwierzyć się mu z naszych zaręczyn, jestem przekonana, że polubiłby cię od razu.

— To już wolę przezorność — uśmiechnął się. — A na objawy jego sympatii gotów jestem poczekać. Niech stracę!

Spojrzała nań z wyrzutem.

— Leszku! To nieładnie, że pokpiwasz z najzacniejszego człowieka i z mojego wielkiego przyjaciela.

— Przepraszam cię, kochanie. Ale uważam, wydaje mi się, że nie bardzo to odpowiednia lokata sentymentów dla ciebie. Może ten znachor jest wzorem poczciwości, może nawet umie leczyć, w co nie zaudito wierzę, ale przecie to prosty chłop. Co ci po przyjaźni takiego prostaka?

Potrząsnęła głową.

— Co mi po przyjaźni?... Widzisz, Leszku, ty masz rodziców i nie wiesz, co to jest być sierotą. Tak nie mieć nikogo, absolutnie nikogo. Wtedy każda ręka wyciągnięta w naszą stronę, każda, chociażby najgrubszą pokryta skórą, choćby najbardziej spracowana, to skarb, wielki skarb. Nieoceniony skarb. Ty tego nie zrozumiesz!

— Ależ rozumiem, Marysienko, rozumiem — Leszek zawstydział się. — I niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie wynagrodzę temu pocziwcowi tego, że tę moją jedyną, moją najdroższą... Przecież ja go lubię.

Marysia opowiedziała mu, co obiecał jej znachor, gdy bała się, że utraci pracę u pani Szkopkowej.

— Teraz widzisz, jakie on ma serce? — skończyła.

Leszek był wzruszony.

— Tak! To wyjątkowa dobroć! Ale i my nie będziemy gorsi. Niech tylko wszystko mi się ułoży, ten człowiek dostanie w Ludwikowie chałupę porządną i dożywocie. Wiedz, że kto ci kamyk spod nóg usunie, już ma zapewnioną moją wdzięczność. I zaraz przy pierwszym spotkaniu dam mu trochę pieniędzy...

Marycha zaśmiała się.

— To ty go nie znasz. On w ogóle pieniędzy nie przyjmuje. Przecie leczy przeważnie darmo. A poza tym powiedziałeś, że to prosty chłop. Otóż wyobraź sobie, że ja mam co do tego poważne wątpliwości.

— Niby dlaczego?

— Czy ty wiesz, że on, zdaje się, zna język francuski?

— No, mógł być na emigracji. Dużo chłopów jeździ na roboty do Francji.

— Nie! — zaprzeczyła. — Gdyby tak było, umiałby mówić po francusku. Lecz on czytał, i to wiersze. Tylko nie zdradź się przed nim, na miłość boską, że wiesz o tym.

— Dlaczego?

— Bo samo wspomnienie tego wywiera na nim takie straszne wrażenie! Jestem pewna, że w jego życiu jest jakaś wielka tajemnica.

— Czyli przypuszczasz, że jest to człowiek inteligentny, ukrywający się w chłopskim przebraniu?

— Nie wiem, czy ukrywający się. Przysięgłabym, że człowiek taki jak on nie mógł popełnić nic hańbiącego i zmuszającego do ukrywania się. Ale on jest inteligentny. Zwróć uwagę na wyraz jego oczu, na niektóre ruchy, na sposób mówienia. Może to moje przywidzenie, lecz gdy z nim rozmawiam, odnoszę wrażenie, iż umysłowo on stoi znacznie wyżej ode mnie.

— Bywają mądrzy chłopcy — zauważył Leszek i zamyślił się.

Po chwili zawołał:

— Mam! To jest bardzo prosty sposób. Zupełnie łatwo możemy wybadać go i stwierdzić, czy jest inteligentem, czy chłopem. Byle zręcznie go podejść.

— Leszku! Ale ja za żadne skarby nie chcę...

— Wiem, wiem! Ja też nie mam takich zamiarów. Ani myślę wtrącać się w jego tajemnice, jeżeli je w ogóle ma. Chodzi mi tylko o sprawdzenie. Ręczę, że się nawet nie spostrzeże.

— Wszystko jedno — zrobiła niezadowoloną minę. — To nie jest ładne.

— Jak chcesz. Mogę się bez tego obyć — zgodził się Leszek.

Zgodził się jednak tylko pozornie i postanowił sobie przy pierwszej okazji zrobić próbę. Miał w naturze pasję do rozwiązywania tajemnic. Jeszcze będąc małym chłopcem, zaczytywał się w Karolu May'u, a później w sensacyjnych opowiadaniach Conan Doyle'a. Nawet zwykłe rebusy działały nań urzekająco.

Sposób, który przyszedł mu do głowy, istotnie nie był skomplikowany. Należało po prostu w rozmowie ze znachorem użyć takich słów, których prosty chłop znać nie może. Jeżeli zrozumie sens zdania czy pytania, będzie to oczywistym dowodem, że nie jest tym, za kogo się podaje. Wówczas dopiero można się będzie posunąć dalej w badaniu przyczyn...

Jednego z najbliższych dni, jadąc okólną drogą do Radoliszek, spotkał znachora, widocznie wracającego z miasteczka. Zatrzymał motocykl, uklonił się i wskazując na pęk jakichś ziół, zebranych widocznie w rowach przydrożnych, zapytał:

— A na jaką to chorobę skuteczne, panie Kosiba?

— To dzięgiel. Na serce pomaga — uprzejmie, ale chłodno odpowiedział znachor.

By go usposobić lepiej i skłonić do dłuższej pogawędki, Leszek zażartował:

— A nie wie pan, jakie jest najlepsze lekarstwo na miłość?

Znachor podniósł oczy i powiedział dobitnie:

— Na miłość, młody panie, najlepsza jest uczciwość.

Uchylił czapki i ruszył przed siebie.

Leszek przez chwilę stał nieruchomo, zaskoczony odpowiedzią, której nie oczekiwał, potem domyślił się, o co znachorowi chodziło, i mruknął do siebie:

— Nie można mu odmówić braku *esprit d'apropos*¹².

Po przyjeździe do miasteczka opowiedział Marysi o spotkaniu i dodał:

— Muszę się przyznać, że speszył mnie trochę, chociaż na taką receptę przecie nie zasłużyłem.

— Ale on o tym nie wie — zauważyła.

— Właśnie. Diabelnie mnie kręciło, by mu wygarnąć prawdę. W ogóle męczy mnie ta tajemnica. Najchętniej roztrąbiłbym wszystkim o naszych zaręczynach. Ale jeszcze nie wolno mi. Nie wolno. Pośpiech mocno pokrzyżowałby moje plany.

Toteż starał się teraz nie tylko w Ludwikowie, lecz nawet w Radoliszkach nie zwracać niczyjej uwagi swymi wizytami. Czasami motocykl zostawiał przed karczmą lub na podwórku u Glazera, handlarza koni, a do sklepu przychodził piechotą. Zawsze nie tak rzucało się to w oczy.

Widocznie i do Ludwikowa nie docierały nowe plotki, gdyż rodzice nie wspominali o niczym, przeciwnie, przyglądali się życzliwie pracy syna w fabryce. Do decydującej rozmowy nie wracali, nie zaczynał jej też Leszek w obawie, że w jego niecierpliwości gotowi dopatrzeć się szczególniejszych pobudek.

Pewnego piątku spotkał się znowu ze znachorem Kosibą. Tym razem w sklepie. Stary rozmawiał z Marysią i gdy Leszek wchodził, na jego brodatej, wielkiej twarzy zostały jeszcze resztki uśmiechu. Widocznie był dobrze usposobiony i Leszek postanowił skorzystać z tej sposobności, by przeprowadzić swój zamierzony eksperyment. Przywitał się z niefrasobliwą życzliwością i od niechcenia zapytał:

— Pan z Królestwa pochodzi i nie tęskno panu za swoimi stronami?

— Nikogo tam nie zostawiłem, to i nie tęskno.

— To dziwne. Ja jestem jeszcze zbyt młody i nie mam doświadczenia, ale od starszych słyszałem, że na obczyźnie męczyła ich nostalgia. Pan jej nie odczuwa?

— Czego? — znachor zamrugał powiekami.

¹²*esprit d'apropos* — zmysł trafności; talent do formułowania trafnych odpowiedzi.

— Nostalgii — swobodnie powtórzył Leszek.

— Nie — potrząsnął głową. — Toż ta sama ziemia, nie obczyzna.

Leszek nie był jeszcze pewien i zauważył:

— No tak, ale ludzie inni, inne obyczaje. Zawsze to niełatwo zaaklimatyzować się.

Znachor wzruszył ramionami.

— Wędrowałem po całym państwie. Wszędzie mi dom i nigdzie.

I to nie zadowoliło Leszka. Znachor mógł sensu nieznanego słowa domyślić się z całego zdania. Należało pytanie zbudować precyzyjniej.

— I tu ludzie dla pana życzliwi — powiedział. — Nieraz to słyszałem. Ma pan dużą frekwencję?

Kosiba kiwnął głową.

— Owszem. Najwięcej wiosną i zimą. Latem mniej chorują.

Leszkowi mocniej zabiło serce. Teraz był już prawie pewien, że domysły Marysi były słuszne. Dorzucił jeszcze:

— Zebralby pan majątek, gdyby nie to, że pan ma widocznie aspiracje filantropa.

Znachor albo nie spostrzegł się, że jest egzaminowany, albo było mu obojętne, że zastawiają nań pułapkę, gdyż uśmiechnął się dobrodusznie.

— To nie filantropia — powiedział. — Ot, po prostu zależy mi na pomaganiu cierpiącym, a na majątku... nic nie zależy. Panu, jako bogatemu, trudno to będzie zrozumieć.

— A dlaczego?

— Bo bogactwo otumania. Zdobywa się bogactwo po to, by czemuś służyło, by w czym i pomogło. Gdy się je jednak już zdobędzie, ono zagłusza wszystko i każe człowiekowi, by jemu, bogactwu, służył.

— Czyli z roli środka przechodzi do rangi celu?

— Ano tak.

— Wychodząc z tego założenia, niebezpiecznie jest posiadać cokolwiek w ogóle, bo człowiek może stać się niewolnikiem swojej własności?

— A pewnie — przytaknął łagodnie znachor. — Ale niebezpieczeństwo będzie tylko wtedy, kiedy człowiek tego nie rozumie, kiedy zapamięta się.

Marysia w milczeniu przysłuchiwała się tej rozmowie i odgadła, że Leszek rozpoczął ją w celu sprawdzenia swoich podejrzeń. Teraz nie wątpiła już, że miała słuszność. Znachor Antoni Kosiba na pewno nie był prostym chłopem. Musiał w swoim czasie otrzymać wykształcenie lub też obracać się w środowisku ludzi wykształconych. Do takiego samego wniosku doszedł Leszek.

Po wyjściu znachora powiedział:

— Wiesz, że to zastanawiające! Ten człowiek myśli o zagadnieniach abstrakcyjnych, umie rozumować logicznie i doskonale zna znaczenie takich wyrazów, których prostacy nigdy nie używają. Dam głowę, że kryje się w tym rzeczywiście jakaś tajemnica.

— A widzisz!

— Nie o to jednak chodzi mi w tej chwili — ciągnął Leszek — najbardziej zdumiewa mnie inna strona tej kwestii. Otóż ten człowiek niewątpliwie obdarzony jest dużą inteligencją. Przypuśćmy, że dla jakichś nieznanych nam przyczyn postanowił udawać zwyczajnego chłopą. Musiał mu na tym zależeć, skoro konsekwentnie żyje jak chłop, pracuje jak chłop, ubiera się i nawet wyraża się jak chłop. I nagle daje się wciągnąć w przygodną rozmowę, w której pozwala mi zdemaskować swoje wykształcenie!... To właśnie jest zupełnie niezrozumiałe! Jak to? Zrobił tyle, by uchodzić za prostaka, zrobił wszystko, a daje się wciągnąć w taką widoczną zasadzkę! To nie trzyma się kupy. Wygląda tak, jakby mu nie zależało na dalszej maskaradzie. Do licha! Pasjonuje mnie ta zagadka.

Marysia wzięła go za rękę.

— A widzisz, jakiś niedobry. Obiecałeś mi przecie, że nie będziesz się tym zajmował. Nie przebaczyłabym ci nigdy, gdyby z twojej, a pośrednio z mojej przyczyny stryjcia Antoniego mogły spotkać jakiekolwiek przykrości.

— Bądź spokojna, kochanie. Do tego w żadnym razie nie dojdzie. Jeżeli nawet coś wykryję, będzie to naszą tajemnicą. Zresztą czyż mamy teraz czas zajmować się sprawami innych?... Kochanie! A jakże z tym pamiętnikiem?

Przyrzekła mu przynieść swój pamiętnik, zaniedbany już wprawdzie od trzech lat, lecz stanowiący niemal codzienne kroniki jej życia, jeszcze od dzieciństwa.

Podala mu gruby tom w płóciennnej oprawie.

— Chcę, byś to przeczytał — powiedziała, rumieniąc się. — Ale proszę cię! Nie śmiej się ze mnie. Byłam kiedyś bardzo głupiotka, a... nie wiem, czy z biegiem lat udało mi się zmądrzeć.

— Jesteś najmądrzeszą dziewczyną, jaką widziałem — zapewnił ją z wesołym patosem. — Najlepszy dowód, żeś się poznała na mnie.

— Jeżeli to ma być miarą mądrości — zaśmiała się — to ty złe sobie wystawiasz świadectwo, żeś wybrał takie małe nic jak ja.

— To małe nic jest dla mnie wszystkim.

Tegoż wieczoru, ułożywszy się do snu, Leszek otworzył pamiętnik na stronie pierwszej i zaczął czytać:

„Nazywam się Maria Jolanta Wilczurówna. Mam lat dziesięć. Mój pierwszy tatuś nie żyje, a z drugim tatusem i mamusią mieszkamy w naszej kochanej leśniczówce, w samym środku olbrzymiej Puszczy Odrynieckiej...”

Niewprawne, krzywe literki spletały się w słowa zwyczajne, słowa proste, słowa bezpretensjonalne, wyciągały się w faliste linijki, pokrywały stronicę za stronicą.

Mimo woli uśmiechały się usta i wilgotniały oczy przy wczytywaniu się w te kartki, w te drogie, najdroższe na świecie kartki, które dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku pozwalały mu patrzeć na jej malutkie, lecz jakże ważne radości, na dziecinne, lecz wzruszające zmartwienia, na tę jasną duszyczkę, tak czystą, tak czułą, tak wrażliwą, te kartki, które pozwalały mu towarzyszyć jej dzieciństwu, jej latom dziewczęcym, wżyć się w nie i jeszcze mocniej zapragnąć, by nic go już z nią nie rozdzieliło.

ROZDZIAŁ XII

Pierwsze czerwone liście klonów zaczęły opadać z drzew. Jesień była wczesna jeszcze, ciepła, cicha, słoneczna. W dni powszednie pługi wychodziły w pole i traktem ciągnęły furmanki obciążone ciężkimi workami, ale w niedzielę pusto było wszędzie. Tylko świerszcze ćwierkały, tylko ptak jakiś poderwał się czasem nad rżyskami spokojnym, niespokojnym lotem lub ociężałym klusem przebiegł spasiony zając.

W tę ciszę ostrym stentorowym warkotem wdzierał się głos motoru. Motocykl minął dojazd do młyna i skręcił z traktu w boczną drogę między zaroślami. Młody Czyński jeździł szybko, lecz był doskonałym kierowcą i Marysia, która trochę bała się podczas pierwszych wycieczek, teraz już czuła się na tylnym siedelku zupełnie bezpieczna. Tylko na ostrzejszych skrętach instynktownie mocniej trzymała towarzysza.

Droga prowadziła do wickuńskiego lasu. Jeździli tu każdej niedzieli. Zwykle po obiedzie Marysia wychodziła na trakt za miasteczko i tu spotykali się z dała od ludzkich oczu. Rzadko spotykali tu kogokolwiek, a i w takich wypadkach Marysia mogła nie obawiać się, że zostanie poznana. Zielony kombinezon, szlem i okulary zmieniały ją do niepoznania. Do lasu było coś około sześciu kilometrów i tam spędzali czas do wieczora, a wieczorem Leszek odwoził Marysię znowu do Radoliszek, a sam okrężną drogą wracał do Ludwikowa.

Zachowanie najdalej posuniętych ostrożności było konieczne, gdyż złe języki nie zostawiłyby na Marysi suchej nitki, gdyby się rozeszło, że we dwójkę z młodym inżynierem jeździ do lasu.

Tej jednak niedzieli Leszek, pomagając Marysi zapiąć kombinezon, powiedział:

— To już ostatnia nasza konspiracja.

W jego tonie było coś zastanawiającego.

— Dlaczego ostatnia? — zapytała Marysia.

— Bo jutro ogłosimy wszystkim, że jesteście zaręczeni.

Marysia znieruchomiała.

— Co ty mówisz, Leszku! — szepnęła.

Ogarnął ją nagły przestrah przed tym, co miało nastąpić. Oczywiście wierzyła narzeczonemu. Wierzyła bezgranicznie. Ale przecież gdzieś w głębi, w podświadomości żyło w niej jakieś spokojne i smutne zwątpienie. Wolała nie zastanawiać się nad przyszłością. Teraźniejszość była tak piękna, że zdawało się, iż cokolwiek by przyszło, musiało być gorsze.

— No, siadaj, kochanie — przynaglał Leszek — musimy mieć dziś dużo czasu na uplanowanie wszystkiego.

W milczeniu usadowiła się na siodełku. Pęd powietrza zawsze ją trochę oszałamiał, ale dziś czuła się prawie nieprzytomna. Nie przypuszczała, by mogło to nastąpić tak prędko, nie wiedziała zresztą, od czego ujawnienie ich narzeczeństwa było uzależnione. Nie wiedziała i nie umiała się dowiedzieć, gdyż Leszek po gruntownym rozważeniu sprawy postanowił zataić przed nią swoje posunięcia.

Właśnie wczoraj zakończył je i miał teraz w kieszeni najformalniejszy kontrakt. Dokument ten zawierał trzyletnią umowę między rodzicami i synem. Na mocy kontraktu młody Czyński obejmował stanowisko kierownika produkcji w fabryce z niezbyt wprawdzie wysoką, lecz zupełnie wystarczającą pensją.

Wycyganienie od rodziców takiej umowy nie było zbyt ładnym chwytem. Musiał użyć tego podstęp, lecz właśnie dlatego, że nie był to podstęp chwalebny, wołał zamilczeć o nim wobec Marysi. Obawiał się, i zapewne nie bez słuszności, że dziewczyna gotowa byłaby oprzeć się i nie chcieć skorzystać z wygód zdobytych w taki sposób.

Osobiście Leszek nie zachwycał się swoją machinacją, lecz nie żywił też specjalnych skrupułów. Ostatecznie była to walka o byt, walka o szczęście własne i szczęście kochanej dziewczyny. Musiał zdobyć potrzebne atuty i zdobył je. Musiał wytrącić rodzicom z rąk środki represyjne i wytrącił je.

W poniedziałek — ułożył już to sobie — oświadczy im, że postanowił nieodwołalnie ożenić się z Marysią. Wówczas oczywiście zrozumieją, dlaczego upierał się przy kontrakcie.

„Tak — powie im — to prawda. Przewidywałem, że zechcecie utrudnić mi małżeństwo, przewidywałem, że przekładając swoje przesady kastowe nad szczęście swego syna będziecie starali się zmusić mnie do zmiany postanowienia i że nie cofniecie się przed użyciem wszelkich środków. Nie widzę wobec tego racji, dla której ja musiałbym z góry wyrzekać się środków obrony. Zresztą nie popełniłem żadnego nadużycia. Będziecie musieli płacić mi przez trzy lata pensję, ale przecie nie za darmo. Otrzymacie w zamian rzetelną i sumienną pracę. A teraz macie do wyboru: albo pogodzicie się z sytuacją, poznacie moją przyszłą żonę i przyjmiecie ją jako nowego członka rodziny, albo wykreślicie i mnie z rodziny”.

Och, wiedział doskonale, że rodzice od razu nie ulegną. Wiedział, że posypią się prośby i groźby, że będą lzy i obrazy, że może rzeczywiście dojść do zerwania stosunków i do jawnej wojny. Lecz na to nie było już rady.

W głębi duszy jednak miał nadzieję, że uda mu się wreszcie uzyskać ich zgodę. Był zechcieli poznać Marysię. Był przekonany, że jej wdzięk, jej inteligencja, jej dobroć i te wszystkie zalety, jakich nie spotykał u tylu innych panien, przemówią najlepiej do przekonania rodziców.

W każdym razie przygotowany był na wszystko i w zależności od tego, jak przyjmą rodzice jego jutrzejsze oświadczenie, układał dalszy plan działania.

Tak czy owak, Marysia zaraz od jutra musiała porzucić pracę w sklepie. Jeżeli rodzice pogodzą się z wolą syna, przeniosłaby się natychmiast do Ludwikowa. Jeżeli nie, musiałaby do czasu ślubu wyjechać do Wilna. Leszek i tam przygotował wszystko. Zamieszkałaby na ten miesiąc u Wacków Korczyńskich. Wacek był szkolnym kolegą Leszka, a pani Korczyńska najserdeczniej zaopiekowałaby się narzeczoną Leszka, którego bardzo lubiła.

Pozostawało omówienie z Marysią spraw dotyczących jej wyjazdu i rozstania się z dotychczasową opiekunką. Bądź co bądź nie była jeszcze pełnoletnia i taka Szkopkova, choć Leszek tego poważnie nie brał w rachubę, mogła robić jakieś trudności. Poza tym w razie wyjazdu do Wilna wyląniała się jeszcze drażliwa kwestia pieniężna. Nie wiedział, czy Marysia, która na pewno własnych pieniędzy nie ma, zgodzi się przyjąć potrzebną kwotę od niego. Nie byłaby to zresztą wielka suma. Pani Korczyńska zajęłaby się w Wilnie uzupełnieniem Marysinej garderoby sama. Obliczyliby się później, a na szczęście Wackowi, który jest świetnie zarabiającym adwokatem, te drobne wydatki nie zrobią żadnej różnicy.

O tym wszystkim rozmyślał Leszek podczas drogi. Marysia, siedząc za nim, również pogrążona była w swoich myślach. Droga była, jak zwykle w niedzielę, pusta. Dopiero

koło mostku spotkali chłopską furmankę ciągnioną przez małego konika. Koń przestraszył się maszyny i rzucił się na bok. Woźnica chyba był pijany, bo zamiast ściągnąć w porę lejce, wyskoczył do rowu. Jego pasażer wysypał się za nim. Tumany kurzu zakryły ten obraz, który podziwiali zresztą zaledwie sekundę. Leszek nie zatrzymał się i tylko Marysia przez chwilę się zdawało, że pasażerem furmanki był ktoś znajomy.

I nie myliła się: pasażerem był Zenon Wojdyłło. Gdy motocykl zniknął w obłokach kurzu na zakręcie, Zenon wygramolił się z rowu i wygrażając pięścią, wybełkotał kilka soczystych przekleństw, tym soczystszych, że rzeczywiście był pijany.

Ani Marysia jednak, ani Leszek już tego nie słyszeli. Droga rozszerzała się właśnie i wpadała w stary, wysokopienny las.

Dojechali do niewielkiej polanki i tu rozłożyli się swoim małym obozem. Nieskomplikowana uczta składała się z owoców i z paru tabliczek czekolady. Zostawili to wszystko przy ukrytym w krzakach motocyklu i wzięwszy się za ręce, poszli nad brzeg wąwozu. Zawsze tu siadywali. Wąwóz był głęboki, o stromych zboczach, na dnie płynął wąziutki, czarny strumyczek. Nieraz, siedząc tu cichutko, widzieli sarny przychodzące do wody. Dziś jednak rozmawiali, a ich głosy, odbijając się echem w parowie, musiały wypłaszać sarny.

— Kochanie moje — mówił Leszek — skończyły się już nasze przykrości. Za miesiąc bierzemy ślub. Wyobrażam sobie minę pocziwego proboszcza, gdy zjawimy się, by dać na zapowiedzi! No, jego minę i innych! Będzie sensacja!

Zatarł ręce i zdziwił się spojrzawszy na Marysię:

— Jesteś czymś zmartwiona?

— Bo widzisz — westchnęła — dla mnie to wszystko nie będzie rzeczą przyjemną. Łatwo możesz sobie wyobrazić, co ludzie powiedzą.

— Cóż mogą powiedzieć?

— Ano że wychodzę za ciebie dla kariery... dla pieniędzy, dla stanowiska, że robię dobry interes, że udało mi się złapać takiego męża...

Leszek poczerwieniał.

— To są głupstwa! Jak możesz coś podobnego przypuszczać?

— Sam wiesz doskonale, że tak będą mówić.

— Więc im odpowiem — wybuchnął — że są bałwanami. Własną nędzną miarką chcą mierzyć wszystko. Ale wara od ciebie! Wara! Nie bój się, potrafię obronić swoją żonę. Przed samym diabłem! Jeżeli w ogóle takie brzydkie słowo jak interes może tu wchodzić w grę, to tylko ja robię dobry interes, żeniąc się z tobą. Tak, tylko ja, bo bez ciebie nie mógłbym żyć. I nie chciałbym. A ty wyszłabyś za mnie, choćbym grosza nie miał, nazywał się Pipcikowski i był zwykłym robotnikiem. Gotów jestem na to przysiąc!

Marysia przytuliła się doń.

— I nie popełniłbyś krzywoprzysięstwa. Na pewno wołałabym, byś był biedny.

— Ależ ja jestem, kochanie, biedny. Nie mam nic. Wszystko należy do moich rodziców i zależne jest od ich fantazji. Ja mam tylko posadę w Ludwikowie. Pensję i niewielki apartament. To wszystko. Więc widzisz, że nie robisz żadnej kariery. Największym moim skarbem będziesz ty... Skarbem, którego nikomu nie oddam...

Wpatrywał się z zachwytem w jej pochyloną głowę, w złotawe błyski słońca na gładko przyczesanych włosach, w subtelny profil.

— Nawet nie wiesz — mówił — jaka ty jesteś piękna. Przecie widziałem tysiące kobiet. Tysiące. Widziałem te renomowane piękności, za którymi świat szaleje, różne gwiazdy filmowe i inne. Żadna z nich nie mogłaby równać się z tobą. A już na pewno żadna nie ma takiego wdzięku. Ty nie wiesz, że każdy twój ruch, każdy uśmiech, każde spojrzenie to dzieło sztuki. W tych parszywych Radoliskach też umieli poznać się na tobie! Ale zobaczysz, kiedy wprowadzę cię w wielki świat! Wszyscy głowy potracą! Mówię ci! Najslawniejsi malarze będą dobijać się o portretowanie ciebie. Pisma ilustrowane będą podawać twoje fotografie...

— O Boże! — zaśmiała się. — Jak ty strasznie przesadzasz!

— Nic nie przesadzam! Zobaczysz sama. A ja będę chodził dumny jak król. Wiem, że to próżność, ale bodaj każdy mężczyzna ma tę wadę. Cieszy go i napęnia pychą to, że ma kobietę, której mu wszyscy zazdroszczą.

Marysia potrząsnęła głową.

— Jeżeli nawet znaleźliby się tacy, co dopatrzyliby się we mnie jakiejś urody, to i tak do zazdrości byłoby jeszcze mało. Strach znów ogarnia na myśl, jak ja będę kompromitowała się swoim brakiem form towarzyskich, swoim nieobyiciem i głupotą.

— Maryśka!

— No tak. Myślisz, że twoi znajomi zapomną mi to, że byłam panienką sklepową u pani Szkopkowej? Będę cały czas jak na cenzurowanym. Bo i rzeczywiście jestem zwykłym kopcuszkciem, prowincjonalną gąską. Nie potrafię wśród twoich ruszać się, nie potrafię z nimi mówić. Przecie moje wykształcenie jest prawie żadne. Wprawdzie mamusia miała zamiar przygotować mnie do matury, ale jak wiesz, matury nie mam. Żenisz się z prostaczką.

W jej głosie brzmiał smutek. Leszek łagodnie wziął ją za rękę i zapytał:

— Powiedz, Marysienko, czy uważasz mnie za bezkrytycznego i naiwnego głupca?

— Ale cóż znowu! — zaprotestowała.

— Czy sądzisz, że swoimi wymaganiami i poziomem kryteriów stoję znacznie niżej od moich krewnych i znajomych?... Bo z tego, co mówisz, może tak wyglądać. Ja, ostateczny głupiec, biorę ciebie za żonę, dopatrując się w tobie zalet, których nie masz, a dopiero oni obejrawszy cię odkrywają, że się myliłem.

— Nie, Leszku — zaprzeczyła pojednawczo. — Ty patrzysz na moje braki pobłażliwie, bo mnie kochasz.

— Więc i oni cię pokochają.

— Daj to, Boże.

— A twoje braki są w ogóle urojeniem. Życzyłbym wszystkim pannom, by wyglądały tak rasowo jak ty, by miały tyle wrodzonej inteligencji i tyle delikatności uczuć. Jeżeli zaś chodzi o obycie, o kulturę towarzyską, jestem przekonany, że przyswoisz ją sobie bez najmniejszego trudu, kształcić się zaś będziesz mogła, ile ci się podoba. Byle nie za wiele, bo nie chciałbym mieć żony o wiele mądrzejszej ode mnie.

— Tego nie obawiaj się — zaśmiała się.

— A właśnie tego boję się najbardziej — zrobił poważną minę.

— Czy ty wiesz, kiedy przekonałem się, że moja Marysienka jest mądraskiem?

— Nie wiem.

— Wtedy gdy o wszystkich miasteczkowych awanturach nie powiedziała mi ani słowa. Przecie mogłem podejrzewać, że ów Sobek, który stanął w twojej obronie, miał do tego jakieś prawa. Ale ty pomyślałaś słusznie: „Nie będę się przed Leszkiem tłumaczyć, bo jeżeli zdobył się na takie ohydne podejrzenia, to niewart jest nawet wyjaśnień”.

Marysia nie przypominała sobie, by wówczas tak rozumowała, lecz nie zaprzeczyła.

— Nie chciałam tylko wciągać cię w te przykre sprawy — powiedziała.

— To znowuż źle. Kogóż masz mieć za obrońcę, jeżeli nie mnie?

Zamyślił się i dodał:

— Swoją drogą muszę jednak któregoś dnia wstąpić na pocztę i uściśnąć rękę temu Sobkowi. To bezczelność wprawdzie, że ośmiela się on cię kochać, ale postąpił jak uczciwy mężczyzna.

Słońce zniżyło się już znacznie. Zwykle o tej porze zabierali się do powrotu, dziś jednak mieli jeszcze wiele rzeczy do omówienia. Ułożyli, że Marysia nazajutrz zakomunikuje pani Szkopkowej o swoich zaręczynach i o tym, że już dłużej nie będzie u niej pracować w sklepie.

— Powiedz też jej — zaproponował Leszek — że jeżeli uważa się za poszkodowaną, zwrócisz jej koszty, jakie sobie policzy.

— Ty jej nie znasz — odpowiedziała Marysia. — Nie policzy żadnych kosztów, bo przecie wyrównałam je swoją pracą. Obraziłaby się śmiertelnie na samą wzmiankę o tym. To bardzo zacna kobieta. Boję się czegoś innego: że nie uwierzy w te zaręczyny.

— Więc przecie przyjadę, przypuszczam, około południa i usłyszysz to ode mnie. W każdym razie miej rzeczy spakowane.

— Leszku, kochany mój, czym ja sobie zasłużyłam, że jestem taka szczęśliwa!

Objął ją i z największą serdecznością przytulił. Napęniało go niewymowną radością to, że dla tej dziewczyny, dla tej cudownej dziewczyny niemającej na świecie nikogo bliskiego jest wszystkim i będzie wszystkim. I dziwił się samemu sobie jednocześnie. Tyle przecie razy trzymał w ramionach różne kobiety i nigdy nie czuł nic poza pożądaniem. Dlaczego

w stosunku do tej jedynej, której niewątpliwie pragnął bardziej niż czegokolwiek na kuli ziemskiej, nawet pożądanie było w nim inne, przesycone niezmienną miłością i niemal religijnym pietyzmem. Kiedyś podczas pierwszych miesięcy znajomości z Marysią i na nią patrzył tak jak na wszystkie. Gdyby wówczas znalazła się tak sam na sam z nim... Nic nie zatrzymałoby go zapewne przed popełnieniem okropnego błędu.

„Dzięki Bogu, że tak się nie stało” — myślał.

Chodzili jeszcze długo po lesie i już było prawie ciemno, gdy zdecydowali się wracać. Przez kawałek lasu, gdzie było sporo wykrotów i korzeni, jechali wolniutko. Zresztą nie było żadnej obawy. Leszek znał drogę jak swoją kieszeń, znał na niej każdą koleinę, każdy kamień, każdy zakręt. Trafiliby do traktu bodaj po ciemku, a przy świetle mocnego reflektora mogli bezpiecznie jechać dobrym gazem.

Tak przynajmniej myśleli.

W tejże chwili, gdy motocykl wypadł z lasu, a jego donośny garg nappełnił hałasem śpiącą równinę aż do traktu, na jednym z zakrętów bocznej drogi ukazał się cień mężczyzny.

Zenon eks-kleryk długo tu czekał. Przespał w rowie kilka godzin i bał się nawet, czy podczas jego snu motocykl nie przemknął z powrotem do traktu. Na szczęście niepokój ten okazał się bezpodstawny. Od boru wickuńskiego zbliżał się warkot maszyny, czasami z wyższych punktów drogi daleko po ciemnych zaroślach łysnął promień jaskrawej zieleni pod dotknięciem reflektora.

— Teraz mi się nie wymkną — mruknął Zenon.

Od tygodnia pił na umór. Wyprosił od ciotki w Święcianach kilkadziesiąt złotych i wracając do Radoliszek, czasem pieszo, czasem nadarżając się furmanką, nie ominął żadnej karczmy, żadnego szynku. Wracał, by jeszcze raz prosić ojca o przebaczenie, nie wierzył jednak, że je uzyska, i z rozpaczy doprowadzał się wódką do zupełnej nieprzytomności. Gdy po południu spotkał na drodze motocykl Czyńskiego i poznał ich dwoje, ich, sprawców jego wypędzenia z domu, w pijanej głowie z całą siłą odezwała się nienawiść i pragnienie zemsty.

„Teraz mi zapłacą za moją krzywdę” — powtarzał sobie.

Wiedział, że tędy muszą wracać, że innego objazdu nie ma. Usiadł w rowie za zakrętem i czatował.

Huczało mu jeszcze w głowie i zataczał się, lecz teraz, gdy usłyszał nadjeżdżający motocykl, przystąpił do działania szybko i planowo. Wykalkulował wszystko dokładnie. Tuż za tym zakrętem droga wznosiła się dość stromo i Czyński będzie musiał dodać gazu, a zrobi to tym śmieiej, że zakręt jest dość łagodny.

Gdy tuż za zakrętem zobaczy nieprzewidzianą przeszkodę, za późno już będzie na hamowanie i nie będzie sposobu uniknięcia katastrofy.

Materiał na przeszkodę Zenon przygotował zawczasu. Były to dwa dość grube nadpróchniałe kłocze znalezione w zaroślach i kupa kamieni, których nie brakowało w rowach.

Teraz bez straty czasu wywindował to na drogę i ułożył systematycznie w poprzek. Przejazd był zatarasowany zupełnie, o wyminięciu przeszkody nie mogło być mowy. Po obu stronach wąskiej drogi były głębokie rowy, a ich brzegi zewnętrzne znacznie wystawały ponad poziom wewnętrznych. Porośnięte zresztą były gęstymi zaroślami tworzącymi jakby dwie ściany na obu stronach.

Nie było jeszcze zbyt ciemno i Zenon z ponurym zadowoleniem jeszcze raz obejrzał swoją robotę. Już chciał ruszyć w stronę traktu, gdy przyszło mu na myśl, że ukrywszy się w zaroślach obok barykady może bez obawy przyjrzeć się efektowi swej zemsty.

„Przynajmniej zobaczę, jak skręca kark” — uśmiechnął się.

Zesliznął się kilka razy po stromym zboczu rowu, lecz wreszcie wdrapał się na górę, rozsunął gałęzie krzaków i ułożył się wygodnie pod nimi. Punkt obserwacyjny był wybrany doskonale. Pozostawało leżeć spokojnie i czekać, a gdy się rozbiją, wyjść na trakt i ruszyć do miasteczka. Nikt nie będzie mógł udowodnić mu, że to on ułożył przeszkodę, nikt go tu nie widział, a ten chłop, z którym od wickuńskiej karczmy jechał, pojechał przecie w kierunku Oszmiany. Zresztą nie wiedział nawet, kogo woził. A tych tu znaleźć mogą dopiero rankiem. W nocy tą drogą nikt nie jeździ, nie to co traktem, którym idą furmanki na ranny pociąg na stację lub też po cegłę do Ludwikowa.

„Oczywiście mogą powstać podejrzenia — myślał Zenon. — Nieraz odgrażałem się. Ale dowodów przeciw mnie nie znajdą żadnych. A za swoją krzywdę odpłacę... I jeszcze będę miał widowisko... Takie nie co dzień się zdarza!...”

Mijały minuty, które zdawały się mu godzinami. Warkot motoru zbliżał się, stawał się coraz głośniejszy. Już nie więcej jak pół kilometra dzieliło ich od nieuniknionej katastrofy.

„Chyba że go jakieś лихо ostrzeże” — przemknęło Zenonowi przez głowę.

Ale Czyńskiego nic nie ostrzegło. Przeciwnie, skonstatował, że robi się dość zimno i że Marysia może się zaziębić. Ponieważ zaś za mostkiem droga była znacznie lepsza, porządnie dodał gazu.

Snop jaskrawego, białego światła wbijał się przed nimi w ciemność, rozsuwał ją na obie strony torując drogę. Jeszcze dwa zakręty, za drugim wzgórek o dość dużej pochyłości i już będzie trakt. Leszek myślał o jutrzejszym dniu, o rozmowie decydującej z rodzicami, o tym, jak przedstawi im Marysię, o swym wielkim szczęściu, o wieczorach spędzanych we dwójkę, o rankach, kiedy budzić się będą, by po raz tysięczny upewnić siebie, że ich szczęście nie było snem, lecz rzeczywistością... Myślał o stole nakrytym na dwie osoby, o niej, wesołej, promiennej i jasnej, krzątającej się w jego domu w ich domu...

I nagle zobaczył...

Zanim myśl zdołała przebiec przez mózg, zanim zrozumiał, że to śmierć, odruchowo dał hamulec, błyskawicznie opuścił nogi i wbił obcasy w pędzącą pod kołami drogę. Zawyły rozpaczliwym wysiłkiem gumy, dwie fontanny rudego żwiru trysnęły na obie strony i rozległ się głuchy trzask potężnego uderzenia.

A potem wszystko ucichło.

Widowisko istotnie było nie byle jakie i Zenon nie opuścił zeń ani jednego fragmentu, ani ułamka sekundy. Widział wypadający zza zakrętu motocykl, widział rozpaczliwe wysiłki kierowcy, widział moment, gdy maszyna uderzyła o przeszkodę i dwa ciała pokracznie wylatujące wysoko w powietrze.

Potem zaległa cisza.

Z dziwną jasnością rozumiał, co się stało. Był tak trzeźwy, jakby nigdy nie miał w ustach kropli alkoholu. Dokonał zemsty. Tam na drodze leżą oni albo zabici, albo śmiertelnie ranni. Dokonał zemsty i nic nie czuł, a raczej czuł w sobie zupełną pustkę. I ten dziwny, głuchy spokój.

Zszedł na drogę. Z lewej strony daleko odrzucony od przeszkody leżał motocykl. Zenon zapalił zapalną. Była to kupa pogmatwanego żelastwa. Ruszył dalej i znowu zaświecił sobie.

Leżeli niedaleko od siebie. Ją wyrzuciło dalej. Zenon pochylił się nad nim. Ręce i nogi rozrzucone bezładnie, głowa przykurczona do ramienia. Wyglądał jak miękki manekin. Dół twarzy był zmiażdżony, z szeroko otwartych ust ciekła krew. Oczy miał zamknięte.

O dwa kroki dalej leżała ona. Leżała twarzą ku ziemi ze stulonymi ramionami, tak jakby płakała, jakby sama spokojnie położyła się tu, by popłakać sobie, w ten sposób właśnie położyła się, jak wszystkie kobiety kładą się, gdy płaczą. Nie było na niej znać, że cokolwiek jej się stało. Zenon potarł o pudełko nową zapalną i nachylił się nad Marysią, by zajrzeć jej z boku w twarz. I wtedy zobaczył niewielką krwawą kałużę we włosach.

Obejrzał się jeszcze za siebie. Zdawało mu się, że Czyński jęknął. Musiało to jednak być złudzenie. Schował zapalną do kieszeni i ruszył przed siebie.

Szedł, nie zdając sobie z tego sprawy, coraz szybciej. W jego głowie działo się coś dziwnego. Czuł, że ogarnia go jakieś nowe, nieznane uczucie, uczucie straszne. Tak, bał się, śmiertelnie bał się, ale nie tamtych, co zostali na drodze, ale siebie samego, samego siebie w tej pustce, w ciemności, w świadomości, że oto tuż obok tuż za nim, niemal w nim jest ktoś drugi, potworny, groźny, straszliwy...

„Morderca!”

I nagle zaczął biec. Ze zdyszanych piersi wyrwał mu się krzyk:

— Ratunku! Ratunku! Ratunku!...

Na trakcie słychać było turkot. Znajdzie tam ludzi.

— Na pomoc! Ratunku! Morderca!...

Krzyk przechodził w wycie, dzikie, zwierzęce wycie, w nieartykułowany skowyt, w którym nie można już było dosłyszeć słów, tylko obłądny strach i rozpaczliwe błaganie.

ROZDZIAŁ XIII

W młynie wcześniej układano się do snu. Nawet baby, które pomimo dziennego trudu lubiły kocołować do późna i nigdy nie mogły dość się nagadać, wysiadując nieraz do północy przed chatą, jako że noce zaczęły się chłodnawe, też zabierały się do spoczynku.

Stary Prokop przed obrazami odprawiał swoje długie wieczorne pacierze i wybijał czołem o podłogę tym gorliwsze pokłony, że to był dzień niedzielny. Parobek Witalis chrapał już od dawna w kuchennej izbie. Młody Wasil siedział w przybudówce u Antoniego Kosiby i pogrywał cichutko a majstersko na organkach, pogrywał i przyglądał się znachorowi, który milcząco w niewielkiej miseczce ugniatał tłuczkiem drewnianym łój z jakimś lekarstwem i z żółcią wieprzową. Robił swoją skuteczną maść na odmrożenie.

Nagle w tej ciszy zaczął ujadać pies. Zbudzone gęsi odezwały się głośnym gęganiem.

— Ktoś jedzie do nas — powiedział Wasil.

— To wyjrzyj — mruknął znachor.

Wasil obtarł rękawem organki, schował je do kieszeni, nie śpiesząc się wyszedł na dwór. Wyraźnie posłyszał turkot wozu i zmieszane głosy ludzkie. Wiele głosów, musiało ich być z osiem albo i dziesięć ludzi. Jeden biegł przodem, sapiąc z wysiłku. Gdy dobiegł do Wasila i zatrzymał się w świetle padającym z okna, ten aż cofnął się.

— Co za czort?! — zapytał groźnie, by dodać sobie odwagi.

Przybysz z twarzą i rękami umazanymi krwią i z obłądnym wyrazem twarzy zabelkotał ochryple:

— Do znachora... Ratunku... Oni żyją jeszcze...

— W imię Ojca i Syna, kto?

— Prędziej, prędziej! — zajęczał przybyły. — Znachor! Znachor!

— Co tam? — odezwał się z sieni głos Antoniego Kosiby.

— Ratuj ich! Ratuj! I moją duszę przekłętą! — rzucił się ku niemu. — Oni żyją!

Wasil zajął mu w oczy i powiedział:

— To Zenon rymarza Wojdytły.

— Co się stało? — rozległ się obok głos Prokopa.

— Rozbili się z motocyklem! — trzęsąc się jak w febrze mówił Zenon. — Ale żyją!

Znachor chwycił go za ramiona.

— Kto?! Człowieku, kto?!... — w jego głosie zabrzmiała groza.

Odpowiedzi już nie trzeba było. Właśnie podjechała furmanka. Na wozie leżały dwa nieruchome ciała. Z izby wybiegł Witalis, przyleciały i baby, przyniosły światło.

Oblepiona soplami krwi twarz młodego Czyńskiego robiła straszne wrażenie, ale oczy miał otwarte i zdawało się przytomne. Natomiast błada jak papier twarzyczka Marysi robiła wrażenie umarłej. Wśród jasnych włosów nad skronią sączyła się krew. Znachor pochylony nad wozem badał puls.

Chłopi opowiadali jeden przez drugiego:

— Akurat przejeżdżałem koło wickuńskiej drogi, kiedy ten wyleciał i krzyczy ratunku. Biegniem zobaczyć, a tu, Boże odpuść, leżą na drodze...

— Już i dechu w nich nie było...

— Na tym to motocyklu rozbili się. Pień ktośś na drodze zostawił, a oni o ten pień, i wiadomo...

— To my w radę, co robić, a ten na kolana pada, po rękach całuje. Ratujcie, powiada, wieźcie do doktora do miasteczka, bądźcie, powiada, chrześcijanami...

— Toż my i owszem, ludzkie zrozumienie mamy. Tylko że jakże ich dowieziem do miasteczka? Dusza się w nich wytrzęsie, jeżeli nawet jeszcze żyją. To i uradziłem tu, do znachora...

— Choć i tak ksiądz tu najpotrzebniejszy.

Antoni Kosiba obrócił się do nich. Jego rysy tak skamieniały, że sam do trupa był podobniejszy niż do żywego człowieka. Tylko oczy się jarzyły.

— Sam nie dam rady — powiedział. — Niech ktoś skoczy konno po doktora.

— Witalis! — zawołał Prokop — zaprzęgaj.

— Nie ma czasu na zaprzęganie — krzyknął znachor.

— Dajcie mi konia, ja pojadę — odezwał się Zenon.

— Wyprowadź mu, Witalis! — zgodził się Prokop — a ty tam daj znać do Ludwikowa też, że ichni panicz tu leży.

Tymczasem znachor był już w izbie. Jednym ruchem ręki zmiotł z dużego stołu wszystkie stojące na nim przedmioty, drugim tak samo oczyścił ławę. Ręce mu drżały, a pot kropliście wystąpił na czoło.

Wybiegł znowu. Wydawał teraz polecenia. Rannych, ostrożnie podkładając ręce, przeniesiono do izby, w której tymczasem Wasił zapalił jeszcze dwie lampy. Olga rozdmuchiwała żar na piecu. Natalka nalewała wodę do garnków. Zonia rozcinała wielkimi nożycami płótno na bandaże.

Za oknami rozległ się gwałtowny tętent. To Zenon na oklep popędził ku miasteczku.

— I ten kark skręci — mruknął za nim Witalis. — Jeszcze konia w pociemkach zabije.

— Co ma zabić — z niepokojem i zły na złą przepowiednię odpowiedział Mielnik. — Droga prosta, gładka.

— Boże, Boże, takie nieszczęście! — powtarzała stara Agata.

— Trzeba mu było w dzień święty złego ducha kusić — sentencjonalnie mruknął jeden z chłopów. — Na maszynie rozjeżdżać.

— Toż nie grzech, jakiz tu grzech? — zaoponował któryś młodszy.

— Może i nie grzech, ale zawsze lepiej nie.

— Opowiedzieć, dobrzy ludzie, jak to było, po porządku — zapytał Prokop.

Wszyscy skupili się koło wozu. Wyszli i domownicy z izby, skąd ich widocznie Antoni wyprowadził. Zaczęły się szczegółowe opowiadania. Od czasu do czasu któryś ze słuchaczy odchodził od grupki i zaglądał przez okno. Znachor wbrew zwyczajowi zapominał zaciągnąć firanki.

Ale znachor nie zapominał. Po prostu wiedział, że nie może sobie pozwolić na najmniejszą stratę czasu. Najpierw zabrał się do oględzin Marysi. Słaby oddech i ledwie wyczuwalny puls zdawały się stwierdzać, że dogorywa. Należało czym prędzej ustalić obrażenia. Rana nad skronią nie mogła być przyczyną takiego groźnego stanu. Była powierzchowna i widocznie powstała od uderzenia przy upadku o jakiś ostry kamyk, który rozciął skórę i ześlizgnął się po kości. Kość nie była naruszona. Również skóra na rękach i na kolanach w wielu miejscach była starta, lecz kości pozostały całe.

Palce znachora szybko, lecz systematycznie badały nieruchome ciało dziewczyny, żebra, obojczyki, kręgosłup i wróciły ku głowie. Ledwie dotknęły miejsca, gdzie głowa łączy się z karkiem, a Marysia drgnęła, raz, drugi, trzeci...

Teraz już wiedział: podstawa czaszki była wgnieciona.

Jeżeli mózg nie został uszkodzony, natychmiastowa operacja mogłaby jeszcze pomóc. Mogłaby... była nikła nadzieja... ale była.

Znachor wierzchem dłoni obtarł spocone czoło. Jego wzrok zatrzymał się na tych prymitywnych narzędziach, których dotychczas używał. Dokładnie zdawał sobie sprawę, że przy ich pomocy nie zdoła przeprowadzić tak niebezpiecznej i trudnej operacji.

„Cały ratunek w doktorze — pomyślał gorączkowo. — Daj Bóg, by zdążył”.

Tymczasem znachor obmył i opatrzył rany Marysi, po czym zajął się Czyńskim. Młody człowiek odzyskał przytomność i jęczał głośno. Po obmyciu zakrzepłej krwi i twarzy okazało się, że ma złamaną szczękę. Gorsze było powikłane złamanie lewej ręki. Skośnie złamana kość przebiła mięśnie i skórę.

Paru cięciami noża znachor usunął rękaw i przystąpił do operacji. Na szczęście ranny pod wpływem bólu zemdlął. W dwadzieścia minut operacja była skończona. W każdym razie życiu Czyńskiego nic nie groziło.

Tymczasem Zenon pędził jak szalony do miasteczka. Omal nie stratował jakiejś kobiety przed kościołem i wreszcie zeskoczył z konia przed domem doktora Pawlickiego.

Lekarz nie spał jeszcze i od razu zorientował się, co należy robić. Posłał siostrę, by z agencji pocztowej połączyła się z Ludwikowem, a sam pośpiesznie wydobył z szafy swoją podróżną walizkę z narzędziami chirurgicznymi, sprawdził, czy czego nie brakuje, zapakował jeszcze różne lekarstwa, szprykę do zastrzyków i bandaże.

Siostra wróciła z oznajmieniem, że państwo Czyńscy już wyjeżdżają samochodem i za pięć, dziesięć minut będą w Radoliszkach.

— Zabiorę się z nimi — postanowił lekarz.

— Niech pan doktor już jedzie, o, jest koń! — nagił Zenon.

— Zwariował pan! — oburzył się Pawlicki. — Mam konno trząść się, i to bez siodła?!... A zresztą samochodem będę prędzej na miejscu.

I miał rację. Nadspodziewanie szybko nadjechało wielkie auto ludwikowskie. Przerazeni Czyńscy chcieli wypytować Zenona, co i jak się stało, lecz lekarz oświadczył, że na to będzie czas później.

W niespełna pięć minut byli już przed młynem. Gdy weszli do izby w przybudówce, znachor kończył właśnie bandażowanie głowy rannego.

— Czy żyje, czy mój syn żyje?! — zawołała pani Czyńska.

— Żyje, proszę pani, i nic mu nie będzie — odpowiedział.

— Co ten człowiek może wiedzieć, doktorze, niech pan ratuje mi syna!

— Zaraz zdejmę te szmaty i zbadam go — powiedział lekarz.

— Nie ma po co go męczyć. Powiem panu doktorowi, co jest. On ma złamaną szczękę w tym miejscu i lewą rękę, o tutaj. Złożyłem kości, jak się należy.

— Proszę mi nie przeszkadzać! — krzyknął doktor. — Ja chyba lepiej wiem od was, co trzeba robić!

— Tu już nic nie ma do roboty — uparcie twierdził znachor. — Ale ją, tę panienkę trzeba natychmiast ratować.

— Co jej jest? — zapytał.

— Kość wgnieciona do mózgu.

— Panie doktorze! — jęknęła pani Czyńska.

Puls był zupełnie zadowalający.

— Zrobię tylko zastrzyk przeciwężcowy i trzeba go będzie zabrać do szpitala. Należy jak najprędzej zrobić zdjęcia Roentgena. A teraz zbadam tę dziewczynę.

Pochylił się nad Marysią, usiłował namacać puls. Po chwili odwrócił głowę.

— To już agonia — oświadczył.

— Ratuj ją pan, panie doktorze — ochrypłym głosem odezwał się znachor.

Lekarz wzruszył ramionami.

— Tu już nic zrobić się nie da. Zbadam to uszkodzenie... Hm... Oczywiście... Złamanie podstawy czaszki.

Nieruchome ciało zaczęło drgać.

— I uszkodzenie opon mózgowych — dodał. — Świadczą o tym drgawki... Tak... Tu i cud nie pomoże. Macie lusterko?

Znachor podał mu kawałek rozbitego lustra. Doktor przyłożył je do rozchylonych ust rannej. Zaszło lekkim oparem.

— No, cóż — rozłożył ręce. — Jedyne, co mogę zrobić, to dać jej zastrzyk na wzmocnienie serca. Ale to zupełnie beznadziejne.

Otworzył walizkę pełną błyszczących narzędzi chirurgicznych. Znachor wpatrywał się w nie jak urzeczony, wprost oczu nie mógł od nich oderwać.

Lekarz tymczasem napełnił szprykę przezroczystym, gęstym płynem z ampułki i zastrzyknął go dziewczynie pod skórę na przedramieniu.

— Szkoda zachodu — mruknął — lada chwila będzie koniec.

I zwrócił się znowu do Czyńskiego, zabierając się do odwijania bandażu.

Znachor dotknął jego łokcia.

— Panie doktorze! Niech pan ją ratuje.

— Głupi człowieku! — Pawlicki odwrócił się doń z irytacją. — Jak ją mam ratować?!

— To nawet pański obowiązek — ponuro odpowiedział Kosiba.

— Nie wy mnie będziecie uczyli obowiązków. A i to wam jeszcze powiem, że jeżeli przez wasze opatrunki ten ranny dostanie zakażenia, to pójdziecie do ciupy. Rozumiecie? Nie macie prawa zajmować się leczeniem.

Znachor zdawał się nie słyszeć tego wszystkiego.

— Niech pan doktor zrobi jej operację — powiedział. — A nuż uda się.

— Odczepcie się, do licha! Po diabła tu operacja!

I zwracając się do państwa Czyńskich, jakby biorąc ich za świadków, zawołał:

— Trupa mam operować?!... Tam jest złamana podstawa czaszki. Odłamki kości na pewno skaleczyły mózg. Największy geniusz chirurgiczny tu nie poradzi. No, i przeprowadzić trepanację w dodatku w tych warunkach higienicznych...

Zrobił okrągły ruch ręką, wskazując zakurzone pęki ziół pod powalą, kopące lampki naftowe i śmiecie na podłodze.

— Żebym miał takie narzędzia jak pan doktor — z uporem mówił znachor — to bym sam spróbował...

— Więc całe szczęście, że ich nie macie. Prędkiej znaleźlibyście się w kryminale — już spokojniej odpowiedział lekarz, zajęty obmacywaniem szczęki młodego Czyńskiego. — Hm... rzeczywiście złamanie, zdaje się, że nic niebezpiecznego... Bez rentgena jednak nic nie jest pewne... Skaleczenia powierzchowne...

Sprawnie zdezynfekował ranę i nałożył swoje bandaż. Z kolei zbadał rękę i zobaczywszy na niej dwa cięcia, wybuchnął gniewem:

— Jak śmieliście to robić!... Jak śmieliście!... Pewno jakimś brudnym kozikiem!...

— Kość sterczała — tłumaczył się Kosiba — a nóż wymoczyłem we wrzątku...

— Ja was nauczę!... Za to już odpowiecie!...

— To i odpowiem — z rezygnacją mruknął znachor. — A co miałem robić?

— Na mnie czekać!

— Toż posłałem po pana doktora. Na szczęście zastali pana w domu, a co byłoby, żeby nie zastali?... Miałem rannego bez pomocy zostawić?...

— I za to panu jesteśmy wdzięczni — odezwał się pan Czyński.

— Ten człowiek ma rację, doktorze.

— Zapewne — niechętnie zgodził się lekarz. — Istotnie mogło mnie nie być w domu. Strzeż nas tylko, Boże, od zakażenia.

Pan Czyński wydobył z portfela banknot i podał znachorowi.

— Macie tu za waszą pomoc.

Kosiba potrząsnął głową.

— Nie trzeba mi pieniędzy.

— Weźcie. Że biednym pomagacie darmo, to słusznie, ale od nas możecie wziąć.

— Ja nie pomagam biednym czy bogatym, tylko ludziom. A temu paniczowi, to gdyby nie sumienie, to bym i wcale nie pomógł. Raczej on powinien był zginąć, a nie ta nieszczęśliwa dziewczyna... Przez niego teraz umiera...

Pani Czyńska zwróciła się do lekarza po francusku:

— Czy można już przenieść go do samochodu?

— Tak!... — odpowiedział. — Zaraz zawołam ludzi. Tylko spakuję się.

Prędko zebrał rozłożone przybory opatrunkowe, zamknął walizkę i wyszedł z nią przed dom. Przez okno Antoni Kosiba widział, jak doktor włożył walizkę do wozu. Wówczas zrodziło się postanowienie:

„Muszę ją zdobyć!”

Korzystając z zamieszania, jakie wytworzyło się podczas przenoszenia młodego Czyńskiego, znachor wyszedł na dwór. Drzwiczki auta były otwarte, szofer stał po drugiej stronie. Wystarczył jeden ruch i wycofanie się z powrotem do chaty.

Nikt nie zauważył zniknięcia walizki. W dwie minuty później auto ruszyło ku Radoliszkom.

Znachor nie tracił czasu. Zamknął się w izbie, w gorączkowym pośpiechu poukładał na stole obok głowy Marysi zdobyte narzędzia, ustawił najbliższej lampy, po czym z zachowaniem wszelkich ostrożności ułożył bezwładne ciało w dogodnej pozycji. Teraz przeżegnał się i przystąpił do operacji.

Najpierw należało zgolić włosy nad karkiem. Na odsłoniętej skórze widniała wielka, sina plama. Obrzęk był nieznaczny.

Jeszcze raz przyłożył ucho do klatki piersiowej. Serce ledwie drgało. Sięgnął ręką, wybrał ostry, wąski nożyk na długim trzonku. Spod pierwszego cięcia bluznęła ciemna krew, wsiąkając w płócienną szmaty. Drugie, trzecie i czwarte... Pewne, szybkie ruchy jego rąk odsłaniały już przyczepy mięśni. Różowobiała błysnęła kość czaszki.

Tak, doktor Pawlicki nie mylił się, i kość była wgnieciona, popękana, a kilka drobnych odłamków wnikało pod jej powierzchnię naciskając na mózg.

Przede wszystkim należało usunąć je z niesłychaną ostrożnością, by nie zadrasnąć błony pokrywającej mózg. Było to nad wyraz trudne i męczące. Tym bardziej że ciało operowanej zaczęło drgać. Nagle drgawki ustały.

„To już koniec?” — pomyślał znachor.

Lecz operacji nie przerwał. Nie miał czasu na zbadanie pulsu. Nie odrywał oczu od rany, nie widział, że za oknami, rozplaszczając nosy o szyby, ludzie uporczywie przyglądają się jego rozpaczliwym wysiłkom.

Piały już pierwsze koguty, gdy skończył i zaszył ranę. Teraz przeżegnał się znowu i przyłożył ucho do klatki piersiowej: nie mógł jednak nic dosłyszeć.

„Zastrzyk!” — błysnęła mu myśl.

Łatwo znalazł w walizce pudełko z ampulkami i strzykawkę.

„To to samo, co doktor zastrzykiwał” — stwierdził.

Po nowym zastrzyku serce zaczęło poruszać się już dosłyszalnie.

Wówczas Antoni Kosiba opadł ciężko na ławkę, podparł głowę rękami i zaszczołał.

Siedział tak nieruchomo może godzinę, może dłużej, doszczętnie wyczerpany, półprzytomny. Potem wstał, by sprawdzić, czy serce Marysi bije. Ledwie wyczuwalne tętno nie wzmocniło się, lecz i nie słabło.

Powłóczę nogami znachor zebrał narzędzia, umył je, ułożył w walizce i po krótkim namyśle zaniósł walizkę do stodoły, w kącie odgarnął siano i wsunął jak najgłębiej. Tu była bezpieczna. Nie znajdą jej, nie odbiorą. A on, posiadając ten skarb, o ileż łatwiej, o ileż lepiej i prędzej będzie mógł przeprowadzić operację, nawet tak trudne jak obecna.

„Jak ją doktor nazwał? — zastanowił się. — Trepanacja czaszki... Tak, trepanacja... To jasne. Znam przecie to słowo. Że mi jakoś dziwnie wyleciało z pamięci...”

Wrócił do izby, zbałał puls Marysi, zgasił światło i ułożył się w pobliżu do snu, by móc być w pogotowiu na każde poruszenie się rannej. Nie przewidywał zresztą takich możliwości.

Świeciło już słońce, gdy obudził się. Dobijano się do drzwi. Wyszedł i zobaczył komendanta posterunku z Radoliszek, przodownika Ziomka. Obok stał Mielnik i Wasil.

— Jak tam ta dziewczyna, panie Kosiba? — zapytał przodownik. — Żyje jeszcze?

— Żyje, panie przodowniku, ale Bóg jeden wie, czy wyżyje.

— Muszę zajrzeć do niej.

Weszli do izby. Policjant przyglądał się przez chwilę nieprzytomnej i skonstatował:

— O przesłuchaniu nie może być mowy. Ale od was wszystkich muszę mieć zeznania. Hm... Doktor Pawlicki zapowiedział, że powróci dziś wieczór i wystawi świadectwo zgonu. Myślał, że ona już wczoraj...

— To doktor wyjechał? — zapytał znachor.

— Wyjechał przecie z młodym Czyńskim odwiedzić go do miasta do szpitala. Podobno nic mu nie będzie, ale nie może mówić. Jedna ofiara nieprzytomna, druga pozbawiona możliwości poruszania ustami... I pomyśleć, że gdyby zbrodniarz sam nie przyznał się, to mógłby sobie bezpiecznie zwać.

— Zbrodniarz? Jakaż tu zbrodnia? Toż wypadek — zdziwił się Wasil.

— Tak myślicie?... A był kto z was tam na miejscu, na owym zakręcie?

— Nie.

— A ja już o świcie byłem. I jak się wam zdaje, że ot, pewnego dnia kłody ze starej poręby same wyleżą na drogę i ułożą się w poprzek? A kamienie też podsypią się same?... Takich cudów jeszcze nie bywało. To był zbrodniczy zamach.

— Więc ktoś to zrobił?

— Kto?... Ano Zenon, ten notowany osobnik, syn rymarza Wojdyłły.

Obecni spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

— Chyba pomyłka, panie przodowniku — odezwał się wreszcie stary Prokop. — Toż Zenon ich pierwszy ratował, ludzi zwołał, tu do młyna przywiózł i jeszcze po doktora pojechał!

— Patrzcie — policjant pokręcił głową. — Więc jednak to prawda, co zeznał. Mówił, ale nie wierzyłem. Myślałem, że chce siebie wybielić, żeby na sprawie mieć okoliczności łagodzące. Widać naprawdę sumienie go ruszyło.

— I sam przyszedł przyznać się?

— A sam. Powiada, że diabeł go opętał, że pijany był... No, ale zabieram się do pisania.

Prokop poprosił policjanta do pokojów, gdzie też nastąpiło przesłuchanie wszystkich domowników jako świadków. Zeznał i Antoni Kosiba, ale powiedział niewiele. Do zeznań innych dodał tylko, że udzielił ofiarom pierwszej pomocy. Następnie kobiety podały śniadanie, przy którym, korzystając z okazji, przodownik poradził się znachora, co robić na bóle w prawym boku, jakie odczuwa już od paru miesięcy. Dostał zioła, podziękował, wydał zarządzenie, by w razie śmierci dziewczyny dano znać na posterunek, pożegnał się i odjechał.

Marysia jednak nie umierała. Mijał dzień za dniem, a leżała nieruchoma i nieprzytomna. Jedyna zmiana, jaka w jej stanie zdrowia zaszła, to gorączka, która z każdą godziną zdawała się wzrastać. Twarzyczka z kredowobiałej stawała się coraz różowsza, oddech z ledwie dostrzegalnego przeszedł w szybki, gwałtowny, urywany.

Trzy razy dziennie znachor wlewał w jej zaciśnięte usta jakiś brunatny odwar, dzień i noc zmieniał zimne okłady ze szmat umaczanych w chłodnej, studziennej wodzie na rozpalonej głowie i na roztrzępotanym sercu.

Sam schudł jeszcze bardziej i jeszcze bardziej posiwił. Jego twarz przypominała trupa, tylko w oczach żarzyła się rozpacz. Tracił już wszelką nadzieję. Na nic wszelkie starania, na nic zabiegi, na nic czuwanie. Widział, jak z jego rąk wymyka się to młode życie, życie jedynej na świecie istoty, dla której bez wahania gotów byłby oddać własne.

Trzeciego dnia uprosił Wasila, by pojechał do miasteczka po lekarza.

— Może on coś pomoże — mówił.

Wasil pojechał i wrócił z niczym. Okazało się, że doktor zatrzymał się w Wilnie na dłużej i że pewnie nieprędko powróci, bo ma odwiedzić młodego pana Czyńskiego aż za granicę.

Wieczorem Antoni Kosiba posłał do Pieczek po tamtejszego owczarza. Nie wierzył absolutnie w skuteczność jego „zamówień”, ale tonący brzytwy się chwytą.

Owczarz przyszedł pomimo zawodowej niechęci do konkurenta. Widział w tym swoje wielkie zwycięstwo. Popatrzył na umierającą, dotknął jej ręki, potem podniósł jedną powiekę, drugą, odciągnął dolną wargę, przyglądając się uważnie wewnętrznej stronie, nieznacznie uśmiechnął się i zaczął coś mruczeć pod nosem trzymając jednocześnie ręce nad jej głową.

Jego starcze, sękaty palce pomału kurczyły się, jakby coś zbierał, potem przesuwają się aż do stóp i tu otwierały się znowu, wykonując ruch strzepywania czegoś niewidzialnego. Powtórzył to siedem razy, mrucząc nieustannie swoje zaklęcia, w których tylko końcowe słowa wymawiał głośniej:

— ...na szyrokoju reku, na czużuju staranu, pod żarkoje sonce, pod ciomnuju ćmu, pod miesiacznyj swiet, na trysta let, won za okonce!

Przy ostatnich słowach raptownie skoczył do okna, otworzył je i wystawił przez nie ręce komenderując:

— Prędejj polejcie mi je wodą z drewnianego wiadra.

Ktoś z obecnych spełnił to polecenie. Wtedy owczarz zgarnął na pokrywkę trochę rozżarzonych węgli z pieca, przysypał je garścią ziół wydobytych z parcianego worka, który miał zawieszony przez ramię, i zaczął powoli chodzić do każdego kąta izby. W kącie przystawał, dmuchał w węgle póty, póki z ziół nie wznosił się kłęb dymu, odmawiał Ojczenasz i wracał do wezglowia umierającej, by znowu iść do następnego kąta.

Cała ta ceremonia trwała około godziny. Wreszcie owczarz zbliżył się do Marysi, znowu zajrzał pod powiekę i kiwnął głową.

— Będzie żyć — powiedział z przekonaniem. — Zamówilem śmierć. Ale śmierć jest silna. Ona i największego zamówienia nie posłucha. Jak już gdzie uparła się, to bez zdobyczy, z pustymi rękami nie odejdzie. Dlatego wybierzcie kurę i o samej północy tu, pod oknem, zarznicie. Czy ta chora to panienka, czyli też mężatka?

— Panienka — odpowiedział Kosiba.

— To trzeba białą kurę. Macie białą kurę?

— Jest. — Olga kiwnęła głową, poważnie przejęta.

— To ją zarznicie. A potem ugotujcie ją i przez cztery dni dawajcie chorej do jedzenia. Boże broń, nic więcej, tylko tę kurę i tę zupę, co z niej nagotowana. A teraz nie dziękujcie, bo to przeszkadza, a ja już pójdę. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, amen — odpowiedzieli obecni.

Za owczarzem wyszli z izby wszyscy, została tylko Zonia. Lekko trąciła w bok zamyszonego znachora i zapytała:

— Jak, Antoni, pomoże to, czy nie pomoże?

— Nie wiem — wzruszył ramionami.

— Bo widzisz, ja myślę, że takie rzeczy to zawracanie głowy. Czy od owego kadzenia i mruczenia może coś poprawić się choremu?... Mój nieboszczyk mąż, co był w świecie i na wojnie, to śmiał się z tego. Gadanie i kadzenie to nie lekarstwo. Ty inaczej leczysz i po coś wzywał owczarza! On teraz każdemu będzie mówić, że tam, gdzie ty już nic nie mogłeś zrobić, on pomógł. A ta Marysia, jeżeli miała wyzdrowieć, to i tak by wyzdrowiała. Ale teraz to dla ciebie lepiej, żeby umarła, bo...

Umilkła nagle pod wzrokiem Antoniego i cofnęła się pod ścianę.

— Co ty, co ty, Antoni?! — zatrzepała szybko. — Ja przecie nic złego... Tylko z życzliwości do ciebie... Jak Boga kocham. Śmierci nikomu nie życzę... A ty zaraz... O! Bóg wie, co sobie wyobrażasz. No, nie sierz się, ot, ja sama o północy tu pod oknem kurę zarznę. Białutką wybiorę, całkiem białutką...

— Idź już, Zonia, idź, zostaw mnie samego — szepnął znachor.

— Pójdę. Dobranoc. A ty, Antoni, też połóż się, odpocznij. Zesłabniesz całkiem. A co do kury, bądź spokojny. Zrobię, jak owczarz kazał. Dobranoc.

Wyszła i zapanowała cisza. Tylko świszczący oddech Marysi świadczył, że w tej ciszy i spokoju coś się dzieje, że coś śpieszy, śpieszy, ku nieuniknionemu zakończeniu.

Przysunął taboret, oparł się łokciem o brzeg stołu i wpatrywał się w bladoniebieskie żyłki na zamkniętych powiekach dziewczyny.

Zrobił wszystko, co dyktowała mu jego umiejętność, co wskazywał rozsądek, a nawet wbrew rozsądkowi, wbrew przekonaniu to, co podpowiadała rozpacz i ukryty gdzieś w zakamarkach duszy instynkt szukania pomocy i ratunku w niezrozumiałych i może nieistniejących potęgach czarów.

Mijał czas, za szybami noc gęstniała. Antoni Kosiba myślał, myślał o sobie, o swoim losie, o swoim życiu tak pustym dotychczas, tak jałowym i z niczym, ni z ludźmi, ni ze światem niezwiązanym. Tak, niezwiązanym. Bo wiąże tylko uczucie. Nie chleb, nie byt, nie cudza dobroć i serdeczność, nawet nie przekonanie, iż komuś pożytek się przynosi, tylko własne uczucia. I wystarczyło, by pokochał kogoś całą duszą, a już los mu go zabiera, wydziera, ograbia...

„Znowu tak jak wtedy” — odezwało się coś w nim i przetarł czoło.

I nagle uświadomił sobie, że już kiedyś, niezmiernie dawno, jakby w poprzednim życiu, przeżył podobną stratę. O, był tego pewien. Los odebrał mu kogoś, kogo kochał, bez kogo nie mógł istnieć...

Zalomotał puls w skroniach, pod czaszką w szalonym wirze załopotały myśli.

— Jak to było?... Kiedy?... Gdzie?... Bo przecie było... Na pewno było...

Zacisnął zęby i palce, aż paznokcie do bólu wpiły się w dłonie.

— Przypomnieć... przypomnieć... Muszę przypomnieć...

Umęczone nerwy zdawały się drgać w naprężeniu. Myśli rozbijały się w nieuchwytnie strzępki, w bezkształtną, białą pianę, jak woda na młyńskim kole i nieuchwytnym, mglistym obrazem zaczęły występować rysy... Łagodny owal twarzy... Półuśmiech zdobi usta, jasne włosy i wreszcie — oczy. Ciemne, głębokie, nieodgadnione...

Z suchej, ściśniętej krtani Antoniego Kosiby wyrwało się słowo nieznane i najbardziej znajome, imię niesłyszane nigdy, a najbliższe:

— Beata...

Powtórzył je w zdumieniu, w przerażeniu i w nadziei jeszcze raz. Czuł, że się w nim coś dzieje, że odkrywa coś niezmiernie doniosłego, że jeszcze sekunda, a otworzy się przed nim jakaś wielka tajemnica...

Zwarł się w sobie, skurczył...

Nagle za oknami ostry, przeraźliwy krzyk ptasi rozległ się w ciszy. Jeden, drugi, trzeci...

Antoni Kosiba zerwał się z miejsca i w pierwszej chwili nie wiedział, co się stało. Dopiero po pewnym czasie zrozumiał.

„To Zonia zarzyna kurę... Białą kurę... To północ...”

Prędko zbliżył się do Marysi. Jak mógł tak długo zostawić ją... Dotknął jej ręki, policzka, czoła... Zbadał puls, przysłuchiwał się oddechowi.

Nie ulegało wątpliwości: gorączka spadła, spadła gwałtownie. Policzki i dłonie były zaledwie ciepłe.

„Ona... stygnie, to już koniec” — pomyślał.

Nie tracąc czasu, rozpalili w piecu ogień, do małego garnczka wsypał garść ziół. Po kilku minutach napój na wzmocnienie serca był gotowy. Wlał do ust chorej trzy łyżeczki, po upływie godziny puls wydał mu się jakby nieco silniejszy. Powtórzył dawkę.

Minął jeszcze kwadrans i Marysia otworzyła oczy. Zamknęła powieki i znowu podniosła. Jej wargi poruszyły się bezgłośnie i jakby uśmiechnęła się. Oczy patrzyły przytomnie.

Znachor pochylił się nad nią i szepnął:

— Gołębeczko ty moja, szczęście ty moje... Czy poznajesz ty mnie?... Poznajesz?...

Wargi Marysi poruszyły się, a chociaż słów niepodobna było dosłyszeć, wiedział, poznał z ruchu warg, że wymówiła te same słowa, którymi go nazywała zawsze:

— Stryciu Antoni...

Zaraz potem odetchnęła głębiej, powieki zamknęły się i równy, rytmiczny oddech zaczął poruszać jej piersi.

Zasnęła.

Znachor upadł twarzą na ziemię i w wielkim szlochu szczęścia powtarzał:

— Dzięki Ci, Boże... Dzięki Ci, Boże...

Świtało już. Mieszkańcy młyna powstawali. Witalis poszedł otworzyć zastawy, młody Wasil do stajni, Agata i Olga krzątały się przy kuchni, a Zonia siedziała na progu i skubała białą kurę.

ROZDZIAŁ XIV

Po dwutygodniowej nieobecności w Radoliskach, powrócił doktor Pawlicki i zaraz następnego dnia został wezwany do Rajewszczyzny państwa Skirwoynów, gdzie parobkowi sieczkarnia poszarpała rękę.

Wtedy to spostrzeżono brak neseseru chirurgicznego. Doktor zapewniał, że przywiózł wówczas w nocy walizkę, służąca zapewniała, a stara Marcysia przysięgała, że nie przywiózł. Przetrząsnęto dom od piwnic do strychu — bez rezultatu i doktor pojechał do wypadku, zabierając narzędzia podręczne z gabinetu. Wracając wszakże z Rajewszczyzny, zboczył do Ludwikowa, by wypytać tamtejszego szofera.

Szofer pamiętał dokładnie, że pan doktor wyniósł z chałupy walizkę i położył ją w samochodzie, pamiętał, że w drodze powrotnej z wozu nie wyjmowano, ani w miasteczku, ani w Ludwikowie, ani na stacji. Przypomniawszy sobie, że gdy panicza wynoszono z chałupy, koło auta kręcił się znachor.

— Jeśli kto wziął, to on — zakonkludował.

— Oczywiście — lekarz uderzył się dłonią w czoło. — Że też od razu o tym nie pomyślałem! Naturalnie. To rzecz zupełnie jasna, przecie mówił, że próbowałby operacji na owej dziewczynie, gdyby miał takie narzędzia. No, teraz mam tego ptaszka! Nie wie pan, czy owa Marysia, co z panem inżynierem wówczas rozbiła się, żyje?

Szofer nie wiedział, ale w Radoliskach było o tym głośno i zaraz na wstępie doktor Pawlicki ku swemu szczeremu zdumieniu usłyszał, że dziewczyna żyje i podobno wyzdrowieje. Jedni przypisywali tę zasługę znachorowi z młyna, inni owczarzowi z Pieczek, wszyscy jednak nie bez zadowolenia właściwego ludziom prostym w takich wypadkach podkreślali, że tajemna wiedza znachorska pomogła tam, gdzie medycyna orzekła stan beznadziejny.

Niezależnie od rozdrażnienia, w jakie te relacje wprawiły doktora, upewniły go one o słuszności powziętego podejrzenia. Badał przecie wówczas ową dziewczynę i stwierdził ponad wszelką wątpliwość wgniecenie podstawy czaszki. Gdyby nawet był chirurgiem, nie podjąłby się tej operacji, którą uważał za bezcelową. Nie wykluczał wszakże jakiegos zupełnie wyjątkowego wypadku, w którym (jedna szansa na tysiąc) mogła się ona udać. Natomiast wykluczał z zupełną pewnością, by bez trepanacji i bez usunięcia odłamków

kości ranna mogła wyżyć bodaj kilka godzin. Tym pewniej zaś wykluczał ewentualność przeprowadzenia pomyślanej operacji bez precyzyjnych narzędzi chirurgicznych.

A z tego wynikało, że jego własne narzędzia zostały skradzione przez znachora Antoniego Kosibę.

Takie też argumenty wytoczył nazajutrz rano na posterunku policyjnym wobec przodownika Ziomek, żądając wszczęcia dochodzenia, przeprowadzenia rewizji i aresztowania znachora pod dwoma zarzutami: kradzieży i bezprawnej praktyki lekarskiej.

Przodownik Ziomek wysłuchał oskarżenia z uwagą i odpowiedział:

— Moim obowiązkiem jest zapisać do protokołu zameldowanie pana doktora. Pan doktor, ja sam tak sądzę, ma rację. Zabrać walizkę z narzędziami mógł tylko Kosiba. Pewnie, że nie ma on prawa praktyki lekarskiej i za to powinien być pociągnięty do odpowiedzialności. Ale z drugiej strony, jeżeli sam pan doktor mówi, że bez pańskich narzędzi on nic by tu nie wskórał, a przy ich pomocy uratował życie ludzkie, uratował, chociaż mu nie było wolno, to czy za to chce pan zniszczyć człowieka?...

Lekarz zmarszczył brwi.

— Panie komendancie! Nie wiem, czy pan jako funkcjonariusz policji jest powołany do osądzania przestępstw. Ja jako obywatel wiem, że to należy do sądów. Kwalifikowanie złej czy dobrej woli przestępcy nie leży w naszej kompetencji. Dlatego, składając doniesienie, mam prawo oczekiwać, że nada mu pan bieg zgodny z procedurą. Żądam przeprowadzenia rewizji i aresztowania złodzieja.

Policjant skinął głową.

— Dobrze, panie doktorze, zrobię to, co nakazuje mi obowiązek służbowy

— Czy ja, jako poszkodowany, mam możliwość asystowania przy rewizji?

— Oczywiście — sucho odpowiedział Ziomek.

— A kiedy zamierza pan komendant to zrobić?

Ziomek spojrzał na zegarek.

— Natychmiast. Nie chcę być przez kogokolwiek pomówiony o opieszałość.

— Teraz mam obiad — zauważył lekarz. — Może pojedziemy do młyna za jakieś dwie godzinki?

— Nie, panie doktorze. Rewizja będzie przeprowadzona zaraz. Jeżeli pan chce być przy niej obecny...

— Trudno, pojedę z panem.

Ziomek wezwał jednego z dwóch swoich podkomendnych i kazał mu wyszukać furmankę.

W młynie nie spodziewano się wcale przyjazdu jakichś gości. Życie tu płynęło dawnym trybem, z tą jeno różnicą, że Antoni Kosiba prawie wcale nie przychodził teraz do młynarskiej roboty i że chorych mniej przyjmował niż dawniej, a i tych załatwiał na dworze lub w dnie słotne w sionce, nie wpuszczając do izby.

W izbie na czysto zaślany łóżku leżała Marysia. Dziewczyna nadspodziewanie szybko wracała do zdrowia. Żywotność młodego organizmu zrobiła swoje. Pooperacyjna rana goiła się prawidłowo, apetyt wzrastał. Początkowe obawy znachora, że skutki wypadku mogą przejawiać się w szwankowaniu tych czy innych czynności, okazały się na szczęście niepotrzebne. Swobodnie poruszała ramionami i rękami, a także nogami. Widocznie mózg nie doznał żadnego trwałego uszkodzenia, gdyż wzrok i słuch działały bez zarzutu, a mówiła po dawnemu swoim dźwięcznym głosem, całe godziny spędzając na rozmowach ze swym opiekunem.

Pierwszą jej troską po odzyskaniu przytomności było: co się dzieje z Leszkiem? Gdy usłyszała, że nie odniósł żadnych niebezpiecznych obrażeń i że rodzice wywieźli go za granicę na kurację, odetchnęła z ulgą.

— Żeby tylko wyzdrowiał!

Przebiegu katastrofy nie pamiętała wcale. Nie zauważyła, by coś leżało na drodze. Wiedziała, że jechali dość szybko i że nagle wyleciała w powietrze. To wszystko. Nie czuła ani bólu, ani potem gorączki. Gdy ocknęła się, była zdziwiona, że znajduje się w nieznanym sobie izbie, nie zaś na motocyklu, wśród zarośli. Nie zdawała też sobie sprawy z tego, że była już jedną nogą na tamtym świecie. Antoni Kosiba nie wspominał jej ani słowem o swej tragicznej walce o jej życie, nie powiedział, jak poważnym i ciężkim uległa okaleczeniom.

— Masz, gołąbeczko, na karku tam jedną kostkę złamaną i dlatego ten niewygodny opatrunek ci założyłem. A nie ruszaj, złotko, głową, broń Boże, nie staraj się ruszać, bo się całe zranienie popsuje.

Przyrzekła posłuszeństwo, lecz już nazajutrz zaczęła dopytywać się, czy prędko wstanie.

— Jakiś czas musisz poleżeć — wymijająco odpowiedział znachor. Wiedział, że jest to sprawa dwóch miesięcy, lecz nie chciał jej smucić. Toteż gdy biadała, że straci posadę u pani Szkopkowej, jeżeli dłużej poleży, gdy napierała się, że spróbuje wstać, ofuknął ją:

— Nie kuś Opatrzności! Dziękuj Bogu, że żyjesz. A mnie słuchaj, bo nieszczęścia napytasz!

— Już dobrze, dobrze, kochany stryjcium Antoni — uśmiechała się doń, składając ręce. — Nie gniewaj się!

— Gdzieżbym się gniewał! — rozpromienił się. — Jakże mógłbym gniewać się na ciebie, słoneczko ty moje!

— Tyle kłopotu sprawiam...

— Jakiego znowuż kłopotu! — oburzył się. — Toż dla mnie radość największa. A co do tej pani Szkopkowej, to i nie myśl o powrocie.

— Jak to?

— A po co ci to, gołąbeczko?... Ot, wyzdrowiejesz i u mnie tu zostaniesz...

Uśmiechnął się i dodał:

— Jeżeli zechcesz.

Antoni nie przyznawał się do kłopotów, o których mówiła Marysia, bo też tych wszystkich zajęć, jakie miał przy niej, za kłopot nie uważał. A zajęć tych było dużo. Codziennie brał ją na ręce, przenosił na swoje łóżko do alkowy, a jej pościel starannie prześcielał, codziennie ręcznikiem umaczanym w ciepłej wodzie wycierał jej twarz i ręce, no i przy pomocy łyżki karmił ją jak niemowlę.

Do innych zabiegów przy chorej wzywał którąś z kobiet, najczęściej małą Natalkę, która Marysię wręcz uwielbiała, lecz i sam musiał przy tym pomagać, bo żadna z kobiet nie miałaby tyle sił, by Marysię unieść. Z początku dziewczyna bardzo krępowała się jego obecnością, przyzwyczaiła się jednak wkrótce uważając „stryjcia Antoniego” za opiekuna, niemal za ojca.

Rozmawiała z nim szczerze o wszystkim, nie poruszając wszakże jednego tematu. Zauważyła, że na każdą wzmiankę o młodym Czyńskim jego twarz pochmurnieje. Domyślała się, że uważa Leszka za winowajcę katastrofy i że przez katastrofę dowiedział się o ich samotnych wycieczkach do lasu, czego mu również nie wybacza. Gdybyż mogła powiedzieć otwarcie:

„Nie miej, stryjcium Antoni, żalu do niego, bo jest uczciwym chłopcem, kocha mnie i ożeni się ze mną”.

Ale powiedzieć tego nie miała prawa. Musiała czekać na wiadomość od narzeczonego. I dlatego od czasu do czasu zapytywała, czy nie ma do niej listu.

Znachor odgadywał, jakiego listu wypatruje, i za każdym razem mrukliwie i krótko odpowiadał:

— Nie ma.

A mówił to takim tonem, jakby chciał dodać:

— I nie będzie.

Sam w głębi duszy był zupełnie tego pewny, tak pewny, jak Marysia pewna była czegoś wręcz przeciwnego.

„Bałamucił młodzik, lekkoduch dziewczynę — myślał znachor — omal na tamten świat nie wyprawił, pokaleczył, a teraz za granicą inną sobie znajdzie. Nawet słówka do niej nie napisze”.

I przeświadczenia Kosiby zdawały się być uzasadnione. Od dnia katastrofy pół miesiąca już minęło, a listu nie było, nawet nikt nie przyjechał z polecenia Czyńskiego dowiedzieć się o zdrowie dziewczyny.

Marysia jednak nie traciła nadziei i wciąż tego oczekiwała. Ile razy po turkocie zbliżającym się do młyna rozpoznawała, że to nie zwykły wóz chłopski, lecz bryczka, tyle razy serce zaczynało jej mocniej bić.

— A nuż to bryczka z Ludwikowa.

Tak było i tego dnia. Nie była to jednak bryczka z Ludwikowa, lecz pożyczona przez posterunek policyjny w gminie. A w bryczce siedział przodownik Ziomek, jeszcze jeden policjant i doktor Pawlicki.

Znachor właśnie zajęty był karmieniem Marysi i rzuciwszy spojrzenie przez okno, znowu zanurzył łyżkę w misce, gdy otworzyły się drzwi.

— Dzień dobry — powiedział od progu przodownik. — My w sprawie do was, panie Kosiba. Jakże tam panna Marysia się miewa?

— Dziękuję, panie przodowniku. Już mi lepiej — wesoło odezwała się dziewczyna.

— To i chwała Bogu.

— Pozwólcie panowie — ponuro zaczął znachor — że dokończy chora obiadu.

— Cóż, niech dokończy. Zaczekamy — zgodził się Ziomek i usadowił się na ławie.

Doktor Pawlicki zbliżył się do łóżka i przyglądał się Marysi w milczeniu.

— Gorączki nie ma? — zapytał wreszcie.

— Była, ale nie ma — odpowiedział Kosiba.

— A nogi i ręce funkcjonują?... Porażenie nie wystąpiło nigdzie?

— Ależ, panie doktorze — zawołała Marysia. — Ja jestem zupełnie zdrowa. Tylko trochę osłabiona. Żeby nie ta kosteczka w karku, która ma zrosnąć się, zaraz bym wstała.

Lekarz zaśmiał się sucho.

— Kosteczka?... Dobra kosteczka! Nie rozumiesz się na tym, panienczko. To było strzaskanie podstawy czaszki...

Znachor przerwał:

— Jestem gotów. Czego panowie sobie życzą?

Odstawił pustą miskę i stanął tak, że odgradzał doktora od łóżka Marysi.

— Panie Kosiba — odezwał się przodownik. — Pan przeprowadziłeś po katastrofie operację?... Trepanację czaszki?...

Znachor wbił wzrok w ziemię.

— A jeżeli tak, to co?

— Przecie pan nie jesteś dyplomowanym lekarzem. Pan wie, że prawo tego zabrania?

— Wiem. Ale wiem też, że dyplomowany lekarz, który według prawa ma obowiązek ratować, tu ratować nie chciał.

— To nieprawda — wtrącił się doktor Pawlicki. — Chciałem i zbadałem raną. Uważałem, że stan jest beznadziejny. To była agonia.

Znachor dostrzegł szeroko otwarte oczy Marysi i jej nagle pobladłą twarzyczkę.

— Wcale nie — zaprzeczył. — Nie było żadnego niebezpieczeństwa.

Lekarzowi z oburzenia krew uderzyła do głowy.

— Jak to?! A coście sami wówczas mówili?

— Nic nie mówiłem.

— To jest łgarstwo!

Znachor milczał.

— Mniejsza o to — wmieszał się przodownik. — Tak czy owak, panie Kosiba, jest pan za to odpowiedzialny. Chociaż muszę panu wyjaśnić, że odpowiedzialność jest niewielka, bo tu nie ma poszkodowanego. Nie tylko nie ma kogoś, kto by na pańskim przekroczeniu ucierpiał, ale jest ktoś, komu uratowało to życie. Ważniejsza wszakże będzie druga kwestia: przy pomocy jakich narzędzi dokonałeś pan operacji?

— Czy to nie wszystko jedno?...

— Nie. Bo oto pan doktor Pawlicki oskarża pana o przywłaszczenie jego narzędzi.

— Nie o przywłaszczenie, bo o kradzież — twardo podkreślił lekarz.

— Więc o kradzież — powtórzył przodownik. — Czy przyznaje się pan, panie Kosiba?...

Znachor opuścił głowę i milczał.

— Panie komendancie! — zawołał lekarz. — Niech pan przystąpi do rewizji. Walizka na pewno jest tu czy też ukryta gdzieś w zabudowaniach gospodarskich.

— Przepraszam, panie doktorze — zastrzegł się policjant — ale proszę mi nie dyktować, co mam robić. To moja sprawa.

Zrobił pauzę i znowu zwrócił się do znachora:

— Czy przyznaje się pan?

Kiwnął głową po chwili wahania.

— Tak.

— Dlaczego pan to zrobił?... Czy z chęci zysku, czy dlatego, że bez tych narzędzi nie mógłby pan ratować ofiary katastrofy?

— To nie jest pytanie — zawołał doktor Pawlicki. — To podpowiadanie! A zresztą naciągane, bo gdyby temu... znachorowi o to chodziło, zwróciłby walizkę, którą ukradł.

— Czy ma pan tę walizkę? — zapytał policjant.

— Mam.

— I zwróci ją pan dobrowolnie?

— Zwrócę.

— Gdzie ona jest?

— Zaraz ją przyniosę.

Powoli przeszedł obok nich, otworzył drzwi. Widzieli przez okna jego wysoką, pochyloną postać. W izbie nikt się nie odezwał słowem. Po upływie kilku minut Kosiba wrócił z walizką.

— Czy to ta? — zwrócił się przodownik do lekarza.

— Tak, to moja walizka.

— Może pan doktor sprawdzi, czy niczego w niej nie brakuje.

Pawlicki otworzył i pobieżnie przejrzał zawartość.

— Nie, zdaje się, że nie brakuje niczego.

— Na „zdaje się” nie mogę się opierać — urzędowym tonem powiedział Ziomek. — Proszę o stwierdzenie z całą pewnością albo o podanie nazw przedmiotów, które zginęły.

— Niczego nie brakuje — poprawił się lekarz.

— Zatem spiszemy protokół.

Ziomek wyjął z teczek papiery i przystąpił do pisania. W izbie zaległa cisza.

Doktor Pawlicki był dość wrażliwy, by odczuć niechęć, z jaką odnosili się doń wszyscy obecni, nie wyłączając milczącego posterunkowego. Niechęć i potępienie. Czyż mieli rację? Przecie samemu sobie nie miał nic do wyrzucenia. Postępował zgodnie z sumieniem, postępował tak, jak mu nakazywał obowiązek obywatelski i lekarski. Jeżeli spełniając ten obowiązek, jednocześnie zyskiwał osobiście na utraceniu konkurenta, to i tu był w porządku. Walczyć o byt wolno, a on walczy w dodatku środkami legalnymi. Prawo i moralność publiczna jest po jego stronie. Gdyby nawet nie był lekarzem, gdyby ten znachor nie odbierał mu pacjentów, i wówczas musiałby żądać unieszkodliwienia tego człowieka.

Państwo otacza zdrowie swych obywateli opieką, setkami ustaw i rozporządzeń. Od lekarza wymaga długoletnich studiów, żmudnej praktyki, wiedzy i poziomu etycznego. Tymczasem tutaj zwykły, ciemny chłop łamie to prawo. Nie ma żadnego znaczenia, że mogło mu się udać kilka operacji. W tysiącu innych wypadków może okazać się wręcz zabójcą. W imię czego tedy doktor medycyny, który na swoje fachowe wykształcenie wydał moc pieniędzy i stracił wiele lat, ma wyrzekać się dobrowolnie przysługujących mu uprawnień, obojętnie przyglądać się szkodliwej i niebezpiecznej działalności jakiegoś prostaka, no i przymierać głodem?

— W imię czego?!

Czy dlatego, że nie pochwalają jego stanowiska ci poczciwi zapewne, lecz nieinteligentni ludzie... Ależ właśnie jako inteligent, jako jedyny tu człowiek z wyższym wykształceniem powinien by ich pouczyć, powinien im wytłumaczyć, że postępuje sprawiedliwie i słusznie, iż proceder znachorski stanowi niebezpieczeństwo publiczne, że prawa muszą być szanowane, że wreszcie kradzież jest zawsze kradzieżą, niezależnie od takich czy innych pobudek działania. Że społeczeństwo cywilizowane, że państwo i wszyscy świadomi obywatele mają obowiązek przestrzegania w każdej okoliczności ustalonego porządku.

Oczywiście w motywach postępowania Kosiby znajdzie się wiele podstaw do łagodnego wyroku. Ale to zależy od sądów...

Nie, doktor Pawlicki nic tu sobie nie miał do wyrzucenia. Chyba tylko że wrodzona duma nie pozwalała mu zniżyć się do usprawiedliwiania się przed tymi ludźmi, co zresztą na nic by się nie zdało.

Stał w milczeniu, z podniesioną głową i z zaciśniętymi ustami, udając że nie dostrzega nieżyczliwych spojrzeń.

Przodownik Ziomek skończył protokół, odczytał, obecni podpisali.

— Musi pan jeszcze podpisać zobowiązanie o niewydalaniu się — zwrócił się do Kosiby — o tutaj. Nie wolno panu wyjeżdżać bez zawiadomienia policji.

— Jak to? — zdziwił się doktor. — Pan go nie aresztuje?

— Nie widzę powodu. — Przodownik wzruszył ramionami.

— Chyba udowodniona kradzież?...

— I cóż z tego?... Aresztuje się wówczas, gdy są powody obawiać się ucieczki oskarżonego, a ja jestem pewien, że on nie ucieknie.

— Ta pewność może być zawodna.

— Za to już ja ponoszę odpowiedzialność, panie doktorze. Zresztą kieruję sprawę do sędziego śledczego. Może on zarządzi aresztowanie, jeżeli pan o to będzie zabiegał. Ale wątpię. Po wyroku zamkną go, oczywiście w tym wypadku, jeśli wyrok będzie skazujący. No, to już tu nie mamy nic do roboty. Do widzenia, panie Kosiba! Życzę zdrowia, panno Marysiu!

Wyszli i po chwili turkot bryczki oznajmił, że odjechali.

Znachor stał nieruchomo przy drzwiach. Gdy odwrócił się, zobaczył Marysię zalaną łzami.

— Co ci, gołąbeczko, co ci? — zaniepokoił się.

— Stryjciu, kochany stryjcju Antoni, co ja ci przykrości narobiłam. To wszystko przeze mnie!

— Uspokój się, gołąbeczko, nie płacz. Jakie tam przykrości. Nic mi nie będzie.

— Jeżeli wsadzą cię do więzienia, ja chyba umrę z rozpacz!

— Nie wsadzą, nie wsadzą!... A jakby i wsadzili, to co? Korona mi z głowy nie spadnie.

— Nie mów tak, stryjcju. To byłaby straszna niesprawiedliwość.

— Duszycko droga, na świecie więcej jest niesprawiedliwości niż sprawiedliwości. A tutaj, prawdę mówiąc, na karę zasłużyłem. Ukradłem.

— Żeby mnie ratować!

— To prawda, ale zawsze to kradzież. Inna rzecz, że żalu nie czuję. Bo jak miałem zrobić?... Ale nie ma o czym gadać. Nawet przodownik będzie mnie bronić.

— Tylko ten zły człowiek, ten doktor...

— Czy on zły, gołąbeczko?... Nie wiem, czy zły. Twardy jest. A za twardość nikogo winić nie można. Charakter już taki. Może jemu nikt serca nie okazał, to i jego stwardniało. A i to jeszcze pamiętaj, że jemu ciężko pogodzić się z myślą o tym, że on już na ciebie machnął ręką, a ja przy pomocy boskiej odratowałem cię, gołąbeczko. Umyślnie nie mówiłem ci dotychczas, jak było już z tobą kiepsko. Chorym nie trzeba mówić takich rzeczy, bo przejmują się, a to przeszkadza w powrocie do zdrowia.

— Czym ja ci się wywdzięczę, stryjcju Antoni, za tyle dobroci, za tyle poświęcenia!

Złożyła ręce i oczyma pełnymi łez patrzyła mu w oczy. A znachor uśmiechnął się i powiedział:

— Czym?... Ot, pokochaj mnie troszkę.

— Pokochać? — zawołała. — Ależ ja cię, stryjcju, tak kocham, jak tylko mamusię kochałam!

— Bóg ci zapłać, gołąbeczko — odpowiedział drżącym głosem.

ROZDZIAŁ XV

Sprawa Zenona Wojdytły odbyła się w połowie października w Wilnie. W Radoliskach dowiedziano się o tym dopiero nazajutrz, po wyroku, gdyż wobec przyznania się oskarżonego świadków nie wzywano do sądu żadnych, poza poszkodowanymi, którzy z powodu stanu zdrowia stawić się nie mogli.

Jeżeli zaś w gazetach ze sprawy tej zrobiono wielką sensację, to dlatego, że oskarżony sam prosił o najsurowszy wymiar kary. Sąd jednak dopatrując się w tym żądaniu skruchy Zenona i uwzględniając wiele innych okoliczności łagodzących oraz będąc przeświadczonym o szczerym zamiarze poprawy ze strony oskarżonego, skazał go tylko na dwa lata więzienia.

Do młyna wiadomość o tym przyniósł Wasil, który z interesami ojca jeździł do Wilna i, korzystając z okazji, był obecny na rozprawie. Od niego też Marysia dowiedziała się, że młody Czyński nie stawiał się w sądzie, gdyż przebywa na kuracji za granicą. Dokładniej

miejsca jego pobytu określić nie umiał, bo chociaż słyszał w sali sądowej nazwę owej miejscowości, jako cudzoziemskiej nie zapamiętał.

Marysia zastanawiała się, czy nie poprosić go lub kogoś innego o wywiedzenie się adresu Leszka. W Ludwikowie na pewno adres ten znali nie tylko jego rodzice. Obawiała się jednak, że z takiego dowiadywania się mogą wyniknąć jakieś komplikacje, i postanowiła cierpliwie czekać na list.

Postanović było łatwo, trudniej wszakże było zdobyć się na cierpliwość. Mijał tydzień za tygodniem, a Leszek nie pisał. Coraz smutniejsze myśli przychodziły do głowy, coraz bardziej topniały nadzieje.

Tymczasem stan zdrowia Marysi poprawiał się nadszpiewanie szybko. Już od dawna siadywała na łóżku, a w pierwszych dniach listopada znachor pozwolił jej wstać.

Rany nad skronią i pooperacyjne zagoiły się zupełnie. Po starciach skóry na nogach i rękach zostały ledwie widoczne blizny. Siły odzyskiwała stopniowo, lecz stale. Zaraz nazajutrz po wstaniu zaczęła się krzątać przy gospodarstwie znachora. Po tygodniu izba i alkowa już inaczej wyglądały.

— Nie męcz się, gołębczko — znachor usiłował ostudzić jej zapał. — Po co to wszystko?...

— Czyż teraz nie czyścisz tu i nie ładniej, stryjcium Antoni?

— Sił twoich szkoda.

Zresztą na porządkowanie, szorowanie i odkurzanie niewiele było czasu. Jesienne chłody przysporzyły znowu znachorowi pacjentów. Bywały dni, gdy zjeżdżało się ich po trzydzieści i więcej osób. Wszyscy wiedzieli o tym, że Antoni Kosiba był wzywany do sędziego śledczego i że będzie miał sprawę sądową w Wilnie. Opowiadano, że zamkną go w więzieniu, toteż należało śpieszyć się z zasięgnięciem u niego porady.

Sam Antoni też spodziewał się wyroku skazującego i przygotować chciał do tego Marysię, lecz ona oburzała się i zapewniała, że mowy o tym być nie może.

— Przecież stanę jako świadek, któremu uratowałeś życie. Czy to nie wystarczy?

Po trochu i znachor liczył na to, liczył również na wielu innych swoich pacjentów, którzy zgłaszali się masowo, ofiarując się na świadków.

Termin rozprawy był wyznaczony na koniec listopada i wszystko zdawało się zapowiadać nieźle, gdy Marysia nagle zachorowała. Wydelikacowany przez długie przebywanie w łóżku jej organizm łatwo poddał się chorobie. Sprzątając w chłodnej sionce zaziębła się. Bańki i zioła na poty niewiele pomogły. Musiała leżeć w łóżku.

O jej wyjeździe na sprawę nie było co myśleć i Antoni Kosiba pojechał sam.

Zaraz po przyjeździe zgłosił się do poleconego mu przez Judkę z Radolizsek adwokata Makłaja. Adwokat po rozejrzeniu się w sprawie określił swoje niewielkie na szczęście honorarium, lecz powiedział od razu, że uniewinnienia spodziewać się nie można.

— Postaram się uzyskać dla was jak najłagodniejszy wyrok.

Przyszedł dzień rozprawy. Już wchodząc do gmachu sądowego Antoni, zobaczył doktora Pawlickiego i to napęliło go niedobrymi przecuciami.

Istotnie, zeznając jako świadek, doktor Pawlicki, chociaż mówił szczerą prawdę, obciążał oskarżonego bardzo poważnymi zarzutami. Mówił o brudzie panującym w jego izbie, o zaduchu, o tym, że osobiście ostrzegał go przed prowadzeniem tego niebezpiecznego procederu, a wreszcie o kradzieży walizki z narzędziami chirurgicznymi. Przyznał, że Kosibie udało się kilka operacji nawet trudnych, lecz złożył to na karb przypadku.

Drugi świadek oskarżenia, delegat Izby Lekarskiej, przedstawił sądowi dane statystyczne dotyczące znachorstwa na Kresach Wschodnich. Dane te stwierdzały, że olbrzymi odsetek śmiertelności wśród ludności wiejskiej jest skutkiem leczenia znachorskiego. Dalej przytoczył wiele przykładów metod „lecniczych” stosowanych przez znachorów, a przykłady te wywołały u słuchaczy zgrozę, wstręt i oburzenie.

Świadkowie wezwani przez obronę, wszystko chorzy wyleczeni przez Antoniego Kosibę, w pokażnej liczbie dwudziestu kilku, znowu przechylili swymi zeznaniami szalę nieco na stronę oskarżonego.

I zapewne inaczej skończyłaby się sprawa, gdyby nie to, że w procesie tym oskarżał młody, po raz pierwszy występujący prokurator, doktor praw Zgierski. Z sumiennością

i z pasją nowicjusza prokurator Zgierski przygotował swe oskarżenie. Ujął rzecz ze społecznego i prestiżowego stanowiska.

— Jak długo — wołał — będziemy pozwalać, by gnieździły się w naszym kraju potworne zabobony średniowiecza? Jak długo pozwolimy krzewić się ciemnocie i bezmyślnej zbrodni praktyk znachorskich?... Wyrok dzisiejszy powinien być odpowiedzią na pytanie, czy jesteśmy państwem cywilizowanym, czy nie tylko geograficznie, lecz i kulturalnie należymy do Europy, czy też tolerować chcemy nadal barbarzyństwo.

Mówił jeszcze dużo i pięknie o polskiej misji cywilizacyjnej na Wschodzie, o tragicznej ciemnocie ludu białoruskiego, o tysiącnych zastępach młodych lekarzy gotowych nieść pomoc cierpiącym, a skazanych na bezrobocie, o eugenicie i o podnoszeniu rasy, o wojsku potrzebującym zdrowego rekruta, a wreszcie o pedagogicznych celach wyroków sądowych i o tym, że ten wyrok winien się stać ostrzeżeniem dla innych hien żerujących na ciemnocie mas.

Na zakończenie potrafił też o strunę patriotyzmu regionalnego zaznaczając, że pożałoby wyrok na tego rodzaju przestępstwa dałby powód i podstawę opinii publicznej innych dzielnic Polski do mniemania, że ręka sprawiedliwości na Kresach Wschodnich toleruje zacofanie i groźne jego następstwa.

Mecenas Makłaj ani w dziesiątej części nie rozporządzał darem krasomówczym przeciwnika. Toteż jego przemówienie, aczkolwiek rzeczowe, nie zdołało zatrzeć wrażenia po piorunującej mowie prokuratora. Nawet nie próbował odpięrać jego argumentów, a obronę oparł na samej osobie oskarżonego, człowieka bezinteresownego, który wprawdzie przywłaszczył narzędzia chirurgiczne, lecz wyłącznie w celu ratowania umierającej dziewczyny.

— Nie pokazano tu nam nikogo — zakończył — komu by pomoc lekarska Antoniego Kosiby zaszkodziła, nie wymieniono ani jednego nazwiska pacjenta, który by z jego winy stracił życie. Natomiast widzieliśmy cały korowód ludzi wdzięcznych, wyleczonych przez niego. Dlatego proszę o uniewinnienie.

Jeżeli w tej chwili odżyły w Antonim nadzieje, zgasły one bardzo szybko pod ciosami repliki prokuratora.

— Zdumiewa mnie — zaczął — zdumiewa i zawstydzia stanowisko zajęte przez pana obrońcę. Zawstydzia, gdyż usłyszałem w jego obronie zarzut, iż rozpatrując winę oskarżonego, zająłem się zagadnieniem, a zapomniałem o człowieku. Istotnie, Wysoki Sądzie, poważne to przeoczenie ze strony oskarżyciela publicznego. Ale zdumiewa mnie, że właśnie z ust pana obrońcy pada to przypomnienie. Tak! Bo czyż po przyjrzeniu się moralnej sylwetce Antoniego Kosiby możemy z czystym sumieniem nie uznać jego przewinień za tym bardziej zasługujące na surową karę?... Ten rzekomy dobroczyńca ludzkości sprzykrzył sobie pewnego dnia uczciwą pracę fizyczną i zatektnął do lekkiego chleba. Z parobka młynarskiego stał się szarlatanem. Niewątpliwie, łatwiej jest wygłaszać nad ogłupionym chłopem bzdurne zaklęcia czy poić go odwarem z ziół niż dźwigać worki z mąką. I oskarżony to wybrał. Legendę zaś jego bezinteresowności rozwiewają świadkowie, którzy zeznali, że wprawdzie nie płacili za porady, ale przynosili... dobrowolne prezenty. Sam Kosiba na pytanie zadane przez pana przewodniczącego oświadczył, że żyje dostatnio. A to dość jest wymowne w czasach dzisiejszego kryzysu i nędzy wieśniaków. Ci tylko na wsi żyją dziś dostatnio, którzy obdzierają biedotę, którzy szalbierskimi praktykami wyludniają od niej resztki ubogich zapasów.

Prokurator uśmiechnął się.

— Tak, Wysoki Sądzie, to jest jedna strona sylwetki oskarżonego, to jego przeszłość. A jakaż będzie jego przyszłość? Co zrobi, jeżeli wolny wyjdzie z tej sali?... Co do tego nie możemy mieć wątpliwości. Sam oskarżony rozwił je doszczętnie, odpowiadając podczas przewodu sądowego na moje pytania. Przyznał, że do ostatniej chwili uprawiał swoją praktykę i że w razie uwolnienia będzie znowu „leczył” ludzi. Nie odczuwa tedy najmniejszej skruchy. Nie obiecuje poprawy. A w sprawie kradzieży? Przyznał się do czynu, lecz otwarcie powiada, że ukradłby drugi raz, gdyby zaistniały podobne okoliczności. Jest to przestępca, który nie może, a raczej nie chce zrozumieć swojej winy, przestępca, zacięty w swym uporze. Oto jest człowiek, którym na życzenie pana obrońcy musiałem się zająć. Człowiek ten, głuchy na wszelkie upomnienia, stanowiący niebezpieczeństwo publiczne,

powinien być natychmiast odseparowany od społeczeństwa i unieszkodliwiony surową karą więzienia.

Po kolejnej replice mecenasa Makłaja sąd udał się na naradę.

W pół godziny potem, już późnym wieczorem, wyrok został ogłoszony. Brzmiał on: trzy lata więzienia.

Prokurator Zgierski przyjmował w kuluarach gratulacje od swoich krewnych i znajomych. Antoniego Kosibę aresztowano na sali i odprowadzono do więzienia. Adwokat zapowiedział wniesienie apelacji.

Wiadomość o skazaniu i uwięzieniu Antoniego Kosiby przywieziona została do młyna przez chłopów wracających z rozprawy. W pierwszej chwili nikt nie chciał wierzyć, a Marysia nawet zaśmiała się.

— Ale ludzie! Przekręciliście coś! To zupełnie niemożliwe!

— Może na trzy miesiące? — podpowiadał Wasil.

— Nie, na trzy lata — upierali się chłopci. — A to przez to, że prokurator już strasznie na niego nastawał.

I jak umieli, opowiedzieli przebieg rozprawy.

— Zmiłujcie się! — zawołał stary Prokop. — Toż to tak wychodzi, że ten, co pokaleczył ich, omal nie zabił, został wsadzony na dwa lata, a ten, co ratował, na trzy. Jakże to tak?

— Ano tak wychodzi...

Marysia rozplakała się. Właśnie tego dnia wstała z łóżka, chociaż kaszel jeszcze ją męczył.

— Co robić, panie Mielnik, co robić? — zwróciła się do Prokopa.

— A ja skądże wiedzieć mogę?...

— Trzeba jechać do Wilna, żeby mu jaką pomoc obmyślić.

— Jakąż tu pomoc? Więzienia nie rozwalisz.

Wasil odezwał się rozsądnie:

— Ja pannie Marysi powiem: żadnej tu pomocy być nie może, ale jak będzie apelacja, to wtedy. Pewno ten adwokat kiepski. Od adwokatów dużo zależy... Innego, znaczy się, trzeba. Trzeba dowiedzieć się, jaki tam jest w mieście najważniejszy, i do niego.

Radę Wasila wszyscy pochwalili.

— A kiedy może być apelacja?

— To nieprędko — powiedział jeden z chłopów. — Jak ja miałem sprawę za te chojaki z wickuńskiego lasu, to apelacja przyszła w cztery miesiące.

— To i tak szparko! — zauważył inny. — Czasem do roku trzeba czekać.

Całą noc Marysia przeplakała, nazajutrz zaś zapakowała tobolek. Włożyła tam bieliznę stryjcia Antoniego, półkożuszek, cały zapas tytoniu, co było kielbas i słoniny.

Właśnie przy tym pakowaniu zastała ją Zonia.

— Co to? — zapytała. — Posyłkę dla Antoniego szykujesz?

— Tak.

— A przez kogo pošlesz?

— Będę pytać. Przecie często się zdarza, że zajeżdża tu kto, co do Wilna się wybiera.

Zonia zamyśliła się, a po chwili wyciągnęła chusteczkę, rozwiązała węzeł i wydobyła dwie monety pięciozłotowe.

— Masz, to i te pieniądze jemu pošlij.

— Jakaś ty dobra, Zoni! — powiedziała Marysia.

Ale Zonia nastroszyła się.

— Dla jednych dobra, dla drugich niedobra. Jemu daję, nie tobie!

Marysia od dawna zauważyła, że u Zoni nie cieszy się specjalnymi łaskami. Powiedziała pojednawczo:

— Więc dziękuję ci za niego.

Zonia wruszyła ramionami.

— Ty jemu taki swat czy brat, jak i ja. Co masz za niego dziękować. On sam podziękuje, jak wróci. I za to, i za to, że tu koło jego dobytku będę chodziła, że mu tu wszystkiego dopilnuję, żeby nie zmarniało.

— Po cóż, Zoni, masz się tym zajmować?

— A kto ma się zajmować?

— Ja.

— Ty?... Jakimże sposobem ty?... Czy ty myślisz przez trzy lata tu, u mego teścia, siedzieć?...

Marysia zaczerwieniła się.

— Dlaczego trzy lata?... W apelacji przecie uwolnią stryjcia Antoniego...

— Albo uwolnią, albo nie. A on tobie nie żaden stryj. Jakże ty myślisz żyć tu?...

Z czego?...

Zobaczyła w Marysinych oczach łzy i dodała:

— No, nie płacz. Przecie nikt cię stąd nie wypędza. Dachy nad głową starczy... A jeżdżenia też. Tylko tak mówiłam. Przez ciekawość. Nie płacz, głupia. Czy ci kto żałuje? No?...

Pomimo tych zapewnień, Marysia uświadomiła sobie teraz swoje położenie. Istotnie, gdy zabrakło stryjcia Antoniego, nie miała tu prawa pozostać. Dano jej to do zrozumienia z większą delikatnością niż zwykle u prostych ludzi, ale wyraźnie.

Toteż gdy usłyszała wołanie na obiad, nie ruszyła się z miejsca. Drżała na myśl, że cała rodzina Mielników będzie przyglądać się jej przy stole, będzie liczyć łyżki stawy, darowanej stawy i każdy kęs podnoszony do ust... Między sobą po cichu będą nazywać ją przybłądą, darmożadem póty, póki nie powiedzą jej tego głośno.

— Muszę stąd odejść, muszę... Tylko dokąd?..

Wiedziała od ludzi, że w sklepie pani Szkopkowej pracuje już jakaś inna dziewczyna. W całej okolicy na żadną posadę nie mogła liczyć. Nikt przecie nie wiedział, że była zaręczona z Leszkiem, nikt by nie uwierzył, gdyby nawet zdobyła się na powiedzenie tego głośno. Natomiast wszyscy wiedzieli, zwłaszcza po katastrofie, że spotykała się z nim, że jeździli na samotne spacerunki do lasu... Z taką opinią nie mogła spodziewać się jakiegokolwiek posady.

A odejść... dokąd?...

Rzuciła się na łóżko i płakała. Płakała nad swoim okrutnym losem, nad swoją wielką, jedyną miłością, która nie dała jej nic tylko ból, nic tylko wstyd, nic tylko nieszczęście...

— Leszku, Leszku, dlaczego zapomniałeś o mnie!... — powtarzała, zalewając się łzami.

— Hej, panno Marysiu, obiad! — rozległ się za oknem głos Wasila.

Nie poruszyła się, a on po chwili wszedł.

— Czego panna Marysia płacze? — zapytał.

— Nie wiem — odpowiedziała wśród szlochu.

— Jakże to tak?... Skrzywdził kto pannę Marysię?... No, proszę powiedzieć!...

— Nie, nie...

— To czego płakać?... Nie trzeba...

Zadrapał na miejscu bezradnie i dodał:

— Jak panna Marysia płacze, to ja patrzeć na to nie mogę. No, dosyć... dosyć...

A może kto co powiedział?

— Nie, nie...

Chłopak nagle przypomniał sobie, że widział niedawno Zonię wychodzącą z przybudówki. Ogarnęła go złość.

— Dobrze — mruknął i wyszedł.

Cała rodzina siadała już do stołu. Wasil stanął na progu kuchni i odezwał się spokojnie:

— Dlaczego Marysi nie ma?

— Wołałam, nie wiem dlaczego nie przyszła — Olga wzruszyła ramionami.

— Nie wiesz?...

— Nie wiem.

— To może Zonia wie?

Zonia odwróciła się doń plecami.

— Skąd ja?...

Wasil wrzasnął nagle:

— To ja wiem, cholero ty zatracona!

— Co ty, Wasil, co tobie? — szczerze zdziwił się stary Prokop.

— A to mnie, że ona tam płacze! A przez kogo może płakać, jak nie przez tę wiedźmę?... Coś jej tam nagadała?!

Zonia wzięła się w boki, podniosła wojowniczo głowę.
 — Co chciałam to i nagadałam. Rozumiesz?!

— Cicho! — zniecierpliwił się Prokop.

— To czego on na mnie!... Ja jej nic takiego nie powiedziałam, ale choćby, to co?... Na naszej łasce tu jest, to niech nie będzie taka honorowa.

— Nie na twojej łasce! — ryknął, nie panując już nad sobą, Wasil.

— To niech sobie idzie na cztery wiatry! — zawołała Zonia w podnieceniu.

— Ona?... — zaśmiał się Wasil, usiłując nadać swemu śmiechowi złowrogi brzmienie. — Ona?... Pierwej ty pójdziesz. Jeszcze nie wiadomo, czy ona tu nie będzie większą gospodynią od ciebie, ty szlajo!... Nie zapominaj, że ojciec już stary, a potem moje panowanie. Ciebie wypędzę na cztery wiatry, ciebie! A zechcesz mój chleb jeść, to będziesz musiała buty jej czyścić!

Zapanowało milczenie. Domyślili się wprawdzie już wcześniej, że Marysia podoba się Wasilowi. Ale teraz usłyszeli to wprost z jego ust. Podobanie zaś to było, widać, nie byle jakie, skoro spokojnego zazwyczaj chłopca przyprawiło o taki gniew, że zagroził nawet bratowej, którą przecie lubił, wypędzeniem.

Stał blady, ze skurczoną twarzą i wściekłym wzrokiem wodził po obecnych.

— Cicho! — odezwał się Prokop, chociaż w izbie i tak panowała zupełna cisza. — Cicho, mówię! Ty, Wasil, wybij to sobie z głowy. Nie bądź durny. Nie dla ciebie ona, a ty nie dla niej. Sam pomyślisz, to i oprzytomniejesz. A ty, Zonia, idź do niej i poproś. Niech przyjdzie. A patrz — pogroził palcem — patrz, żeby zechciała przyjść. I to jeszcze ci powiem, Zonia, że źle jest tak sierotę, biedaczkę krzywdzić! Bóg za to karze.

— Jaż jej nie krzywdzę, Bóg świadkiem — uderzyła się w piersi.

— No to idź. A wiedz i to, iż Antoni ją jak rodzoną kocha. Jakże to?... Jego nieśczęście spotkało, a ja mu tymczasem mam chleba i dachu żałować dla tej dziewczyny?... Boga się bój, Zonia. Idź... idź.

— Co nie mam pójść? Pójdę.

Zonia pobiegła do przybudówki. Żał już ją odszedł, a może i myśli, że ta panienczka nie będzie jej rywalką, bo juści mając do wyboru starego Antoniego i Wasila, młodego i bogatego, raczej wyjdzie za niego, może i ta myśl sprawiła, że z rozczuleniem zaczęła przepraszać Marysię, tulić ją i całować.

— Co, co, nie płacz, ja dla ciebie wszystko, nie to żebyś przeze mnie miała łzy wylewać. Chcesz tę zieloną chustkę w kwiaty? Chcesz, to dam ją tobie... No, nie płacz, nie płacz...

Głaskała ją po plecach, po mokrej twarzy, po rękach, aż wreszcie Marysia uspokoiła się. Gdy wrócili do kuchni, nie było już więcej mowy o całej sprawie.

Pomimo to, pomimo całej życzliwości, jaką rodzina młynarza otaczała Marysię, jej wrażliwość raz zbudzona nie dawała jej spokoju. Uczucie, że jest dla tych ludzi ciężarem, że korzysta z ich dobroci, nie mogąc niczym wywdzięczyć się za to, wciąż odzywało się z jednakową siłą. Wielokrotnie ofiarowywała się z pomocą w gospodarstwie, lecz kobiet tu było dość i żadna nie dawała się wyręczyć.

Dręczyła się więc myślą, co ma z sobą począć i coraz wyraźniej widziała, że jest bezradna. O wyjeździe bez grosza przy duszy i mowy być nie mogło. Pozostawała jedna tylko nadzieja, że pani Szkopkowa przyjmie ją z powrotem do siebie.

Na krótko przed świętami Bożego Narodzenia wybrała się Marysia wreszcie do miasteczka. Wyszła dość późno, by w Radoliskach nie pokazać się przy jasnym dniu. Nie chciała ludziom leżeć w oczy.

Toteż był już zmierzch, gdy stanęła przed domkiem pani Szkopkowej.

Nadeszła właśnie pani Szkopkowa.

— O, Marysia! — powiedziała z nadrabianą serdecznością. — Jak się masz, drogie dziecko.

Marysia pocałowała ją w rękę.

— Dziękuję pani, już teraz dobrze, ale omal nie umarłam.

— Tak, tak... Trzeba zapalić lampę...

— Zaraz zapalę — Marysia ruszyła się, lecz pani Szkopkowa wzięła zapalki.

— Nie, daj spokój. U siebie w domu to już ja — powiedziała z wyraźną intencją. — A to wiem, żeś była umierająca. Cóż, własna twoja wina. Ja swój obowiązek spełniłam.

Przestrzegalam, że nic z tego dobrego nie wyjdzie. Nie słuchałaś starej Szkopkowej. Tak... tak... Przyszłaś pewno po rzeczy?

— Po rzeczy — potwierdziła Marysia i odwróciła głowę, by ukryć łzy.

— Możesz je zabrać. Nie podźwigasz się. Dawno już je spakowałam i miałam zamiar odesłać ci je do młyna. Tylko okazji nie było.

Zapanowało milczenie.

— Jakże ci tam? — zapytała Szkopkowa, krzątając się przy komodzie.

— Tak sobie.

— No, to pewnie i nie szkodujesz, żeś tam u nich.

— Wolalabym, by było jak dawniej — bąknęła Marysia.

— I ja bym wolala — z naciskiem przytaknęła Szkopkowa. — Cóż począć, kiedyś wybrała inaczej. Wolalaś śmierć na siebie ściągnąć i hańbę, a na mnie wstyd... Matka tam twoja w grobie się pewno przewróciła... Byłam na cmentarzu w Zaduszki, byłam, lampkę na mogiłce postawiłam i wianek z nieśmiertelników zaniosiłam, by ją biedną pocieszyć. Cóż, mówię, pani Okszyńska kochana, nie wini mnie, bo nie raz, nie dziesięć upominałam córkę twoją. Ale młodość nie wierzy doświadczeniu starych. Módl się tam za opamiętanie swego dziecka... Pomodliłam się i ja, byś lepszych opiekunów ode mnie znalazła... No i tak.

Marysia po policzkach spływały łzy.

— Proszę pani, przysięgam pani, że nic złego nie zrobiłam, przysięgam!

— Moje dziecko. Chciałabym ci wierzyć. Ale coż moja wiara pomoże? Wszyscy widzieli, żeś się zadawała z tym lekkoduchem, którego dotychczas Bóg miłosierny w swojej łaskawości jeszcze nie pokarał. Wszyscy wiedzą, że cię omal nie zabił, a potem rzucił... I jeżeli chcesz ode mnie rady, to ci ją dam. Jedź stąd jak najdalej, do obcych, na drugi zaś raz unikaj takich elegantów i wariatów. A żebyś miała za co jechać i żebyś nie wspominała mnie takim ciężkim sercem, jak ja ciebie, to tam w swoim koszyku znajdziesz parę złotych... Na początek ci wystarczy. Najlepiej do Warszawy jedź. Tam zajdź do jakiego księdza i poproś o radę. W wielkim mieście o pracę łatwiej.

Wytarła nos i dodała:

— Tak sobie obmyślałam. Tylko pewno znowu na próżno. Nie posłuchasz ty mojej rady.

Marysia chwyciła ją za rękę i pocałowała.

— Na pewno tak zrobię. Dziękuję pani, dziękuję... Nigdy nie zapomnę...

— No to idź, dziecko, z Bogiem. Niech cię Najświętsza Panienka błogosławi i strzeże.

Uściskała Marysię, a odprowadzwszy ją za próg, krzyknęła jeszcze:

— A napisz tam do mnie!

— Napiszę.

Koszyk z wikliny nie był ciężki, uboga jego zawartość również, a przecież ręka wciąż drętwiała i coraz częściej trzeba ją było zmieniać.

Od paru dni mróz zelżał, a teraz zaczął padać śnieg wielkimi płatami, które spadały wolno, leniwie, lecz tak gęsto, że na kilka kroków wokoło nic już widać nie było. Na szczęście wysokie drzewa po obu stronach gościńca nie pozwalały zabłądzić. Jeżeli zaś Marysia szła coraz wolniej, to nie z obawy o zgubienie drogi. Tyle myśli przebiegało przez jej głowę, tyle sprzecznych uczuć odzywało się w sercu. Przyznawała zupełną słuszość dawnej opiekunce. Istotnie, należało wyjechać, wyjechać najdalej, choćby do Warszawy. Ma teraz pieniądze na drogę i każdy dzień zwłoki byłby nonsensem...

Ale porzucić te strony, ale wyrzec się raz na zawsze nadziei zobaczenia Leszka, choćby z daleka... I tak zostawić stryjcia Antoniego?!... On przecie tu wróci... Tyle dobroci jej okazał, tyle wzajemnych uczuć wzbudził... Oczywiście, trzeba jechać. Lecz raczej do Wilna. Pewno pozwolą jej odwiedzić go w więzieniu... Naradzą się, co począć... Tak, to najważniejsze, to przecie teraz jedyne. Cóż jej innego pozostało?...

Z trudem odszukała boczną drogę do młyna. Śnieg padał tak gęsto, że gdyby nie szum wody na kole i nie prychanie koni pod młynem, nie dostrzegłaby go wcale. Światła zobaczyła dopiero z bliska i zdziwiła się: w oknach przybudówki też było jasno.

— To chyba Natałka przyszła tu odrabiać lekcje — pomyślała Marysia.

Otrzeпаła w sionce buciki ze śniegu, otworzyła drzwi i stanęła jak wryta.

Izba nagle zawirowwała przed jej oczami, serce uderzyło gwałtownie, z ust wyrwał się cichy okrzyk i — straciła przytomność.

ROZDZIAŁ XVI

W sanatorium doktora du Chateau w Arcachon zwykle z początkiem grudnia zaczynał się zimowy sezon i masowy napływ paryskich artretyków. Toteż gdy w połowie grudnia przybył pan Stanisław Czyński i oznajmił doktorowi, że chce zabrać syna do kraju, lekarz nie sprzeciwiał się wcale.

— Owszem — powiedział — pański syn jest właściwie zupełnie zdrow. Wykluczyłbym dlań na razie wszelkie forsowniejsze sporty, ale kości zrosły się bez zarzutu, mięśnie pod wpływem masażu zjędrniały dostatecznie, co zaś się tyczy usposobienia, myślę, że jest ono skutkiem nostalgii. Powrót do kraju, do rodziny ożywi go i rozrusza.

— I ja mam taką nadzieję — pan Czyński potrząsnął jego ręką.

A teraz, siedząc w wagonie naprzeciw syna, nie miał już z tej nadziei nic. Umyślnie po naradzie z żoną wyjechał sam do Arcachon, by zabrać Leszka na święta. Przerażeni byli jego listami. Przysłał im po długim bombardowaniu tylko dwa, i to krótkie, kostyczne, obojętne.

Równie obojętnie powitał ojca i zgodził się na powrót.

— Wszystko mi jedno — powiedział tylko.

Siedział milczący, ze zgasłym od dawna papierosem w ręku i zdawał się nie słyszeć opowiadań ojca o polityce, o poprawie koniunktury, o nowych zamówieniach. Zdawało się, że nic go nie obchodzi, nic nie może zainteresować, nic poruszyć. Czyżby nerwowo wstrząs, jakiego doznał przy tej nieszczęsnej katastrofie, miał na zawsze już zmienić tego wesołego chłopca w apatycznego melancholika?...

Pan Czyński na próżno wysilał się, by czymkolwiek zająć uwagę syna. Leszek ograniczał się do krótkich odpowiedzi, bezmyślnie przyglądał się końcom własnych butów i był w nim jakiś zastygły, bezwładny spokój.

W nocy pan Czyński nie mógł zasnąć i zająrzał do przedziału syna. Miał jakieś złe przeczucia i niewiele omylił się: Leszek pomimo mroźnej nocy otworzył okno i w cienkiej jedwabnej pidżamie stał, wychylając głowę na zewnątrz. Poryw lodowego wiatru przy otwarciu drzwi wtargnął do przedziału.

— Co ty wyprawiasz, synu! — przeraził się pan Czyński. — Dostaniesz zapalenia płuc!

Leszek odwrócił się.

— Możliwe, ojcze.

— Proszę cię, zamknij okno.

— Gorąco mi.

— Chcę z tobą pomówić.

— Dobrze.

Zamknął okno i usiadł.

— Jesteś bardzo nieostrożny, Leszku — zaczął pan Czyński. — Nie tylko nie dbasz o swoje zdrowie, lecz świadomie się narażasz.

Milczenie było jedyną odpowiedzią.

— Czemu nie położyłeś się?

— Nie jestem senny.

— Jednak powinienes. Twój stan zdrowia wymaga jeszcze dużej dbałości.

— Po co? — Leszek spojrzał ojcu w oczy.

— Jak to po co?!

— Tak, po co? Czy sądzisz, że zależy mi na tym?

— Powinno ci zależeć.

— Aha! — machnął ręką.

— Leszku!

— Mój ojcze! Czy ty naprawdę sądzisz, że życie jest czymś godnym dbałości, niepokoju, zabiegów?... Wierzaj mi, że osobiście nie zależy mi na nim wcale.

Pan Czyński uśmiechnął się z przymusem.

— Gdy byłem w twoim wieku — skłamał — miewałem również tego rodzaju depresje, lecz miałem dość rozsądku, by zakwalifikować je jako stany przemijające.

— I w tym różnimy się, ojcze — skinął głową. — Ja wiem, że to nie jest przelotna depresja.

— Więc upewniam cię, że tak. Ufaj memu doświadczeniu. Oczywiście, szok fizyczny i psychiczny musi mieć swoje następstwa. Ale to przejdzie. Przejdzie tym prędzej, im rozumniej ustosunkujesz się do swego obecnego usposobienia. Uświadomienie sobie powodów depresji jest najskuteczniejszym środkiem jej zwalczania.

Pan Czyński nie odniósł wrażenia, by jego przekonywająca argumentacja przemówiła do syna, i dodał:

— A jeszcze i to. Nie wolno ci zapominać o nas, o twoich rodzicach, dla których jesteś wszystkim. Jeżeli twój rozsądek nie może cię poruszyć, odwołuję się do twoich uczuć.

Leszek drgnął i po pauzie zapytał:

— Czy rzeczywiście uważasz, ojcze, uczucia za siłę tak potężną i godną szacunku, że należy je brać w rachubę wówczas, gdy zjawia się w nas hamletowskie zagadnienie: być albo nie być?...

— Oczywiście, Leszku.

— Dziękuję ci. Jestem tego samego zdania.

— A widzisz, synku. No, połóż się teraz i spróbuj zasnąć. Nad ranem będziemy w domu. Tak... Nie możesz sobie wyobrazić, jak twoja matka tęskni za tobą. Zawsze usiłuje udawać naturę silną... Ale ty sam wiesz, ile pod tą powierzchnią kryje się najgłębszej czułości. No, śpij, synu. Dobranoc.

— Dobranoc, ojcze — drewnianym głosem odpowiedział Leszek.

Zgasił światło, lecz nie położył się. Miarowy stukot kół pociągu, lekkie kołysanie się wagonu, jaskrawe smugi iskier na czarnej szybie... Tak samo wtedy wracał. Tylko wtedy pragnąłby przyspieszyć bieg pociągu. Wiół dla niej pierścionełk zaręczynowy, a dla siebie szczęście.

Czy w Ludwikowskiej oranżerii są już bzy?... Tak, bzy i heliotropy, mocno pachnące... Każe wszystkie pościąć. I może... Tam na pewno leży głęboki i biały śnieg. A na śniegu nawet śladu niczyjego nie ma. Zapomniane, małe wzgórek...

Będzie siedł po tej niepokalanej, białej powierzchni... Pierwszy i ostatni... Tam cel. A już stamtąd żadna droga nie prowadzi... Ułoży kwiaty, całą mogilkę zasypie kwiatami... Czy przez śnieg, przez warstwę ziemi i przez drewniane wieko dotrze do niej zapach bzu i heliotropu?... Czy dotrze jego szept powtarzający najdroższe imię, najczulsze zaklęcia, najrozpaczliwsze przysięgi?... Czy usłyszy ona słabnące, zamierające tętno jego serca wśród umierających kwiatów, czy przygotuje się na przywitanie go, czy zarzuci mu, jak dawniej, ręce na szyję i pozwoli mu do syta patrzeć w te promienne oczy?... Już na zawsze, już na wieczność...

Jakże błoga wiara ogarniała go, gdy o tym myślał. Jaki spokój spływał nań, odkąd się z tym pogodził. Ileż zostało sam, pogrążał się w tych beznamietnych, ogromnych i jak pustka kosmiczna niezmiernych przestrzeniach śmierci. Należał już do nich bez reszty.

O ileż gorszy, o ileż boleśnniejszy był pierwszy okres. Gdy tylko mógł wymówić kilka sylab, zapytał ich:

— Co z nią?

Matka wówczas drgnęła i powiedziała krótko:

— Nie żyje, ale nie myśl o tym.

A doktor Pawlicki dodał:

— Strzaskanie podstawy czaszki. Z tym nie można żyć dłużej niż kilkadziesiąt minut.

Wówczas stracił przytomność ponownie. A ile razy odzyskiwał ją, świadomość śmierci Marysi zdawała się być zaprzeczeniem jego własnego życia. Leżąc z zamkniętymi oczyma słyszał rozmowę prowadzoną półgłosem. Doktor robił pani Czyńskiej wyrzuty:

— Nie należało mu mówić o śmierci tej dziewczyny. To było nieostrożne. Może pogorszyć stan nerwów.

A matka na to:

— Nie umiem kłamać, doktorze. A jeżeli o mnie chodzi, zawsze wołałam bodaj przykrą prawdę niż złudzenie. Zresztą mój syn nie ponosi przecie odpowiedzialności za wypadek.

— Myślałam — zawahał się lekarz — o czym innym. Mógł mieć jakiś sentyment do tej Marysi...

— To jest wykluczone — przerwała pani Czyńska z takim naciskiem, jakby samo domniemanie było dla niej obrazą.

Stan fizyczny Leszka poprawiał się z dnia na dzień. W wileńskim szpitalu zrobiono wiele zdjęć rentgenowskich, rany i okaleczenia goiły się normalnie. Natomiast psychiczny stan chorego budził coraz większe obawy. Toteż skoro to tylko nie mogło zagrażać jego zdrowiu, przewieziono go najpierw do kliniki chirurgicznej w Wiedniu, następnie zaś na okres rekonwalescencji do Arcachon. W Arcachon wesołe międzynarodowe towarzystwo miało wpłynąć na usposobienie Leszka zbawiennie. Niestety, wyraźnie unikał ludzi. Nie brał udziału w zabawach i wycieczkach, a chociaż automatycznie stosował się do przepisanej kuracji, jego nastrój nie uległ żadnym zmianom.

Przynajmniej pozornie. W gruncie rzeczy i niewidocznie dla otoczenia dojrzewała w nim decyzja.

Dojrzała i przyniosła ukojenie...

Oczywiście kochał rodziców i zdawał sobie sprawę z tego, jaki ból im wyrządzi. Byłby nawet gotów do dużych poświęceń, lecz myśl o skazaniu siebie na całe życie, na długoletnią katorgę cierpień, których nic już złagodzić nie mogło, wydawała mu się czymś potwornym i o wiele przerastającym jego siły.

A nadto pragnął śmierci, właśnie takiej śmierci, pragnął jak ekspiacji. Przecie wtargnął w życie, w spokojne i radosne życie tej najcudowniejszej istoty, nieproszony, niewołany, niemal przemocą. Gdyby nie on, wiodłaby do dziś dnia swoją, może prostą i ubogą, lecz pogodną egzystencję. On zburzył jej spokój, przez niego wreszcie zginęła i jeszcze po śmierci została na jej pamięci zła sława. Przez niego. Nie miał dość odwagi, by stawić od razu czoła wszystkim przeciwnościom. Był zbyt małoduszny. Ukrywaniem swoich zamiarów chciał zapewnić sobie wygodny byt. Za cenę jej opinii!

To wołało o karę! I musiał ją sobie wymierzyć, bo tylko ta kara stanie się rehabilitacją dla Marysi, bo tylko ta kara oczyści pamięć kochanej ponad wszystko istoty...

Pociąg zatrzymał się na malej, jakże znajomej stacyjce. Na peronie stała pani Czyńska, Tita Zenowiczówna, jej siostra Anielka, kuzyn Karol, jego żona Zulka i jeszcze kilka osób z rodziny, która do Ludwikowa zwykle zjeżdżała na święta Bożego Narodzenia.

Zdawkowy półśmiech, z jakim Leszek witał wszystkich, nikogo nie wprowadził w błąd: był zaledwie konwencjonalny. Umyślnie wyjechali na jego spotkanie owacyjnie i gwarnie, by z miejsca go rozruszać, rozbawić, wciągnąć w swoje bez troskie, codzienne sprawy. Jedna tylko Anielka przyglądała mu się w milczeniu i jakby ze współczuciem.

— Jak on zmizerniał i jaki jest smutny — powiedziała pani Czyńskiej półgłosem.

— Postaraj się go rozbawić i udawaj, że nie spostrzegasz w nim żadnej zmiany — pani Eleonora ścisnęła ją za rękę. — Zawsze cię bardzo lubił.

Czworo sań z pobrzękiwaniem janczarów zajechało przed ludwikowski pałac niczym kuligiem. Przez cały dzień nie zostawiano Leszka ani na chwilę samego. W salonie hałasowało na zmianę radio z gramofonem.

Po kolacji nareszcie znalazł się u siebie. Nic tu nie zmieniono podczas jego nieobecności. Z niepokojem zajrzał do biurka. Pamiętnik Marysi leżał na swoim miejscu.

Przez całą noc czytał, po kilkakroć wertował te same stronicę, których treść, ba, niemal każde słowo, tak dobrze pamiętał. Zasnął dopiero nad ranem i obudził się późno. Służący przyniósł śniadanie i oznajmił:

— Pan starszy jest w fabryce i kazał zapytać, czy panicz nie zechce tam wstąpić.

— Nie — potrząsnął głową. — Ale proszę zawołać ogrodnika.

— Słucham, paniczu!

— Czy w oranżerii jest dużo kwiatów?

— Jak zwykle na święta. Szczególniej róże w tym roku udały się.

Po śniadaniu zjawił się ogrodnik i przeszli razem do oranżerii. Leszek wskazywał nieco zdziwionemu człowiekowi coraz nowe kwiaty i na zakończenie powiedział:

— To wszystko proszę ściąć.

— Ściąć?...

— Tak. I opakować.

— A dokąd to pójdzie, proszę pana?

— Ja sam zabiorę.

— To pan inżynier wyjeżdża?

Leszek nic nie odpowiedział i skierował się do wyjścia.

— Proszę pana — ogrodnik zatrzymał go. — Ale pan kazał ściąć prawie wszystkie kwiaty. To nie moja sprawa. Tylko że ja nie wiem, czy pani...

— Dobrze. Proszę powiedzieć pani i zapytać, czy nie ma nic przeciw temu.

— Pani wyjechała samochodem na stację i wróci dopiero na obiad.

— Więc po obiedzie Jan spyta. Ja też jadę dopiero po obiedzie.

Leszek nie wątpił, że matka zgodzi się nawet na największe spustoszenie w oranżerii. Oczywiście od razu domyśli się, po co mu kwiaty są potrzebne.

Wrócił do siebie i zabrał się do pisania listów. Najdłuższy był do rodziców. Krótkie i serdeczne do paru przyjaciół, oficjalny do policji i wreszcie do pani Szkopkowej. Na tym ostatnim szczególnie mu zależało. Miał on stanowić rehabilitację dla Marysi w opinii miasteczka.

Właśnie skończył pisanie, gdy do drzwi zapukała gospodyni, pani Michalewska. Wczoraj nie zdążyła przywitać się z Leszkiem. Była strasznie zapracowana, jak to przed świętami. A teraz dowiedziała się, że już po obiedzie Leszek wyjeżdża, więc oderwała się od ciast, zdając je na łaskę i niełaskę kucharza, by tylko zobaczyć się z panem Leszkiem i wyrazić mu swoją radość, że go znowu, dzięki Bogu, widzi w zdrowiu. Zaczęła opowiadać, jak tu wszyscy w okolicy dopytywali się o niego, co kto mówił, co kto zrobił...

Leszek słuchał tej paplaniny i przyszło mu na myśl, że ta kobiecina, ta żywa kronika całego powiatu musi wiedzieć dokładnie to, o co nie chciałby wypytywać w miasteczku.

— Moja Michalesiu! — odezwał się. — Mam do Michalesi prośbę.

— Prośbę?

— Tak. Czy Michalesia nie wie... — głos mu się załamał — czy Michalesia nie może mi powiedzieć... gdzie... pochowano...

— Kogo?

— Gdzie pochowano tę... panienkę, co zginęła wówczas w katastrofie?...

Kobieta szeroko otworzyła usta.

— W jakiej katastrofie?

— No, razem ze mną! — zniecierpliwił się.

— Jezus Maria! — krzyknęła. — Co pan Leszek mówi! Jakże ją mogli pochować?!... Ta Marysia?... Od Szkopkowej?... Toż ona żyje!

Wszystka krew uciekła mu z twarzy. Zerwał się z krzesła i omal nie upadł.

— Co?!... Co?!... — zapytał przeraźliwym szeptem, aż zalekniona Michalesia cofnęła się do drzwi.

— Klnę się Bogiem! — zawołała. — Jakże ją mieli grzebać? Wyzdrowiała. Ten znachor ją wyleczył i zamknęli go do więzienia. A ona w tym to młynie żyje. Przecież wiem od ludzi. A ot i nasz Pawełek, ten z kuchni, na własne oczy ją widział... Boże! Ratunku!...

Leszek zachwiał się, zatoczył i upadł na ziemię. Przerażona gospodyni sądziła, iż zemdlął, lecz usłyszała szloch i jakieś bełzadne słowa. Nie rozumiejąc, o co chodzi, i w poczuciu własnej odpowiedzialności za to wszystko wybiegła, wołając o pomoc.

W hallu siedziało całe towarzystwo. Wpadła tu i zdyszany głosem opowiadała, że panu Leszkowi coś się stało.

Nim jednak zdążyła skończyć, wbiegł sam Leszek, przeleciał przez hall i nie zamykając za sobą drzwi, wypadł na taras.

— Jeszcze się zaziębił! — jęknęła Michalesia. — Bez palta! Co ja narobiłam!...

On tymczasem biegł ku stajniom.

— Prędej zaprzęgać! — krzyknął pierwszemu spotkanemu fernalowi. — Prędej! Prędej!

I sam zabrał się do pomocy. Zrobił się ruch. Z pałacu nadbiegł lokaj z futrem i z czapką. W pięć minut później sanie mknęły drogą do Radoliszek, mknęły zaś jak szalone, bo Leszek odebrał stangretowi lejce i sam powoził.

W głowie mu się kręciło, serce waliło jak młotem. Myśli też wpadły w jakiś opętający galop. Wprost rozsadały go sprzeczne uczucia. Przepełniało go wielkie, radosne szczęście, a jednocześnie targał jego mięśniami taki gniew. Gotów był wszystkim wszystko przebaczyć, gotów był rzucić się w objęcia największemu swemu wrogowi i nagle wściekłość zaciskała mu szczęki. Okłamywano go! Tak niskiego, tak haniebnego użyto podstęp! Ukrywali przed nim przez tyle czasu, że ona żyje. Zemści się za to, zemści się bez litości!

I nagle przychodziło rozczulenie: a ona ile wycierpieć musiała! Na pewno czekała od niego wiadomości, listu, znaku życia. Stopniowo traciła nadzieję, samotna, opuszczona, zapomniana w nieszczęściu przez człowieka, który przysięgał jej miłość.

— Czyż nie uważa mnie teraz za szubrawca?...

Zgrzytnął zębami.

I to przez nich! O, nie puści im tego płazem. Tego doktora Pawlickiego spoliczkuje i obetnie mu uszy w pojedynku. Niech wie na całe życie, że postąpił jak szelma. A matka?... O, ona jeszcze srożej odpokutuje za swój nędzny czyn. Powie jej tak:

„Twój syn przez twoje podłe kłamstwo byłby popełnił samobójstwo. Kłamstwo wydało się wbrew tobie. Uważaj zatem, żeś zabiła swego syna. A w każdym razie wszystkie jego synowskie uczucia. Na zawsze jestem i pozostanę ci obcy”.

I więcej nigdy już nie odezwie się do niej ani jednym słowem. Wyjedzie, wyjedzie stąd na zawsze i to natychmiast. Bo i ojca nie chce już widzieć. Jak mógł on pokrywać milczeniem kłamstwo matki!

— Oto miłość rodzicielska, niech ją piekło pochłonie!

I tylko pomyśleć, jak bliskie było przez nią nieszczęście: przecie tam, we Francji, już dawno chciał z tym skończyć. Powstrzymało go tylko pragnienie spełnienia ostatniego obowiązku w stosunku do Marysi. Dlatego czekał, dlatego tu wrócił...

— Bóg widocznie kierował moimi krokami...

I nagle wydało się mu, że przenika tajemnicę swojego przeznaczenia, że przeznaczeniem tym ma być wielkie, niezmierzone szczęście i że ogromu tego szczęścia nie potrafiłby nigdy należycie ocenić, gdyby nie owe cierpienia, gdyby nie owa rozpacz bez granic, która przetrawiła jego duszę.

I zastanowił się: przecie w życiu nieraz spotykały go radości, powodzenia, pomyślność. Przyjmował wszystko to jako rzecz naturalną, należną mu i zwykłą. I nie przypominał sobie, by chociaż w jednym wypadku odczuł wdzięczność, by obudziła się w nim chęć wplecenia do z przyzwyczajenia odmawianych pacierzy jednego chociażby dziękczynnego westchnienia. Czyż trzeba było aż tak ciężkich doświadczeń, by nauczyć się cenić te wielkie dary?... By zrozumieniem ich wartości na nie zasłużyć?... By stać się dojrzałym do przyjęcia takiego szczęścia?...

Tak myślał sobie, a że myśl u niego musiała, jak zawsze, natychmiast znaleźć wyraz w czynie, na pierwszym rozstaju pod krzyżem ściągnął konie, a tylnymi kopytami zaryły się w śniegu, rzucił lejce stangetowi, wyskoczył i klękawszy z obnażoną głową, wpatrzył się w małą figurkę Chrystusa wyciętą z blachy i szerniałą od rdzy.

— Dzięk Ci, Boże, dzięki Ci, Boże!... — powtarzał.

Zawsze uważał się za wierzącego, uważał się tym pewniej, że nie trapiły go nigdy żadne wątpliwości natury zasadniczej. Od dziecka wychowany religijnie, nie odznaczał się nigdy szczególniejszą gorliwością, lecz i nie zaniedbywał praktyk nakazanych przez Kościół, w granicach dozwolonego minimum. Dlatego też ta modlitwa pod krzyżem, na rozdrożu, dla niego samego była rewelacją. Nie wiedział dotychczas, co to jest modlitwa i jak głębokich doznań może być źródłem.

Gdy wsiadł ponownie do sanek, czuł, że się w nim uciszyło, wypogodziło, pojaśniało. Złagodniały też myśli o postępkach matki, przyszły refleksje. A jednocześnie jakby wzmożła się świadomość szczęścia, które go czeka.

Przez Radoliszki przejechali pędem i skręcili w gościniec ku młynowi Prokopa. Zapadł już wczesny, zimowy zmierzch, gdy stanęli przed młynem.

Przed drzwiami stał robotnik Witalis.

— Czy tu mieszka panna Wilczurówna? — zapytał go Leszek.

— Kto taki?

— Panna Wilczurówna.

- Nie wiem. Tu nie mieszka. Chyba że to ta panna Marysia?
- Tak, tak! — wyskoczył z sanek. — Gdzież jest panna Marysia?
- A poszła do miasteczka. Jadąc do Radoliszek, musiał pan ją spotkać.
- Nie spotkałem. A czy prędko wróci?
- Pewno prędko.
- To ja zaczekam.

Z drzwi wychyliła się głowa Zoni.

— Jak pan łaskaw zaczekać, to może najwygodniej będzie w pokojach. Albo może w przybudówce, u Marysi... Proszę, pan pozwoli tutaj.

Obtarła ręce fartuchem i wprowadziła Leszka do izby w przybudówce. Znalazła na przypiecku zapalki i zapaliła lampę. Rozejrzał się po izbie. Było tu ubogo, lecz schludnie.

— Marysia na pewno niedługo przyjdzie. Do miasteczka poszła — zagaiła rozmowę Zonia. — A pan inżynier, to widzę, wyzdrowiał całkiem, dzięki Bogu.

— Wyzdrowiałem.

— To szczęście prawdziwe. Jak pana inżyniera i Marysię tu przywieźli, to aż strach było spojrzeć. Krwi tyle, że niech Bóg uchowa! Już i modlitwy za konających odmawialiśmy. I żeby nie Antoni!... Szkoda gadać! — machnęła wymownie rękami.

— Jaki Antoni? — zastanowił się Leszek.

— Antoni Kosiba, znachor, co tu mieszka.

— Tu mieszka?

— No, a gdzie? Teraz to on w więzieniu. Ale tu mieszka, tu wróci. To przecież on tutaj, o, na tej ławie, pana inżyniera ratował, a sklejał, a zszywał — zachichotała Zonia. — Plamy po krwi to aż szkłem musiałam zeskrobywać. Zejść nie chciały. A ją, Marysię, to na tym stole reperował. Z panem źle było, ale już z nią, to i nadziei żadnej nie było. I nie dychała wcale. Kości w mózg powchodziły. Doktor, jak pana zabierał do samochodu, to mówił, że ona już kaput. Dla tej biedaczki, powiada, tylko trumna, powiada, a szkoda, bo ładna. I prawdę powiedzieć, to przez tydzień nikt nie myślał nawet, że ona odżyje. Antoni nawet czemodan z tymi przyborami doktorskimi ukradł, żeby ją ratować. Dniami i nocami koło niej chodził. Już sam nie wiedział, co począć. Nawet owczarza z Pieczek kazał wołać, żeby uroki odczynił. A ona wciąż niczym martwa. Na koniec, jak ja białą kurę pod oknem zarznęłam, to i pomogło.

Leszek słuchał z największym zajęciem i przyszło mu do głowy, że być może niesłusznie posądzal matkę i doktora Pawlickiego o świadome kłamstwo. Prawdopodobnie oboje byli przeświadczeni, że umierająca podczas ich wyjazdu Marysia nie zdołała już wrócić do zdrowia. Opowiadanie tej młodej kobiety zdawało się świadczyć na ich korzyść. Później jednak matka niewątpliwie dowiedziała się, że Marysia żyje. Dlaczego tedy nie napisała mu o tym ani słowa?... Dlaczego ojciec nie wspomniał, dlaczego dopiero w Ludwikowie, i to przypadkowo, dowiedział się o tym!?... Tu była ich wina i o to do nich czuł żal. Żal ten jednak osłabiony teraz był poczuciem własnej niesprawiedliwości. Zbyt surowo i zbyt pochopnie osądził rodziców i Pawlickiego.

— A czy teraz już panna Marysia zupełnie zdrowa? — zapytał.

— Niczego jej nie brakuje. Nawet wyładniała po dawnemu — zaśmiała się Zonia. — Tylko wielkie zmartwienie ma, bo widzę, że zapłakana chodzi.

— Jakie zmartwienie?

— Ja tam nie wiem. Ale zmartwień, myślę, jej nie brakuje. Bo raz, że pracę straciła przez tę chorobę. Pani Szkopkova inną do sklepu wzięła. Podobnie swoją krewniaczkę.

— No, to głupstwo! A cóż jeszcze?...

— Ano przez Antoniego. Za tę to kradzież i za to niby, że bezprawnie leczy, do więzienia go na trzy lata wsadzili.

— To chyba niemożliwe!

— Możliwe, bo zamknęli.

I Zonia obszernie opowiedziała Czyńskiemu, jak i co było.

— Radzili, jak go ratować, ale jakież tu może być ratunek — zakończyła. — A teraz przepraszam, bo muszę już do gospodarstwa. Marysia pewnikiem niedługo nadejdzie.

Wyszła, a Leszek z rozczuleniem zaczął przyglądać się wszystkim szczegółom urządzenia izby. Wszędzie tu było znać Marysine upodobanie do czystości i do estetyki. Ileż musiały się napracować te biedne rączki!

„Już teraz to się skończy!” — myślał i ogarniała go ogromna radość.

Za oknami padał śnieg wielkimi płatami, coraz gęściej i gęściej.

„Żeby tylko nie zabłądziła” — zaniepokoił się.

Nagle usłyszał tupanie w sieni. Był pewien, że to ona. Stanął na środku izby i czekał. Drzwi otworzyły się. Marysia zatrzymała się w progu, krzyknęła i byłaby upadła, gdyby w porę nie porwał jej w ramiona. Obsypywał pocałunkami jej usta, oczy, pod dotykiem jego rąk tajał śnieg na płaszczu.

Z wolna odzyskiwała przytomność.

— Kochanie moje jedyne — szeptał. — Szczęście moje... Nareszcie cię mam przy sobie żywą i zdrową, i moją... Wszystko się spiętrzyło przeciw nam, ale teraz już nic nas nie rozłączy, nic nie rozdzieli... Pewno myślałaś o mnie, że jestem zły, że zapomniałem cię... Ale to nieprawda! Przysięgam ci, że to nieprawda! Powiedz, że mi wierzysz!

Przytuliła się doń.

— Wierzę, wierzę, wierzę...

— I kochasz mnie jeszcze?...

— Kocham. Kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek cię kochałam.

— Słońce ty moje! Cudzie mój! A powiedz, czy nie myślałaś o mnie źle?...

Dostrzegł w jej oczach wahanie.

— Źle nie myślałam — odezwała się wreszcie. — Wcale nie. Tylko mi było ogromnie smutno. Tak czekałam... Tak strasznie czekałam... Tyle dni.

— Wierz mi — spoważniał nagle — żeś i tak była szczęśliwsza ode mnie. I ja tyleż dni przeżyłem, lecz były one stokroć, milionkroć cięższe od twoich. Bo ja niczego nie czekałem.

Umilkł i dodał:

— Wprowadzono mnie w błąd.

Potrząsnęła głową.

— Nie rozumiem.

Jemu jednak trudno było powiedzieć prawdę. Wreszcie ją wykrztusił:

— Zatajono przede mną, żeś ty... ocalała. O, nie sądzę, że zrobiono to ze złej woli. Z początku twój stan był beznadziejny, a później... Przecie nikt nie wiedział, że ty dla mnie jesteś całym światem. Więc nie zawiadomili mnie.

Kiwnęła głową, a w oczach jej zaświeciły łzy.

— Teraz wiem, teraz rozumiem... I... i smutno ci było... że ja nie żyję?...

— Czy smutno?! — krzyknął. — Marysiu! Oto masz dowody! Masz!... Sięgnął do jednej kieszeni, do drugiej, obszukał wszystkie.

— Musiałem te listy zostawić w Ludwikowie na biurku. Ale przeczytasz je jutro.

— Pisałeś do mnie, Leszku? — zdziwiła się.

— Nie do ciebie, szczęście moje! — zaprzeczał, przygryzając wargi. — To były listy pożegnalne. Do rodziców, do przyjaciół. Przyjechałem wczoraj, dziś rano je napisałem. A wieczorem...

Spojrzał na czarne szyby, do połowy zasypane śniegiem.

— A o tej porze... już bym nie żył.

— Leszku! — zawołała ze zgrozą.

— Po cóż mi było żyć bez ciebie!

Przytulili się do siebie i łzy spływały im gęstymi kroplami po policzkach, mieszając się razem. Płakali nad minioną złą przeszłością, nad smutkami serdecznymi, nad rozpaczą, która w nich wypaliła się do dna, płakali nad szczęściem swoim, tak wielkim, tak nieogarnionym, że sami w jego ogromie czuli się zagubieni, małuczcy i nieśmiali.

ROZDZIAŁ XVII

Leszek nie omylił się. Wyjeżdżając z domu półprzytomny, rzeczywiście listy zostawił na biurku obok niezaadresowanych jeszcze kopert. Po jego wyjeździe w Ludwikowie zapanał chaos. Gospodyni, pani Michalewska, od nadmiaru wzruszeń sama dostała spazmów, a później doprowadzona do stanu jakiejś takiej równowagi, opowiadała przebieg rozmowy z Leszkiem tak zawiłanie, że minęło sporo czasu, zanim zdołano ustalić, co właściwie i dlaczego zaszło.

Ustalenie stanu faktycznego było zasługą pana Czyńskiego, po którego oczywiście natychmiast posłano do fabryki. Nie ograniczył się on do wybadania Michalesi. Od służby dowiedział się, że Leszek wzywał ogrodnika, od ogrodnika zaś, że ten otrzymał polecenie poćcinania wszystkich najpiękniejszych kwiatów w oranżerii.

Ma się rozumieć, że nie zaniedbał pan Czyński również stwierdzenia, przy pisaniu jakich to listów zastała Leszka gospodyni. Był przy tym tak ostrożny, że mimo dość energicznych upominań się rodziny, nikogo do pokojów syna nie wpuścił. Dlatego też mógł w skupieniu listy przeczytać.

Skupienie nie wykluczało jednak bynajmniej tego, że podczas lektury ręce pana Czyńskiego zaczęły drżeć, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Treść listów, w zestawieniu z relacją gospodyni, nie zostawiała żadnych wątpliwości i aż nadto dobitnie wyjaśniała przyczyny apatii Leszka i potem nagłego jego wyjazdu.

Toteż gdy wróciła pani Czyńska i gdy pan Stanisław poprosił ją do gabinetu, mógł zwięźle opisać niedawne zdarzenia, a także przedstawić sytuację.

— Leszek dziś rano zawezwał ogrodnika i polecił mu poćcinać wszystkie niemal kwiaty w oranżerii. Oświadczył, że sam je zabierze i nie wyjaśnił dokąd. Potem siadł do pisania listów. Zanim ci je dam, droga Elu, do przeczytania, muszę cię zapewnić, że już nie są aktualne i że to niebezpieczeństwo minęło.

— Jakie niebezpieczeństwo? — rzeczowo zapytała pani Czyńska.

— Samobójcze zamiary Leszka.

Pani Eleonora zbladła.

— To nonsens! — marszczyła brwi.

— Czytaj! — odpowiedział jej mąż, podając zapisane arkusiki papieru.

Czytała szybko i tylko przyśpieszony jej oddech świadczył, że jest to wielkie dla niej przeżycie. Po skończeniu siedziała milcząca, z zamkniętymi oczyma. Twarz jej nagle postarzała.

— Gdzie on jest? — zapytała cicho.

— Posłuchaj dalej. Otóż listy zostały tutaj, ponieważ do pokoju weszła Michalewska. Leszek zapytał ją, na którym cmentarzu pochowano ową dziewczynę, o której tak rozpaczliwie pisze w swoich listach. Oczywiście Michalewska była zdziwiona i wyjaśniła mu, że dziewczyna żyje. Powiedziała mu też, gdzie ją może znaleźć. Możesz sobie wyobrazić, jakie wrażenie ta wiadomość na nim wywarła. Dostał ataku nerwowego czy czegoś w tym rodzaju. Potem jak nieprzytomny pobiegł do stajen zaprzęgać konie. Nim odjechał, ledwie zdążył przynieść mu futro i czapkę. Pojechał w stronę Radoliszek, oczywiście do owego nieszczęsnego młyna, gdzie jak ci wiadomo, mieszka owa Marysia.

— Czy posłałeś za nim kogo?

Pan Czyński wzruszył ramionami.

— Byłoby to bezcelowe. Zresztą jest z nim stangret. W oczekiwaniu na twój powrót nie powziąłem żadnej decyzji. Zastanawiałem się jednak nad sytuacją i doszedłem do pewnych wniosków. Jeżeli pozwolisz...

— Słucham cię.

— Otóż wiemy przede wszystkim, że uczucia Leszka do tej dziewczyny nie są przełotnym upodobaniem, lecz głęboką miłością.

Pani Czyńska przygryzła wargi.

— To absurd!

— Osobiście zgadzam się z tobą. Ale musimy liczyć się z obiektywnymi faktami. Jest faktem, że on ją kocha. Nikt sobie nie odbiera życia z rozpacy po kimś zaledwie sobie miłym. To jedno. Teraz dowiaduje się, że ona żyje. Doznaje takiego wstrząsu, że przeraża domowników. Nic dziwnego. Człowiek, który od paru miesięcy znajduje się w skrajnym przygnębieniu i obmyśla tylko rodzaj samobójstwa, nagle odzyskuje wszystko, co utracił. Wówczas przypomina sobie, że to właśnie ty, jego rodzona matka, powiedziałaś mu o śmierci owej panienki. Zdaje też sobie sprawę, że my oboje nie powiadomiliśmy go o jej powrocie do zdrowia. Zastanów się tedy, jak on nas osądza, jak musi osądzać!

Pani Czyńska wyszeptwała:

— Przecież mu nie kłamałam. W każdym razie byłam przeświadczona, że mówię prawdę.

— Gdy jednak przekonałaś się, że to nie była prawda, postanowiłaś zataić to przed nim.

— Nie zataić. Po prostu nie uważałam, by to była sprawa o tyle obchodząca Leszka, by mu o tym pisać.

Pan Czyński zrobił nieokreślony gest ręką.

— Mylisz się, droga Elu. Wyraźnie powiedziałaś mi wówczas, że trzeba przed Leszkiem zamilczeć fakt wyzdrowienia Marysi.

— Przecież dla jego dobra.

— To inna kwestia.

— Dla jego dobra. Chciałam, by ten romans wywietrzył mu z głowy.

Pan Czyński niecierpliwie poruszył się w fotelu.

— Czyż możesz to jeszcze teraz nazywać romansem?... Teraz, po przeczytaniu tego listu?...

— Nie kładłam wcale akcentu na tym słowie.

— Pisz poza tym, że był z nią zaręczony, nazywa ją swoją narzeczoną, zapewnia, że wkrótce miał się odbyć ich ślub.

— Nigdy nie zgodziłabym się na to — wybuchła pani Eleonora. — Nigdy nie dałabym swego błogosławieństwa!...

Pan Czyński wstał.

— Teraz wątpię, czy on, czy nasz syn... przyjąłby nasze błogosławieństwo, choćbyśmy go o to błagali! Choćbyśmy błagali! Elu, czy ty nie rozumiesz, co się stało i co mogło się stać? Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że omal nie zabiliśmy naszego dziecka?!... Że daj Boże, byśmy go i tak nie stracili na zawsze?!...

Spokój opuścił go zupełnie. Chwycił się za głowę i chodząc po pokoju, powtarzał:

— Ja go znam. On nam tego nie przebaczy! Ja go znam. On nie przebaczy!

— Opanuj się, Stasiu — lekko drżącym głosem odezwała się pani Czyńska. — Rozumiem twój niepokój, a może nawet podzielam obawy. Chcę jednak podkreślić, że nic sobie nie mam do wyrzucenia. W dalszym ciągu uważam, że obowiązkiem rodziców jest dbać o przyszłość dziecka...

— On ma trzydzieści lat!

— Właśnie. Tym bardziej jeżeli pomimo swoich trzydziestu lat chce źle rozporządzać swoim życiem. Byłoby słabością i oportunistycznym rezygnować z zasad dla egoistycznej przyjemności uzyskania aprobaty syna, który chce głupio ułożyć swoją przyszłość.

— Mówiąc inaczej — zaśmiał się pan Czyński — wolisz stracić syna niż zrezygnować z własnej koncepcji jego szczęścia?...

— Tego nie powiedziałam.

— Więc cóż powiedziałaś?!

— Że powinnam trzymać się zasad... ale...

— Jakie ale?...

— Ale sama nie mam dość siły, u ciebie zaś niestety nie znajduję jej również.

Pani Eleonora ciężko opuściła głowę.

— Absurd, moja droga — z przekonaniem zawołał jej mąż. — Przypuśćmy, że jesteśmy silni, że nie odstąpimy od naszych zasad. Czymże wówczas będzie nasze życie?... Wykopiemy przepaść między nami a istotą, która jest jedynym celem naszej egzystencji, która jest jedynym jej owocem, jedynym uzasadnieniem.

Położył żonie rękę na ramieniu.

— Powiedz, Elu, kto nam zostanie?... Co nam zostanie?... Czy wyobrażasz sobie nasze dalsze życie?...

Pani Czyńska skinęła głową.

— Masz rację.

— Niewątpliwie. A weź jeszcze i to pod uwagę: nie znamy tej dziewczyny. Swoją niechęć do niej opieramy tylko na jej niskiej pozycji socjalnej. Nie wiemy o niej nic poza tym, że była ekspedientką w sklepiku, ale wiemy jeszcze i to, że pokochał ją nasz syn. Czy sądzisz, że mógłby pokochać istotę wulgarną, nieinteligentną, głupią, słowem, pozbawioną wszelkich zalet? Czyż nie przypominasz sobie, żeś sama spostrzegła jego zmysł obserwacyjny, jego trafne uwagi o znajomych i krytyczne ustosunkowanie się do kobiet?... Dlatego nic nie wiedząc o tej dziewczynie, którą on sobie wybrał, dopuszczamy rzecz

najgorsze? Równie dobrze moglibyśmy mniemać, że jest ona nadludzkim zjawiskiem. I jestem przekonany, a wiesz, że słów na wiatr rzucać nie lubię, iż większość naszych uprzedzeń zniknie z chwilą, gdy ją poznamy.

Pani Czyńska siedziała, milcząc, z głową wspartą na ręku i zdawała się wpatrywać w dywan.

— Jeżeli zaś nasze zastrzeżenia przy tej sposobności wzrosną, to wierź mi — ciągnął pan Stanisław — że i Leszek je z czasem podzieli, gdy będzie mógł obserwować ją na naszym tle, w naszym środowisku.

— Co przez to rozumiesz?

— Sądzę, że najrozsądniej będzie zabrać tę Marysię do nas.

— Do nas?... Do Ludwikowa?...

— Naturalnie. I dodam jeszcze, że z tym zaproszeniem musimy się śpieszyć.

— Dlaczego?

— Bo jeżeli nie okażemy Leszkowi natychmiast jak najlepszej woli, jeżeli przez jedną chwilę pomyśli, że działaliśmy z premedytacją i że w dalszym ciągu pragniemy oderwania go od Marysi... Wtedy będzie już za późno. Kto wie, czy nie zabrał jej z owego młyna i nie wywiózł do kogoś ze swoich przyjaciół?

— Więc co robić? — ręce pani Czyńskiej zacisnęły się.

— Jak najprędzej jechać tam.

— Dokąd?... Do młyna?

— Tak. Jeżeli już nie jest za późno.

Pani Czyńska szybko wstała.

— A więc dobrze. Poślij po szofera, by podjechał.

Przytulił ją do siebie.

— Dziękuję ci, Elu. Nie pożałujemy tego. Starzejemy się, kochanie, i coraz więcej nam trzeba ciepła.

Gdy wyszedł z pokoju, pani Czyńska otarła łzy.

W dziesięć minut później wielka, czarna limuzyna ruszyła sprzed ganku. Pograżeni w swoich myślach państwo Czyńscy nie mówili ani słowa, zapomnieli nawet podać szoferowi cel podróży.

On jednak sam dobrze wiedział. W Ludwikowie wszyscy wiedzieli, dokąd państwo jadą i po co. Bo jakżeby inaczej? Są prawa, które rządzą wszystkimi sercami jednakowo, przez wszystkich są odczuwane i dla wszystkich zrozumiałe.

Długa, ciężka maszyna z równego gościńca zjechała w boczną drogę. Tu liczne sarnie ładowane zbożem pofalowały jezdnię w głębokie wyboje i trzeba było jechać wolno, ostrożnie. Jaskrawe światła reflektorów słupem błękitnej jasności wodziły z dołu do góry, wywołując, wyczarowując z pustki niespodziewane sylwetki olch porośniętych śnieżną okiścią, czarne maczugi wierzb czubate cienkimi gałązkami, wreszcie spadziste dachy zabudowań Prokopa i stalaktyty sopli lodowych, zwisające zmarzniętą kaskadą.

Śnieg ustał i szofer już z daleka zobaczył stojące przed młynem sanki ludwikowskie.

— Nasze konie przed młynem — powiedział, nie odwracając się.

„Chwała Bogu, że są tu jeszcze” — pomyśleli oboje państwo Czyńscy.

Blask reflektorów wywołał z domu stangreta, który okrywszy konie derami, sam grzał się w kuchni przy piecu, oraz starego Mielnika, który uważał za swój obowiązek powitać ludwikowskich państwa.

— Syn wasz, panoczku — oznajmił — jest tu w przybudówce u panny Marysi. Pozwólcie, przeprowadzę.

— Dziękuję, Prokopie! — powiedział pan Czyński, a wzięwszy pod rękę panią Eleonorę, szepnął — Pamiętaj, Elu, że chcąc serce pozyskać, trzeba całe serce okazać.

— Wiem, mój dobry przyjacielu — ścisnęła jego ramię. — I nie obawiaj się. Przełamała już w sobie, w głębi duszy pogodziła się z tym, co jeszcze tak niedawno uważałaby niemal za pohańbienie. Oto drugi raz w życiu los zmusił ją do przestąpienia tych progów. Jakieś fatum znowu odwróciło koło i znowu zatrzymało się w groźnej chwili, w momencie niepokoju i niepewności przed chatką o małych, kwadratowych okienkach.

Na pukanie do drzwi Leszek mocnym, pewnym, może nawet wyzywającym głosem odpowiedział:

— Proszę wejść!

Już przed paru minutami uprzedziły go o przybyciu rodziców światła reflektorów. Wiedział, że to oni. Ale nie wiedział, z czym tu przyjdą. Toteż zerwał się i stanął przed Marysią, jakby chcąc ją zasłonić przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Twarz mu się ściągnęła i przybladła. Zaciśnął zęby, gdyż usta miał pełne słów ostrych, gwałtownych, bezlitosnych. I czekał.

Drzwi otworzyły się. Weszli. Trwało to może sekundę, gdy tak zatrzymali się przy progu, lecz już ich zrozumiał. Na twarzy ojca był dobry, cichy uśmiech, oczy matki były zaczerwienione od łez, a usta jej drgały.

— Synku mój! — szepnęła prawie bezdźwięcznie.

Rzucił się jej do rąk i zaczął je całować porywczo.

— Mamo! Mamo!...

W tych dwóch stłumionych wzruszeniem okrzykach zawarło się wszystko: i ból, i wyrzuty, i nadzieja, i żal, prośba o przebaczenie i przebaczenie samo. Całe dzieje cierpień obojga, walk wewnętrznych, wzajemnych oskarżeń i dojmujących trosk, okrutnych postanowień i najtkliwszych rozczułeń, zamknęły się w tych dwóch słowach: synku, mamo, w tych wyrazach, którymi pisane są najtrwalsze traktaty, najbardziej niewzruszalne przymierza, najświętsze konkordaty.

Padli sobie w objęcia, już nic nie mówiąc, już nic nie myśląc, już niczego nie pragnąc poza tym jednym, by to, co w nich odżyło tak olśniewającą prawdą, już nigdy nie uległo najmniejszemu przyćmieniu.

Pani Czyńska ochłonęła pierwsza i odezwała się ciepło:

— Pozwól, Leszku, niechże poznam twoją przyszłą żonę.

— Mamo! Przyjrzyj się tej najbardziej kochanej dziewczynie na świecie... Kochanej jeszcze nie tak mocno, jak na to zasługuje.

Marysia stała z opuszczonymi oczami, zmieszana i onieśmielona.

— My z ojcem — powiedziała pani Eleonora — dodamy nasze uczucia do twoich, synu, a wówczas może jakoś się to zrównoważy.

Zbliżyła się do Marysi, objęła ją i pocałowała serdecznie.

— Jesteś śliczna, moje dziecko, a wierzę, że twoja młoda duszyczka jest równie piękna. Mam nadzieję, że zaprzyjaźnimy się i że nie zechcesz uważać mnie za swoją rywalkę, chociaż obie kochamy jednego chłopca.

Zaśmiała się i pogłaskała zarumienione policzki dziewczyny.

— Spójrz na mnie, chcę popatrzeć w twoje oczy, by sprawdzić, czy bardzo go kochasz.

— Och, jak bardzo, proszę pani! — cicho powiedziała Marysia.

— Nie jestem dla ciebie, drogie dziecko, panią. Chcę być twoją matką.

Marysia pochyliła się i przywarła ustami do rąk tej wyniosłej damy, która tak niedawno była dla niej obcą, surową panią, groźną i niedosięgalną, a którą teraz miała prawo nazywać matką.

— Pozwólże i mnie — pan Czyński wyciągnął do Marysi obie ręce — bym podziękował ci za szczęście naszego syna.

— To ja dzięki niemu jestem szczęśliwa! — uśmiechnęła się wreszcie nieco ośmielona Marysia.

— Spójrzcie tylko, jaka ona piękna! — zawołał z egzaltacją Leszek, który dotychczas przyglądał się całej scenie w jakimś radosnym osłupieniu.

— Winszuję ci, chłopcze! — poklepał go po ramieniu ojciec.

— Jest czego, prawda? — Leszek zarozumiałe potrząsnął głową. — Ale wy jej jeszcze nie znacie. Gdy ją poznacie tak jak ja, zobaczycie, że to prawdziwy klejnot, że to jest wprost ucieleśniony cud!

— Leszku! — zaśmiała się Marysia. — Jak ci nie wstyd tak kłamać! Po takiej reklamie państwo będą doszukiwali się we mnie bodaj czegośkolwiek na jej uzasadnienie. Tym przykrejsze będzie rozczarowanie, gdy się okaże, że jestem prostą i głupią dziewczyną...

— Twoja skromność — przerwała pani Czyńska — jest już dużą zaletą.

— To nie jest skromność, proszę pani — Marysia potrząsnęła głową. — Proszę nie myśleć, że ja nie zdaję sobie sprawy z tego, czym jestem i jak bardzo trudno mi będzie, ile wysiłku, ile trudu będzie mnie kosztowało przynajmniej o tyle zbliżyć się do poziomu

i Leszka, i państwa, i ich świata, by w nim nie razić i nie zawstydząć Leszka moimi brakami wykształcenia i wychowania. Przyznaję się otwarcie, że boję się tego, że nie wiem, czy temu podołam. A jeżeli odważyłam się na to, jeżeli pomimo wszystko zdecydowałam się na wszelkie możliwe... zawody... na upokorzenia... to tylko dlatego, że tak bardzo go kocham...

Mówiła szybko, nie patrząc na nich, a jej przyspieszony oddech świadczył, że wypowiada najgłębiej nurtujące ją myśli.

Leszek powiódł triumfującym wzrokiem po twarzach rodziców, jakby mówił:

„Widzicie, jaką wybrałem dziewczynę?!”

— I jeżeli jestem dziś taka szczęśliwa i taka dumna, że mam zostać jego żoną — ciągnęła Marysia — to bynajmniej nie dlatego, że każda uboga dziewczyna sklepowa marzy o wyjściu za mąż za bogatego i wytwornego mężczyznę. Wprawdzie cieszę się, że on, znając tyle świetnych panien dorównujących mu i majątkiem, i pozycją, wybrał mnie, nikomu niepotrzebną sierotę, ale jestem szczęśliwa i dumna tylko dlatego, że to właśnie on, najszlachetniejszy i najlepszy człowiek, jakiego znam.

Pani Czyńska przygarnęła ją do siebie.

— Rozumiemy cię, kochane dziecko. I tym bardziej gotowiśmy cię zapewnić, że potrafiłmy już ocenić uczciwość twoich intencji. Bądź też przekonana, że nie tylko nie spotkają cię wśród nas żadne przykrości, lecz znajdziesz otwarte serca i najżyczliwszą pomoc we wszystkim. Nie mów też nigdy więcej, że jesteś sierotą, gdyż od dzisiejszego dnia masz nas, kochane dziecko, i dom, który odtąd stał się również i twoim domem.

Marysia znowu pochyliła się do jej rąk, by je ucałować i by ukryć łzy, które zakręciły się w oczach.

— Taka pani dobra — szepnęła. — Nawet nie wyobrażałam sobie, że pani jest taka dobra... mamo.

Pan Czyński, jakkolwiek również przejęty, uśmiechnął się pod wąsem i chrząknął:

— No, a teraz — powiedział — skorośmy o istnieniu naszego domu przypomnieli, byłoby, sądzę, najlepiej, byśmy doń wszyscy pojechali. Pomożemy Marysi spakować jej lary i penaty i zabieramy ją do Ludwikowa.

— Oczywiście! — przytaknęła pani Eleonora. — Nie ma żadnego powodu, by zostawała tu dłużej.

Marysia zarumieniła się znowu, a Leszek powiedział:

— Widzisz, mamo... Obawiam się, że mojej Marysieńce byłoby trochę przykro. W Ludwikowie tyle gości, ludzi dla niej jeszcze zupełnie obcych...

— Więc chcesz pozwolić jej, by nadal została tu? — zdziwiła się pani Czyńska.

— Broń Boże! Ale mam pewien pomysł. Chciałbym z Marysią pojechać do Wilna.

— Teraz?... Na święta?

— Do świąt mamy jeszcze pięć dni. Musimy zaś tam pojechać, bo chodzi o dwie rzeczy: po pierwsze, mamy dług wdzięczności wobec tego zacnego Kosiby, którego wsadzono do więzienia za to, że nam uratował życie. Chcę powierzyć jego sprawę Wackowi Korczyńskiemu. Taki adwokat jak on potrafi wszystko. A nie przebaczyłbym sobie najmniejszego zaniedbania w stosunku do człowieka, któremu tyle zawdzięczam i który okazał Marysi tak bezgraniczne przywiązanie.

— To zupełnie słuszne — przyznała pani Eleonora.

— A druga sprawa, to pewne uzupełnienia, jakich domaga się garderoba mojej królowej. Ja osobiście nie przywiązuję do tego najmniejszego znaczenia, ale nie chciałbym, by wśród ludwikowskich gości czuła się skępowana. Toteż mam nadzieję, że przy pomocy Wackowej załatwimy to jakoś.

Pani Czyńska skinęła głową.

— I tu przyznaję ci rację. Jednak niecałkowitą. Mianowicie nie polegamy bez zastrzeżeń na guście Korczyńskiej. Toteż sama z wami pojedę, by się tym zająć.

— Mamo! Jesteś aniołem — zawołał Leszek.

I rzeczywiście był wdzięczny matce za to postanowienie. Wolał, by Marysia, zanim przyjedzie do Ludwikowa, zbliżyła się do kogoś z jego rodziny, by miała możliwość oswojenia się z nową swoją sytuacją. Znając prawdziwy talent matki w obcowaniu z ludźmi, nie wątpił, że pod jej wpływem dziewczyna tak inteligentna i tak wrażliwa jak Marysia

nawet w tym krótkim czasie zyska wiele, a przede wszystkim tę swobodę bycia, która w nowym otoczeniu każdemu dość trudno przychodzi.

W pół godziny później państwo Czyńscy odjechali, gdyż pani Eleonora musiała spakować się do podróży. Leszek i Marysia zostali i mieli wyruszyć w dwie godziny później, by z matką spotkać się na stacji. Tymczasem w przybudówce pojawił się stary Prokop i zaprosił oboje na wieczerzę. Fakt, że młody dziedzic ludwikowski bierze żonę spod jego dachu, był dlań — jak zapewniał — zaszczytem godnym uczczenia. Toteż na stole zjawiała się nawet butelka nalewki wiśniowej, a na cześć narzeczonych gospodarz wypowiedział długą mowę, gęsto przetykaną sentencjami z Pisma Świętego i z osobistych rozważań filozoficznych.

Na nocny pociąg mało przybywało zwykle pasażerów. Tego dnia, jak to w okresie przedświątecznym, w poczekalni było sporo kupców z miasteczka udających się do Wilna dla uzupełnienia zakupów. Zjawienie się Leszka z Marysią w towarzystwie pani Czyńskiej wywołało zrozumiałą sensację. Naczelnik stacji uważał za swój obowiązek przywitać się z panią Czyńską i zapytać:

— Szanowna pani ucieka z naszych stron na święta?

— Nie. Wracamy za kilka dni — odpowiedziała pani Czyńska. — Jadę tylko z synem i przyszłą synową załatwić różne sprawunki.

Naczelnik aż usta otworzył ze zdziwienia. Leszek zaś uśmiechnął się i pomyślał z zadowoleniem:

„No, jutro będą mieli o czym gadać w Radoliszkach i w całej okolicy”.

ROZDZIAŁ XVIII

Za piekarnią więzienną pękła rura kanalizacyjna. Więźniowie, których wyroki jeszcze nie uprawomocniły się, nie mieli obowiązku pracy, ale Antoni Kosiba zgłosił się na ochotnika. Wolał ciężki, fizyczny trud niż bezczynność w dusznej celi, gdzie trzeba było wysłuchiwać opowiadań towarzyszków o różnych wyprawach złodziejskich, o bójkach i o planowanych przedsięwzięciach tegoż typu na przyszłość. Po takich pustych dniach przychodziły najbardziej męczące, bezsenne noce. Toteż napraszał się do każdej pracy. Gdy trzeba było zsyphywać węgiel, oczyszczać podwórza lub dachy ze śniegu, nosić kartofle do kuchni — pierwszy zgłaszał się na ochotnika. Potem zmęczony zasypiał kamiennym snem i nie miał czasu rozmyślać o sobie ani o Marysi, ani o czymkolwiek.

Wyrok przyjął z rezygnacją. Aczkolwiek uważał wymiar kary za krzyczącą niesprawiedliwość, nie buntował się przeciw niej. Do niesprawiedliwości nawykł już od dawna. Nie oburzała go, nie dziwiła, nie smuciła nawet. Wiedział, że człowiek biedny tak musi do niej przywyknąć jak do sloty i mrozów. Bóg, który je zsyła, stworzył też ludzi złych, zawziętych, surowych, nieczułych.

Po apelacji Antoni Kosiba też wiele sobie nie obiecywał. Jedno trapiło go tylko, jedno nie dawało mu spać po nocach, jedno zmartwienie: jak tam da sobie radę Marysia?

Wprawdzie znając Prokopa Mielnika nie przypuszczał, by w jego domu dziewczynę mogła spotkać jakaś krzywda, lecz czyż dla takiej panienki jak ona już sama samotność na odludziu nie jest krzywda?... A tyle obiecywał sobie! Tak pięknie wyobrażał sobie ich wspólne życie pod jednym dachem. Oczywiście zacząłby brać od swoich chorych pieniądze, zwłaszcza od bogatych, by miała na książki, za którymi tak przepada, i na ładne sukienki, które bardziej pasują do jej delikatnej urody od zwykłych perkalikowych kiecek. Rano pracowałby w młynie, po południu przy jej pomocy przyjmowałby chorych, a wieczorami Marysia czytałaby głośno różne wiersze i powieści swoim dźwięcznym głosem.

I oto wszystko poszło w niwecz. Trzy lata to wielki kawał czasu. Przez trzy lata wiele może, wiele musi się zmienić. Po odbyciu kary wróci do młyna, ale jej już tam nie zastanie.

— I co wtedy?...

Wtedy znowu zacznie się puste, bezcelowe życie, życie ani dla siebie, ani dla ludzi, ani dla Boga, bo sam go nie pragnie, ludzie potępiają, a Bóg skądś z wysoka patrzy na to życie obojętnie.

— I co wtedy?...

Tyle lat włóczył się po świecie niczym wałęsające się zwierzę, które nie miało innego celu, jak tylko zdobyć na dzień każdy strawę i kąt do przespania się. Aż oto gdy zaświtało w tej pustce pierwsze, jedyne światło, gdy zaczął czuć w piersiach żywsze tętno serca, a w sercu ciepłe, ludzkie uczucie, gdy poznał, że jest też człowiekiem, że znalazł cel i potrzebę istnienia, spadł nań cios i wszystko zdruzgotał.

Jakże żywo przypominał sobie teraz owe straszne chwile konania Marysi, gdy półprzytomny z bezsilnej rozpaczyny siedział przy niej, niezdolny już do żadnego wysiłku, do żadnej nadziei, nawet do modlitwy. I tu podczas nocy więziennych przeżywał to samo. Tak samo i tu myśl jego uporczywie kołowała nad tym wirem, co wciągał w otchłań wszystko to, co kochał, dla czego chciał żyć, dla czego żyć mógł.

I powtórnie budziło się w nim wspomnienie, mgliste i niewyraźne, że już kiedyś, bardzo dawno przeżywał podobne nieszczęście, że już kiedyś utracił wszystko. I na próżno wysilał pamięć. Tylko jedno w niej rysowało się wyraźniej: owo imię dziwne, nigdy niesłyszane, a tak bardzo znajome — Beata. Dlaczego wracało tak niezmiennie, dlaczego samym swym dźwiękiem wznicało niepokój? Co oznaczało?...

Leżał z otwartymi oczami na twardym sienniku więziennym i wpatrywał się w ciemność, jakby pragnąc ją przeniknąć. Lecz pamięć zatrzymywała się zawsze w jednym miejscu, zatrzymywała się przed jakąś niebotyczną ścianą, poza którą sięgnąć nie mogła.

...Była to jesień i błotnista droga, i zwykła chłopska furmanka z niewielką, brzuchatą szkapą... Leżał na wozie i spał, a głowa uderzała o deski, mocno, boleśnie. Ten ból właśnie go obudził.

Lecz co było przedtem?...

Tak, tu zaczynała się owa niebotyczna ściana, a za nią kryła się tajemnica nie do odgadnięcia. Jakieś życie nieznane, zapomniane, przekreślone, zmasane z rzeczywistości. Jedno wiedział: było ono inne od dzisiejszego. Musiało mieć jakiś związek z życiem ludzi bogatych i z tym zagadkowym imieniem: Beata.

W pierwszych latach swojej włóczęgi usiłował przeniknąć tę zaporę, która zamykała jego pamięci dostęp do przeszłości. Zdawał sobie przecie sprawę, że musiał mieć swoje lata młodzieńcze i dziecięce. W ostrożnych rozmowach z przygodnie spotkanymi wywiedziały się, że wszyscy pamiętają swój wiek dziecinny. Nie zdradzał się też później przed nikim ze swej dziwnej ułomności, bo nikt mu uwierzyć nie chciał. Wyśmiewano go tylko i wyrażano przypuszczenia, że musi mieć powody do niepamiętania własnej przeszłości, lecz sam wciąż wysilał mózg, wciąż ponawiał ataki na ową ścianę, by po każdym, zmęczony, wyczerpany do ostateczności, półobłąkany, wracać do rzeczywistości i przysięgać sobie, że już więcej żadnej próby nie zrobi.

Mijały lata. Przyzwyczaił się, pogodził się z tym i już nawet przysięgać nie było trzeba. Czasem tylko jakieś zdarzenie zewnętrzne mimo jego woli budziło w nim nagły niepokój i ten strach, który każdy człowiek odczuwa w obliczu niezrozumiałych dla siebie sił, które w nim samym działają.

Najlepszym sposobem oderwania myśli od tych spraw była zawsze praca i Antoni Kosiba dlatego tym chętniej brał się do najcięższej.

Tego dnia od wczesnego ranka współ z kilkoma innymi więźniami zajęty był przy odkopywaniu pękniętej rury kanalizacyjnej. Wskutek już kilka dni trwającej odwilży powierzchnia ziemi zmieniła się w błotnistą paćkę, za to warstwa głębsza pamiętała niedawne ostre mrozy i trzeba było ciężko pracować rydłem i kilofem.

Około dziesiątej od strony kancelarii nadszedł starszy dozorca, Jurczak.

— Oho, kogoś na „widzenie” wołają — zaopiniował jeden z bardziej doświadczonych więźniów.

I nie omylił się. Wzywano Antoniego Kosibę.

— Jacyś młodzi państwo do ciebie — wyjaśnił dozorca.

— Do mnie?... To chyba pomyłka!...

— Nie gadaj, tylko chodź do rozmównicy.

W rozmównicy Antoni jeszcze nigdy nie był. Nikt go przecie nie odwiedzał i teraz łamał sobie głowę, kto to może być. Jeżeli Wasil z Zonią, dozorca nie nazwałby ich „państwem”.

W pierwszej chwili zmrok panujący w salce przedzielonej kratami nie pozwolił mu poznać Marysi, tym bardziej że ubrana była nie w swoje paletko i w beret, lecz w eleganckie futro i kapelusz. Obok niej zobaczył młodego Czyńskiego.

Nagłym ruchem Kosiba chciał cofnąć się. Przeczucie mówiło mu, że czeka go coś przykrego, jakaś zła nowina, jakiś niespodziewany cios. Dlaczego oni są razem i co znaczy to przebranie Marysi?...

— Stryciu Antoni! — zawołała dziewczyna. — Strycio mnie nie poznaje?...

— Dzień dobry, panie Kosiba — zawołał Leszek.

— Dzień dobry — powiedział cicho.

— No, widzi pan, nie ma czego się martwić — wesoło mówił Czyński. — Teraz wszystko pójdzie dobrze. Gdybym wcześniej dowiedział się o przykrościach, które pana przez nas spotkały, zająłbym się pańską sprawą. Teraz już niedługo będzie pan tu siedział. Zrobimy wszystko, by przyspieszyć apelację, a po apelacji, jestem przekonany, wypuszczą pana. Jakże się pan czuje?

— Dziękuję, ot, jak w więzieniu...

— Kochany stryccio tak zmizerniał — powiedziała Marysia.

— A tyś wydobrzała, gołąbeczko — uśmiechnął się do niej.

Skinęła głową.

— To ze szczęścia.

— Ze szczęścia?...

— Tak, z wielkiego szczęścia, jakie mnie spotkało.

— Jakież to szczęście? — zapytał Kosiba.

Marysia wzięła Leszka pod rękę i powiedziała:

— On wrócił do mnie i już nigdy nie rozstaniemy się.

— Marysia zgodziła się zostać moją żoną — dodał Czyński.

Znachor chwycił się oburącz za kratę, która oddzielała go od nich, jakby bojąc się, że zachwieje się i upadnie.

— Jak to? — zapytał zdławionym głosem.

— Tak, stryciu — z uśmiechem odpowiedziała Marysia. — Leszek wyleczył się i wrócił. Widzisz, że niesprawiedliwie go potępiałeś. On mnie bardzo kocha, prawie tak mocno jak ja jego...

— Przeciwnie — przerwał wesoło Leszek — ja znacznie mocniej!

— To niemożliwe. I wkrótce się pobierzemy. Przyjechaliśmy tu razem z mamą Leszka. I mama kupiła mi te wszystkie wspaniałości. Jakże ci się podobam, stryciu?...

Dopiero teraz spostrzegła dziwne przygnębienie swego starego przyjaciela.

— Nie cieszysz się, stryciu, moim szczęściem? — zapytała i nagle zrozumiała. — Ależ to bardzo niedelikatnie z naszej strony, gdy ty tutaj musisz przebywać. Nie gniewaj się za to!

Znachor wzruszył ramionami.

— A któż się gniewa... Ot... nie spodziewałem się... Daj wam, Boże, jak najlepiej...

— Dziękujemy, serdecznie dziękujemy — podchwycił Leszek. — Ale proszę nie smuć się swoim losem. Powierzylśmy pańską sprawę najlepszemu tutejszemu adwokatowi, mecenasowi Korczyńskiemu. Korczyński twierdzi, że potrafi pana uwolnić. A jemu można wierzyć.

Kosiba machnął ręką.

— A, szkoda zachodu!...

— Co stryccio mówi! — oburzyła się Marysia.

— Niczego nie szkoda — zapewniał Leszek. — Pan jest naszym największym dobroczyńcą. Przez całe życie nie zdołamy wywdziżyć się panu. I niech pan wierzy, że na głowie stanę, a odzyska pan wolność, panie Kosiba.

Na twarzy znachora zjawiał się smutny uśmiech.

— Wolność?... A... co mi po wolności?...

Młodzi zdumieni spojrzeli na siebie i Leszek potrząsnął głową.

— To chwilowe przygnębienie. Niechże pan tak nie myśli...

— Dlaczego stryccio tak mówi?

— Pewno, gołąbeczko — westchnął Antoni — i mówić nie trzeba. Nie ma o czym mówić. Daj ci, Boże, radość i spokój, gołąbeczko... No, na mnie czas, żegnajcie... A mną, starym, nie zwracajcie sobie głowy...

Skłonił się ciężko i zawrócił do drzwi.

— Panie Kosiba! — zawołał Leszek.

Lecz on przyspieszył kroku i już był na korytarzu. Szedł coraz prędzej, aż dozorca nie mógł za nim nadążyć i zirytował się:

— Co tak lecisz! Wolniej tam! Nogi mam przez ciebie pogubić?

Znachor zwolnił i szedł z opuszczoną głową.

— Kto ona dla ciebie jest ta panienka? — zapytał dozorca. — Krewna czy dobra znajoma?...

— Ona? — znachor spojrzał nań nieprzytomnie. — Ona?... Czy ja mogę wiedzieć...

— Niby w jaki sposób nie możesz wiedzieć?

— Ano człowiek dla człowieka jednego dnia może być wszystkim, a drugiego... niczym.

— Nazywała cię stryjem.

— Nazywać różnie można. Nazwa to pusta rzecz.

Dozorca aż sapnął z gniewu.

— Za wielki jesteś dla mnie filozof... Tfu!

Czyż mógł domyślić się, co dzieje się w duszy tego człowieka? Czyż mógł przypuszczać, że więzień Antoni Kosiba przeżywa najcięższą chwilę w swoim ubogim życiu?... Zarówno on, jak i towarzysze z celi zauważyli tylko, że w znachora jakby coś uderzyło, jakby go coś przywaliło i przygniotło. Zaniemówił zupełnie, przez całą noc przewracał się na swoim sienniku, a z rana nie zgłosił się na ochotnika do pracy i został sam w celi.

I nie było w tym kłamstwa, gdy powiedział Czyńskiemu, że nie pragnie wolności. Nie pragnął teraz niczego.

Po wielu latach samotności wśród obcych ludzi po to tylko znalazł czyjeś serce, by je utracić. Gdy poznał Marysię, gdy odczuł tę sympatię, którą w niej wzbudził, gdy zrozumiał, że ta dziewczyna jest dlań droższa niż wszystko inne — zaczął już wierzyć, że znalazł wreszcie cel życia.

Nie, nigdy nie robił żadnych planów. Podejrzenia Zoni o jego projektach małżeńskich wydawały mu się nawet dziwaczne. Po prostu, chciał mieć Marysię przy sobie. Oczywiście gdyby zechciała zostać jego żoną, gdyby w ten sposób mógł zapewnić jej spokojny byt i jaki taki dostatek oraz opiekę i osłonę przed złymi językami, poślubiłby ją. Ale bodaj wołałby, żeby zwyczajnie została przy nim. Niechby nawet wyszła za mąż za takiego Wasilkę...

Mieszkaliby razem, nie rozstawaliby się nigdy, codziennie widzialiby jej niebieskie oczy, słyszałby jej dźwięczny głos, grzałby swoje stare serce jej wiosennym uśmiechem. Każdy dzień wówczas miałby jakiś sens, wieczorem wiedzialby, dlaczego pracuje, po co zarabia...

I nagle rozbiły się wszystkie nadzieje. Antoni Kosiba bynajmniej nie widział szczęścia Marysi w tym, że zostanie ona wielką panią, że będzie miała bogatego męża. Nie lubił bogactwa, chociaż nie wiedział dlaczego, nie ufał mu. Nie ufał też młodemu Czyńskiemu. W samym fakcie, że ten paniczek pokochał Marysię, nie było nic dziwnego. Któż bowiem, poznawszy tę dziewczynę, przeszedłby obok niej obojętnie? Toż i w Radoliskach wszyscy młodzi ludzie zalecali się do niej. A to, że Czyński zdecydował się na małżeństwo... Ano pańska zachcianka. Nie mógł inaczej jej zdobyć, ale czy potrafi, czy zechce zapewnić jej szczęście?... Czy zdoła pojąć, jak wielki skarb posiada, czy oceni ten skarb należycie, czy go nie zmarnuje?...

Podczas pobytu Marysi w młynie Antoni Kosiba ani słówkiem nie wspominał o Czyńskim. Rozmyślnie milczał, a przecież widział strapienie dziewczyny, przecież nie uszło jego uwagi jej wyczekiwanie listu. Gdy miały długie tygodnie, a list nie nadchodził, w głębi duszy cieszył się.

„Pocierpi, gołąbeczka — myślał — i zapomni. Tak lepiej będzie dla niej”.

Ale Czyńskiemu nie umiał przebaczyć milczenia. Potępiał go najsurowiej. I teraz jeszcze nie mógł mu tego darować. Wyobrażał sobie, że gdy Leszek po wyzdrowieniu przyjechał, przypadkowo spotkał znowu Marysię, o której tak długo nie pamiętał, i odżył w nim dawny kaprys. A jak długo trwają kaprysy takich lekkoduchów?...

Zresztą nie tylko te obawy nękały Antoniego Kosibę. Dręczyła go jego własna klęska. Jakże będzie żył dalej i po co?... Marysia, zostawszy panią, nie będzie potrzebowała ani jego opieki, ani pomocy, wejdzie w krąg innego życia, stokroć dalszego od poprzedniego niż pałac ludwikowski od młyna Prokopa Mielnika.

„Nawet widywać jej nie będę” — myślał.

Im dłużej myślał, tym bardziej gorzkie były te myśli, tym mniej chciało mu się żyć, starać się o zmianę wyroku, powracać do owej izby w przybudówce, gdzie tak pięknie, tak jasno, tak dobroczynnie zaczynała się układać przyszłość, gdzie każdy sprzęt, każdy przedmiot przypominałby Marysię od chwili, gdy wydarł ją śmierci...

— Moja była, tylko moja, a teraz mi ją odebrano...

Siedział całymi dniami skulony i milczący w kącie celi. Nie interesował się nawet przysyłanymi mu teraz często paczkami z żywnością i tytoniem. Bez sprzeciwu oddawał je do podziału towarzyszom.

Tak minęły święta.

Po świętach wezwano Antoniego do kancelarii. Okazało się, że przyszedł doń nowy jego obrońca, adwokat Korczyński. Był to wysoki i dość zażywny, chociaż młody jeszcze brunet o poważnej twarzy i żywym, przenikliwym spojrzeniu.

— No, panie Kosiba — wyciągnął na powitanie rękę — zaznajomiłem się już z pańską sprawą. Widziałem się z kolegą Makłajem, przejrzałem dokładnie akta. Proces w pierwszej instancji nie był przeprowadzony zachwycająco i jestem zdania, że wiele mamy tu do zrobienia. Jeżeli nie wygramy sprawy całkowicie, w co wierzę, to wyrok zmniejszymy do paru miesięcy. Czyniłem nawet starania, by pana już wypuszczono...

— Nie zależy mi na tym — mruknął Kosiba.

— Otóż sądzę, że ma pan rację, tym bardziej że rozprawa apelacyjna wyznaczona została na pierwszego lutego. Pozostał zatem panu niecały miesiąc. Dla tak krótkiego czasu nie opłacało się załatwiać wszystkich formalności z kaucją...

— Ja nic nie mam, skądże kaucja?...

— Pan Czyński chciał ją założyć za pana.

— Zbytek łaski. Nie potrzebuję pomocy pana Czyńskiego.

— A dlaczego?... On jest dla pana bardzo życzliwie usposobiony. Zresztą to zrozumiałe. Uratował pan życie jego narzeczonej i może jemu. O, w pełni oboje zasługiwali na to. Ale wróćmy do sprawy. Otóż zebrałem już trochę materiału, który posłuży mi do obrony. Nie mam wiele czasu i będę się streszczał. Zatem przede wszystkim kazałem zrobić zdjęcia rentgenowskie Leszka i jego narzeczonej. Pokazywałem je wielu lekarzom. Opinia wszystkich brzmiała jednogłośnie, że operacje przeprowadzone przez pana były nie tylko zupełnie prawidłowe, lecz świadczą o wprost wyjątkowej pańskiej umiejętności. Zwłaszcza ta podstawa czaszki. To było podobno fenomenalne. Muszę tedy wiedzieć, skąd i od kogo pan się tego nauczył...

Znachor wzruszył ramionami.

— Nie uczyłem się.

— Niechże pan tego nie zataja przede mną, panie Kosiba — łagodnie powiedział adwokat — jeżeli pan sobie życzy, mogę to zachować przy sobie, ale ja muszę wiedzieć. Może pan pracował kiedy jako pielęgniarz w jakim szpitalu? Albo był pan sanitariuszem podczas wojny?...

— Nie.

— A od jak dawna leczy pan ludzi?... W jakich stronach pan był, zanim osiedlił się w młynie pod Radoliszkami?

— Dawniej nie leczyłem. Dopiero tam.

— Hm... Nie wmówi pan przecie we mnie, że bez żadnej praktyki umiał pan zestawiać złamane kości, prymitywnymi narzędziami przeprowadzać amputacje i temu podobne rzeczy.

— Ja też niczego panu wmawiać nie chcę.

— Tym brakiem szczerości utrudnia mi pan obronę.

— A czy ja prosiłem pana mecenasa o obronę? Nie potrzebuję żadnej obrony.

Adwokat przyjrzał się mu z zaciekawieniem.

— Woli pan siedzieć w więzieniu.

— Wszystko mi jedno — ponuro odpowiedział znachor.

Adwokat rozniewał się.

— Ale mnie nie jest wszystko jedno. Postanowiłem sobie i obiecałem przyjacielowi, że pana z tego wyciągnę. I wiedz pan, że nie zaniedbam niczego. Nie chcesz pan sam mówić, dowiem się od innych.

— Nie warto się trudzić — znachor machnął ręką. — Mnie wolność nie jest potrzebna, a co komu innemu po mojej wolności?... Czy będę w więzieniu, czy na swobodzie, nikomu nic z tego nie przyjdzie.

— Głupstwa pan mówi, ale chociażby miał pan słuszność, to i tak w interesie samej sprawiedliwości...

— Nie ma sprawiedliwości — przerwał Kosiba. — Skąd panu przyszło, że jest sprawiedliwość?...

Adwokat skinął głową.

— Oczywiście nie mówię o absolutnej sprawiedliwości. Taka może istnieje, lecz nie posiadamy w naszym umyśle żadnego sprawdzianu, by jej istnienie skonstatować. Mówię o sprawiedliwości względnej, ludzkiej.

Znachor zaśmiał się szyderczo.

— Żadnej nie ma. Ludzka?... Ot, widzi pan mnie tu, skazanego na trzy lata. A absolutna?... Pan mecenas w umyśle pewno nie znajdzie sprawdzianu jej istnienia. Nie w umyśle go trzeba szukać, ale w uczuciach, w sumieniu. A jeżeli ktoś w tym sumieniu znajdzie tylko krzywdę, jeżeli pozna, że całe jego życie jest krzywdą, to gdzież ta sprawiedliwość absolutna? Bo nie kara!... Kara przychodzi za winy. Tylko krzywdą! Niczym nie zasłużyła!

Oczy mu błyszczały, a grube palce rąk zaciskały się nerwowo. Adwokat milczał chwilę i niespodziewanie zapytał:

— Jakie jest pańskie wykształcenie?

— Żadnego nie mam wykształcenia.

— W pańskich papierach podano, że skończył pan dwa oddziały szkoły ludowej w powiecie kaliskim. Ale mówi pan jak człowiek inteligentny.

Znachor wstał.

— Życie człowiekowi różne myśli podsuwa... Czy mogę już odejść?

— Zaraz, chwileczkę. Więc nie chce pan ze mną pomówić otwarcie?

— Nie mam o czym mówić.

— Jak pan chce. Nie mogę pana zmusić. A teraz... może panu tu czego potrzeba?... Ciepła bielizna, może książki?...

— Niczego mi nie potrzeba — z naciskiem powiedział znachor — a jeżeli czego, to tylko żeby mnie ludzie zostawili w spokoju.

Adwokat uśmiechnął się pojednawczo i wyciągnął rękę.

— No, dobrze. Do widzenia, panie Kosiba.

Wyszedłszy z więzienia, mecenas Korczyński miał już gotowe postanowienie: należało pojechać do Radoliszek, do młyna, do okolicznych wiosek, wyszukać świadków, byłych pacjentów znachora, i później sprowadzić ich do sądu na rozprawę.

„Przy sposobności wpadnę do Ludwikowa na dzień lub dwa — pomyślał — a z tej sprawy zrobię wielką sprawę i jeżeli jej nie wygram, okaże się, że jestem pataląchem”.

Korczyński był młodym adwokatem, wrodzone jednak zdolności, pracowitość, gruntowna wiedza prawnicza, no i stosunki wysuwały go szybko naprzód, ambicja zaś kazała mu wciąż iść w górę, by wybić się nie tylko w tutejszej palestrze, lecz zdobyć sobie nazwisko w całym państwie.

Sprawę Antoniego Kosiby przyjął nie tylko przez wzgląd na przyjaźń z Leszkiem Czyńskim, nie tylko dla dobrego honorarium, którego przyjęcia nie mógł odmówić, ale głównie i przede wszystkim dlatego, że sama sprawa zainteresowała go bardzo i że wyczuł w niej te efektywne walory, które pewnym procesom nadają szczególniejszy rozgłos, a obrońcy w razie zwycięstwa przynoszą sławę.

Ponieważ zaś raz podjąwszy się obrony, nie zaniedbywał nigdy niczego, już nazajutrz wyjechał do Radoliszek. Dwa dni upłynęły mu na rozjazdach po okolicy, na żmudnych rozmowach z ludźmi, na zbieraniu materiałów. Dlatego też musiał skrócić swoją wizytę u Czyńskich.

Przyjęto go tu z otwartymi rękami. Świąteczni goście już rozjechali się i w domu byli tylko państwo Czyńscy, Leszek i Marysia.

Korczyński opowiadał szczegółowo, co udało mu się zebrać, i zacierał ręce.

— Staję się coraz silniejszy. Zobaczycie, że gdy wytoczę na wały wszystkie moje armaty i otworzę huraganowy ogień, z oskarżenia zostaną gruzy i popioły. Przecież ten Kosiba to świetny lekarz! Ani jednego śmiertelnego wypadku, a wyleczonych przedstawię sądowi kilkadziesiąt sztuk. Z tych prawie połowa takich, co nie tylko mu za leczenie nie płacili, lecz jeszcze od niego otrzymywali wsparcie. Motywy zysku zupełnie odpadają. Zobaczycie! Ale główny nacisk kłaść będę na jego umiejętność. Dlatego wpadłem na pewien pomysł.

— A mianowicie? — zapytał Leszek.

— Oto wszystkich świadków, a przede wszystkim ciebie i twoją uroczą narzeczoną muszę mieć w mieście już w przeddzień rozprawy. Nie wiem, czy sąd przyjmie mój wniosek i zechce powołać ekspertów. Toteż mam w zapasie coś równie mocnego, jeżeli nie mocniejszego. Mianowicie przyszło mi na myśl, by jakiś znakomity chirurg zbadał wszystkich pacjentów przed rozprawą. Oczywiście musi to być taka znakomitość, że gdy stanie przed sądem jako świadek powołany przez obronę, sąd tym bardziej będzie musiał uznać jego opinię za miarodajną. Musi to być gwiazda chirurgii.

Pani Czyńska skinęła głową.

— Taki jest w Polsce tylko jeden. Profesor Dobraniecki z Warszawy.

— Zgadła pani! — adwokat klasnął w ręce.

— No, to nie było trudne — zaśmiał się pan Czyński. — Myślę, że trudniej będzie nakłonić Dobranieckiego do przyjazdu.

— Jeżeli to kwestia honorarium — wtrącił Leszek — to proszę cię, Wacku, nie krępuj się.

— No, honorarium też nie będzie małe — zaśmiał się Korczyński — ale mam jeszcze i inne sposoby. Żona Dobranieckiego jest kuzynką mojej żony. Jakoś to się zrobi. Musi być zrobione, bo sprawę muszę wygrać.

Marysia uśmiechnęła się doń szczerze.

— Tak wdzięczna jestem panu za ten zapal i za otuchę. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem przywiązana do tego najlepszego na świecie człowieka, jak go kocham. Nie może pan sobie nawet wyobrazić, jakie on ma serce.

— Tego nie wiem, ale wierzę pani na słowo. Natomiast zdziwił mnie Kosiba swoją inteligencją. Mówi jak zupełnie wykształcony człowiek, co jakoś nie pasuje mi ani do jego wyglądu, ani do nieukończonej szkółki ludowej, ani do zawodu parobka młynarskiego czy znachora.

— A widzisz! — zawołała Marysia, zwracając się do Leszka.

— Tak, tak — przyznał Leszek. — Wyobraź sobie, Wacku, że Marysia od dawna zwróciła na to uwagę. A ja nawet przeprowadziłem pewną próbę, która potwierdziła nasze przypuszczenia.

— I jakaż to była próba? — zaciekał się Korczyński.

— Dość naiwna w gruncie rzeczy. Zacząłem z nim rozmawiać, używając wielu słów, których znaczenia nie może znać prosty chłop czy choćby półinteligent.

— No i...?

— Rozumiał wszystko. Mało tego. Kiedyś zastał Marysię nad wierszami Musseta w oryginale. I zupełnie poprawnie przeczytał całą strofę.

— Dałbym głowę, że nie tylko czytał, lecz i rozumiał — dorzuciła Marysia.

Adwokat zamyślił się.

— Tak. To rzeczywiście dziwnie... Zdarzają się jednak takie samouki. Ta teza też mogłaby mi się przydać, gdyby Kosiba zechciał otworzyć usta.

— Jak to?

— No bo milczy uparcie. Nie chciał mi udzielić żadnych informacji. Popadł w jakiś pesymizm, mizantropię, diabli wiedzą co.

— Biedak — westchnęła Marysia. — Myśmy z Leszkiem też byli tym zaskoczeni. Dlatego nie chcieliśmy narzucać się mu powtórnie. Przyjął nas prawie opryskliwie. Nie dziwię mu się zresztą. Tyle przeżyć...

— To minie, gdy znajdzie się z powrotem na wolności — z przekonaniem powiedział Leszek.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — zapewnił adwokat.

— Jaki pan dobry! — zawołała Marysia.

— Ja?... Dobry?... Ależ proszę pani! Tu nie ma miejsca na dobroć. Zbijam na tej sprawie pieniądze...

— No, no — zaśmiał się Leszek. — Nie przesadzajmy...

— ...a po wtóre, gdy taki proces wygram, zdobędę jeszcze większą popularność, jeszcze lepszą markę i... więcej forsy.

— Fe — zgorszyła się pani Czyńska — wstydziłby się pan udawać karierowicza.

— O, ja nie udaję. Ja jestem karierowiczem. I wcale się tego nie zapieram. Wprost przeciwnie. Popisuję się tym, ile razy mogę. Jeszcze będąc studentem powiedziałem sobie, że zrobię karierę, i robię ją konsekwentnie. U nas panuje śmieszne, nagminne potępienie karierowiczów. Zrobiono z tej nazwy obraźliwe słowo. A tymczasem co znaczy robienie kariery? Znaczy dążenie do wyzyskania wszelkich atutów, którymi obdarzyły nas natura, środowisko, wychowanie, wykształcenie, do zdyskontowania w życiu swoich uzdolnień, inteligencji, energii, umiejętności obcowania z ludźmi. Kto nie umie wykorzystać posiadanych warunków, ten je marnuje. Jest marnotrawcą i gamoniem. Oczywiście są także nieuczciwi karierowicze, tak samo jak są nieuczciwi bokserzy, używający w walce niedozwolonych ruchów. Ale to już inna sprawa. Ja na przykład najwięcej żywię zaufania do karierowiczów, wiem, że na nich nigdy się nie zawiodę, bo mają ambicję, mają pęd, mają wolę osiągnięcia najlepszych możliwości dla siebie, a zatem i dla sprawy, której służą.

Zaśmiał się i dodał:

— Gdybym był dyktatorem, wszystkie dygnitarские stanowiska poobsadzałbym karierowiczami.

Pan Czyński potrząsnął głową.

— Rozumowanie pana wydaje mi się zbyt uproszczone, mecenasie.

— A to dlaczego?

— Bo w karierowiczu owa wola pchnięcia własnej kariery jest czasem tak silna, że znalazłszy się w konflikcie z poczuciem obowiązku, musi zwyciężyć.

— Czasem? — podchwycił adwokat. — Zgadza się z szanownym panem. Ale czyż nie więcej strat ponosimy przez nieudolność i ospałość różnych niedojadów i dobrowolnych pariasów?... Myślę, że dlatego właśnie jesteśmy narodem ludzi biednych, że panuje u nas psychoza pogardy dla wszystkich tych, którzy zdobyli czy to majątek, czy pozycję. Mamy szacunek tylko dla tych, co otrzymywali to wszystko bez żadnej osobistej zasługi i bez żadnego wysiłku, to znaczy drogą spadku.

— Jest pan, widzę, zwolennikiem amerykańskiego kultu dla milionerów.

— W Ameryce nie wszystko jest głupie — uśmiechnął się Korczyński.

Pani Eleonora jednak przerwała dyskusję, wracając znowu do sprawy znachora. Potem poproszono do stołu, a wieczorem Korczyński odjechał na stację.

— Sprawia wrażenie człowieka, który nie umie ustępować z drogi — zaopiniowała po jego wyjeździe pani Czyńska.

— O, tak — potwierdził Leszek. — Dlatego też jeżeli chodzi o sprawę, mam najlepsze nadzieje. I sądzę, że trzeba przyspieszyć odnowienie tego domku w ogródku, w którym ulokujemy Kosibę.

Domek istotnie był już od tygodnia remontowany pod pieczołowitym doглядem obojga narzeczonych, którym nawet do głowy nie przychodziło, że ich praca jest daremna i że przyszłość inaczej ułoży się, niż sobie uplanowali.

ROZDZIAŁ XIX

Niewielka sala sądu apelacyjnego szybko się zappełniła publicznością o dziwnym składzie. Ceglaste kołuchy chłopów z okolic Radoliszek mieszały się z eleganckimi futrami panów z miasta. Sprawa wywołała wielkie zainteresowanie nie tylko w kołach prawniczych, gdzie już od dawna krążyły ekscytujące pogłoski o rewelacyjności obrony przygotowanej przez Korczyńskiego, lecz i w świecie lekarskim wzbudziła sensację, tak ze względu na swoje

tło, jak i na fakt, że na rozprawie wystąpić miał w charakterze świadka profesor doktor Dobraniecki, najwybitniejszy chirurg polski, cieszący się powszechnym uznaniem, szacunkiem i sławą.

Wśród obecnych w sądzie lekarzy nie brakło dawnych wychowanków słynnego profesora, nie było zaś ani jednego, który by z najwyższą ciekawością nie oczekiwał jego opinii o praktykach znachorskich. Jeżeli dziwiono się, to dziwiono się tylko temu, że profesor został powołany do świadczenia przez obronę, nie zaś przez oskarżenie, i dlatego też spodziewano się usłyszeć rzeczy rewelacyjne.

Że tak miało być istotnie, można było wywnioskować i z miny mecenas Korczyńskiego. Wesoły i rozmowny pólśiedział na swoim stole, w rozpiętej todze i z rękami w kieszeniach spodni, gawędząc z paru kolegami z palestry. Obok na stole piętrzyły się stosy akt i notatek, do których jednak nawet nie zaglądał. Musiał tedy materiał opanować wyśmienicie i miał już szczegółowo opracowaną linię obrony.

I rzeczywiście, był pewien siebie, zwłaszcza od wczoraj. Wczoraj wczesnym rankiem przywitał na dworcu profesora Dobranieckiego i odwiózł go do jednej z lecznic prywatnych, gdzie już byli zebrani dawni pacjenci znachora Kosiby. Prawie cały dzień z niedużymi przerwami spędził profesor na ich badaniu, na studiowaniu zdjęć rentgenowskich i na dyktowaniu stenotypistce orzeczeń.

Mecenas Korczyński nie zaniedbał niczego, co mogło się przyczynić do wygrania sprawy. Dopilnował sprowadzenia wszystkich potrzebnych mu świadków, gruntownie przewertował akta i spokojnie mógł teraz czekać na rozprawę.

Wprowadzono oskarżonego, który apatycznie zajął swoje miejsce pod strażą policjanta. Wygląd Antoniego Kosiby zdawał się być najjaskrawszym kontrastem pogodnego zadowolenia z siebie jego obrońcy. Usiadł zgarbiony, opuścił głowę i wpatrywał się nieruchomo w podłogę. Jego broda jeszcze bardziej posiwiała, skóra na twarzy żółkła, pod oczami zaznaczały się wyraźne sinawe worki. Nawet nie rozejrzał się po sali, jakby nie słyszał życzliwych znajomych głosów wymawiających jego nazwisko, zresztą może nie słyszał ich rzeczywiście, gdyż na skierowane doń pytania obrońcy również nie zareagował wcale. Dopiero ostry odgłos dzwonka i rozkaz policjanta, który kazał mu wstać, rozbudziły Kosibę. Podniósł się ciężko i usiadł znowu pogrążony w swoich myślach.

W tej sali był jedynym człowiekiem, którego zupełnie nie obchodził przebieg rozprawy i jej wynik.

Jak automat odpowiedział na skierowane doń pytania zmierzające do ustalenia personaliów i zatonął znowu w apatycznym bezruchu.

„Gdybym miał do czynienia z ławą przysięgłych — pomyślał z uśmiechem Korczyński — sam wygląd tego biedaka wystarczyłby mi do uzyskania uniewinnienia”.

Tymczasem rozpoczął się korowód świadków. Przed pulpitem stanął przodownik Ziomek. Na precyzyjnie skonstruowane pytania prokuratora musiał odpowiedzieć wyjaśnieniami silnie obciążającymi oskarżonego. Kosiba przyznał się do kradzieży walizki z narzędziami, walizki tej nie zwrócił, ukrył ją i przetrzymał kilka tygodni, oddał zaś wobec groźby rewizji, która i tak doprowadziłaby do odnalezienia skradzionego przedmiotu.

Z kolei wystąpił z pytaniami obrońca.

— Czy świadek, jako komendant posterunku w Radoliskach, otrzymywał jakieś zażalenia od ludności na Kosibę?

— Nie, żadnych.

— Czy przed wypadkiem przywłaszczenia narzędzi uważałby pan za możliwe wystawienie mu świadectwa moralności?

— Oczywiście. To był bardzo porządny człowiek.

— Dlaczego pan nie aresztował Kosiby po ujawnieniu kradzieży?

— Bo nie zachodziła, moim zdaniem, obawa ucieczki. Wystarczyło zobowiązanie się Kosiby do niewydalania się.

— Czy świadek wiedział, że Kosiba przybył do waszej okolicy względnie niedawno i że od wielu lat bardzo często zmieniał miejsce zamieszkania?

— Wiedziałem.

— I pomimo to ufał mu pan, że nie naruszy zobowiązania?

— Tak. Zresztą nie omyliłem się, bo przecie nie uciekł.

— Dziękuję. Więcej pytań nie mam.

Następnym świadkiem był doktor Pawlicki. Początkowo oświadczył z niechęcią, że nic dodać nie może do swoich poprzednich zeznań, jednak pod naciskiem prokuratora zaczął odpowiadać.

— Byłem trzykrotnie w izbie, gdzie mieszkał oskarżony.

— W jakim celu?

— Najpierw, by go ostrzec przed uprawianiem bezprawnej praktyki lekarskiej, później wezwany do wypadku i wreszcie celem odszukania skradzionych narzędzi chirurgicznych.

— Jakie warunki higieniczne zastał pan w tej izbie?

— Wręcz opłakane. Ubranie oskarżonego było wysmolone, ręce bardzo brudne. Pułap w wielu miejscach pokryty był pajęczynami. Zauważyłem, że garnki, w których gotowano zioła, porośnięte były tłustym brudem. Prawdopodobnie służyły również do gotowania strawy i robiły wrażenie nigdy niemytych. Podłoga była zavalona śmieciami i różnymi rupieciami. Zaduch panował taki, że trudno było oddychać.

— Gdzie Kosiba przeprowadzał operacje?

— Właśnie w tej izbie.

— Czy w takich warunkach przy poważniejszych zabiegach może pacjentowi grozić zakażenie?

— Oczywiście, i to nie tylko w poważniejszych. Przy każdej najdrobniejszej ranie, jeżeli dostanie się do niej brud lub kurz czy coś podobnego, możliwe jest zakażenie lub tężec.

— Jak odpowiedział oskarżony na upomnienia pana doktora?

— Zignorował je całkowicie.

— Czy widział pan narzędzia chirurgiczne, których używał znachor do operacji?

— Widziałem, lecz nie były to narzędzia chirurgiczne. Widziałem zwykle ślusarskie młotki, dłuta, obcęgi itp. Oraz zwykły nóż kuchenny i pilę ogrodniczą.

— W jakim stanie znajdowały się te narzędzia?

— Na niektórych była rdza. Na jednym dłutku zauważyłem starą, zakrzepłą krew. Wszystkie czuć było naftą czy też benzyną, której używał oskarżony widocznie jako środka dezynfekcyjnego.

— Czy nafta lub benzyna mają wartość jako środek odkażający?

— Tak, ale w nieznacznym stopniu.

— Czy w okolicy Radoliszek praktykuje wielu znachorów?

— W bliższej kilkunastu. W całym powiecie jest ich chyba kilkudziesięciu. To istna plaga.

— Czym pan doktor to tłumaczy?

— Ciemnotą ludności.

— Czy śmiertelność wśród nich jest duża?

— Bardzo duża.

— Czy bywał pan doktor wzywany do wypadków, gdzie śmierć następowała wskutek zabiegów znachorskich?

— Nader często. W aktach sprawy znajduje się odpis mego memoriału złożonego władzom, gdzie podaję liczby. Osobiście zanotowałem siedemdziesiąt dwa wypadki w ciągu dwóch lat. W całym powiecie, według danych wszystkich lekarzy, znachorskie zabiegi przyczyniły o śmierć dwieście kilkadziesiąt osób.

Teraz do świadka zwrócił się obrońca:

— Pan doktor powiedział przed chwilą, że nader często bywa wzywany do ofiar znachorskiego leczenia?

— Tak jest.

— Ile razy miał pan do czynienia z ofiarami Antoniego Kosiby?

— Nie przypominam sobie.

— Ach tak. Czy przypomina pan doktor sobie wobec tego chociażby jeden wypadek tego rodzaju?

— Nie.

— To dziwne. Kosiba leczył w bezpośrednim sąsiedztwie Radoliszek, leczył w fatalnych warunkach higienicznych, używał najprymitywniejszych narzędzi do operacji i pomimo to nie słyszał pan doktor o żadnym wypadku śmierci z jego winy?... A może pan słyszał?

— Nie — po chwili namysłu odpowiedział lekarz.

— Czym to sobie należy tłumaczyć? Czy Kosiba miał małą praktykę?

— Nie liczyłem jego pacjentów.

— Pan się myli, doktorze. Pańskie zeznania w pierwszej instancji stwierdzają, że pan liczył. Upraszam Wysoki Sąd o odczytanie odnośnego ustępu zeznań świadka. Tom drugi strona trzydziesta trzecia, ustęp pierwszy.

Przewodniczący skrzywił się.

— To dla sprawy nie jest istotne.

— Chcę wykazać, że Kosiba miewał do dwudziestu pacjentów dziennie według obliczeń świadka doktora Pawlickiego.

Odczytano wskazany ustęp, po czym obrońca znów zwrócił się do świadka:

— Na pytanie pana prokuratora oświadczył pan, że był trzykrotnie w izbie Kosiby, w czym raz na wezwanie?

— Tak jest.

— Po co pana wzywano?

— Po katastrofie motocyklowej do dwojga ciężko rannych.

— Kto pana wzywał?

— Niejaki Wojdyłło, jak się później dowiedziałem, właśnie sprawca katastrofy.

— A na czyje polecenie pana wzywał?

— Zdaje się, że na polecenie Kosiby.

— Czy nie przypomina pan doktor sobie, czym tłumaczył panu Kosiba, że go wzywał?

— Owszem. Było dwoje poważnie rannych i twierdził, że sam nie może dać sobie rady.

— Czy błagał pana doktora o ratowanie rannej dziewczyny?

— Tak, ale uznałem jej stan za beznadziejny. Zastosowałem tylko zastrzyk na wzmocnienie serca.

— Czy Kosiba prosił pana doktora o pozwolenie skorzystania z pańskich narzędzi chirurgicznych celem operowania rannej?

— Owszem, ale żaden lekarz na moim miejscu nie spełniłby takiej prośby.

— Czy też żaden lekarz nie zechciałby operować umierającej tylko dlatego, że pobieżne oględziny nasunęły mu przypuszczenie, że operacja nie uratuje chorej?

Doktor Pawlicki poczerwieniał.

— Pan nie ma prawa mnie obrażać!

— Uchyłam to pytanie — powiedział przewodniczący.

Adwokat skinął głową.

— Co skłoniło pana doktora do mniemania, że stan rannej jest beznadziejny?

— To było wgniecenie podstawy czaszki! Puls zanikł niemal zupełnie.

— A wie pan doktor o tym, że znachor Kosiba przeprowadził operację i uratował pacjentkę?

— Wiem.

— Czym to można wyjaśnić?

Lekarz wzruszył ramionami.

— Najbardziej zdumiewający wypadek w mojej praktyce. Sądzę, że też stało się to tylko nader dziwnym przypadkiem.

— Czy gdy pan doktor przyjechał do młyna, znachor zakomunikował panu własną diagnozę?

— Tak.

— A była ona zgodna z pańską?

— Tak.

— Czy zatem nie wydaje się panu doktorowi, iż Antoni Kosiba, ustalając trafną diagnozę i pomyślnie przeprowadzając wysoce niebezpieczną operację, wykazał duży talent chirurgiczny?

Lekarz zawahał się.

— Owszem. Lojalnie muszę przyznać, że w wielu wypadkach zastanawiało mnie to.

— Dziękuję. Więcej pytań nie mam — adwokat skinął głową i z uśmiechem spojrzał na prokuratora.

Z kolei odczytano zeznania kilku świadków oskarżenia z poprzedniej rozprawy, po czym jeden po drugim zjawiali się świadkowie powołani przez obronę. A więc zeznawał stary młynarz, jego syn, państwo Czyńscy, wreszcie cała seria byłych pacjentów Antoniego Kosiby.

Zeznania ich brzmiały niemal identycznie: byłem chory, groziło mi kalectwo, on mnie uratował, o zapłatę nie upominał się. Niektórzy oświadczyli, że jeszcze od znachora otrzymali to i owo, że w całej okolicy wiadano o jego bezinteresowności. Zaświadczył to i pan Czyński, od którego Kosiba nie przyjął stu złotych, chociaż musiała to być dlań suma znaczna, a zasłużył na nią w zupełności.

Wzruszające były zeznania Prokopa Mielnika, który zakończył je słowami:

— Bóg go do mego domu sprowadził, czyniąc tym wielką łaskę mnie grzesznemu, mojej rodzinie i ludziom sąsiedzkim. A że od Boga on, nie od złego ducha przyszedł, to i stąd wiem, że od pracy, która jest Bogu miła, nigdy się nie uchylał. Mógł ode mnie wszystkiego żądać, mógł beczynnie za piecem siedzieć, jeść i spać. Ale on nie taki. Do każdej roboty był pierwszy, czy do przemyślnej, czy do czarnej. I tak do końca, aż do sprawy. A człowiek przecie niemłody. Tak ot my prosim wielmożnego Sądu, żeby go uwolnił na chwałę Bogu i na pożytek ludzki.

Siwa głowa starca pochyliła się w niskim pokłonie, prokurator zmarszczył brwi, a wszyscy obecni spojrzeli na oskarżonego.

Antoni Kosiba jednak siedział wciąż obojętny, z opuszczoną głową. Nie słyszał ani zrezygnowanych pytań prokuratora, ani kontrataków obrońcy, ani zeznań świadków. Na chwilę krótką obudził go cichy, drżący głos Marysi. Podniósł wówczas wzrok i poruszył bezgłośnie wargami, by znowu zapaść w apatię.

„Nic mi nie zostało — myślał — nic mnie nie czeka...”

Tymczasem przed pulpitem stanął świadek najważniejszy, do którego zeznań mecenas Korczyński największą przywiązywał wagę. Nie tylko on zresztą, zarówno sędziowie, jak i publiczność, oczekiwali jego zjawienia się z napięciem. Miał zabrać głos luminarz nauki, świetny chirurg, a także pierwsza osoba w świecie lekarskim, *persona gratissima*, niejako reprezentant całego stanu, oficjalny reprezentant, prezes i opiekun.

Kto nie znał go osobiście lub nie widział go nigdy, pomimo to tak właśnie musiał sobie wyobrażać profesora Dobranieckiego. Wysoki, w sile wieku mężczyzna, o nieco zażywej postawie, o pięknym, orlim profilu i wysokim czole. Z każdego jego ruchu, z brzmienia jego głosu, z pełnego powagi spojrzenia przebijała ta pewność siebie, którą daje tylko poczucie własnej wartości, wartości powszechnie uznanej i udokumentowanej pozycją w życiu.

— Zwróciło się do mnie jako do chirurga — zaczął — kilkanaście osób z prośbą, bym zbadał stan ich zdrowia. Ulegli w swoim czasie różnym poważniejszym urazom, względnie schorzeniom, po czym poddali się zabiegom chirurgicznym przeprowadzonym przez wiejskiego znachora nazwiskiem Kosiba. Auskultacja i prześwietlenia przy pomocy aparatu Roentgena wykazały, co następuje...

Tu profesor zaczął kolejno wyliczać nazwiska przed chwilą przesłuchanych świadków wraz z opisem uszkodzeń z oceną ich niebezpieczeństwa i z oceną dokonanych zabiegów operacyjnych oraz wyników kuracji. Gęsto padały łacińskie nazwy, lekarskie terminy, fachowe określenia.

— Reasumując — kończył profesor — muszę stwierdzić, że we wszystkich wyżej wymienionych przypadkach operacje przeprowadzone zostały zupełnie prawidłowo, z niewątpliwie gruntowną znajomością anatomii i uchroniły ofiary od śmierci względnie nieusuwalnego kalectwa.

Przewodniczący skinął głową.

— A czym pan profesor może wytłumaczyć fakt, że człowiek nieposiadający żadnego wykształcenia, mógł dokonać tak ryzykownych zabiegów z pomyślnym skutkiem?

— Sam sobie zadawałem to pytanie — odpowiedział profesor Dobraniecki. — Otóż chirurgia jest z natury rzeczy wiedzą empiryczną, opartą na doświadczeniach i obserwacjach tysięcy pokoleń. Początki zabiegów operacyjnych sięgają nader odległych okresów prehistorycznych. Archeologom znane są wykopaliska z epoki brązu, a nawet kamienia łupanego pozwalające stwierdzić, że już wówczas umiano zestawiać złamane kości, przeprowadzać amputacje kończyn itp. Otóż sądzę, że wśród ludności wiejskiej obeznanej

z anatomią zwierząt domowych, mogą się zdarzać wyjątkowo bystrzy obserwatorzy, którzy z czasem przychodzą z pomocą ludziom, nabierając wystarczającej w drobniejszych i mniej skomplikowanych wypadkach praktyki.

— Tu jednak — odezwał się przewodniczący — pan profesor określił większość przypadków jako uszkodzenia skomplikowane i groźne.

— Istotnie. Toteż przyznaję, że byłem zdumiony. Ten znachor musi mieć nie tylko doświadczenie, lecz i wręcz fenomenalny talent...

Zamyślił się i dodał:

— ...intuicję... Tak, intuicję chirurgiczną, rzecz bardzo rzadko spotykaną. Osobiście znałem kiedyś jednego tylko chirurga o tak pewnej ręce i o takiej intuicji.

— A co oznacza pewność ręki?

— Pewność ręki?... Przede wszystkim trafne cięcia.

— Dziękuję — powiedział przewodniczący. — Czy strony mają pytania?

Prokurator przecząco potrząsnął głową, zaś mecenas Korczyński zawołał:

— Ja mam. Czy pan profesor znalazł u któregoś z badanych przez siebie pacjentów Kosiby ślady zakażenia?

— Nie.

— Dziękuję. Więcej pytań nie mam.

Profesor skłonił się i usiadł w pierwszym rzędzie krzeseł obok państwa Czyńskich. Teraz też po raz pierwszy rzucił okiem na ławę oskarżonych. Zobaczył barczystego, wychudłego brodacza, wyglądającego na lat niespełna sześćdziesiąt.

„Więc taki jest ten znachor” — pomyślał. Już chciał odwrócić głowę, gdy zastanowiło go dziwne zachowanie się oskarżonego.

Antoni Kosiba wpatrywał się weń intensywnym i jakby nieprzytomnym wzrokiem.

Na jego ustach zjawił się niezrozumiały uśmiech, niepewny i pytający.

„Cóż za dziwaczny jegomość” — skonstatował profesor w myśli i odwrócił się. Po dłuższej chwili jednak znowu musiał spojrzeć na znachora. Wyraz jego wychudzonej twarzy nie zmienił się, a oczy wprost wlepiał w profesora.

Dobraniecki nerwowo poprawił się na krześle i zaczął przyglądać się prokuratorowi, który właśnie rozpoczął swoją mowę. Mówił głosem dość monotonnym i to może odbierało sugestywność jego argumentom, plastykę jego krótkim, rzeczowym zdaniom, beznamiętnym, ale nieomylnie logicznym.

Prokurator przyznawał, że wyrok pierwszej instancji przez ludzi kierujących się uczuciami może być uznany za zbyt surowy. Przyznawał, że oskarżony Kosiba nie należy do najgorszego gatunku szarlatanów. Przyznawał nawet, że do uprawiania tego procederu mogły go skłonić pobudki szlachetne.

— Ale my tu — ciągnął — nie reprezentujemy miłosierdzia. Jesteśmy przedstawicielami prawa. I nie wolno nam zapominać, że oskarżony łamał je...

Profesor Dobraniecki starał się skupić uwagę na wywodach prokuratora, lecz nie dawało mu spokoju nieznośne wrażenie: wprost czuł na karku wzrok tego Kosiby.

„Czego on ode mnie chce? — irytował się w duchu. — Jeżeli w ten sposób wyraża wdzięczność za moje zeznania...”

— ...Niewątpliwie, są tu okoliczności łagodzące — ciągnął oskarżyciel. — Ale nie możemy ignorować faktów. Kradzież zawsze pozostaje kradzieżą. Ukrywanie skradzionego przedmiotu...

Nie. Niepodobna było w tych warunkach ześrodkować uwagi. Oczy tego człowieka miały jakiś wpływ magnetyczny. Dobraniecki prawie z gniewem odwrócił się do niego i zdziwił się: znachor siedział z opuszczoną głową. Przed nim na balustradzie leżały bezwładnie jego wielkie ręce.

I nagle w umyśle profesora zrodziło się niedorzeczne przypuszczenie:

„Musiałem już kiedyś widzieć tego człowieka”.

Pamięć zaczęła pracować. Profesor wierzył w swoją pamięć. Nigdy go jeszcze nie widział. I teraz, po dłuższej chwili, doszedł do przeświadczenia, że przez moment złudziło go jakieś nieistotne podobieństwo. Zapewne do jakiegoś przelotnego pacjenta sprzed lat... Zresztą nie miał czasu zastanawiać się nad tym dłużej, bo właśnie wstał mecenas Korczyński i jego metaliczny baryton zabrzmiał elektryzująco:

— Wysoki Sądzie! Ślepe fatum tylko i nieporozumienie zrzędziły, że ten oto człowiek znalazł się w tej sali i przed tym trybunałem. Nie tu jego miejsce i nie ten areopag jest właściwy dla oceny jego czynów. Antoni Kosiba powinien w tej chwili znajdować się w auli naszego Uniwersytetu, powinien stać w obliczu senatu akademickiego i nie na wyrok powinien czekać, lecz na wręczenie mu dyplomu doktora honoris causa Wydziału Medycznego!

— O, nie, panowie sędziowie, nie ponosi mnie fantazja! Nie szukam oratorskich efektów. I bynajmniej nie sięgam do niepodobieństw. Jeżeli zaś niepodobieństwem byłoby dzisiaj nagrodzenie znachora doktoratem, to jedynie z tej racji, że nasze ustawodawstwo popełniło tu przeoczenie. Że różną miarę do równie odpowiedzialnych zastosowało zawodów. Wysoki Sądzie! Nie możemy zgodzić się, by życie ludzkie zostało powierzone lekarzowi, którego wiedzy i umiejętności nie gwarantuje ukończona medycyna. Ale powierzamy je bez wahania inżynierowi, budującemu maszyny czy mosty. A przecież tytuł inżyniera i wszystkie związane z nim prawa może otrzymać każdy, chociażby nie przechodził studiów w politechnice, jeżeli wykaże swoją pracą, że posiada dość wiedzy i dość umiejętności dla swego zawodu. Czyż mam tu wymienić ogólnie znane nazwiska tych uczonych, którzy w politechnikach polskich obdzielają tysiące słuchaczy swą wiedzą, a sami nawet świadectwem szkółki powszechnej poszczycić się nie mogą?

Niestety, prawodawca nie zastosował tych możliwości dla zawodu lekarskiego. Gdyby tak było, stenogram dzisiejszej rozprawy wystarczyłby Antoniemu Kosibie do uzyskania doktoratu. Jakież lepsze, jakież wymowniejsze można by zebrać dowody jego wiedzy i jego umiejętności niż te, które zgromadził przewód sądowy, niż zeznania tych świadków, którzy właściwie zjawili się nie jako świadkowie, lecz jako dowody rzeczowe, jako żywe dokumenty lekarskich umiejętności oskarżonego?

Zjawili się tu jako Łazarze, którym powiedział: „Wstańcie!...” i przyszedł dać świadectwo prawdzie, przyszedł, by palcem wskazać na swego dobroczyńcę i zawołać: „Ten ci jest! Byliśmy kalecy, a on nam chodźć pozwolił, byliśmy chorzy, a on nas uzdrowił, byliśmy nad grobem, a on nam żyć kazał!”.

Lecz pan prokurator widzi w tym grzech i winę, że Antoni Kosiba, nie posiadając dyplomu, ośmielał się ratować bliźnich. Czy jeżeliby skoczył do wody dla ratowania tonących, musiałby również posiadać świadectwo ukończenia szkoły pływackiej?...

Nie jestem demagogiem i bynajmniej nie stoję tu w obronie znachorstwa. Ale tym ostrzej protestować muszę przeciw użytemu przez oskarżenie sposobikowi. Mianowicie zestawiono tu pozornie przypadkowe dwie prawdy: pierwszą, że Antoni Kosiba jest znachorem, i drugą, że znachorzy są szarlatanami operującymi całym arsenałem trików i sztuczek, zaklęć, zamówień, odczyniania uroków i innej błagi. Za pozwoleniem! W tym zestawieniu tkwi perfidia, gdyż jak nam wiadomo z przewodu sądowego, oskarżony nigdy, ani w jednym wypadku nie posługiwał się bluffem.

W świetle tegoż przewodu upadł też z kretesem zarzut, według którego Kosiba działał z chęci zysku. A skoro w jego działalności akt oskarżenia upatruje przestępstwo, jedyny zaś motyw tego przestępstwa rozwiewa się niczym mgła, jedynym motywem do naszego użytku może być tylko mania. Tak, Wysoki Sądzie! Ten człowiek jest maniakiem. Opanowała go mania pomagania cierpiącym, pomagania za darmo, ba, więcej! Bo za cenę utraty własnej wolności, za cenę piętna zbrodniarza, za cenę twardej pryczy więziennej i hańbiącego miejsca na tej ławie.

Nie będę tu dłużej zatrzymywał się nad kwestią, czy Antoni Kosiba był dobrym lekarzem. Wyręczyli mnie świadkowie, wyręczył przede wszystkim luminarz naszej chirurgii, którego opinia starczy za najcenniejszy atestat. Nie będę też wyzyskiwał łatwej możliwości podkreślenia, że doktor medycyny Pawlicki nie miał, jak sam zeznał, ani jednego wypadku, by zgłosił się doń o ratunek pacjent tego znachora, że natomiast ten znachor uratował od kalectwa w jednym wypadku i od śmierci w drugim dwie osoby, od których doktor Pawlicki odszedł bezradny.

Chcę mówić, panowie sędziowie, o największej winie Antoniego Kosiby, chcę mówić o tym, co oskarżenie na pierwszy wysunęło plan; chcę mówić o anty-sanitarnych warunkach, jakie panowały w tej izbie, w której dokonywał on operacji. Otóż byłem w tej izbie i muszę przyznać panu prokuratorowi, że świadkowie, których powołał, z dużym umiarkowaniem scharakteryzowali antyhygieniczne warunki, które tam panują. Zapomniano

dodać, iż w oknach są szczeliny, skąd zawiewa wiatr, że w wypaczonej podłodze są szpary, skąd ciągnie wilgoć, że pułap zacieka, że piec dymi, że w izbie nie tylko nie brakowało brudu, pajęczyn i kurzu, lecz gnieździły się tam również karaluchy!... Widziałem też i narzędzia, przy których pomocy Kosiba robił operacje. Jest to stare, zużyte i zardzewiałe żelastwo, poszczerbione i pokrzywione, powiązane drutem i sznurkami. W takiej to izbie i takimi narzędziami Kosiba operował ludzi.

Lecz, na miły Bóg... przecie żaden z operowanych nie umarł? Przecie żaden nawet zakażenia nie dostał!

Widzę tu na sali kilkunastu wybitnych i doświadczonych lekarzy i zapytuję ich: za-sługa to Kosiby czy jego wina?!... Zapytuję ich: czy sam fakt, iż tylu niebezpiecznych ope-racji dokonał ktoś w tak straszliwych warunkach, świadczy przeciw niemu czy za nim?!... Czy za to, właśnie za to ma dostać cztery ściany więzienne, czy wart jest sali operacyjnej z porcelany i szkła?!...

Przez salę przeszedł głośny szmer, gdy zaś ucichło, mecenas Korczyński mówił dalej:

— I jeszcze jeden zarzut ciąży na tym oto starcu, na którego życiu nie było dotąd żadnej plamy, na człowieka, któremu bez wahania ufała nawet podejrzliwa policja: popełnił kradzież. Tak. Skusił go połysk precyzyjnych, lśniących narzędzi chirurgicznych i ukradł je. Najpierw wprawdzie próbował wyprosić pożyczanie tych narzędzi, a spotkawszy się z kategoryczną odmową, ukradł. Lecz po cóż to uczynił?... Co tego uczciwego człowieka pchnęło do przestępstwa?... W jakiej sytuacji i z jakich pobudek sięgnął po cudzą własność?...

Oto w izbie w tej właśnie chwili konała na stole młoda dziewczyna, rozkwitające życie pogrążało się w otchłań śmierci, a on, Antoni Kosiba, wiedział, czuł, rozumiał, że bez tych lśniących narzędzi nie zdoła przyjąć ze skuteczną pomocą. Zapytuję: jak miał postąpić Antoni Kosiba?...

Adwokat powiódł rozplomienionym spojrzeniem po sali.

— Jak miał postąpić?! — zawołał. — Jak postąpiłby każdy z nas na jego miejscu?!... Jedną znajduję tylko na to odpowiedź: każdy z nas zrobiłby to samo, co Antoni Kosiba, każdy z nas ukradłby te narzędzia! Każdemu z nas sumienie wskazałoby, że to jest jego obowiązkiem, obowiązkiem moralnym!

Uderzył pięścią w stół i wzburzony umilkł na chwilę.

— W dawnej Austrii — ciągnął — istniał pewien szczególniejszy order wojskowy. Dawany był za czyn dziwny, za nieusłuchanie rozkazu, za złamanie dyscypliny, za bunt przeciw karności. Był to jeden z najwyższych i najrzadziej rozdawanych orderów, lecz stanowił odznaczenie najchlubniejsze. Gdyby sądy polskie rozporządzały prawem rozdawania nie tylko kar, lecz i nagród, taki właśnie order za złamanie prawa powinien by zawisnąć na piersi Antoniego Kosiby, gdy będzie wychodził z tej sali.

Ponieważ zaś nagroda ta, niestety, nie istnieje, niech mu nagrodą będzie to, że każdy uczciwy człowiek za zaszczyt sobie będzie uważał uściśnięcie tej spracowanej i brudnej ręki, tej najczystszej ręki na świecie.

Korczyński skłonił się i usiadł.

Profesor Dobraniecki nie bez zdziwienia zauważył w jego twarzy i spuszczonej powiekach wyraz wzruszenia. Sam zresztą był wzruszony, jak i publiczność. Jeden z sędziów raz po raz nieznacznie ocierał zgiętym palcem kąciki ust. Drugi siedział z oczyma wbitymi w papiery.

Wyrok uniewinniający zdawał się być przesądzony, tym bardziej że prokurator zrezygnował z repliki.

— Oskarżonemu przysługuje prawo głosu — powiedział przewodniczący.

Antoni Kosiba nie poruszył się.

— Ma pan prawo ostatniego słowa — mecenas Korczyński potrząsnął go za łokieć.

— Ja nic... nie mam do powiedzenia. Wszystko mi jedno...

I usiadł.

Gdyby cokolwiek oczy zwróciły się w tej chwili na profesora Dobranieckiego, zdziwiłby się każdy. Profesor zbłądł nagle, zrobił ruch, jakby chciał zerwać się z krzesła, i otworzył usta...

Lecz nikt tego nie zauważył. Właśnie wszyscy wstawali, gdyż sędziowie udawali się na naradę. Po ich wyjściu głośnie rozmowy wypełniły salę, wiele osób otoczyło Korczyń-

skiego, winszując mu świetnie przeprowadzonej obrony. Niektórzy wyszli na korytarz, by wypalić papierosa.

Profesor Dobraniecki poszedł za nimi. Drżały mu ręce, gdy wyjmował papierosnicę. Wyszukał pustą ławeczkę w dalszym kącie i ciężko na nią opadł.

Tak. Poznał go, wiedział teraz na pewno: znachor Antoni Kosiba był kiedyś profesorem Rafałem Wilczurem.

„Ten głos!”

O, nigdy nie zapomniiał tego głosu. Latami przecie wsłuchiwał się w jego brzmienie. Najpierw jako młody student medycyny, później jako asystent, wreszcie jako początkujący lekarz, przygarnięty przez wielkiego uczonego... Jakże mógł nie poznać tych rysów od razu! Jakże mógł nie widzieć ich pod tym szpakowatym zarostem!

Ba! Jakimż głupcem był już wcześniej, gdy jeszcze nie widział Antoniego Kosiby, gdy tylko zdumiony oglądał ślady pooperacyjne na jego pacjentach! Pojąć nie mógł, by wiejski znachor tak genialnie umiał dokonywać tak złożonych zabiegów, przed którymi zawahałby się on sam, profesor Dobraniecki!

Powinien był od razu poznać w tym jego rękę! „Cóż za głupiec ze mnie!”

A miał przecie i inne poszlaki w tym kierunku. Między badanymi znajdowała się ta panienka operowana na wgniecenie podstawy czaszki. Dobranieckiego wprowadzie zastanowiło jej nazwisko: Wilczurówna, ale w pośpiechu nie pomyślał o wypytaniu dziewczyny. Nazwisko to zresztą było dość częste, sam miał kilku pacjentów Wilczurów. Jednak należało zastanowić się. Wiek tej Wilczurówny zdaje się odpowiadałby wiekowi córki profesora Wilczura... Gdy zniknęła wraz z matką z warszawskiego horyzontu, miała lat... siedem. Tak, to jasne...

„To nie mogło być przypadkowe! Znachor Kosiba... i ona...”

Profesor odrzucił nie zapalonego papierosa i przetarł czoło. Było wilgotne.

„Więc nie umarł, więc nie został zabity!”

Ukrył się tu na kresach w przebraniu chłopskim i pod cudzym nazwiskiem, ukrył się razem z córką, lecz dlaczego jej nazwiska również nie zmienił?... Dlaczego ojciec i córka udawali tu obcych względem siebie ludzi?...

Teraz przypomniał sobie słowa wypowiedziane doń przez tę panią podczas badania:

— Strycio Antoni okazał mi więcej poświęcenia, niż tego można byłoby oczekiwać od prawdziwego stryja.

Po co ta komedia?... No, i jej ojciec! Wystarczyłoby przecie, by wstał i powiedział:

— Miałem prawo operować i leczyć. Nie jestem znachorem Kosibą. Jestem profesorem Rafałem Wilczurem.

Byłby wolny.

„Więc dlaczego tak kurczowo trzyma się swej fałszywej skóry? Mógł ujawnić swoje prawdziwe nazwisko już w pierwszej instancji, a wołał przyjąć wyrok skazujący na trzy lata”.

Gdyby profesor Dobraniecki nie znał tak dobrze swego dawnego szefa i nauczyciela, jak go znał, pomyślałby może, iż do ukrywania się skłoniło Wilczura jakieś popełnione przestępstwo czy zbrodnia. Ale i teraz wzruszyłby tylko ramionami, gdyby mu ktoś podobną myśl podsunął.

Nie, tu musiała kryć się jakaś głębsza tajemnica.

Jak żywe obudziły się w pamięci owe dni, pierwsze dni po zniknięciu profesora. Czyżby rzekoma ucieczka pani Beaty z córką i zaginięcie później profesora Rafała było ukartowaną komedią?... Jakież były tedy jej motywy?... Zostawili swoje bogactwo, swoją pozycję, jego sławę — wszystko. I uciekli, ale w jakim celu?

Pozytywny umysł Dobranieckiego nie znośił żadnego tłumaczenia, którego nie dałoby się ugruntować jakimikolwiek logicznymi przesłankami, którego nie wyjaśniałyby normalne, ludzkie pobudki działania.

Teraz jednak nie miał czasu na rozwiązywanie zagadek. Lada chwila wyrok będzie ogłoszony. Oczywiście będzie to wyrok uniewinniający, ale może być i skazujący.

„Moim obowiązkiem jest natychmiast zawiadomić adwokata i zażądać wznowienia rozprawy, by zeznać, kogo poznałem w znachorze Kosibie”.

Dobraniecki przygryzł wargi i powtórzył:

— Tak, to mój obowiązek.

Nie poruszył się jednak. Zbyt szybko tłoczyły się myśli, zbyt gwałtownie narastały w wyobraźni następstwa.

Przed powzięciem decyzji należało trzeźwo i gruntownie wszystko posegregować, przefiltrować, ułożyć... No, i przewidzieć konsekwencje. Nie lubił, nie umiał działać na ślepo pod wpływem impulsów.

— Przede wszystkim opanować się — mruknął do siebie z taką intonacją, jakiej używał do poskramiania nerwowych pacjentów.

Wyjął papierosa, uważnie go zapalił. Stwierdził, że tytoń jest zbyt wyschnięty, że dziś mniej wypalił papierosów niż zwykle i że należałoby ograniczyć się w ogóle do dwudziestu sztuk dziennie. Te proste czynności i uboczne refleksje przyczyniły się do przywrócenia mu równowagi, a skutek był natychmiastowy: oto przypomniał sobie szczegół niezmiernie ważny, szczegół, którego dotychczas nie brał w rachubę, a który z gruntu zmieniał sytuację. Przecie znachor Kosiba podczas rozprawy uśmiechał się doń, najwyraźniej uśmiechał się!

„Przyglądał się mi, jak komuś dobrze znajomemu, którego nie daje się zidentyfikować. I nie ukrywał bynajmniej tego, że usiłuje mnie poznać!... Cóż to może oznaczać?”

Mogło oznaczać tylko jedno: profesor Wilczur nie obawiał się, że zostanie odkryty pod przebraniem znachora. Profesor Wilczur nie obawiał się! Dlaczego tedy nie przerwał procesu prostym oświadczeniem, że jest Wilczurem? Na to zaś również jedna tylko mogła być odpowiedź:

„On nie wie sam, kim jest...”

Pod wpływem tego odkrycia Dobraniecki zerwał się na równe nogi.

„Amnezja. Utrata pamięci. Boże! On przez tyle lat błąkał się... Spadł do poziomu prostego wyrobnika... Utrata pamięci...”

Profesor Dobraniecki wiedział doskonale, co należy uczynić, by nieszczęśliwego uleczyć. Wystarczyło po prostu powiedzieć mu, kim jest, przypomnieć kilka szczegółów, pokazać jakiś znany mu przedmiot

Oczywiście, może nastąpić skutek tego poważny wstrząs psychiczny. Lecz choćby wstrząs taki był najsilniejszy, nie może być niebezpieczny.

Po paru godzinach czy po kilku dniach Wilczur odzyska pełną świadomość.

„A co wtedy?...”

I tu przed oczami Dobranieckiego wyraźnie zarysowała się kolejność nieuniknionych skutków. Więc przede wszystkim wiadomość o całej tej tragedii i o jej szczęśliwym finale rozbrzmii po całym kraju. Profesor Wilczur wróci do stolicy. Wróci do swojej willi, do swoich stanowisk, do swojej przodującej pozycji w świecie lekarskim. Wróci jeszcze sławniejszy, jeszcze bardziej uwielbiany, jeszcze znakomitszy, bo otoczony aureolą niesprawiedliwie doznanych krzywd i upokorzeń, aureolą znachora-cudotwórcy, który potrafił być równie genialnym chirurgiem bez sal operacyjnych, bez sztabu asystentów, bez narzędzi...

„Wróci, a co wtedy ze mną się stanie?...”

I profesor Dobraniecki poczuł w ustach smak goryczy. Co się z nim stanie?... Z nim, co mozolną pracą lat kilkunastu wydzwignął się na szczyty, zdobył pierwszeństwo, osiągnął szczybel najwyższy?...

Niewątpliwie wszyscy przyjmą oklaskami jego odkrycie. Przeżyje jeszcze jeden dzień triumfu. Ale później?... Później będzie siłą rzeczy usunięty na drugi plan, siłą rzeczy znajdzie się w cieniu wielkości Wilczura... Katedry mu nie odbiorą co prawda, ale pod presją opinii będzie musiał ustąpić z niej dobrowolnie. Zarząd lecznicy... gabinet dyrektora... Wszystkie od lat utrwalone innowacje... Prezesury w różnych stowarzyszeniach i związkach...

Tak, wejść tam na salę sądową i powiedzieć, że ten znachor jest profesorem Rafałem Wilczurem, to zrezygnować z własnych zdobyczy, z własnych osiągnięć, z własnych stanowisk. To przekreślić najświetniejszy okres swojej kariery i dobrowolnie wyrzec się wszystkiego, co tak ukochał...

I jeszcze jedno: w biografii profesora Wilczura znajdował się pewien niewielki ustęp, którego Dobraniecki przez tyle lat nie umiał zapomnieć, którego nie mógł sobie wybaczyć jako karygodnego wybryku próżności. Skłamał tam, pisząc o pewnym przypadku w klinice uniwersyteckiej, o pewnej śmiałej a trafnej diagnozie, której zasługę przypisał

sobie. I teraz jeszcze zarumienił się, gdy to głupie, niepotrzebne kłamstwo sobie przypomniał.

A kłamstwo to, chociaż drobne, chociaż w ogólniejszym sensie nieważkie, mogło być odkryte tylko przez jednego człowieka: przez profesora Wilczura.

Mogło być odkryte... tylko w tym wypadku, gdyby Wilczur odzyskał pamięć...

Ręce i nogi profesora Dobranieckiego były jak z lodu, ale w skroniach gwałtownie pulsowała krew.

„Jak postąpić?...”

Czy popełni łajdactwo, jeśli nie powie?... Czy dla Wilczura będzie taką tragedią pozostanie w tych warunkach, w jakich żyje, do jakich przecie musiał już przyzwyczaić się?...

„Przecie to prosty przypadek, że mnie Korczyński wezwał na świadka! To przypadek, że na to, do stu diabłów, zgodziłem się! Gdyby nie to... Antoni Kosiba do śmierci zostałby Antonim Kosibą i wcale nie czułby się tym pokrzywdzony”.

Właśnie! To należy wziąć jako miarę, jako sprawdzian. Skoro ktoś nie wie, że dzieje mu się krzywda, krzywdy nie ma. Wilczur nie zdaje sobie sprawy z tego, że był kimś innym. Swoją los uważa za rzecz normalną. Nie ma szczęścia bez uświadomienia go sobie i nie ma nieszczęścia...

Ostry dźwięk dzwonka rozległ się w kularach.

— Proszę wstać, Sąd wchodzi — dobiegł uszu Dobranieckiego głos woźnego z progu sali.

Nie ruszył się z miejsca. Tam czytano wyrok.

„A co będzie, jeżeli zostanie skazany?” — przebiegła mu przez rozpalony mózg dojmująca myśl.

Zacisnął pięści.

„Nie będzie, nie może być skazany” — wmawiał w siebie.

Po chwili z sali rozległ się gwar, hałas przesuwanych krzeseł i jakieś okrzyki. Drzwi otworzyły się. Publiczność wysypywała się na korytarz.

Nietrudno było z wyrazu twarzy tych ludzi odgadnąć, że zapadł wyrok uniewinniający. Dobraniecki odetchnął z ulgą. Zdawało mu się, że cały ciężar odpowiedzialności spadł mu z serca.

Przechodzili obok niego, gestykulując i rozmawiając głośno. Chłopi w ceglanych kożuszkach, lekarze, adwokaci, młynarz z synem, państwo Czyńscy. Na końcu w największej grupie szedł znachor Kosiba ze swym obrońcą, z młodym Czyńskim i z jego narzeczoną.

Mecenas Korczyński zatrzymał wszystkich przy profesorze Dobranieckim. Coś mówił wesoło, za coś dziękował.

Profesor starał się uśmiechać, ścisnął ich ręce, lecz oczy miał spuszczone. Przez krótkie mgnienie, gdy je podniósł, spotkał się z wzrokiem Antoniego Kosiby. Najwyższym wysiłkiem woli zapanował nad sobą, by nie krzyknąć. Wzrok Kosiby był niespokojny, natarczywy, półprzytomny.

Wreszcie odeszli i Dobraniecki, wyczerpany doszczętnie, opadł na ławkę.

Ciężką miał noc. Nie zmrużył oka ani na chwilę, przewracając się z boku na bok. W najlepszym hotelu wdzięczny Korczyński zarezerwował dlań najlepszy apartament. Cicho tu było i wygodnie. Nie mógł jednak usnąć. Nad ranem zmęczony bezsennością nacisnął guzik dzwonka: kazał sobie podać mocną herbatę i koniak.

Dopiero wypicie całej prawie butelki przyniosło pożądany skutek i zasnął. Obudził się późno z bólem głowy. Przyniesiono mu depesze z Warszawy. W jednej asystent z lecznicy przypominał o terminie zjazdu w Zakopanem, gdzie profesor miał jutro przewodniczyć, druga była od żony. Nagliła do powrotu.

— Było jeszcze kilku panów — oznajmił służący hotelowy. — Pytali, kiedy ich pan profesor może przyjąć.

— Nikogo nie przyjmę. Jestem niezdrow. Proszę tak powiedzieć.

— Słucham, panie profesorze. A mecenasowi Korczyńskiemu?

— Wszystkim.

Wstał dopiero późnym wieczorem. Należało spakować walizki i wracać do Warszawy. Nie mógł jednak zdobyć się na żaden wysiłek. Kilka godzin włożył się bez celu po mie-

ście, potem kupił wszystkie dzienniki i wrócił do hotelu. W dziennikach znalazł obszerne sprawozdania z rozprawy sądowej i motywy wyroku uniewinniającego.

„No, więc wszystko w porządku — wmawiał sobie. — Po prostu jestem przewrażliwiony. Trzeba się wziąć w karby!”

Postanowienie jednak niewiele pomogło. Gdy zabrał się do pakowania, ogarnęło go znowu zniechęcenie i takie rozdrażnienie, że kazał podać sobie znowu koniak do numeru. Pomimo to noc spędził prawie bezsennie.

Wczesnym rankiem wstał z gotową decyzją. Wyszedł bez śniadania, wsiadł w pierwszą spotkaną taksówkę i podał adres Korczyńskiego.

Zastał go jeszcze w szlafroku.

— Witam drogiego profesora — zawołał adwokat. — Byłem u pana wczoraj dwa razy, ale powiedziano mi, że profesor niezdrows...

— Tak, tak... Czy możemy, mecenasie, pomówić na osobności?

— Ależ proszę! — wstał i zamknął drzwi gabinetu. — O co chodzi, profesorze?

— Jak się nazywa ta panna?... Ta narzeczona Czyńskiego?

— Wilczurówna.

— Czy Maria Jolanta?

— Że Maria, wiem na pewno, a czy ma drugie imię, zaraz sprawdzimy.

Wyjął z szuflady tekę z papierami. Szukał chwilę, wreszcie znalazł.

— Tak. Maria Jolanta Wilczurówna, córka Rafała i Beaty z Gontyńskich

Podniósł oczy. Profesor Dobraniecki siedział blady, z przymkniętymi powiekami.

— Mecenasie — powiedział jakby z wysiłkiem. — Muszę panu zakomunikować, że to jest... że ona jest... jego córką.

— Czyją córką? — zdziwił się adwokat.

— Córką Antoniego Kosiby.

— Nie rozumiem, panie profesorze.

— Czy Kosiba o tym nie wiedział?... Czy ona też nie wiedziała?...

Korczyński spojrzał nań nieufnie.

— Panie profesorze — zaczął — to jakieś nieporozumienie, Kosiba wprawdzie opiekował się tą panią, ona żywi dlań wiele serdeczności, ale upewniam pana, że żadnego pokrewieństwa tu być nie może...

Dobraniecki potrząsnął głową.

— A ja pana upewniam, że to ojciec i córka. Antoni Kosiba naprawdę nazywa się... Rafał Wilczur.

Wyrzucił to z siebie i oddychał ciężko.

— Jak to?

Profesor milczał długo.

— Tak — zaczął mówić jakby do siebie. — Poznałem go. Nie mogę się mylić i nie omyliłem się. Ten znachor jest profesorem Wilczurem, który zaginął przed trzynastu laty...

Nagle wstał.

— Gdzie on jest, niech pan zaprowadzi mnie do niego.

Adwokat obawiał się, że Dobraniecki uległ jakiejś przypadłości nerwowej.

— Niechże pan usiądzie, drogi profesorze — powiedział łagodnie — wydaje mi się, że zaszła tu jakaś pomyłka.

— Żadnej omyłki. To jest Wilczur. Czy słyszał pan kiedy o znakomitym chirurgu warszawskim tego nazwiska?

— Oczywiście. Przecie pan profesor prowadzi lecznicę imienia profesora Wilczura.

— Tak. Przed trzynastu laty Wilczur zaginął. Wszyscy myśleli, że popełnił samobójstwo... Miał pewną tragedię rodzinną. Zwłok nie znaleziono... Byłem jego asystentem, prawą ręką. Objąłem po nim katedrę, zarząd lecznicy... Tak... To jest on.

— Nadzwyczajne! — już z większą wiarą powiedział Korczyński. — Ale myli się pan chyba, profesorze. Wynikałoby stąd, że przez trzynaście lat ukrywał się pod cudzym nazwiskiem?... Dlaczego?

— Amnezja. Utrata pamięci.

— Chyba... nieprawdopodobne. Przez trzynaście lat?...

— Na pewno.

— Daruje pan profesor. Właściwie, słysząc to z pańskich ust, nie powinienem mieć żadnych wątpliwości, ale czy z naukowego punktu widzenia jest to w ogóle możliwe?

— Zupełnie. Amnezja retrograda. Medycyna zna wiele podobnych wypadków. Nie-pamięć wsteczna... Wymazuje z pamięci człowieka całe poprzednie życie. Po wojnie światowej zanotowano setki wypadków tego rodzaju.

— Czy to skutek wstrząsu psychicznego?

— Przyczyna nie odgrywa roli. Amnezja występuje zwykle po krótkiej lub dłuższej utracie przytomności.

— A czy to jest nieuleczalne?

— Zdarzają się i takie wypadki. Na ogół jednak... Lecz nie tracimy czasu. Gdzie on jest?

— Kosiba?... Wyjechał razem z Czyńskimi. Zabrali go. Ale to jest rzeczywiście rewelacja! I pan profesor jest tego absolutnie pewien?

— Absolutnie!

— Do licha! Gdybym to wiedział podczas procesu! Zastrzeliłbym prokuratora i sędziów! Wyobraża pan sobie taki efekt?!...

Dobraniecki wszakże nie był usposobiony do zajmowania się tą stroną sprawy.

— Uprzytomniłem to sobie dopiero później — powiedział wymijająco. — A teraz... Czy może mi mecenas podać adres tych państwa Czyńskich?...

— Z przyjemnością. Zamierza pan tam pojechać?

— Oczywiście.

— I ma pan nadzieję wyleczyć Kosibę, czy raczej Wilczurę, z tej choroby?

— Tu nie potrzeba żadnego leczenia. Po prostu wystarczy przypomnienie mu, kim jest. Jeżeli to nie pomoże... to nie ma żadnej rady.

— Zastanawiające! Jednak coś niecoś musiał on pamiętać, skoro na przykład nie zapomniął swojej wiedzy lekarskiej?

— Tak. Dlatego też mam najlepsze nadzieje — powiedział, wstając, Dobraniecki.

ROZDZIAŁ XX

Pociąg, sapiąc, zatrzymał się na małej stacyjce. Był jasny, słoneczny ranek. Dachy budynków pokrywała gruba warstwa śniegu, gałęzie drzew ugiwały się pod obfitą okiścią. Szeroki widok roztaczający się z peronu zdawał się w swojej bieli i jasności czymś odświętnym, zdawał się zalotnie uśmiechać i wabić swoją puszystą, przytulną ciszą.

Profesor Dobraniecki stał i wpatrywał się w tę białą przestrzeń. Tak dawno nie był na wsi. Ten pejzaż wydał mu się w pierwszej chwili czymś sztucznym, jakąś dekoracją przesadnie realistyczną, pretensjonalną i piękną aż do nieprawdopodobieństwa. Upłynęło kilka minut, zanim w swej pamięci odnalazł dawne odczucia, dawne kontakty z tym na nowo odkrytym światem, dawne związki... Urodził się przecie na wsi, na wsi spędził dzieciństwo i pierwsze lata młodości.

„Też amnezja — myślał. — Człowiek żyjący życiem miejskim zapomina o tym świecie. Wpada w chorobliwy rytm kariery, pracy, wyścigu... I po prostu przestaje wiedzieć o istnieniu tej pogody, tej ciszy... tej innej ziemi, gdzie prawda tak bezpośrednio przemawia do człowieka nie przez głośnik radia, nie czarnymi czcionkami druku... Zapomina się o tym...”

Usłyszał za sobą lekko skrzypiące kroki i głos:

— A pan pewno do Radoliszek?

— Nie, do Ludwikowa. Czy można tu dostać jakąś furmankę?

— Dlaczego nie? Można. Jeżeli pan każe, skoczę tu do Pawłaka, on migiem zaprzęgnie.

— Proszę pana bardzo.

To „migiem” trwało jednak prawie godzinę. Jazda do Ludwikowa po nieprzetartej drodze dobre pół. Gdy sanki stanęły wreszcie przed pałacem, było już południe. Zwabiona szczeniem psów, w drzwiach ukazała się pani Michalesia i przysłaniając oczy dłonią, bo blask był wielki, przyjrzała się nieznajomemu.

— Pan zapewne w interesie do fabryki? — zapytała.

— Nie. Chciałbym widzieć się z panem Czyńskim.

— To proszę do środka. Ale państwa nie ma w domu.
 — Nic nie szkodzi. Właściwie zależy mi na zobaczeniu się z narzeczoną pana Czyńskiego, z panną Wilczurówną.
 — Jej też nie ma.
 — Nie ma?
 — Tak! Wszyscy, proszę pana, pojechali do Radoliszek.
 Profesor Dobraniecki zawahał się.
 — A prędko wróć?
 — Nie wiadomo, proszę pana. Pojechali dać na zapowiedzi. No, to już pewno ksiądz proboszcz ich nie puści. Na obiedzie zatrzyma.
 — Tak?... To niedobrze. A czy może mi pani powiedzieć?... Mecenase Korczyński w Wilnie poinformował mnie, że państwo Czyńscy zabrali do siebie niejakiego Antoniego Kosibę, znachora?
 — A jakże, prawda, zabrali. Tylko że on nie chciał tu u nas zostać.
 — Nie rozumiem...
 — Ot, nie chciał. Taki ładny domek wyszykowali tu dla niego, o tam, za ogrodem. A on nie chciał.
 — Więc gdzie jest?
 — Gdzieżby? Do młyna pojechał, do Prokopa Mielnika. Powiadał, że tam mu najlepiej będzie. Zdziwaczał stary. Ale ja tu gadam na mrozie, choć co prawda mróz dziś niewielki, a pana do środka nie proszę. Niechże pan będzie łaskaw...
 Dobraniecki zamyślił się.
 — Nie, dziękuję pani. Muszę pojechać do Radoliszek. Mam bardzo mało czasu i czekać nie mogę.
 — Jak pan woli. A jeżeli państwo chce pan zobaczyć, to na plebańię proszę wstąpić.
 — Dobrze. Dziękuję pani.
 Woźnica podciął konia, profesor szczerlnie owinął nogi baranicą i sanki ruszyły.
 Widocznie jednak jakiś pech prześladował go tego dnia. Gdy zajechał przed plebańię, dowiedział się, że są tu tylko starsi państwo Czyńscy, do których właśnie żadnego interesu nie miał. Ich stangret poinformował profesora, że pan Leszek z narzeczoną pojechali na cmentarz, gdzie pochowana jest jej matka, a po drodze mieli wstąpić do młyna, żeby zobaczyć się ze znachorem.
 — Albo tam, albo tam pan ich znajdzie — zakończył stangret i zwracając się do woźnicy profesora, zapytał: — A ty, Pawlak, znasz ludwikowskie srokaty?
 — Co nie mam znać...
 — No, to uważaj. Młody panicz srokatymi pojechał. Jak je zobaczysz, to znaczy się, że i panicz tam jest.
 — Wiadomo — woźnica kiwnął głową i cmoknął na konika.
 Do radoliskiego cmentarza były dwie drogi. Bliższa, którądy zawsze pogrzeby chodziły, wiodła koło Trzech Gruszek. Nadkładając zaś około wiorsty można było jechać koło młyna Prokopa Mielnika. Tę właśnie drogę wybrał Leszek nie tylko dlatego, że była już dobrze przetarta, ale i w tym celu, by przy okazji odwiedzić znachora.
 W głębi duszy Leszek był nań trochę rozgoryczony. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Kosiba nie przyjął proponowanej mu gościny w Ludwikowie, dlaczego nie chciał zamieszkać w domku za ogrodem, nad którego odrestaurowaniem tyle kłopotali się z Marysią. Wiedział zresztą, jak Marysia lubi swego „stryjcia Antoniego” i jak bardzo chce mieć go przy sobie. Dla obojga odmowa znachora była przykrą niespodzianką.
 Toteż teraz, po daniu na zapowiedzi, uradzili zaatakować go prośbami jeszcze raz. Marysia wprawdzie, znając usposobienie „stryjcia Antoniego”, słabe miała nadzieje. Leszek jednak, z natury uparty, zapewniał ją, że zdoła go skłonić do przeprowadzki.
 Znachora zastali przed młynem z workiem mąki na plecach. Właśnie ładowano sanie, zwane w tych okolicach „rozwalenkami”.
 Przywitał się z młodymi bez uśmiechu, otrzepnął¹³ ręce i zaprosił ich do swojej przybudówki.

¹³otrzepnął — dziś: otrzepał a. strzepnął.

— Dzień niezimny — powiedział — ale zaraz samowar podgrzeję i herbata gorąca nie zaszkodzi.

— Z przyjemnością — zawołał Leszek. — My się tu u pana nie krępujemy... Jak u siebie w domu.

— Dziękuję za łaskę.

— Łaski tu z naszej strony rzeczywiście wiele, bo pan pogardził naszą gością w Ludwikowie, a my pańską przyjmujemy.

Znachor nie odpowiedział. Wyciągnął zza pieca stary but, naciągnął go cholewą na rurę samowaru i zaczął rozdmuchiwać przygasłe wewnątrz węgle, aż z dołu wylatywał popiół i iskry.

— Pan, panie Antoni — odezwał się znowu Leszek — naprawdę robi nam krzywdę. Toż i koło Ludwikowa nie zabraknie chorych potrzebujących pańskiej pomocy. A my mamy tęsknić za panem?...

Kosiba uśmiechnął się blado.

— Żarty, panie! Po co ja wam potrzebny...

— Wstydziliby się pan. — Leszek udał oburzenie. — Już nie mówiąc o mnie, ale nie będzie pan przecie twierdził, że Marysia nie jest do pana przywiązana!

— Bóg jej zapłać!

— No, więc?

— A ot, przywiązanie przywiązaniem, a życie życiem. Nowe życie, nowe przywiązania.

— To ładnie! — zawołał Leszek. — Widzisz, Marysiu?... Pan Antoni daje nam do zrozumienia, że już ma dość nas, że sam do innych ludzi teraz przywiąże się.

— Stryjciu Antoni — Marysia wzięła go pod ramię — ja tak proszę, tak bardzo proszę...

Znachor wyciągnął rękę i pogłaskał ją po ramieniu.

— Gołębeczko kochana... Ja dla ciebie wszystko, ale nie do was ja, nie do was. Stary jestem i smutny. Samym swoim widokiem psułbym wam szczęście. Nie trzeba, nie. Nie trzeba. Ot, jak zechcecie mnie zobaczyć czasami, zajedziecie tu do młyna i... Dajmy już temu spokój.

Odwrócił się do samowaru, z którego zaczęło się wydobywać mruczenie.

Leszek rozłożył ręce.

— Ha, to szkoda. Bo ja uplanowałem sobie, że na „nowosiele”, w dniu, kiedy by pan wprowadził się do Ludwikowa, ofiarowałbym panu komplet narzędzi chirurgicznych...

Czekał efektu, lecz znachor udał, że nie słyszy tego kuszenia. Zdjął szklanki z półki, przejrzał je pod światło i zabrał się do nalewania herbaty.

Gdy już siedzieli przy stole, Marysia powiedziała:

— Daliśmy dziś na zapowiedzi. Za cztery tygodnie nasz ślub.

— Ale na wesele to już pan Antoni musi do nas przyjechać! — zawołał Leszek.

— Obejdzie się tam i beze mnie. Nie pasuję ja do tych państwa, co tam będą. A i stąd życzyć wam będę tak serdecznie, jak i z bliska.

— Nie chce pan być świadkiem naszej radości, naszego święta!

— Stryjciu Antoni!

— Czemu nie — kiwnął głową znachor. — Do kościoła przecie przyjdę, a świadkiem... Toż ja od początku jestem świadkiem wszystkich waszych zmartwień i radości. Dzięki Bogu, że po waszej myśli wszystko kończy się.

— O, panie Antoni — sprostował Leszek — to dopiero się zaczyna. Dopiero początek naszego wielkiego szczęścia, które zdobyliśmy po tylu przeszkodach, kosztem tylu łez i smutków, i rozpacz... Aż dziwno pomyśleć, ileśmy tego zła przecierpieć musieli...

— Tym lepiej dla was — powiedział poważnie znachor.

— Dlaczego tym lepiej?

— Bo szczęście póty trwa, póki je człowiek ocenia należycie. A dla człowieka wartość ma tylko to, co ciężko się zdobyło.

Zamyślił się wszyscy troje. Młodzi nad otwierającą się przed nimi szczęśliwą przyszłością, Antoni Kosiba nad swoją samotnością, w której już będzie musiał żyć do śmierci. I on przecie wiele przeżył, wiele przecierpiał, a nic dla siebie nie zdobył. Błądziłby przeciw własnemu sercu, gdyby żałował, że oto tę cząstkę szczęścia, jakiego dla siebie pragnął,

oddal im, dorzucił jak ubogi datek do ich wielkiego skarbu... Nie, nie żałował, ale przecież ciężko mu było na duszy, jak musi być ciężko każdemu, co już niczego nie oczekuje, niczego się nie spodziewa, niczego nie pragnie...

Zapukano do izby. To stangret wszedł z pudłem.

— Boję się, paniczku, że kwiaty zmarzną. Za długo im na mrozie.

— A dobrze. Niech tu postoją — powiedział Leszek. — Chociaż i tak niedługo musimy jechać.

— Dokądże to z kwiatami? — zaciekał się znachor.

— Pojedziemy na cmentarz, na grób Marysinej mamy. Chcemy podzielić się z nią naszą radością i poprosić o błogosławieństwo — odpowiedział poważnie Leszek.

— Twojej matki, gołąbeczko?

— Tak.

— To ładnie... Bardzo ładnie... Wspomniałaś mi kiedyś, że tu na radoliskim cmentarzu spoczywa. Tak, tak... Kiedyś tu, gołąbeczko, w tej izbie leżała między życiem i śmiercią, chciałem i ja pójść na jej grób, pomodlić się o twoje wyzdrowienie... Zawsze wstawienie matki to nie tylko u ludzi, ale i u Boga musi najwięcej znaczyć... Ciężkie były to godziny... Tylko nie wiedziałem, gdzie jej mogiłka.

Zasepił się, potem przetarł czoło i wstał. Z kąta alkowy przyniósł wielki pęk nieśmiertelników.

— Macie i to. Zawieźcie. Te kwiaty nie pomarzną, nie powiędną. To kwiaty umarłych. Złóżcie je tam ode mnie.

Marysia ze łzami w oczach zarzuciła mu ręce na szyję.

— Kochany stryjcio, kochany stryjcio...

— A może i pan, panie Antoni, pojechałby z nami. Złożyłby pan te kwiaty osobiście? — zaproponował Leszek.

Znachor spojrzał w oczy Marysi, zastanowił się i kiwnął głową.

— Dobrze, pojedę z wami. Stąd do cmentarza niedaleko, to jak będę wiedział, gdzie ta mogiłka, czasami sobie pójde zielisko powyrywać, kwiatki położyć.

Wiedział Antoni Kosiba, jaką przykrość robi Marysi nie chcąc przyjąć gościny w Ludwikowie, i pragnął teraz dać jej dowód, że nic, co ją blisko obchodzi, nie przestanie nigdy być bliskie i dla niego.

W kwadrans później we trójkę siedzieli w saniach. Konie ruszyły drobnym kłusem i już po chwili znaleźli się na zakręcie, skąd jak na dłoni widać było kapliczkę i całe wzgórze, na którym znajdował się tak zwany Nowy Cmentarz. Z nowości właściwie pozostała mu tylko nazwa, o czym świadczyły rozsypujące się płoty, pochylone krzyże i świecące w wielu miejscach czerwoną cegłą ściany kapliczki świętego Stanisława Kostki.

Stary cmentarz, położony za kościołem niemal w środku miasteczka, od trzydziestu z górą lat był już tak przepelniony, że nie pozostało na nim ani metra wolnego od mogił. Tu natomiast, na kiedyś łysym, a obecnie gęsto drzewami porośniętym pagórku chowano zmarłych radoliskich i okolicznych wzdłuż alejek. Między alejkami duże kawałki były jeszcze wolne i od mogił, i od drzew. Snadź¹⁴ i drzewa w sybkim piasku nie chciały rosnąć.

Droga szła obok cmentarza i sanie zatrzymały się przy bramie. Stąd już trzeba było brnąć nietkniętym białym śniegiem, który miejscami sięgał do kolan. Nawiało go tu bez miary. Za to gdy tylko minęli wierzchołek wzgórza, mogli już iść bez trudu. Tylko przy mogiłkach potworzyły się niewielkie zasy.

Marysia zatrzymała się przy mogile swojej matki, uklękła w śniegu i modliła się. Leszek poszedł za jej przykładem. Znachor zdjął czapkę i stał za nimi w milczeniu.

Była to zwykła, wiejska mogiłka z niewielkim czarnym krzyżykiem zawieszonym ze schniętymi wianuszkami i do połowy zasypanym śniegiem. Właśnie młodzi skończyli modlitwę. Leszek wyjął z pudła kwiaty, Marysia zaś zaczęła oczyszczać z krzyża śnieg. Wówczas ukazała się blaszana tabliczka z napisem...

Antoni powiódł po niej wzrokiem i przeczytał:

„Śp. Beata z Gontyńskich...”

Zrobił krok naprzód, wyciągnął ręce przed siebie...

¹⁴snadź (daw.) — prawdopodobnie, widocznie.

— Co panu, co panu jest? — krzyknął przerażony Leszek.
 — Stryjciu!...
 — Boże! — jęknął znachor. W jego mózgu z przeraźliwą jasnością odżyło wszystko. Trząsł się na całym ciele, a z jego gardła wydobywał się jakiś głuchy, nieludzki jęk. Siły opuściły go zupełnie i byłby runął na ziemię, gdyby Leszek i Marysia nie chwycili go mocno pod ramiona.
 — Co ci, co ci, stryjciu? — szeptała przerażona Marysia.
 — Mariolo, córeczko moja... córeczko moja — wymówił rozedrganym głosem i wybuchnął łkaniem.
 Nie mogli utrzymać tego bezwładnego ciężaru i jak najostrożniej opuścili go na ziemię. Słowa wypowiedziane przezeń napęłniły ich zdumieniem, zwłaszcza zdziwiło Marysię, że nazwał ją imieniem, którym kiedyś, i to bardzo rzadko, w chwilach czułych pieszczot nazywała ją matka. Nie mieli jednak czasu na dociekania. Antoni Kosiba doznał widocznie jakiegoś ataku nerwowego. Skulony na kłęczkach w śniegu, z rękami przyciśniętymi do twarzy nie ustawał w łkaniu.
 — Musimy go przenieść do sanek — zdecydował się Leszek — pobiegnę po stan-greta, bo sami nie damy rady.
 Już chciał iść, gdy w alejce ukazał się profesor Dobraniecki. Jego niespodziewane zjawienie się tutaj zaskoczyło ich, lecz i ucieszyło.
 — Uszanowanie profesorowi — zaczął Leszek. — On dostał ataku nerwowego. Co robić?...
 Ale Dobraniecki stał nieruchomo, wpatrując się w tabliczkę na krzyżu.
 — Musimy go przenieść do sań — odezwała się Marysia.
 Dobraniecki potrząsnął głową.
 — Nie, niech pani pozwoli wypłakać się swemu ojcu.
 A widząc szeroko otwarte oczy obojga, dodał:
 — To jest ojciec pani, profesor Rafał Wilczur... Dzięki Bogu, odzyskał pamięć... Chodźmy, odejdźmy dalej... Pozwólmy mu płakać.
 Stali opodal i Dobraniecki urywanymi zdaniem opowiedział im wszystko.
 Tymczasem łyzy przyniosły widocznie znachorowi ulgę. Podniósł się ciężko z ziemi, lecz nie odchodził. Marysia podbiegła doń i przytuliła twarz do jego ramienia. Nie widziała nic, bo łyzy zalewały jej oczy, lecz słyszała jego cichy głos:
 — Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie...
 Zachodziło słońce, czerwienią i złotem jarzyło się niebo na widnokręgu, na śniegu kładły się niebieskawe cienie, pierwsze muśnięcie wczesnego zimowego zmierzchu.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/znachor>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga Mostowicz, *Znachor*, Profesor Wilczur, wyd. Labos, Warszawa 1990

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Mike Bailey-Gates@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://stronie.wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).